Pawło Zahrebelny

Z PERSPEKTYWY WIECZNOŚCI

Z PERSPEKTYWY WIECZNOŚCI

Pawło Zahrebelny

Z PERSPEKTYWY WIECZNOŚCI

Tłumaczyła
MARIA DOLIŃSKA

WYDAWNICTWO LUBELSKIE

Tytuł oryginału ukraińskiego
З ПОГЛЯДУ ВІЧНОСТІ

Kartę tytułową i okładkę
projektował
JERZY KOSTKA

Redaktor
ANNA ŁAZUKA

ISBN-83-222-0074-9

© Copyright by Wydawnictwo Lubelskie
Lublin 1979

...Wpierw przyjechała Zizi. Próbując rozplątać ten kłąb ostatnich wydarzeń nabieram przekonania, że wszystko zaczęło się właśnie od przyjazdu Zizi. Może zresztą niezupełnie. W każdym razie utkwił mi jej przyjazd w pamięci. A któż to taki — Zizi? Spokojnie, nic tu nie ma egzotycznego. Nazywaliśmy tak Zinę, najmłodszą z moich sióstr. A mam ich trzy. Ojciec konsekwentnie nadawał im imiona zakończone na „ida — yda". Pierwsza nazywała się więc Izyda, druga — Antonida, trzecia — Zinaida. Nie lada skok — od starożytnego Egiptu do Turgieniewowskiej bohaterki. Mój ojciec, mistrz walcownik Matwij Serhijowicz Czereda, należał do ludzi tak nieodgadnionych, że chyba sam dla siebie był trochę zagadką. Jedno tylko wiem teraz dobrze: ojcu bardzo zależało, by nie wygasł ród Czeredów, chciał dać światu dziedzica swego robotniczego nazwiska i w tych dynastycznych zapędach nie powstrzymałaby go nawet perspektywa narodzin dziesięciorga dzieci, byle jednym z nich był syn. Uratowałem jednak naszą rodzinę od wielodzietności i po trzech siostrzyczkach, w roku zwycięstwa nad faszystami przyszedłem na świat; otrzymałem bardzo prozaiczne imię Dmytro i zacząłem rozwijać się zgodnie z prawami natury i porządkiem obowiązującym w zgodnej i kochającej się rodzinie Czeredów. Sprawiłem nowy kłopot swojej drogiej mamie Katerynie Mychajliwnie,

która wciąż powtarzała jedną tylko skargę: „Przez całe życie siedzę bez powietrza". Rzeczywiście całe życie przesiedziała mama nad dziecięcymi kołyskami; bo należy wziąć pod uwagę fakt, że przychodziliśmy na świat regularnie, powtarzając ten sam schemat: nie zdążyło jedno się usamodzielnić, a już potrzebne były czyste pieluchy dla nowego niemowlęcia. Siostry, jedna po drugiej, włączały się do wspólnego dzieła, czyli pielęgnacji nowo narodzonego, wspierały niejako jedna drugą, a już potem wszystkie trzy wsparły także mnie; co do Izydy zresztą, to udało się jej wyjść za mąż od razu po moich narodzinach i pamiętam ją już jako zamężną.

Mąż Izydy był muzykiem. Mało że muzykiem, wiolonczelistą. Wydawał mi się początkowo jakiś niepozorny, chudy i nudny; przychodzili do nas we dwoje z Izydą i zawsze przynosili tę swoją grajkę w drewnianym futerale; z pyszałkowatym wyrazem twarzy zięć rzępolił coś bardzo nudnego, a jego futerał stał sobie w przedpokoju, póki wędrując raz jak zwykle po mieszkaniu nie zauważyłem, że futerał jest w środku wyłożony miękką, szarą tkaniną i aż mnie zakorciło, żeby zrobić na nią psipsi. Ile było wtedy krzyku! Izyda wprost odchodziła od zmysłów. Zięć się zaperzył i oświadczył, że do takiego niekulturalnego domu więcej nie przyjdzie „z instrumentem". Niebawem jakiś metr od muzyki napisał naszemu wiolonczeliście, że w stolicy mógłby zarabiać do miliona rubli, zamiast pędzić nędzną egzystencję w naszym małym hutniczym mieście, gdzie nic tylko metal pobrzękuje; wiolonczelista, z natury rzeczy chwiejny, chyba niezbyt się rwał do stolicy, ale jakiś bies wstąpił zapewne w moją siostrzyczkę, jej egipskie imię ją zelektryzowało i Izyda świdrowała wiolonczeliście dziurę w brzuchu, powtarzając mu, że ich miejsce jest tylko w stolicy; wzdychając zabrał więc swoją grajkę, załadował do konte-

neru niklowane łóżko ze sprężynową siatką (krajowa produkcja artykułów powszechnego użytku), dwa krzesła, trzy pudy nut i jeszcze tam jakiś dobytek i wyjechał. A w stolicy — jak się zaczęło! Kobiety mają chyba w sobie jakąś instalację radarową. Izyda wprost przeczuła, co i jak będzie. Ten niepokaźny wiolonczelista nagle tak wszedł w modę, że go literalnie rozchwytywano, zaczęto go obsypywać odznaczeniami i tytułami i doszło wreszcie do tego, że w ogóle przestał piłować swoje struny na zwykłych koncertach, lecz jeździł tylko na jakieś międzynarodowe konkursy i — wyobraźcie sobie! — wszędzie zwyciężał; powariowali chyba ludzie, bo dobrze przecież pamiętam, że nasz zięć gra tak sobie, w naszym mieście nikt nawet nie zwracał uwagi na jego grę, a tymczasem — proszę bardzo — co się działo. Izyda strasznie się pyszniła swoim maestro i po każdym jego tournée przysyłała mi w podarunku jakieś cudaczne kurtki; kiedy zaś napomknąłem raz, że do takiej kurtki przydałyby się spodnie, zięciunio odpowiedział wyniośle, że na spodnie każdy mężczyzna powinien zarobić sobie sam. Pewnie, mógłbym mu wytłumaczyć, że chodziło mi o spodnie za dewizy, nie takie zwyczajne, ale zastanowiłem się i zdecydowałem, że obejdę się i bez ich spodni, i bez kurtek.

Antonida wyszła za mąż za naszego tutejszego inżyniera. Ten bardzo sympatyczny chłopak był trochę stuknięty na punkcie wynalezienia czegoś kolosalnego i uzyskania jeszcze kolosalniejszej nagrody. Kiedy pojawiał się u nas, od razu zaczynał swoją zwykłą piosenkę: „Mój wniosek racjonalizatorski jest już rozpatrywany... Zgłosiłem jeszcze pięć wniosków..." Przezywaliśmy go Wuerem. Może rzeczywiście dokonałby jakiegoś przewrotu w walcownictwie, ale niespodziewanie skierowano Wuera do pracy w gospodarce rolnej celem podniesienia jej poziomu. Wzbraniał się początkowo,

ale pojechał, przyjrzał się, coś tam zmechanizował, a potem czym prędzej zabrał Antonidę i jak się wziął do mechanizowania i zagrzebał w swoich spółdzielniach rolnych, to teraz nie wyrwałaby go już stamtąd żadna siła.

Do miasta przyjeżdżał obecnie tylko po to, żeby wypraszać w hucie dla swoich spółdzielni to rury, to żelazo, to jeszcze coś innego — były to delegacje służbowe. A prywatnie Wuer przyjeżdżał, by śledzić swoją Antonidę, która co tydzień odwiedzała naszą najlepszą fryzjernię. Wuer był okropnie zazdrosny o żonę, wydawało mu się, że Antonida jedzie nie do fryzjera, lecz na jakieś schadzki, więc cichaczem śledził Tonię, siadał w kawiarni znajdującej się naprzeciw fryzjerni i czekał zasłaniając się gazetą, póki małżonka nie wyszła wreszcie na ulicę.

Wiedziałem o tej wariackiej zazdrości Wuera i dopiekałem mu przy każdej sposobności.

— Kupiłbyś sobie dubeltówkę.

— Po co mi dubeltówka? — burczał w odpowiedzi. — Nigdy nie chodzę na polowanie.

— A żeby żony pilnować?

A w ogólności fajny był z niego chłopak.

Najmłodsza Zinaida nie była podobna do sióstr ani z wyglądu, ani z charakteru. Tamte odznaczały się pięknością nieco chłodną, klasyczną i zachowywały się też odpowiednio do tego niby jakieś Niesmiejany z bajki, Zina natomiast była jak sam ogień i temperament, paliła się sama i wokół niej buchały płomienie, sama się śmiała i śmiech rozbrzmiewał dokoła. Była jakby wcieleniem ruchu i tańca, tyle w niej było kobiecości, że wprost słów brak, mężczyźni tracili przy niej głowy, a Zina kręciła się między nimi, uwijała, ale żadnego nie dopuszczała na odległość, która pozwoliłaby na złamanie regulaminu określonego przez technikę bezpieczeństwa dziewczęcego. Była jakby stworzona do gry,

w której pojawiał się coraz to nowy partner, z tym że każdy następny nie mógł być podobny do poprzedniego. Oddana tej grze Zizi już się chyba zbliżała do wieku krytycznego, ale o zamążpójściu nawet nie pomyślała. Czyż należała do zwykłych ludzi i czyż po to przyszła na świat? Tylko we mnie znajdowała nasza Zizi poparcie, w nikim więcej. Zauważyłem, że ludzie lubią gry, póki sami od nich nie ucierpią. Tak samo bywa z nieszczęściem. Rzecz jasna, że nie lubię nieszczęść, ale jeżeli chodzi o grę, jestem całkowicie po stronie Zizi.

Pracowała w Instytucie Walcownictwa w mieście obwodowym, często przyjeżdżała do nas na delegację, każdy jej przyjazd był niczym grom z jasnego nieba i zawsze coś mi się wtedy przytrafiało. Nigdy nas nie zawiadamiała o przyjeździe i nikt nie mógł nigdy przewidzieć, czym Zizi przybędzie: pociągiem, autobusem, samolotem czy nawet statkiem. A co najciekawsze, ani razu nie przyjechała sama, zawsze trafiał się jakiś naiwniak, który niósł jej walizkę aż do bramy naszego domu, a potem cierpliwie wystawał na chodniku czekając na Zinę i nie domyślając się, że czeka nadaremnie.

Tak samo było również tym razem. Dzwoniąc z całej siły Zina obudziła nas o świcie. Czym mogła tak wcześnie przyjechać, nie wiedziałem.

— Przyszłaś pieszo czy jak? — zapytałem.

— Może pieszo — odpowiedziała siostra i nucąc coś przeleciała juk burza przez nasze trzy pokoje, w których od razu zapanował przemiły nieład.

Ziewnąłem, przetarłem oczy i wyjrzałem przez okno. Po chodniku przechadzał się postawny brunet w mundurze pilota lotnictwa cywilnego.

— Acha, przyleciałaś samolotem do osobistego użytku — powiedziałem. — Z jakiej trasy go wyrwałaś i jaki rozkład lotów zostanie dziś naruszony?

— Moskwa — Tokio — roześmiała się Zizi.

— A wiesz bodaj, jakie jest nazwisko tego szefa lotnictwa cywilnego? — dopytywałem się ubierając się szybko.

— Nie waż się! — wrzasnęła Zina domyśliwszy się, co zamierzam zrobić. — Obiecał, że nie będzie do mnie pisać!

— Dziękuję za informację — roześmiałem się wylatując z mieszkania i pobiegłem po schodach w dół.

Jak już napomknąłem, był z tego lotnika kawał chłopa. Zmiennością gustów Zina nie grzeszyła, podobali się jej jedynie rośli bruneci. Czy raczej nie podobali się, lecz... Nie sposób znaleźć odpowiedniego słowa, więc trzeba poprzestać na tym niezbyt trafnym określeniu.

Poszedłem w stronę nowej ofiary Ziny i zauważywszy, że lotnik wyciągnął papierosa, zapaliłem od razu zapałkę i dałem mu przypalić.

— Dobre warunki lotne — powiedziałem.

— Dobre — zgodził się ze mną lotnik.

— Daremny przelot — westchnąłem.

— Nie rozumiem — lotnik zaciągnął się głęboko.

— Był taki film — wytłumaczyłem.

— Aa, rzeczywiście, był.

— Ten pański też daremny.

— Co?

— No, przelot i... wysiłki. Tak, daremne wysiłki...

— Nie rozumiem pana — zmierzył mnie od stóp do głów takim wzrokiem, jakby zamierzał walnąć mnie w ucho.

— Zizi jest moją siostrą — dodałem niedbale i również zapaliłem papierosa.

— Ach tak? — dawał mi wyraźnie do zrozumienia, że chciałby zostać moim najlepszym przyjacielem.

— Nie poleci jednak z powrotem.

— Wiem.

— I nie wyjdzie.

— Wiem to również — lotnik powiedział to z pobłażliwym uśmiechem mówiącym: jesteś jeszcze taki młody, ale myśmy zęby na tym zjedli.

— W ogóle dzisiaj nie wyjdzie, dostała nagle gorączki.

Lotnik roześmiał się ubawiony moim niezdarnym kłamstwem. Pospacerowaliśmy jeszcze trochę ćmiąc papierosy. Przyjemnie jest czuć się równym prawdziwemu mężczyźnie i nawet trochę nad nim górować. Mieć przewagę moralną czy sytuacyjną.

— Słowem, taka sytuacja — westchnąłem znowu i pożegnałem się z lotnikiem. Rozstał się ze mną bez żalu, ledwie ukrywając, że ma sobie takiego młokosa jak ja za nic. Tragizm jego sytuacji tkwił jednak w fakcie, że lotnik nie znał tajemnicy naszego domu, czyli „Klubu Ludzi Pracy", jak go również nazywano. Zbudowano go przed wojną. Pragnąc wyprzedzić wydarzenia architekt postanowił połączyć w tym budynku teraźniejszość z przyszłością. Dwie górne kondygnacje przeznaczył na mieszkania, natomiast pomieszczenia na pierwszej miały służyć lokatorom do zebrań i spotkań wieczornych czy świątecznych; była tam więc sala, było kilka pokoi niby to klubowych czy nie wiadomo jakich, a ponieważ istnieje w przyrodzie obawa przed próżnią, więc naszą pierwszą kondygnację zajęły różne biura, w sali zaś hutnicy grali po pracy w durnia i tak przylgnęła do naszego domu dziwaczna nazwa „Klub Ludzi Pracy". Miał ten „Klub Ludzi Pracy" swoją tajemnicę, czyli drugie wyjście na przeciwległą ulicę. Kiedy więc lotnik czatował na Zinę na jednej ulicy, moja siostrunia wymknęła się spokojnie z drugiej strony domu i poszła do huty — bywa tak w sensacyjnych filmach. Ale dosyć już o tym. Wspomniałem o przyjeździe Ziny tylko dlatego, żeby zachować chronologię w swoim opowiadaniu. Bo rzeczywiście wpierw przyjechała Zizi.

A już potem przyjechała komisja rządowa.

Nie przybyła ta komisja w uroczystym i radosnym nastroju jak zwykle, gdy chodzi o przyjęcie nowej walcowni lub nowego oddziału czy bloku, słowem czegoś nowego — a słowo nowy budzi w nas przecież przyjemne skojarzenia.

Była to komisja mająca na celu przeprowadzenie kontroli i śledztwa, poczynienie natychmiastowych i jak najsurowszych kroków, a pełnomocnictwa miała nawet wyższe od prokuratorskich. Atmosfera towarzyszyła tej komisji też uroczysta, lecz posępna zarazem. Komisja rozsiadła się w gabinecie dyrektora, nie pokazywała się nikomu na oczy i robiła swoje w tajemnicy i bez pośpiechu; podobno kogoś tam wzywano, o coś wypytywano i widocznie prowadzono protokół czy jak to się nazywa — nie mam osobiście żadnego doświadczenia, jeżeli chodzi o takie komisje, więc nic pewnego powiedzieć nie mogę.

Dwie rzeczy wiedziałem jednak z całą pewnością; przede wszystkim chodziło właśnie o nasz oddział, gdyż oddział nasz nie wykonał zadania państwowego; po drugie, przewodniczącym komisji był stary znajomy mego ojca. Może to zresztą nie po drugie, może w ogóle nie ma żadnego znaczenia i mówię o tym tylko dlatego, że wypada na ten temat coś napomknąć. Bo co to znaczy stary znajomy i to w hutnictwie? Wszyscy hutnicy znają się tak czy inaczej, każdy, kto się zna na metalu, staje się od razu człowiekiem znanym i na Uralu, i w Zagłębiu Kuznieckim, i na Ukrainie.

Nie ma to jednak nic wspólnego z komisją państwową, bodaj dlatego że od pewnego czasu mój ojciec przestał odgrywać jakąkolwiek czynną rolę w produkcji i zaliczony został do kategorii ludzi pozostających w stanie zasłużonego spoczynku, jak to określa dwuczłonowy eufemizm. Przewodniczący owej komisji przyjechał do naszego miasta zwyczajnie, wcale nie po to, by odnowić stare znajomości i wcale nie pobiegł od

razu szukać mego ojca, by oddać się z nim błogim wspomnieniom o „bojowej młodości" i padać sobie wzajem w objęcia, lecz — jak już powiedziałem — zasiadł w dużym gabinecie dyrektora i zaczął wzywać do siebie ludzi.

W ten sposób wezwano także mnie. Wezwano mnie, sam nie wiem w dzień czy w nocy, z rana czy z wieczora, nie zapamiętałem, czy palił się w gabinecie dyrektora duży żyrandol z brązu, czy też ten obszerny pokój o sporych oknach rozjaśniało światło słoneczne. Dziwne, że członków komisji też nie pamiętam — ilu ich było i jakich — lecz samego tylko przewodniczącego, otyłego mężczyznę z Gwiazdą Bohatera Pracy Socjalistycznej w klapie modnej marynarki; miał gładko wygoloną, wypielęgnowaną twarz i wprost doskonałą cerę, widać, że przewodniczący nieźle się odżywiał i przestrzegał ustalonego trybu życia, a może ćwiczył z rana hantlami i przyjmował zimny prysznic. Mnie osobiście nie jest to wszystko potrzebne, gdyż dobrą cerę i twarde mięśnie zawdzięczam swojej młodości, ale mimo to też ćwiczę hantlami, od niedawna zresztą...

Tylko że znowu nie o sobie i swoich sprawach należy opowiadać, lecz o komisji, o sobie potem...

Przewodniczący komisji siedział w fotelu dyrektora, którego nie było w gabinecie; widocznie też strach go obleciał, więc chodził po wszystkich kątach — trudno mi zresztą wyobrazić sobie naszego dyrektora w strachu. Siedzieli tam widocznie także inni członkowie komisji i tylko ja jeden sterczałem na środku pokoju; przewodniczący komisji nie poprosił mnie, żebym usiadł, z czego wysnułem od razu wniosek, że musi być wysokiego wzrostu, bo gdyby był mały, nie rozmawiałby ze mną, póki bym nie usiadł; niewysocy mężczyźni strasznie nie lubią, kiedy sterczy przed nimi coś tak dryblasowatego jak Myt'ko Czereda, czyli ja,

więc z gniewną uprzejmością od razu wskazują krzesło, byle nie patrzeć na takiego dryblasa z dołu. Przewodniczący komisji nie miał z tym kłopotu. Nawet siedząc niemal dorównywał mi wzrostem. Był to olbrzym i gdyby ktoś specjalnie szukał żywego symbolu potęgi państwowej, nie znalazłby chyba lepszego. Z takiego potężnego ciała powinien by się wydobywać odpowiednio silny głos i rzeczywiście przewodniczący mówił wspaniałym basem, a jego słowa brzmiały wprost zabójczo.

Bez żadnych wstępów i pytań, nie zainteresowawszy się nawet, kim jestem, zmusił mnie do zatrzymania się na środku pokoju, uderzywszy mnie w pierś pierwszymi słowami odepchnął mnie od siebie, nie pozwolił przybliżyć się, kazał mi stać.

— Kiedy wszyscy ludzie radzieccy w zgodnym porywie...

Stałem w milczeniu.

— Kiedy wszystkie wysiłki, kiedy front pracy...

Nie pozostawało mi nic innego, tylko w milczeniu obserwować tego wielkiego człowieka, wielkiego nie tylko ciałem i słowami, co nie budziło wątpliwości, lecz również czynami, czego dowodziło jego wysokie odznaczenie.

— Rozszerza się z każdym dniem...

Już się domyśliłem, że jakkolwiek tak się ten front rozszerza, mnie widocznie nic to nie obchodzi i jakoś do mnie nie dociera i nie dotrze, czemu winien jestem niewątpliwie ja sam, i dlatego mnie właśnie wezwano przed oblicze tego groźnego człowieka. Milczałem więc w poczuciu własnej winy i patrzyłem na przewodniczącego komisji.

— I oto znajdują się ludzie...

Rzecz jasna, należałem do tych, co „znajdują się". Kiedyś karmiono mnie gadkami, że zostałem znaleziony niemal na dziedzińcu naszych zakładów hutniczych

czy w parku na kwietniku, potem zostałem uświadomiony co do naturalnego trybu pojawienia się na świecie, teraz zaś podejmowano najwyraźniej próbę, by odrzucić mnie znowu w sferę żywiołowości, w której można coś znaleźć, ale można też nic nie znaleźć i wykluczone są wszelkie przejawy świadomej działalności, panuje tam bowiem tylko ciemna niewiedza. „Znajdują się..." Co mogłem na to odpowiedzieć? Stałem i milczałem. Co prawda, patrzyłem na przewodniczącego komisji chyba dość wymownie, gdyż niespodzianie zrobił pauzę, popatrzył na mnie już nie na żarty rozgniewany i krzyknął:

— Czego milczysz?!

Nie ma nic niedorzeczniejszego na świecie niż tłumaczyć przyczyny własnego milczenia. Bo rzeczywiście, dlaczego milczę? Języka w gębie zapomniałem? Wstyd mi? Zląkłem się? Zmieszałem? Zbito mnie z pantałyku? Czy po prostu odmawiam uczestniczenia w takiej rozmowie? A może nikt się nie spodziewał, że przemówię? Może chodziło tu o rozmowę z czynnym udziałem jednego tylko interlokutora, bo drugi jedynie przyjmuje do wiadomości? Łatwo jest zadawać pytanie i zawsze trudniej bywa odpowiadać, gdyż pytanie jest jedno, a odpowiedzi może być setki. Uznałem, że lepiej będzie znów zmilczeć, co zostało jednak uznane za jawny bunt i w gabinecie aż zahuczało. Członkowie komisji oburzyli się widocznie. No cóż, skoro nie mam prawa też się oburzać, powetuję to sobie bodaj milczeniem.

— Nie myśl, że ci się uda grać w milczka! — grzmiał bas przewodniczącego komisji. — Nie po to tu jesteśmy...

Każda gra ma swoje reguły. Będę przestrzegał głównej reguły swojej gry, gry „w milczka".

— Ciąży odpowiedzialność... — doleciało do mnie. Milczałem. Ciąży, to niechaj ciąży.

— Dorastające pokolenie...

Nic nie powiedziałem. Dorastałem w milczeniu.

— I zapytamy...

Proszę bardzo. Pytaj, ile ci się żywnie podoba, ale niech ci ktoś inny odpowiada. Znajdźcie sobie ochotnika.

Trwało to długo. Milczałem wprost świetnie. Po bohatersku i zuchwale milczałem i zostałem za to haniebnie wypędzony z gabinetu dyrektora, gdzie rezydowała groźna komisja państwowa ze swoim jeszcze groźniejszym przewodniczącym na czele; człowiekiem, którego znali wszyscy hutnicy, o którym krążyło między ludźmi mnóstwo historii, człowiekiem do pewnego stopnia może nawet legendarnym; legendarność tę zniweczyło jednak moje uparte milczenie, a kryła się za nim wiara w słuszność tej sprawy, którą zainicjowali moi koledzy i do której wciągnęli również mnie.

Wszystko to było bardzo pięknie: moi koledzy, nasza sprawa, nadzieja na sukces, nasza wytrwała praca, szkoda tylko że nie było tej całej historii z moim milczeniem.

Bo nikt nigdzie mnie nie wzywał.

Nikt o nic nie pytał.

Wszystko to po prostu wyssałem sobie z palca, wymyśliłem, sam nie wiem po co, a potem nawet żal mi było, że w rzeczywistości komisja wcale mnie nie wezwała.

2

A wymyśleć można sobie wszystko. Na przykład w dziesiątym czy jedenastym roku życia niespodziewanie dla wszystkich wymyśliłem sobie chorobę. Jeżeli wyda się to komuś wątpliwe, bo zwykle ludzie wymyślają jakieś zaczarowane światy i królestwa, fantastycz-

ne podróże albo po prostu jakieś niewielkie przyjemności, to zgodzę się od razu z tym sądem, ale zmuszony będę zaznaczyć, że baśnie i historie o czarach jakoś wcześnie przestały mnie przyprawiać o przyjemny dreszczyk; rosłem w środowisku robotniczym, w świecie raczej surowym, w którym żywe jeszcze były wspomnienia o długiej i okrutnej wojnie, od dziecka napatrzyłem się na ból, nieszczęścia i cierpienia, widziałem ludzi bez nóg i bez rąk, głodnych i zmordowanych i może jako przejaw współczucia dla wszystkich tych, co dostali się w żarna wojny, której na własnej skórze nie odczułem, zrodził się w mojej głowie cudaczny pomysł choroby dla samego siebie. Nie tylko bowiem wymyśliłem sobie chorobę, lecz uwierzyłem w nią. W ogóle, jak sądzę, każdy wymysł nabiera znaczenia dopiero wtedy, kiedy sami w niego uwierzymy.

Zaczęło się wszystko od reumatycznych bólów w stawach. Skąd się wziął reumatyzm u dziesięcioletniego chłopca — to już problem dla lekarzy. Ale miałem reumatyzm z całą pewnością. Stawy mi obrzmiewały, podnosiła się temperatura i utrzymywała przez kilka miesięcy. Chodziłem zresztą do szkoły z tą temperaturą. Pokazywano mnie tam wszystkim: „O, chłopak ma stale podwyższoną temperaturę, trzydzieści siedem i trzy". Niekiedy pakowano mnie jednak do łóżka i próbowano leczyć całymi tygodniami. Kiedy tak sobie leżysz, masz mnóstwo wolnego czasu i nikt ci nie przeszkadza, możesz czytać książki, jeżeli to lubisz, albo po prostu coś sobie wymyślać. Mniejsza o to, co wymyślasz, ważny jest sam proces, działający w pewnym stopniu narkotycznie, całkowicie człowieka pochłaniający i, co najważniejsze, dający poczucie niezależności. Zdajesz sobie nagle sprawę, że nikt i nic nie potrafi cię powstrzymać w twoim fantazjowaniu, że nie istnieje dla ciebie ani czas, ani przestrzeń, a o zwykłych ziemskich przeszkodach, o całym tym świecie konwe-

nansów, zwyczajów, zabobonów i dziwactw, jakim otaczają się ludzie, nawet mowy tu nie ma. Zacząłem więc rosnąć jako osobnik całkowicie niezależny. Nie podobało mi się wszystko, co moją niezależność ograniczało. Kiedy ukończyłem klasę ósmą i trzeba było napisać podanie do dyrektora szkoły w sprawie przyjęcia mnie do dziewiątej klasy (tej samej szkoły!) — weszło to jakoś w zwyczaj, dziewiątą i dziesiątą uważano za klasy szczebla wyższego — kategorycznie odmówiłem. Uważałem, że pisanie podań to też ograniczenie niezależności. Tej, co się zrodziła z mego długotrwałego fantazjowania. Zresztą także to nie było istotną przyczyną. Uważałem się wówczas za nieuleczalnie chorego, wymyśliłem sobie śmiertelną chorobę, której symptomami były bóle w stawach i lekka gorączka, leżałem na kanapie, zupełnie oklapłem, nie widziałem przed sobą żadnej przyszłości, więc po co te podania, nauka? Gdyby było u nas w domu bodaj dwóch synów, pewnie nie cackano by się ze mną, ale jedynak zawsze może sobie pozwolić na luksus tyranizowania swoich rodziców, co ich zresztą uszczęśliwia. Nikt mi się nie sprzeciwiał. Nie chcę się uczyć? Nie trzeba. Chcę leżeć na kanapie? Proszę bardzo. Że zamierzam umrzeć, jeszcze wszem i wobec nie oświadczyłem, ale uważano mnie za chorego — to fakt. Dowodziły tego wyciągnięte twarze moich sióstr, chodzenie przez mój pokój na palcach, westchnienia matki, milczące posapywanie ojca. „Dziecko jest chore" — wszystko mieściło się w tych słowach.

Leżałem więc na kanapie kontemplując bądź pęknięcia w podłodze, bądź rysy na suficie, czytałem, rozmyślałem, fantazjowałem, czasem coś wymyślałem, słuchałem słów współczucia i westchnień, przyjmowałem kolegów, między innymi także swego sąsiada Eugeniusza czyli Genka. Ten przychodził najczęściej i chyba on mnie właśnie przekonał, że tak się wylegi-

wać nie wypada, że to wprost śmieszne, jest bowiem mnóstwo spraw przyjemnych i ważnych poza zasięgiem mojej kanapy. Rzeczywiście zresztą, mimo że tak długo leżałem, nie byłem od tego ani zdrowszy, ani bardziej chory, rozleniwiłem się tylko, rozespałem, zwiotczałem we wszystkich swoich stawach. Genek „odwalał dziesięciolatkę", ojciec jego bowiem, inżynier naczelny naszych zakładów, zmusił syna, żeby uczył się dalej, czego nie potrafił mój Matwij Serhijowicz przez zbytnią miłość do swego dziedzica i kontynuatora pięknych tradycji robotniczego rodu Czeredów. Przez cały czas, kiedy leżałem na kanapie, żadnych ambicji nie żywiłem i spokojnie słuchałem przechwałek Genka, jak mu tam idzie w szkole, póki nie dopiekł mi raz do żywego. Skoro nie umierałem, muszę pokazać Genkowi i wszystkim tym niewolnikom nauki, że są na świecie rzeczy ponad to! Niechaj wiedzą, że o klasie robotniczej nie tylko piszą gazety. Myt'ko Czereda też zostanie klasą robotniczą, właśnie!

I ze swoim nieporządkiem w stawach (a może jeszcze bardziej w głowie) poszedłem do zakładów.

Nie nazwę tego przybycia triumfalnym.

Fotokorespondenci się nie zbiegli, w ogóle ich nie było. Nawet w wielonakładówce zakładowej nie wspomniano o moim pojawieniu się w hucie. W oddziale, do którego mnie skierowano, była ścienna gazetka, ale nawet tam nikt nic o mnie nie napisał. Niechby mnie bodaj wyłajali, że taki był ze mnie niedołęga, że nic nie umiałem robić i to przez czas dłuższy. Gdzie tam!

Byłem już za to w zakładach i spotykając się z Genkiem mogłem na jego nieme pytanie odpowiedzieć: „Tak, Genek. Pracujemy. Przybliżamy komunizm". Genkowi było wstyd, bełkotał, że gdyby nie tata, rzuciłby w diabły te wszystkie stereometrie i przyłączył się do mnie, żeby tak samo przybliżać przyszłość, bo

wstyd przecież będzie brać już gotową, podaną na talerzyku.

Był to, że tak powiem, propagandowy aspekt sprawy. W rzeczywistości zaś żadnych sukcesów w zakładach nie odnosiłem. Pracę mi dawano wprost upokarzającą, szwendałem się to tu, to tam, dźwigałem jakieś żelaziwo, byłem uczniem to w jednym, to znów w innym miejscu, potem ganiano mnie z jednych kursów na drugie — kierownik naszego oddziału miał na tym punkcie kręćka, takich nic nie umiejących facetów jak ja czym prędzej kierowano na kursy, które niebawem kończyliśmy otrzymując zaświadczenia, ale pracy nam nie dawano, tylko wypychano na nowe kursy; tłumaczono nam, że nie osiągnęliśmy jeszcze robotniczej pełnoletności i że trzeba nas niby to oszczędzać czy coś w tym rodzaju.

W ten sposób nie wyszkoliwszy się w niczym jak należy i wciąż tak samo niepodciągnięty i ślamazarny doczekałem owej jesieni, w której zgodnie ze świętym obowiązkiem każdego obywatela radzieckiego miałem stanąć w szeregach sił zbrojnych.

Stanąłem. Skierowano mnie do jednostki pancernej.

Początkowo wydawało mi się, że w wojsku jest dosyć łyso. Dyscyplina, och, co za dyscyplina. Zupełnie coś innego niż niegdyś w szkole. Byliśmy tam dziećmi i traktowano nas jak dzieci. Tutaj zaś wymagania były takie, że aż ci kości, człeku, trzeszczały, jakkolwiek w głębi duszy byłeś nadal dzieckiem. Słowem, nieznośnie było. Ale po pewnym czasie, wracając we wspomnieniach do początków swojej służby, stwierdzałem ze zdziwieniem, że wszystko mi się w wojsku podobało: i błogie pragnienie pospać jeszcze bodaj ze dwadzieścia sekund podczas pobudki porannej, i wybieganie na gimnastykę w portkach włożonych tyłem do przodu, i drażniący zapach rzemieni, i cackanie się ze sprzętem, który trzeba było czyścić, żeby błyszczał jak wymanikiuro-

wane paznokcie elegantki, i pozorowane nocne alarmy. A jeszcze — lasy. Nasze miasto leży na skraju stepów, wierzby tam rosną nad Dnieprem i akacje na ulicach — oto drzewa, wśród których rosłem. Tutaj natomiast nasze czołgi dudniły na czołgowisku ukrytym w takim gąszczu leśnym, że jak mi się czasem zdawało, chyba żaden kompas nie wyprowadzi stąd człowieka.

Wyprzedzam jednak wydarzenia, bo wszystko to ożyło w moich wspomnieniach dopiero później, a ówczesne życie mknęło za hukiem czołgowych silników, w gorączkowym pośpiechu, było i kwaśne, i słodkie zarazem, nic w nim nie wydawało się stałe, wszystko było raczej tymczasem, wciąż czegoś oczekiwałem, spodziewałem się zmian na lepsze, niecierpliwie wyglądałem jutra. Cóż, młodość.

Gdyby człowiek wiedział, co go czeka w przyszłości, może zrezygnowałby w ogóle z życia. Pewnie nudno by mu było w życiu, jak nudzi się nauczyciel opowiadając wciąż to samo o starożytnych Grekach przez trzydzieści czy czterdzieści lat. Mieliśmy w szkole takiego historyka. Nazywaliśmy go Sybarytą, gdyż bardzo lubił opowiadać o mieszkańcach starożytnego miasta Sybaris, największych podówczas nierobach, którzy wynaleźli nocnik, a wino ciągnęli prosto z beczki z pomocą specjalnego urządzenia; pewien sybaryta ujrzawszy, jak pracują wieśniacy, zmarł ze zgrozy.

Nie pamiętam już, przy jakiej sposobności opowiedziałem kolegom o sybarytach, dość że ochrzcili mnie tak również, jakkolwiek cóż ze mnie za sybaryta! Co prawda, moja ślamazarność jeszcze o sobie przypominała, mimo że starałem się ze wszystkich sił dorównać kolegom w gorliwości i zuchowatości; gdyby można wyskoczyć z własnej skóry, żeby samego siebie przezwyciężyć, zrobiłbym to z zastrzeżeniem, że dana mi będzie możność cofnąć się z powrotem. Podświadomie dążyłem już do tego brzegu nadziei wszystkich doros-

łych, który nazwano uczonym słowem ambicja, przy czym nie uwzględniłem jednak zwykłej prawdy, że nie należy rozpoczynać żadnego natarcia bez silnego zaplecza — tak samo niewłaściwie postępują rządy puszczając w obieg mnóstwo papierowych pieniędzy nie mających pokrycia w złocie. Człowiek powinien być jak ten pieniądz z odpowiednim parytetem złota. A póki go nie ma, musi go sobie zarabiać codzienną wytrwałością i cierpliwością. A cierpliwości mi brakło. Leżałem kiedyś na kanapie, obijałem się po oddziale, drzemałem na kursach, a teraz aż mnie korciło, żeby okazać się od razu śmiałkiem i bohaterem. Już podczas pierwszej dalekiej wyprawy nocnej, kiedy nasze czołgi z rykiem przejechały przez czołgowisko, wdarły się w nieprzebyty gąszcz uśpionych lasów i potoczyły się na przełaj przez jary i wzniesienia, wepchnąłem się na miejsce dowódcy, który stoi zwykle w wieży wysuwając się z włazu do pasa; bez rozkazu i pozwolenia stałem na miejscu dowódcy z dziarską miną i aż mnie wprost rozpierało, tak bardzo chciałem, żeby mnie wszyscy widzieli, pragnąłem oklasków jak śpiewak, co drąc się na całe gardło wyśpiewuje idiotyczne jazzowe piosenki na całą salę, wypełnioną młodziutkimi idiotkami; czułem się jak śpiewak, co nie potrafi już powstrzymać wyrywającej mu się z piersi pieśni, w głowie mi się mąciło, jakbym się upił czy zupełnie oszalał, brała mnie już chętka stać nie we włazie, tylko na wieży, nawet zrobiłem ruch, żeby wspiąć się wyżej, ale w tej właśnie chwili czołg zapadł się w głęboką, przykrytą liśćmi jamę, stalowy kolos zwalił się gdzieś w dół, a potem szarpnął do tyłu, silnik zaryczał jeszcze przeraźliwiej, straszny wstrząs, konwulsyjne drżenie przebiegło po całym kadłubie maszyny, zdawało się, że zaskrzypiały wszystkie złącza i wiązania; wyszarpnięty z wieży, wystrzelony jak katapultujący się lotnik leciałem długo i powoli, czołg już się wygramolił z jamy

i potoczył dalej, ja zaś wciąż jeszcze leciałem wraz z drzewami, które podskoczyły ze mną do góry, a teraz z wolna opadały na ziemię łącząc nade mną swoje wierzchołki. Uderzyłem potem o ziemię, właściwie nawet nietwardą, ale tak jej było dużo pode mną, że moje ciało nie wytrzymało wstrząsu i straciłem przytomność.

Nic już nie czułem i nie widziałem. Ani jak zatrzymały się czołgi, ani jak zbiegli się koledzy i próbowali mnie podnieść, z czego nic nie wyszło, jak pojawiła się niebawem medycyna i zręczne ręce podsuwały pode mnie płachtę namiotową, jak dokądś niesiono mnie ostrożnie i położono na podłodze, bo nie wolno było nawet na łóżku. A potem czołgi znowu zadudniły, ja zaś leżałem w leśnej chatce, biały z wierzchu i w środku, i lamentowała nade mną dobra staruszka, aż od tych jej lamentów zapewne wróciłem do przytomności; może zresztą od warkotu silników, bo czołgi toczyły się jeszcze obok ukrytej wśród lasów chatki. „Jak tu żyjecie w takiej głuszy?" — brzmiały pierwsze moje słowa, ale staruszka psyknęła i położyła palec na ustach na znak, żebym milczał.

Milczałem długo, prawie do wieczora. Zwłaszcza że od czasu do czasu traciłem przytomność, a kiedy mi wracała, znowu widziałem nad sobą biały pułap (nie gliniany jak u nas w stepie, tylko z desek, z pobielonych desek) i słyszałem, jak krząta się staruszka; aż w końcu, kiedy znowu odzyskałem zmysły, zamiast wciąż jednakowo białego i niezwykłego, jak mi się wydawało pułapu, ujrzałem nad sobą parę dziewczęcych oczu, szarawych i promieniejących radością jak wczesny brzask ciepłego dnia letniego. Przestraszyłem się, że znowu stracę przytomność i otworzyłem usta, żeby coś powiedzieć, ale oczy surowo mi zabroniły mówić cokolwiek, mogłem w nie tylko patrzeć i poczułem, że coś we mnie wzbiera, jakaś muzyka czy też

ogarnia mnie całego fala zachwytu, aż brak mi tchu i znowu straciłem przytomność. Ocknąłem się w naszym oddziale sanitarnym i już nigdy więcej nie widziałem ani tamtej chatki w lesie, ani owych oczu.

Co prawda próbę w tym kierunku podjąłem. Była jeszcze chwila przytomności w chacie nim pożegnałem się ze staruszką. Długo się jąkałem zmieszany jak dyplomata z niewielkiego państewka, któremu polecono przygadać do słuchu przedstawicielowi wielkiego mocarstwa i który nie potrafi się na to zdobyć.

W końcu zapytałem po prostu:

— Ktoś mi się tu przypatrywał?

— Przypatrywał się? — nie zrozumiała starowinka.

— No pani mi się przecież przyglądała. Ale chyba ktoś jeszcze. Czyjeś oczy.

— To moja wnuczka, była u mnie w gościnie. Pracuje w kombinacie włókienniczym i przyjechała, kiedy przytrafiło ci się to nieszczęście...

Szare oczy i kombinat włókienniczy! Dziesięć tysięcy dziewcząt i tylko jedna z nich ma te niezapomniane szare oczy.

Wybrać się tam? Szukać?

Nie zdecydowałem się.

Zbyt jeszcze byłem młody.

Obecnie, mimo że wciąż jeszcze jestem bardzo młody, mam już swoją przeszłość. Przeszłość człowieka — to bądź jego działalność polityczna, bądź jakieś bohaterskie czyny czy po prostu długotrwałe, że aż już nudne, wykonywanie jakichś obowiązków służbowych. A w moim wieku przeszłość — to dziewczęce oczy, szare, promieniejące radością niby wczesny brzask ciepłego dnia letniego.

Niekiedy odczuwam ból w plecach przypominający mi ów przemarsz czołgów przez las i moje żółtodzióbe junactwo. Tego rodzaju wspomnienia chyba też są

potrzebne człowiekowi. Mimo wszystko pierwszeństwo oddaję tu oczom. Tym szarym i promieniejącym radością.

3

Chyba teraz już trzeba opowiedzieć wreszcie o Szlachtyczu. Nie o Wasylu Hryhorowiczu Szlachtyczu, lecz o jego synu Loni. Mniejsza o nazwisko. Jego pierwszy nosiciel żył już tak bardzo dawno temu, że łączyć je dzisiaj na przykład ze szlachtą i doszukiwać się u naszych Szlachtyczów domieszki obcej krwi nie ma sensu i byłoby tylko śmieszne.

Szlachtyczowie byli naszymi sąsiadami, mieszkali też w „Klubie Ludzi Pracy", tyle że my na pierwszym, a oni na drugim piętrze. Kiedy ja jeszcze raczkowałem na samym dnie szkoły, innymi słowy byłem uczniem klas niższych, Lonia już studiował w instytucie. W jakim instytucie nie wiedziałem wówczas, ale dobrze pamiętam, że nigdy nie wyobrażałem sobie Loni jako inżyniera. Marzyciel był z niego, bibliofil, trochę dziwak; kiedy przyjeżdżał na ferie, nie chodził z dziewczynkami, tylko zajmował się nami malcami i opowiadał nam zawsze jakieś ciekawe historie. Kiedy „nachodził mnie" mój reumatyzm, Lonia często mnie odwiedzał i zaopatrywał w książki, jak Robinson, Guliwer, Pawka Korczagin, Szerszeń, Spartak, Ilf i Pietrow. Opanowany pragnieniem niezależności może bym nie czytał jego książek, ale zainteresował mnie fakt, że żadnej z nich nie tylko nie przerabiano w szkole, lecz nawet nie wspominano, Szlachtycz zaś dowodził, że są najpiękniejsze ze wszystkich napisanych dla młodzieży. Pewnie, nie jestem żadnym specem od spraw szkoły, ale obowiązkowe osiem klas ukończyłem nie najgorzej, a w ciągu tych ośmiu lat nie słyszałem ani

o Szekspirze, ani o Homerze, ani o Dantem, ani o Petrarce. Nie słyszał o nich również Genek, mimo że ukończył szkołę średnią, czy raczej słyszeliśmy obaj, lecz nie w szkole i w ramach tego szkolnego programu, do którego napchano, co się dało, ale dla największych pisarzy świata zabrakło tam, jak się okazuje, miejsca. No więc Szlachtycz dokładał wszelkich starań, żebym się wyrwał ze stanu pierwotnego barbarzyństwa i wzniósł do poziomu jakiejś wiedzy. Trudno to stwierdzić, ale może moja marzycielskość też się wywodzi od Loni Szlachtycza.

Kiedy po moim niefortunnym udziale w marszu czołgów wróciłem do domu (wpierw długo leżałem w szpitalu „na wyciągu" i w rezultacie zrobiłem się jeszcze wyższy), było dla mnie miłą niespodzianką, że Lonia Szlachtycz pracuje w naszym oddziale jako inżynier. A dowiedziałem się o tym od... Genka, którego wcale się nie spodziewałem zobaczyć. Jego ojca przeniesiono do stolicy i Genek również tam pojechał. Wprawdzie nie korespondowaliśmy, kiedy odbywałem służbę w swojej jednostce pancernej, ale głosi przecież przysłowie, że stara przyjaźń nie rdzewieje, więc żywiłem nadzieję, że odwiedzę Genka w stolicy. A w głębi duszy liczyłem jeszcze, że jakoś się stamtąd wybiorę do owych nieszczęsnych lasów „czołgowych", że odszukam tam białą chatkę, a w chatce — szare, radośnie się śmiejące oczy. Nic z tego! Genek był tu, w „Klubie Ludzi Pracy", w tym samym mieszkaniu co dawniej, które przewidująco zostało przekazane jakiejś ich ciotce i przydało się. W ogóle zauważyłem, że ludzie, którzy awansują i zostają przeniesieni do większego miasta, mają przyjemny zwyczaj pozostawiania w miastach mniejszych ślad swego tam pobytu pod postacią teściowych, ciotek, siostrzenic i bratanków. Po raz pierwszy wpadł na ten pomysł chyba syn marnotrawny, że niby gdziekolwiek będziesz się wałęsać, miej na

wszelki wypadek miejsce, do którego możesz wrócić, kiedy już nie ma innego wyjścia.

Genek wyrósł na kościstego dryblasa, nic tylko do koszykówki. Kościsty byłem zresztą również i chyba mocne miałem kości, które wszak porządnie się wytrzęsły w czołgu. Mocowaliśmy się trochę z Genkiem, a potem spytałem:

— Skąd się tu wziąłeś?

— Pokłóciłem się ze starym — odpowiedział Genek. — Postanowił sam, beze mnie, zrobić ze mnie dyplomatę. Wszyscy nasi mają na tym punkcie kręćka. Jakiż ze mnie dyplomata, jeżeli nie potrafię się nauczyć żadnego obcego języka! Plunąłem na wszystko i wróciłem do zakładów. Hakuję...

Dobrze jeszcze nie wiedziałem, ale domyślałem się, że Genek kłamie. Któż by zrezygnował z dyplomatycznej kariery! Pomyśleć tylko: Paryż, Nowy Jork... Obaj z Genkiem byliśmy z sobą absolutnie szczerzy, więc też powiedziałem mu od razu:

— Przecież kłamiesz!

— Wcale nie kłamię! — huknął Genek, ale jego okrzyk zabrzmiał nieszczerze, więc powtórzyłem:

— Mimo wszystko kłamiesz!

— Gadaj, co chcesz — nie dawał za wygraną Genek — ale jeżeli kłamię, to po co tu przyjechałem? To po pierwsze. A po drugie — jestem teraz pomocnikiem samego Czemerysa. Wiesz, co to znaczy?

Wiedziałem. Czemerys słynął jako najlepszy walcownik nie tylko w naszych zakładach, ale w całym w ogóle Związku. A może nie było nawet na świecie takiego specjalisty od walcowania rur na zimno. W ogóle nie był to człowiek, tylko jakaś maszyna. Milczący, gniewny i niezadowolony. Skoro już wziął do siebie Genka... Położywszy mnie na łopatki Genek postanowił zgnębić mnie ostatecznie.

— I nie jestem teraz żadnym Genkiem. Na oddziale

wszyscy mnie nazywają Eugeniuszem, ale możesz mnie nazywać krócej — Genem.

Wtem rozbłysły przede mną gdzieś w dali przedziwnie szare oczy i od razu się domyśliłem, przez jaką właściwie dyplomację znalazł się Genek w naszym mieście. Bo Eugeniuszem może go rzeczywiście nazywano na oddziale, ale kto zrobił z Genka Gena? Nowi koledzy?...

— Przyznaj się — podszedłem do niego blisko — przyznaj się, co to za jedna? Jak się nazywa?

— Coś ty, zwariowałeś! — krzyknął Genek z niemal mistyczną zgrozą w głosie.

— Jest blondynką, wysoką i gibką jak trzcina — nacierałem na niego.

— Oszalałeś! — wrzasnął Genek jeszcze głośniej. — Kto ci naplótł to wszystko?

— Nikt mi nic nie naplótł — roześmiałem się spokojnie. — Po prostu sam się domyśliłem. Żelazna logika. Co, pomyliłem się może?

— No, dobra, jesteś moim przyjacielem, poznam cię — niemal zajęczał Genek. — Ale wpierw musimy wstąpić do Szlachtycza, chciał cię zobaczyć. Może cię weźmie do swojej zmiany... Szlachtycz — oho — ho! Zobaczysz zresztą.

Poszliśmy do Szlachtyczów, ale nie zastaliśmy Loni w domu. Przy stole siedział wuj Wasia i nudził się najwyraźniej.

— Po kieliszku? — zapytał nas. — Z okazji przyjazdu.

Nie czekając na odpowiedź od razu pociągnął nas do stołu i zakrzątnął się przy bufecie.

Zapomniałem powiedzieć, że wuj Wasia Szlachtycz miał tytuł Bohatera Związku Radzieckiego, ale można o tym opowiedzieć później, bo na razie jego bohaterstwo nie pozostawało w bezpośrednim związku z naszymi sprawami.

Wypiliśmy po malutkim kieliszeczku, więcej nam wuj Wasia nie dał i nie mieliśmy zresztą ochoty. Jeżeli chodzi o Genka czy Gena, jak go należało teraz nazywać, to sercem był już dawno w tym nie znanym mi miejscu, w którym przebywała owa wysoka blondynka, co do mnie zaś — to wstąpił we mnie bies ciekawości.

Jeżeli nie udało mi się zobaczyć Szlachtycza inżyniera, niechaj bodaj rzucę okiem na to złotowłose cudo, które przekreśliło Genkowi całą jego dyplomację, wyrwało go ze stolicy i rzuciło tutaj strącając go, że tak powiem, do stanu pierwotnego.

Wuj Wasia się zorientował, że nie warto gości zatrzymywać. W milczeniu, jakby nas już tu nie było, sprzątał ze stołu, mocno utykając na lewą nogę, aż całe jego potężne ciało kołysało się grożąc lada chwila upadkiem: gdyby taki olbrzym upadł, któż by go zdołał postawić na nogi? Szlachtycz — ojciec nie upadł jednak. Miał przestrzelone chyba wszystko, co może być w człowieku przestrzelone — nogę, ramię, płuca, ale nigdy się nie skarżył na rany, nikomu o nich nie opowiadał, tylko od czasu do czasu szedł do szpitala i słyszałem wtedy, że „wujowi Wasi otworzyła się rana". Otwierały się te piekelne rany. Wprost trudno sobie wyobrazić, jak w ciele takiego olbrzyma żyje swoim własnym życiem rana, jak się niespodzianie „otwiera" grożąc najgorszymi konsekwencjami: a co najdziwniejsze, lekarze nie są w stanie opanować sytuacji, żeby te rany nie jątrzyły się więcej. „Medycyna jest bezsilna" — ktoś bezradnie rozkłada ręce. Albo: „Medycyna cuda działa!" — i dumnie wypięta pierś. A tymczasem w ciele wuja Wasi co roku „otwierała się" to jedna, to druga rana.

Nie mówił nic o swoich ranach, ani o swojej przeszłości. Starsi ludzie, jeżeli są mądrzy, zawsze milczą. Mają co wspominać, przepełnieni są przeszłością, po-

trzebują ciszy do rozmyślań. Kiedy na starość człowiek robi dużo hałasu i wymachuje rękoma, wiedz, że to dureń. Przez całe życie hałasował, nic pożytecznego nie zrobił i podąża na finisz bez niczego, jak z niczym kiedyś wystartował.

— Cieszę się, że służy panu zdrowie, wuju Wasiu — powiedziałem na pożegnanie.

— Dobrze, że się też nie rozleciałeś na ostrym zakręcie — mruknął dobrodusznie Szlachtycz — ojciec. Dał mi właściwie do zrozumienia, że jak najgorsza ciamajda nie utrzymałem się na tym ostrym zakręcie, wyleciałem jak smarkacz, jak drewniany klocek, jak niezgrabna kukła o długości metr osiemdziesiąt sześć. Ale wujek Wasia, mimo że ciskało nim bezlitośnie życie, utrzymał się na zakręcie, jakkolwiek różne bywały zakręty w jego życiu; prawie wszyscy się zresztą utrzymują, jeżeli są prawdziwymi ludźmi, nie takimi mazgajami jak Myt'ko Czereda.

— Wiele rzeczy zrozumiałem, wuju Wasiu — powiedziałem zawstydzony, byle coś powiedzieć.

— Niechby każdemu przytrafiło się w młodości coś podobnego, żeby zrozumiał — Szlachtycz nie dokończył, wnioskował zupełnie inaczej niż ja, sądził zapewne, że ci, co wylecieli na ostrych zakrętach i mocno ich zabolało, gdy padali na ziemię, mogli się okazać w życiu wartościowsi niż ci, którym się wiodło.

— Widzę, że macie swoje sprawy, zwiewajcie, chłopaki!

Wyszliśmy z tego mieszkania, w którym dawno już nie było kobiet, z mieszkania czystego, smutnego i chyba jakiegoś gorzkiego, zeszliśmy po schodach i przeszliśmy przez salę, w której z zacietrzewieniem grano w durnia.

Gen chciał się mnie chyba pozbyć, pewnie zaprowadził mnie do Szlachtyczów w nadziei, że mnie tam zatrzymają, a teraz zawahał się na drugim piętrze, czy

nie pójść do domu, ale pociągnąłem go zdecydowanie na ulicę. Chciałem pójść do miasta, bo przecież nie po to wróciłem do domu, żeby siedzieć w czterech ścianach i oddawać się wspomnieniom, których jeszcze nie miałem, jedyne zaś wspomnienie szarych oczu pchało mnie gdzieś w wir życia i zdarzeń, do ludzi beztroskich, a bywają nimi tylko ci, co są młodzi, młodzi i jeszcze raz młodzi.

Staliśmy przed „Klubem Ludzi Pracy" i czułem, że Gena aż korci, by mi się wymknąć, nie wiedział jednak, że zależało mi jeszcze bardziej, by go dzisiaj nie wypuszczać z rąk.

Genowi zawsze się udawało mnie prześcignąć. I wszędzie mu się wiodło. Nigdy nie zapomnę, co się wydarzyło, kiedy byliśmy jeszcze w szóstej klasie. Chodziliśmy wtedy za miasto, do Skrzypajki. Chodziliśmy tam każdego roku wiosną z naszym nauczycielem przyrody. Nasze miasto leżało na skraju stepu, równego i nagiego, Skrzypajka zaś przecinała ten step jak zmarszczka spracowaną dłoń; był to głęboki jar, stary, o stromych ścianach, cały porosły kolącymi chaszczami tarniny i głogu. Na jego brzegach rosły nawet poskręcane dęby i wiązy, poprzeginane do ziemi palącymi stepowymi wiatrami. Nazywano nasz jar Skrzypajką, bo coś się tu rzeczywiście kojarzyło ze skrzypcami. Wiosną wisiały nad nim nieruchome skowronki, śląc na ziemię swoje dzwonienie, latem w twardej i wyschniętej, aż szeleszczącej trawie wygrywały na tysiącach skrzypiec koniki polne i cały jar dniem i nocą dźwięczał jak olbrzymie, fantastyczne skrzypce. Co się tam działo zimą, trudno powiedzieć, nie chodziliśmy tam bowiem w zimie i nikt zresztą nie chodził; Skrzypajka leżała niemal cała zawalona śniegiem, skuta mrozem i jego milczeniem; ale czyż imię nadaje się na wszystkie pory roku? Widocznie ktoś wymyślił nazwę Skrzypajka wiosną lub latem i już się potem utrzymała.

Tym razem poszliśmy do Skrzypajki jak zwykle, nauczyciel pokazywał nam jakieś pączki, zioła i kwiatki; wróciliśmy do miasta zmęczeni, ale uszczęśliwieni, że udało się bodaj pół dnia pobiegać na dworze zamiast siedzieć w szkole. I wtedy zrodziło się i przemknęło między nami jak iskra elektryczna: „Genek pocałował w Skrzypajce Olę Doc". Jedni zareagowali obojętnością, drudzy się śmieli, trzeci oburzali, dla mnie zaś był to cios w samo serce. I nie dlatego, że byłem zakochany w Oli Doc. Zakochać się w szóstej klasie — śmiechu warte. Jeszcześmy wówczas nie wiedzieli, co to takiego, jakkolwiek jakieś sympatie czy coś w tym rodzaju już istniały między nami: dobrały się już pary, pisano karteczki, spojrzenia bywały przeciągłe i w słowach brzmiał podtekst. Ale Ola Doc? Jasnowłosa, szczuplutka dziewczynka, trochę chorowita, o nieśmiałym uśmiechu, nie dziewczynka nawet, raczej jakiś rodzaj nijaki — i nagle całowała się z Genkiem! Właśnie z Genkiem! Z Genkiem, moim kolegą, którego kochałem i w którym, właśnie może dlatego, zawsze widziałem współzawodnika. W naszym współzawodnictwie stale wygrywał Genek; wiodło mu się — pierwszy dostawał najlepsze stopnie, pierwszy finiszował w stumetrówce, skakał wyżej ode mnie, pierwszy nauczył się pływać, wszędzie był pierwszy, pierwszy, pierwszy. Zresztą zaczynałem już wtedy rozumieć, że jestem przystojniejszy, że mam żywszą inteligencję i więcej wytrwałości. Genkowi wszystko samo wlaziło jednak w ręce. I Ola Doc! Wprost nie do wiary! Następnego dnia nie poszedłem na lekcje tylko do Skrzypajki i długo się tam błąkałem przedzierając się kosztem licznych zadrapań przez kolący gąszcz i padając na śliskich, gliniastych stromiznach... Czego tam szukałem? Chciałem znaleźć, rozpoznać, odgadnąć to miejsce, w którym mogło się stać to. Szukałem tego krzaka, schowka, wgłębienia, w którym wczoraj mogli się ukryć ci dwoje

p o t o. Czy znalazłem? Nie wiem. Skrzypajka była jeszcze, jak zwykle wczesną wiosną, naga, krzaki drapały niemiłosiernie, nie przepuszczały mnie w głąb zarośli, a gdy udało mi się wreszcie przełamać ten kolący opór, stwierdziłem, że za krzakami nic nie ma, żadnego schowka, żadnego zakamarka. Skrzypajka leżała widoczna jak na dłoni i po prostu nonsensem było przypuszczać, że taka nieśmiała dziewczyna jak Ola Doc pozwoliła się tutaj pocałować. I czy rzeczywiście był ten pocałunek? Może go nawet nie było, wiedziałem jednak, że mógł być tylko dlatego, że Genek zawsze mnie wyprzedzał. We wszystkim. Więc dlaczego nie miałby mnie wyprzedzić także w całowaniu się?

Spróbowałem się później odegrać. Długo śledziłem Olę i pewnego razu zimą, po zajęciach w jednym z kółek, niby to przypadkowo poszedłem z nią do domu skłamawszy, że mam coś do załatwienia na tej ulicy, przy której mieszka. Przed bramą swego domu Ola machnęła mi na pożegnanie ręką, ale powiedziałem, że w bramie jest chyba ciemno i a nuż są tam chuligani. Roześmiała się z tego przypuszczenia, ale nie zważając na jej śmiech zdecydowanie wszedłem za nią do bramy, chwyciłem ją za kołnierz palta, przyciągnąłem do siebie i... Pocałunek ten dotychczas tkwi w mojej pamięci jak wyrzut sumienia. Wargi Oli były suche jak dwa sznureczki. Myślę, że moje tak samo. Nie odczuliśmy oboje nic prócz zmieszania i przestrachu. Ola wyrwała się w milczeniu i pobiegła po schodach, ja zaś wypadłem z bramy na łeb, na szyję.

Był wtedy w Skrzypajce ten pocałunek czy nie, dość że przewaga moralna była po stronie Genka.

Genek jest teraz Genem i chyba znowu ma pierwszeństwo, zdążył bowiem pokłócić się z ojcem, wyrzec się dyplomacji i stolicy, wrócić tu, skąd wyjechał razem ze mną, ale ja wróciłem do pierwotnego stanu bez na-

dziei i perspektyw, Gen natomiast miał tutaj to, w imię czego się zbuntował.

— Pokażesz mi ją — powiedziałem stojąc przed „Klubem Ludzi Pracy" i czując jakąś niepewność w sercu. Rzecz najważniejsza w młodości, że człowiek zawsze wie, czy mu smutno na sercu, czy wesoło. A tymczasem nie wiedziałem przecież. Coś mnie ściskało w dołku, coś jakby przeczuwałem, czułem się jak w chwili, kiedy zamierza człowiek wskoczyć do zimnej wody. Najzwyklejsze głupstwa.

— Mimo wszystko mi ją pokażesz — powiedziałem z uporem — więc czy warto zwlekać? Lonia Szlachtycz — próbowałeś się w ten sposób wykręcić. No, nie udało się. Nic strasznego.

Gen milczał. Było to wrogie milczenie, jak mi się zdawało. Nic nie wiedział o szarych, promiennie radosnych oczach w leśnej chatce, w ogóle nic nie wiedział ten szczęściarz Gen, który brał wszystko z życia bez trudu, nic nie wiedział i dlatego się mnie bał. Bo jeżeli miał z osiemdziesiąt kilogramów siatkarskich gnatów pierwszej klasy, to miałem ich też tyle, z tym że moje kości są mimo wszystko trochę lepiej doszlifowane, a co najważniejsze, o wiele mocniej się złożyły i dopasowały jedna do drugiej, kiedy je wytrzęsło w czołgu. Gena zaś nigdzie nie trzęsło.

— Nie bój się — powiedziałem — czyż nie jestem twoim przyjacielem?

— Jesteś — powiedział Gen — jesteś moim jedynym przyjacielem.

— No to dogadaliśmy się. Gdzie ona mieszka?

— Nie wiem.

Gwizdnąłem. Stał oto przede mną wytwór epoki. Wyrzec się podróżowania po świecie, poróżnić się z najbliższymi, postawić wszystko na jedną kartę. I w imię czego? Może Gen zostałby kiedyś sekretarzem generalnym ONZ (i mnie by tam gdzieś urządził), może wy-

nalazłby szczęśliwie receptę na wieczny pokój, a tymczasem wdał się w idiotyczną awanturę, zakochał się w dziewczynie, o której nic nie wie, nie zna nawet jej adresu, jakkolwiek w naszym mieście wprost nie sposób się ukryć, wszyscy wiedzą tu wszystko o każdym.

— A co, nie jest zameldowana? Czy może jest inna niż wszyscy zwykli ludzie i mieszka gdzieś pod wodą? — chciałem tak zapytać, ale nie zapytałem, tylko pomyślałem i przez chwilę bacznie patrzyłem Genowi w oczy.

— Masz rację — czerwieniąc się wykrztusił Gen — jest rzeczywiście inna niż wszyscy.

— A jakże! Chciałbym widzieć tego durnia, którego dziewczyna byłaby jak wszystkie inne. Ale czytasz w moich myślach, co jest najlepszym dowodem, jaki bystry umysł straciła nasza dyplomacja.

— Nie śmiej się — z większym jeszcze trudem wydusił Gen — jest rzeczywiście nadzwyczajna.

— A imię bodaj ma? Czy dla stuprocentowej nadzwyczajności legitymuje się tylko jakimś symbolem umownym?

— Wszystko jest w niej nadzwyczajne.

— Słuchaj, a u lekarza byłeś? — indagowałem, już nie na żarty zaniepokojony o druha.

— Nie zrozumiesz, póki jej sam nie zobaczysz.

— Jakże ją mogę zobaczyć, jeżeli nie wiesz, gdzie jej szukać?

— Wiem — rzekł niemal z dumą.

— A mówiłeś, że nie wiesz...

— Nie wiem, gdzie mieszka, ale wiem...

Spojrzałem na niego z nie ukrywanym niepokojem.

— Spotykasz się z nią w pracy?

— Nie, prawie nie.

— Więc gdzie, u licha!

— Nie ma co, bał się mnie, wiedziałem to już teraz z pewnością. Dlatego kręcił udając głupiego.

— Idziemy czy nie?

— No już dobrze — powiedział niechętnie i z nosem na kwintę powlókł się ulicą.

Uszliśmy zresztą niewiele.

W naszym mieście jest wolny placyk między pocztą i hotelem. Stał tam niegdyś pokraczny kiosk z piwem, potem go usunięto i usypano duży klomb, duży i wysoki; wydawał się jeszcze wyższy (niby stepowa mogiła) dzięki bardzo modnym na południu kannom, jakimś indyjskim chyba kwiatom, które przez całą wiosnę i lato wciąż rosną, strzelają w górę, roztaczają swoje bardzo szerokie liście, a kiedy zbliża się jesień, rozkwitają, czerwone są jak ogień i zachowują tę swoją ognistą czerwień niemal do samego śniegu. Kwietnik rozbity był w takim miejscu, że właściwie w ogóle nie przyciągał wzroku. W mieście jest wiele takich zakątków i nawet najpiękniejsze budynki mogą być w ten sposób ustawione, że przez całe życie człek przechodzi koło nich i nawet nie zwróci uwagi, jakie są piękne i niezwykłe. W mieście wszystko podporządkowane jest prawom ruchu ulicznego. Żeby coś zauważyć, potrzebny jest jakiś dystans i trzeba przystanąć bodaj na chwilę. Kiedy zaś biegniesz w pośpiechu ocierając się o fasady, to przebiegniesz tak milion razy, ale koło czego przebiegłeś, nie powiesz i nie zgadniesz, żeby nie wiem co. Jednym z takich miejsc był także ów kwietnik. Ludzie tędy przechodzili, szli zwykle nie zatrzymując się, zawsze się śpieszyli, potrącali, było tu bowiem śródmieście i zbiegały się tu wszystkie drogi i sprawy.

Otóż Gen przyprowadził mnie do tego klombu, ale nie po to, żebyśmy tędy pobiegli gdzieś dalej, jak to robiliśmy już wielokrotnie, lecz żeby mnie włączyć do dziwacznej gromadki chłopaków, którzy wybrali sobie

na miejsce spotkania właśnie ten kwietnik, miejsce, jak widać od razu, dalekie od wszelkiej intymności, jak najbardziej niespokojne i ludne, gdyż ludzie szli tędy tłumnie i we wszystkich kierunkach. Młodzieńcy urządzili się nie najgorzej, wybrali za kwietnikiem cichy zakątek i ustawili się na asfalcie niemal w koło, w odstępach, przez które z łatwością mógłby przejść każdy, kto by chciał. Spostrzegłem te odstępy od razu i zrozumiałem, jakiemu służą celowi, gdyż w środku koła, które utworzyli chłopcy, stała dziewczyna, stała swobodnie, niewymuszenie, z niezależną miną, i te odstępy porobiono, rzecz jasna, dla niej. Manifestowały jej całkowitą niezależność, gdy tymczasem niemal geometryczny kształt koła utworzonego przez chłopaków dowodził, że ich wszystkich obowiązuje żelazne prawo zależności; zależności od kogo — to jeszcze należało ustalić.

Gen w milczeniu włączył się do koła, które rozszerzyło się od razu, miejsce zrobiono również dla mnie i nawet się nie spostrzegłem, kiedy znalazłem się w kolistym obramowaniu tego jasnowłosego stworzenia, co stało w całej swojej okazałości pośrodku; nie pytając mnie o zgodę wciągnięto mnie na listę sług czy też wielbicieli. Myślałem, że trzeba będzie poznać się ze wszystkimi, z początku, rzecz jasna, z dziewczyną, ale nikt na mnie nie zwrócił najmniejszej uwagi, podobnie jak na Gena, co mogłem sobie jakoś wytłumaczyć, znano go tu przecież, ale ja byłem dla nich człowiekiem absolutnie nowym!

Ukradkiem zerknąłem na dziewczynę. Przede wszystkim na nią, bo ci milczący bałwani nic mnie nie obchodzili. Dziewczyny w zwykłym tego słowa znaczeniu jeszcze nawet nie było. Była wysokość. Wszystko było w niej wysokie, nawet szyja. Nie długa, lecz właśnie wysoka, i głowa na tej szyi sterczy wysoko i z tej swojej wysokości patrzy jakby złośliwie, patrzy szary-

mi oczami, nie promieniejącymi jednak radością jak moje szare oczy, lecz z iskierkami gniewu w czarnych punkcikach. I ponadto wszystko było w tej dziewczynie ostre. Łokcie. Kolana. W ogóle kości było w niej chyba więcej niż we mnie razem z Genem. Na tych kościach powinno dopiero narosnąć to, co zwykle wyrasta u dziewcząt. U niej nie wyrastało. Nie śpieszyła się widocznie. Bo dokąd? Skoro tylu bałwanów dokoła!

Na sobie miała wszystko krótkie i wąskie. W ręku trzymała torebkę z bardzo długim paskiem. Stewardessa? Modelka? Ależ nie ma w naszym mieście stewardess ani salonu mód. Jedyna jej zaleta to wysoki wzrost, podobają mi się wysokie dziewczyny. Ale nie aż tak. Ludzie lubią, kiedy wszystko służy swemu przeznaczeniu, czy to dojna krowa, czy wąż grzechotnik. A ona? No, skórę miała rzeczywiście ładną. Zwłaszcza na twarzy. Ileż dziewcząt ma jednak równie ładną cerę!

Jednym słowem nie widziałem tych przyczyn, które ściągnęły tu aż tylu młodych i silnych chłopaków, ustawiły ich dokoła dziewczyny i zahipnotyzowały, zmusiwszy do idiotycznego milczenia.

Wszyscy ci chłopcy bowiem, a z nimi Gen, stali, patrzyli w górę i milczeli jak skamieniali. Patrzyli nie na dziewczynę, nie przed siebie, nie na niebo, lecz jakoś prosto w górę, diabli ich wiedzą jak. I jakby nie żywi ludzie, lecz słupy telegraficzne zrzuciwszy przewody stanęły w koło, by podzielić się nowymi wrażeniami czy ostatnimi nowinami. Cóż mogą jednak słupy, biedne, na wieki nieme słupy, których całą istotę wyraża to jedno, obraźliwe zresztą, porównanie: stoi jak słup! Jak słupy stali też ci chłopcy, z wyglądu niebrzydcy, kilku z nich nawet dorównywało wzrostem mnie i Genowi, kilku było trochę niższych, więc wyrównywali ten brak wzrostu wysokimi obcasami swoich włoskich bucików lub stawali na palcach, jakkolwiek wiadomo,

że nikomu nie udaje się długo stać na palcach. Ale milczeli wszyscy wprost wspaniale. Najdziwniejsze, że dziewczynie chyba się to podobało. Dziewczyny zwykle same szczebioczą jak wróble i strasznie lubią, żeby dokoła też rozlegał się świergot, ta zaś — proszę bardzo — wolała słupy.

Nie chciałem być słupem. Niegdyś wymyśliłem sobie chorobę i spodziewałem się nawet śmierci, niegdyś wałęsałem się po hucie nie mogąc sobie miejsca znaleźć, ale porządnie mnie wytrzęsło w czołgu, przekonałem się na własnej skórze, jak twarda jest ziemia, i teraz ćwiczę z rana hantlami, słucham ostatnich wiadomości, mam obowiązkowe wykształcenie ośmioklasowe, nie mówiąc o kilku ukończonych kursach, pójdę do naszych zakładów hutniczych i będę składał zwiększone zobowiązania, jeżeli nie od razu, to wkrótce (pomoże mi w tym Gen, a może jeszcze bardziej Lonia Szlachtycz, który został w naszej hucie inżynierem). Biorąc więc pod uwagę wszystkie te fakty, po co właściwie mam tu sterczeć między niezdecydowanymi idiotami, przed nieznajomą dziewczyną, sterczeć jak słup telegraficzny?

— Chyba nie mam przyjemności znać tu nikogo! — śmiało, nawet nachalnie naruszyłem ich uświęcony zwyczaj milczenia.

Dziewczyna strzeliła we mnie trzema antracytowymi iskrami ze swoich oczek i zrobiła nagle ruch, jakby jej brakło powietrza, w rzeczywistości po to, żeby pokazać swoje ładne zęby, ale na tym się skończyło. Ani słychu, ani dychu.

Poczekajcie, z czym do gościa!

— Co to takiego, sekta? — zapytałem znowu, zwracając się do dziewczyny, bo tamtym wszystkim wraz z Genem język skołowaciał nie na żarty i na długo.

— Sekta idiotów — odezwała się niespodzianie dziewczyna i jej głos też mi się nie spodobał. Tyle

w nim było brzmień, że nie był to jeszcze głos, lecz dopiero materiał głosowy; mogłyby tak brzmieć struny fortepianu, jeszcze nie zmontowane i nie nastrojone — każda z osobna dźwięk ma piękny, ale zestroju, z którego powstaje fortepian, brak.

A w gruncie rzeczy dziewczyny też nie było, tylko materiał na dziewczynę. A ci sekciarze, bałwochwalcy, milczący nieszczęśnicy odprawiają tu swoje obrzędy.

— Zdaje mi się — powiedziałem — że nasi przodkowie żyli w wodzie. Przecedzali wodę przez skrzela i milczeli. Później ten, co zapoczątkował ród ludzki, okazał się najmędrszy wśród ssaków i wylazł na ląd. Zaczerpnął powietrza i zaczął gadać! Od tego czasu ludzkość nie potrafi zmilknąć.

— Według tej teorii trzeba będzie stwierdzić, że osioł też wylazł na ląd jako mędrzec — zaśpiewała swoimi nie zestrojonymi strunami dziewczyna. Myślę, że miała język na końcu rozdwojony. Jak u żmii. Nie mówiła, tylko kłuła jak żądłem. Na śmierć. Beznadziejnie. Zaczynałem rozumieć, dlaczego wszyscy ci chłopcy milczą. Pewnie nie od razu tak milkli. Każdy z nich próbował coś kiedyś powiedzieć. Coś dowcipnego, jakiś komplement czy filozoficznie zabarwione głupstwo, jak ja je plotłem w tej chwili. Każdy dostawał za swoje i pogrążał się w milczeniu.

Spojrzałem na chłopaków nowymi oczami, jak zwyciężony na zwyciężonych. Teraz dopiero zauważyłem, że wszyscy się śmieją. Nie jawnie, lecz tak, że oko niewtajemniczonego nic nie zauważy, śmieją się jednak. Śmiało się wszystko, co zwrócone było w moją stronę: u jednego ucho, u drugiego nos, u trzeciego ciemię, u czwartego cała twarz, u piątego cała postać. Śmieli się z nowej ofiary, z nowego zwyciężonego. Nie chciałem jednak być nową ofiarą, nie chciałem być zwyciężonym, nikt z nich nie wiedział, że mam gdzieś daleko szare, śmiejące się radośnie oczy i dziewczyna też nie

wiedziała — dzięki temu właśnie miałem nad nią przewagę, z czego postanowiłem skorzystać; odwróciłem się po prostu i odszedłem rzuciwszy Genowi przez ramię:

— Gen, wstąp po mnie jutro, kiedy pójdziesz do pracy.

Szczególnie ostro odczułem teraz chęć ujrzenia Loni Szlachtycza, byłem wprost zakochany w Loni i nie mogłem zrozumieć, jak mógł Gen zamienić Szlachtycza na tę dziewczynę. Mądra? Wszystkie pociągi elektryczne są teraz nabite mądrymi dziewczynami. A to bezmyślne wystawanie wokół dziewczyny nie opodal kwietnika (nie wiedziałem, jak długo tam sterczą i co robią potem) — czyż można na to zamienić Szlachtycza, który stojąc koło mnie już zwraca oczy gdzieś w dal i w ogóle wydaje się zawsze cały podany do przodu, jest takim marzycielem, wymyśla takie wesołe, przedziwne historie...

Przypominam sobie zgrabną postać Loni Szlachtycza (nie był wcale podobny do ojca, wdał się w nieboszczkę matkę) — szczupły, jakiś lekki, niewysoki, na ziemi stał jednak twardo i trzymał się jej mocno, wprost nie sposób było wyobrazić sobie, żeby Lonię Szlachtycza mogło coś zwalić z nóg, zepchnąć, cisnąć nim tak, jak niedawno cisnęło mną. Może tak mnie ciągnęło teraz do Loni dlatego, że zostałem wyrzucony z czołgu? Szukałem w nim oparcia? A Genek nie zaznał jeszcze upadków, więc też wystaje tu wśród innych bałwanów.

4

Panuje tu szaleństwo. Coś się tu rodzi i kształtuje, odbywa się tu wielkie misterium — ludzie poprawiają błędy Pana Boga, który stworzył ponoć świat w ciągu sześciu dni, a siódmego dnia już usiadł, żeby odpocząć,

zapominając o mnóstwie rzeczy, niezbędnych do normalnego funkcjonowania tego świata; i oto od tysięcy lat człowiek nic innego nie robi, tylko usiłuje zaradzić skutkom niedopatrzenia i niedołęstwa tego pierwotnego działacza, niech go tam... Moim zdaniem, gdyby Bóg rzeczywiście kiedyś istniał, to należałoby go zaliczyć do najzajadlejszych brakorobów, nie kadzić mu i nie głosić jego chwały.

Nasz oddział jest jednym z tych wielkich i uroczystych miejsc, w których ludzie starają się tworzyć dla świata harmonię przeobrażeń i uzupełnień. Że wyrażam się zbyt pompatycznie? Powiem prościej.

Produkuje się tu rury i gdybym nawet dodał, że rury szczególne, na specjalne zamówienie, nie zabrzmi to uroczyście, rura jest bowiem rurą i jeżeli nawet pisze się o niej wiersze, rurą pozostanie. Mieszkał w naszym mieście poeta. Uważano go za poetę zakładowego. Dano mu fiński domek i w dodatku krowę, żeby pił świeże mleko (zawsze mi się wydawało, że poeci nie piją mleka, lecz jakiś boski nektar lub w najgorszym razie — szampana); poeta ten o surowym wyglądzie i krzaczastych, szerokich brwiach był także jedną z osobliwości miasta. Podobny do wszystkich zwykłych śmiertelników, hodował winorośle, stawiał na oknach butle z nalewkami, pił, jak się już rzekło, mleko od zakładowej krowy i pisał przy tym wiersze, co wyrastało już ponad zwyczajność. W wierszach tych mówił o rurach tak:

Ankietę wypełniając, w rubryce „Zawód"
piszę: walcownik. Zawodem mym się szczycę!
Żyję pracą swoją i trosk się nie boję!
Niechaj troski wszystkich zadręczą Churchillów.
Wszak rury nasze — to arterie naftowe.
Naftę ślą z Baku bracia moi frontowi.
Gdzieś na oceanie nie znają mnie wcale —
Ocean nie rzeka i morze nie strumień...
Cóż, dobra... okrętom rury dać ja umiem.

Przeciwko chorobie lekarz zastrzyk robi.
Igła do zastrzyku —
dzieło walcownika. Dumnie wznoszę głowę:
płynie nafta nowa,
woda pola poi,
w stoczni statek stoi,
rodzi się maszyna...
— Walcarska drużyno,
rur co lepszych dajcie!
— Macie, podziwiajcie!
Dla ziemi, morza, nieba, wszędzie ich trzeba...

Dobrze powiedziane? Właśnie! Ale także w wierszu rury pozostały rurami i nikt nie wyczuwał, czym są w rzeczywistości. Prócz podobnych do mnie młodych zapaleńców, którzy właściwie nie umieli jeszcze robić rur, ale już byli urzeczeni samą możliwością poznania wielkiej tajemnicy tworzenia czegoś takiego, co się nikomu nawet nie śniło.

Nasza hala — to nie tylko szaleństwo ruchu, nie tylko huk i zgrzyt, szum urządzeń wentylacyjnych, ale ponadto jeszcze niedosłyszalna praca precyzyjnych mechanizmów, które pozwalają człowiekowi sprawować kontrolę, to coś, co jest przejrzyste jak najdelikatniejsza koronka, to wyjałowiona czystość w zgodzie z najzwyklejszym zagraceniem; na naszej hali jest chyba więcej dziewcząt i kobiet niż chłopców i mężczyzn, gdyż jest tu mnóstwo delikatnej i precyzyjnej pracy, wymagającej czysto kobiecego wyczucia i cierpliwości; uszlachetniło to jakby naszą halę, jest w niej coś, czego nie wyczuł poeta mimo swojej bliskiej więzi z muzami i z siłami nadnaturalnymi (może zawiniła tu zakładowa krowa, która mimo wszystko pogrąża człowieka w prozie życia?).

A może wymyśliłem to wszystko o swojej hali po długiej rozłące i różnych niepowodzeniach? Przecież kiedy przenosiłem tu z miejsca na miejsce ciężkie półwyroby i uczyłem się operować śrubokrętem i kluczem,

trudno mnie było posądzić o nadmierny podziw dla swojej hali.

Nie wiem, nie wiem...

Wiedział za to Tokowy.

— Pobiegałeś — zapytał niemal życzliwie. — Nabiegałeś się? No, jakoś to będzie. Urządzimy cię, urządzimy...

I mówi tak dzisiaj, kiedy wierzymy, że „człowiek jest człowiekowi przyjacielem, towarzyszem i bratem!" Bo przecież wie, że nigdzie nie biegałem, że pełniłem swój święty obowiązek obywatelski i jeżeli służbę wojskową przerwałem, to jedynie z powodu swojej przejściowej niesprawności fizycznej. Nie mógł się jednak powstrzymać, musiał mi dopiec! Nabiegałem się...

Mógł tak zresztą powiedzieć, gdyż — jak sądzi — rzeczywiście marnowałem tu czas, on zaś gruszek w popiele nie zasypywał!

Pamiętam Tokowego jako młodziutkiego inżyniera, wychudłego na studenckim wikcie; niemal promieniowało wówczas z niego jakieś uduchowienie, wyczuwało się nie byle jakie myśli w tej kwadratowej czaszce połyskującej pod ciemnymi, przerzedzonymi włosami. Tokowy, zawsze schludny i nienagannie ubrany, służył mi wówczas za wzór. Znał jakiś język obcy, czytał pisma techniczne, manifestował gestami zamyślenie, co podoba się kobietom i takim młodym chłopcom, jakim wówczas byłem.

Teraz stał jednak przede mną człowiek zupełnie niepodobny do tego młodego inżyniera, którego pamiętałem. Pozostało samo tylko nazwisko.

Tokowy rozrósł się i przytył, było w nim coś z pitekantropa. Ręce miał długie, głowę wysuniętą do przodu, o mocno wypukłym czole, nawet czaszka wydawała się spłaszczona.

Nie do wiary!

Zauważyłem te zmiany już wtedy, kiedy szedł na

moje spotkanie. Kręcił głową jak żółw wysuwający się z pancerza. Nie sposób się do takiego dobrać! W swoim czasie Tokowy był tylko młodziutkim inżynierkiem, a teraz jest już zastępcą kierownika oddziału. Kierownik oddziału — w wieku mojego ojca — często chorował, przeniesiono by go już dawno podobnie jak mego ojca na emeryturę, ale trudno się było na to ważyć, gdyż człowiek ten uchodził chyba za największego w Związku Radzieckim specjalistę od walcowania rur na zimno. Tacy ludzie jak Tokowy tolerowali więc kierownika oddziału, ale rozprawiali się bezlitośnie ze wszystkimi jego kolegami. Tak się też rozprawili z moim ojcem; było to dziełem rąk Tokowego — ojciec pisał mi o tym wszystkim w listach. Myślałem, że nowy zastępca kierownika oddziału powita mnie również nieżyczliwie, ale ukłuł mnie tylko tym „nabiegałeś się" i postanowił okazać mi z kolei swą łaskawość.

Zaprowadził mnie do kantoru przy oddziale, wbiegł do swego gabinetu i zaprosił mnie do środka. Podsunął mi tu wyścielane krzesło, wziął sobie takie samo, podciągnął swoje starannie odprasowane, nowiutkie spodnie i — jak się niegdyś pisało — „sprężyny fotela ugięły się pokornie pod szacownym ciężarem jego ciała".

— Gdzieś cię urządzimy... — mówił ze mną teraz z nieco prostacką poufałością. — Postaramy się jakoś cię urządzić...

Nie wiedziałem, dlaczego zamierza tak się starać. Może chce zmazać winę wobec mego ojca. Przecież to on wyliczył, ile razy chorował mistrz Czereda w ciągu ostatnich pięciu lat pracy, i załatwił sprawę gdzieś w zarządzie huty tak, że kierownik oddziału nic nawet nie wiedział. Kombinator! Pewnie zwalniał miejsca dla swoich kumpli. Taki nie odważy się nigdy piąć w górę sam, musi mieć towarzyszy, satelitów, giermków. Nie sposób takiego z miejsca ruszyć!

— Gdzie byś chciał pracować? — zapytał Tokowy, widocznie trochę już zaniepokojony moim milczeniem.

Znowu nie odpowiedziałem. Nie z nienawiści do Tokowego, tylko że po prostu sam nie wiedziałem, czego chcę.

Tokowy nadskakiwał mi, jakby mnie tu skierowano na stanowisko jego zwierzchnika, a przecież przyszedłem szukać punktu zaczepienia, bo zostałem przecież wyrzucony z czołgu i nie udało mi się zaczepić nigdzie indziej.

— Pomyślimy — powiedział kręcąc szyją jak żółw wychylający głowę z pancerza — pomyślimy.

Myśl, myśl. Złość mi już przeszła, pojawiła się za to niezachwiana pewność, że wytrwam. Nie mogłem się jeszcze, co prawda, nazwać klasą robotniczą, ale wierzyłem, że wkrótce tego dopnę. I stać będę mocno i na wieki, jeszcze się doczekam, że Tokowego spławią na emeryturę, jak on spławił mego ojca z pełnym fałszu życzeniem „zasłużonego odpoczynku". Nie przyszedłem tu odpoczywać. Ani teraz, ani po wieki wieczne.

— Chciałbym ze Szlachtyczem — powiedziałem, jeszcze sobie nawet nie uświadomiwszy, po co właściwie jestem Loni potrzebny przy jego walcarkach.

Chciałem jednak trochę w ten sposób podrażnić Tokowego, zamanifestować swoją niezależność, zlekceważyć jego stanowisko.

— Ze Szlachtyczem? Dogadamy się ze Szlachtyczem!

Poklepał mnie po ramieniu. Pokój i przyjaźń! No i z czym do takiego gościa?

I oto szacowny ciężar jego ciała więcej nie przygniata sprężyn siedzenia; ja zaś w roli wycieczkowicza obchodzę właśnie wielkie królestwo naszego oddziału w towarzystwie samego zastępcy kierownika, towarzysza Tokowego.

Gdybym wówczas wiedział, że należy tu koniecznie „szukać kobiety"!

5

Jeżeli miarą mądrości są świadectwa i dyplomy, to zmądrzeję niebawem: skończę uniwersytet wieczorowy. Że też wpadł ktoś na pomysł tych studiów! Nie tylko dla takich niedouczków jak ja, ale również dla ludzi, którzy uczyli się już kiedyś, lecz wszystko zapomnieli. Najciekawsze, że studiuje tu również Gen i cała ta paczka, którą widziałem kiedyś koło miejskiego kwietnika; przywiodło tu nas wszystkich nie szczere pragnienie wiedzy, lecz chyba chęć, by wiercić się tam, gdzie bywa owa zagadkowa dziewczyna o ciętym języku, ta jasnowłosa, wysoka i właściwie brzydka, chuda i raczej niezgrabna, ale niezwykle pociągająca, dziewczyna, która stała się swego rodzaju środkiem świata naszej młodzieży męskiej. Zapisała się na ten uniwersytet pierwsza, po niej — jej satelici, a po satelitach ja — nie mogłem przecież puścić Gena samego. Przyjaźń i samopomoc!

Dziewczyna miała dosyć głupie imię: Ala — od Alewtyny. Alewtyna — brzmi jeszcze idiotyczniej. Nic w niej nie było tajemniczego. Pracowała u nas w dziale kontroli technicznej; w labiryncie przyrządów i różnych urządzeń, w białym kitlu, sama biała i jaśniejąca rzeczywiście budziła sympatię (mogła budzić, zgadzam się), lecz nie taką, rzecz jasna, żeby pokłócić się z rodzicami, porzucić stolicę i wyrzec ewentualnego stanowiska sekretarza generalnego ONZ. Powtarzałem to Genowi codziennie, ale bez widocznych rezultatów. Z takim samym powodzeniem mógłbym wygłosić odczyt o zdobyczach cybernetyki dla stada baranów, które byłyby zresztą wdzięcznymi słuchaczami, gdyż milczałyby, Gen natomiast za każdym razem przerywał mi bez ceremonii, ledwie zaczynałem swoją perorę:

— Nie mam zamiaru dyskutować nad tym problemem.

Na zajęcia Ala chodziła nie w białym kitlu, ale ochotników do samobójstwa z miłości nie brakło także tutaj. Kochali się w Ali nawet wykładowcy, przeważnie ludzie wyglądający jeszcze młodo, uczeni i bardzo uczeni, ze stopniami naukowymi i na dobrze płatnych stanowiskach. Jakby się zdawało, mają tacy ludzie mnóstwo przyjemności z życia, wszystkiego już dosięgli, głowy ich tak są wypchane wszelkiego rodzaju naukami, że dla kościstej Ali już się tam ani rusz miejsce nie znajdzie. Znalazło się jednak także dla Ali! Jeszcze jak! Zgodnie z prawem Archimedesa wypychała z uczonych głów wszystką mądrość i zostawiała w nich miejsce tylko dla siebie. I bez żadnego trudu, od niechcenia, nawet dając wyraz takiej samej pogardzie, jaką żywiła dla swych giermków sterczących koło kwietnika.

Rozumie się, że każdy z wykładowców maskował na swój sposób swoją sympatię dla Ali. Młodziutki filozof czerwienił się, gdy napotykał spojrzenie dziewczyny, ten od ekonomii politycznej po sto razy w ciągu swego wykładu podnosił wysoko w górę palec, jakby zaklinając wszystkich, by skierowali spojrzenia na ten palec jako na głosiciela najwyższych prawd, a jednocześnie sam zerkał ukradkiem na Alę. Za to docent Kryżeń, który tak przyjemnie mówił i miał przemiły wygląd, a wykładał nam coś tam z literatury, wolał działania jawne; jak się okazało, znał Alę od dziecka, był jej sąsiadem, mówili sobie ty. W swoim czasie pochłonięty studiami przegapił moment, w którym Ala przeszła z królestwa dzieciństwa do królestwa wieku dziewczęcego, a kiedy się połapał, było już za późno: Alę otaczali zwartą gromadą konkurenci, którzy nie byli oczywiście docentami, posiadali jednak rzecz, którą Kryżeń utracił bezpowrotnie — młodość. Jako wielki

znawca i zwolennik logiki, zgodnie z którą dwa razy dwa jest zawsze cztery, docent nie tracił jeszcze nadziei; wiedział dobrze, że młodość przypada w udziale wszystkim bez wyjątku, bądź obecnie, bądź jako miniony już etap, mniejsza o to, ale nie wszyscy przecież zostają docentami i nie wszystkim udaje się zajrzeć na samo dno studni mądrości, które on, Kryżeń, nie tylko dostrzegł, ale spuścił się tam już dawno i siedzi kamieniem, tak że żadna siła już go stamtąd nie wyciągnie.

Kryżeń zdecydował się na rzecz niebywałą: poświęcał Ali całe wykłady. Robił to bardzo chytrze i skrycie; wybierał coś ze swoich ciekawych wiadomości, jakoś spowijał i ubierał w różne cytaty i gadał całą godzinę, a potem podczas przerwy przepychał się przez tłum, co otaczał Alę — zawsze aż się kotłowało koło niej jak przy tablicy z wynikami podczas zawodów o mistrzostwo światowe w szachach — uśmiechał się mile i przemile przemawiał do dziewczyny pytając: „Zwróciłaś dziś uwagę na...?"

Wierna swoim zwyczajom Ala ucinała od razu tę gadaninę, co wcale Kryżeniowi nie przeszkadzało następnym razem znowu wznosić wymyślną konstrukcję, znowu poświęconą naszej zakładowej bogini, która pozwalała na składanie jej ofiar, ale nie przyjmowała chyba żadnych i od nikogo.

Od Kryżenia usłyszałem o wieczności i zapadło mi to w serce, widocznie harmonizowało z moim nastrojem. Bo inaczej — dlaczego by jeszcze? W swoich dywagacjach docent nie troszczył się bynajmniej o słuchaczy, gadał coś o żelaznych książkach, których niby to jeszcze nie napisano, ale które powinny być napisane o dzielnej klasie robotniczej (dlaczego książki o nas powinny być żelazne — niechaj odpowie na to z ręką na sercu Kryżeń), potem ni z tego, ni z owego zaczął mówić o koniu Aleksandra Macedońskiego, Bucefale, który miał cztery nogi, ale potykał się mimo wszystko,

z kolei rozwodził się nad czymś bardzo zawile, powołując się na słowa filozofa Spinozy o duchu, który jest wieczny, gdyż ogarnia wszystko z perspektywy wieczności. Docent powtórzył od razu to zdanie po łacinie, czego nie zapamiętałem, gdyż nie miałem na razie zamiaru kandydować na sędziego ludowego — więc po cóż mi łacina?

A podczas przerwy Kryżeń dopchał się do Ali roztrąciwszy łokciami jej wielbicieli i mile zaświergotał: „Słyszałaś? — (znowu powtórzył swój łaciński frazes). — To specjalnie dla ciebie. Wszystko należy mierzyć z perspektywy wieczności". — „Nawet z perspektywy wieczności jest pan..." — Ala nie dokończyła, lecz nawet nie będąc docentem nie trudno było dopowiedzieć tu bodaj taki rozpowszechniony epitet jak „idiota".

Nie chciałem się zaliczać do idiotów, więc usiłowałem trzymać się z dala od Ali, jakkolwiek zbiorowa psychoza udzieliła się i mnie, co prawda, również; wiadomo przecież, jak trudno jest walczyć przeciwko czemuś, co nas łączy z większością — to nas właśnie czyni ludźmi!

Na ludzi zawsze działa zagadkowość. Ala (nie znałem wówczas nawet jej imienia) wydała mi się zagadkowa już owego pierwszego wieczoru, kiedy Gen zaprowadził mnie do kwietnika, gdzie wystawali zasłużeni milczkowie naszego miasta. Po kilku dniach wiedziałem już o dziewczynie literalnie wszystko, wiedziałem nawet, gdzie mieszka i że Gen mi nabujał, bo sam też wszystko wiedział: i że Ala pracuje w naszym oddziale, i że jest córką Czemerysa, którego pomocnikiem został Gen, i że domek Czemerysa znajduje się o dwie przecznice dalej od „Klubu Ludzi Pracy". Po co mi Gen bujał — to już pozostało tajemnicą. Widocznie zbity był z pantałyku czy po prostu zwariował z miłości.

Był jednak pomocnikiem samego Czemerysa, tego chmurnego i nieprzystępnego człowieka, tego powszech-

nie uznawanego boga walcowania na zimno, utrzymał się u niego i pozyskał sobie jego sympatię, a skoro tak, to liczy zapewne także na sympatię córki, która wdała się, jak widać, w swego ojca, trochę cudaka, lecz człowieka na swój sposób wybitnego.

— Skoro pracujesz u Czemerysa — powiedziałem Genowi — Ala powinna ci okazywać jakieś względy.

— Nie gra to żadnej roli.

— Mimo wszystko — obstawałem przy swoim.

Eugeniusz (w oddziale był Eugeniuszem, nie Genem) milczał.

— Hakujesz razem z Czemerysem — to już gwarancja powodzenia u jego córeczki — dowodziłem w dalszym ciągu.

— Wielu nas hakuje. Milion ludzi czy sto czterdzieści milionów. Nie o to tu chodzi. Powinna ocenić moją ofiarę.

— Będziesz musiał długo czekać — gwizdnąłem. — Dziewczyny cenią tylko sukcesy, nie ofiary.

— Nie mam zamiaru nad tym dyskutować — Gen mocno zacisnął wargi.

Potem zaś Eugeniusz zaczął pracować samodzielnie, a pomocnikiem Czemerysa zostałem ja. Zawdzięczałem to Tokowemu, który wytrwale dawał dowody sympatii do mnie, a ja, głupiec, ani rusz nie mogłem odgadnąć, z jakiej robił to przyczyny, co dowodzi, że natura odmówiła mi całkowicie daru przenikliwości.

Czemerys słynął jako prawdziwy mistrz w swoim fachu. Tytułu Bohatera Pracy Socjalistycznej jakoś mu, co prawda, nie nadano (może dlatego, że taki był z niego ponurak), ale miał już wszystkie najwyższe odznaczenia i tytuły i cieszył się sławą, jaka tylko może być udziałem człowieka pracy. Zdobył ją już dawno: pisały o nim wszystkie gazety, otrzymywał listy z całego Związku Radzieckiego, przyjeżdżały do niego delegacje, by skorzystać z jego doświadczenia, przychodzili pio-

nierzy z powinszowaniami, przodownicy pracy z innych zakładów obdarzali go proporczykami, bibelotami i upominkami. Jak się zdawało, nic go to jednak nie obchodziło. Ten wysoki, lekko przygarbiony mężczyzna wiedział tylko jedno: „ciągnąć rury". Walcował je artystycznie. Nie sposób się było domyśleć, jak to się właściwie robi. Czemerys potrafił wykonać do czterech norm w ciągu zmiany, walcarka w jego rękach dawała z siebie wszystko. Jeżeli możliwe są na świecie cuda, to za jeden z nich należałoby uznać tego walcownika.

Odniósł się do mnie nieufnie.

— Co, młody człowieku, jesteś synem Czeredy? — zapytał, kiedy mu się przedstawiłem.

— Tak, Czeredy — potwierdziłem uradowany w nadziei, że autorytet ojca to atutowa karta.

— Czereda był dobrym majstrem, ale ty jesteś młodym człowiekiem — burknął Czemerys. I tyle.

Tak się też do mnie zwracał: młody człowieku. Nie Myt'ko czy Dmytro lub Czereda, tylko młody człowieku. I brał mnie do galopu tak, że znowu zaczęły mi się rozluźniać stawy. Człowiek ten nie marnował ani jednej sekundy dnia roboczego. Kiedy pracował, przypominał mechanizm zegara, który chodzi z maksymalną szybkością. Gdyby ludzkość żyła wypełniając czas tak szczelnie, jak to robił Czemerys przy walcarce, dawno już pławiłaby się w zbytku albo wyzionęła ducha z nadmiernego wysiłku. Nie wiem, czy można tak eksperymentować z czasem. Nie wiem również, jak rozporządzał się Czemerys swoim czasem poza walcownią (może przeobrażał się w domu, był zupełnie inny niż na hali i dlatego zabraniał córce przyprowadzać kogokolwiek z chłopaków, żeby go nikt nie widział pod nową postacią?).

Kiedy przyjeżdżali walcownicy, by wymieniać doświadczenia, Czemerys kiwał głową i wskazywał pal-

cem, że niby — stójcie sobie tam i patrzcie. Kiedy obdarzano go proporczykami, bibelotami i czymś tam jeszcze pokazywał również palcem: „O tam. Połóżcie i bądźcie zdrowi!" Przychodzili pionierzy z trąbką i bębnem, a Czemerys słuchał ich gry i przemówień zagłębiony w sobie, nie uśmiechając się nawet do dzieci i tylko znowu kiwał głową, że niby słyszę i bardzo jestem wzruszony, ale chyba idźcie już sobie teraz, drogie dziatki, bo trzeba pracować.

Ze mną długo nie rozmawiał. Nie narzucałem mu się zresztą. Starałem się przezwyciężyć swoją zwiotczałość i niemoc w stawach, swoją niesprawność w pracy, którą wykonywali tak sprawnie ludzie podobni do Czemerysa; czasem miałem chęć rzucić to wszystko i pójść, gdzie oczy poniosą, wsiąść do pociągu, potem do autobusu, dalej iść pieszo, iść długo i prosto przed siebie, błądzić w leśnej gęstwinie, póki nie znajdę białej leśniczówki i nie zobaczę szarych oczu, moich szarych oczu. Ledwie rodziło się we mnie jednak to nieprzeparte pragnienie, pojawiały się od razu nowe siły i odczuwałem jakąś złośliwą satysfakcję, że nikt wśród otaczających mnie ludzi nie znał mojej tajemnicy, nikt nie miał takich szarych oczu, jakie ja miałem.

Popierał mnie jeszcze Szlachtycz syn, czyli inżynier Lonia Szlachtycz, który na razie widział we mnie i Genie nie swoich pomocników w dziale, lecz interlokutorów u siebie w domu; my zaś spodziewaliśmy się jakoś, że lada dzień Lonia wymyśli coś niezwykłego, dokona jakiejś zmiany czy może jakiegoś przewrotu, całej rewolucji technicznej w naszej produkcji. Uważaliśmy go bowiem za człowieka nieprzeciętnego, nie za zwykłego inżyniera ograniczonego roboczym dniem, planem i niepotrzebnymi naradami — Lonia wkłada szczególny sens w naszą pracę, buduje swego rodzaju filozofię naszej walcowniczej egzystencji, rozumuje właśnie z perspektywy wieczności. A cóż może być

bardziej pociągającego dla młodych chłopaków, którzy mierzą swe życie nie kusymi wycinkami dnia wczorajszego i dzisiejszego, lecz kierują spojrzenia w nieskończoność przyszłości!

Chodziliśmy często do Szlachtyczów, do kawalerskiego mieszkania, w którym dawno już nie widziano kobiet, do czystych pokoi, w których coś przypominałoby klasztor, gdyby wuj Wasia nie wypełniał ich swoją energią i nie proponował nam za każdym razem po kieliszku. Nie rozumieliśmy, dlaczego Lonia nie ożenił się dotąd, dlaczego unikał dziewcząt, mimo że każda z naszych zakładowych ślicznotek wyszłaby za niego, byle tylko okiem mrugnął. Na znak solidarności z ojcem? Ten miał jednak za sobą burzliwe, ciężkie i pełne przygód życie, czasy były zupełnie inne niż teraz. Nawet chyba żal nam było Loni, tego przystojnego mężczyzny o zgrabnych ruchach, który tak ściśle myślał i rozumował; zapominaliśmy języka w ustach wobec Loni i jego rozległej wiedzy, nie ważyliśmy się nawet usiąść, tylko staliśmy przed nim: Lonia podnosił się z wygodnego fotelika, w którym wpółleżał z książką w ręku, stawał między nami jak między dwoma wysokimi i głupimi słupami, zwracał to do jednego, to do drugiego swoją bladą twarz łyskając raz na mnie, raz na Gena swoimi przenikliwymi, mądrymi oczami, my zaś czuliśmy jeszcze silniej, jacy jesteśmy głupi, jakie z nas gapy, jacy z nas „młodzi ludzie" w Czemerysowskim znaczeniu tego określenia.

Co do mnie, to cechuje mnie w ogóle poczucie, które ktoś trafnie nazwał kompleksem niższości. Zdaje mi się zawsze, że wszyscy stoją ode mnie wyżej, są szlachetniejsi i mądrzejsi, mają mocniejsze głosy i jaśniejsze oczy, więcej sił. Zdaje mi się nawet, że poczucie to ma przytłaczająca większość ludzi, bo inaczej ludzie siadaliby sobie na głowach i życie w ludzkiej społeczności byłoby prawdziwym piekłem. Skoro więc

mamy na tysiąc ludzi skromnych jednego nachalnego — można to jeszcze znieść.

Szlachtycz urzeczony był myślą o samodoskonaleniu, o doskonaleniu społeczeństwa i całego świata.

— Trzeba się wyrywać, wyzwalać, przezwyciężać — z pałającymi oczami biegał po pokoju, mając zapewne na myśli w tej chwili nie siebie i nie nas, lecz raczej swego ojca, którego życie zawsze stało mu przed oczami — świat jest bezlitosny, wszelkimi sposobami ucisk a człowieka znajdując po temu mnóstwo metod, więc człowiek powinien wyrywać się z jego więzów jak alpinista, który dąży ku szczytom, by położyć kres panowaniu ich wielkości nad swoją pozorną małością, nic bowiem nie może dorównać duchowi ludzkiemu. Szczyt ducha ludzkiego — to moim zdaniem Lenin. Jego rewolucja! — to nie tylko rewolucja, która zrównała ludzi, przywróciła utraconą przez ludzki ród sprawiedliwość, widzę w niej przede wszystkim wieczny postęp, wieczny rozwój, wieczne doskonalenie. Nic się nie zatrzymuje i nie należy do tego dopuszczać: marksizm też nie tworzył świata raz na zawsze jako daną nieruchomość. Marks stwierdzał, że świat należy przekształcać. Lenin zrewolucjonizował świat. Rewolucja powinna trwać nadal we wszystkim i w każdym. Powinna trwać nawet ze swoimi przeciwieństwami, trwać tak samo jak wiecznie trwa ukrzyżowanie Chrystusa, jak wiecznie Judasz całuje swego nauczyciela i otrzymuje za zdradę swoje ohydne trzydzieści srebrników...

Odpowiadało to nam i podobało się, zdawało się nam, że wyrastamy i wzrasta nasza rola, że powołano nas również do przekształcenia świata; byliśmy gotowi wziąć się do tego od razu — tylko Gen pobiegnie jeszcze do Ali, a ja pomarzę o szarych oczach lub towarzyszyć będę w milczeniu Genowi w jego beznadziejnej wędrówce do Ali Czemerys. Nie mogliśmy jednak

w żaden sposób zrozumieć zachowania Loni Szlachtycza, który odciął się całkowicie od pewnych istotnych problemów; z czasem coraz bardziej nam ciążyła pustka i smutek panujący w tym mieszkaniu, w którego ścianach od tylu już lat nie było słychać kobiecego głosu i lekkich kobiecych kroków i od dawna nie było tej szczególnej atmosfery, jaka wytwarza się w każdym mieszkaniu, w którym pojawia się kobieta.

Ale czyż można wszystko wytłumaczyć?

— Gdyby na świecie można było wszystko wytłumaczyć, nie istniałby wtedy Don Kichot — powiedział raz Lonia Szlachtycz, co prawda, w związku z czymś innym, bo o kobietach nic nie mówiliśmy nie wiedząc, jak pogodzić takie pojęcia, jak kobieta i rewolucja.

„Don Kichota" nie czytałem. Spróbowałem raz, ale nie dałem rady: wydał mi się nudny. A może się przestraszyłem, że książka jest taka gruba. Jakkolwiek niektóre grube książki przeczytałem. Na przykład „Tarczę i miecz". Mógłbym nie tracić czasu i obejrzeć film, ale jeszcze wówczas nie wiedziałem, że będzie taki film. I ja, i moi rówieśnicy zaoszczędziliśmy wiele czasu dzięki Serhijowi Bondarczukowi, który zrealizował swoją „Wojnę i pokój"; potem oszczędzaliśmy czas nie tylko na Tołstoju, lecz również na Dostojewskim. Doczekam pewnie do czasów, kiedy porządnych książek nie będzie się w ogóle czytało, będziemy połykali ich treść siedząc półtorej godziny w kinie, ale będziemy za to marnowali czas na przeżuwaniu marnych piśmideł, które nie potrafią zainteresować nawet filmowców.

No a jeżeli chodzi o chęć wytłumaczenia wszystkiego, to niespodzianie podjął taką próbę Czemerys — widocznie zasłużyłem mimo wszystko na odrobinę jego zaufania.

Wciąż tak samo nie odrywając się od pracy mruczał

teraz do mnie co dzień kilka słów, które składały się na całą teorię życiową. Gdyby tak połączyć wszystkie te urywki w całość, wyglądałoby to tak:

— Słuchaj, młody człowieku, wytłumaczę ci. Może nauczysz się kiedyś walcować rury — przyda ci się. Człowiek powinien umieć walcować rury. Jesteś jeszcze młody, nic nie umiesz. Może zresztą nigdy się nie nauczysz (ładna perspektywa!). Są ludzie, co stoją na swoim miejscu i coś robią, i są tacy, którzy tylko zazdroszczą. (Ciekawe, do których należę ja?) Dasz mu chleba, a on nosem pokręci. Gadasz z nim o stali, a on pod tobą dołki kopie. Sam nic nie umie i stara się sprowadzić drugiego na manowce. (Ja też nie umiem, ale sprowadzać na manowce Czemerysa? Nie, to nie dla mnie). A człowiek pracy? Powinien stać na swoim miejscu i robić swoje. Tak, młody człowieku. Gdziekolwiek będziesz, zawsze znajdzie się ktoś łasy na to co twoje. Będziesz wozić gnój w beczce i też ci ktoś pozazdrości i powie: „Wozi gnój i je białe bułki". I będzie ci wyrywał tę bułkę z ust. Chcesz się nauczyć, młody człowieku? Przypatruj się i tyle. Gadać o robocie? Nie warto. Robić trzeba. A słowami sypać — po kiego licha! Trzeba ciągnąć rury.

Nudne było to jego gadanie. Jeżeli chodzi o pracę, to nadałbym mu bez wahania tytuł artysty ludowego w kunszcie walcowania rur, ale w jego teorii życiowej nic nie było atrakcyjnego. Mierzyć życie taką miarką i mieć jednocześnie taką córkę... Nie do pojęcia! Niewątpliwie Czemerys mówił to samo także Genowi, na którego nie podziałało to wszakże odstraszająco i Ala nie straciła dla niego nic ze swego uroku. Co tu poradzić? Jeżeli człowiek wyrzekł się dyplomacji dla byle twarzyczki, to nie ma mowy, by zawrócił z drogi!

Taki był układ sił przed wydarzeniami, w których brałem udział jako jedna z osób zaangażowanych, nie zaś jako postronny obserwator; dotychczas bowiem na-

leżało mnie zaliczać mimo wszystko tylko do obserwatorów, czynnie nie oddziaływałem ani na Czemerysa, ani na Szlachtycza syna, ani tym bardziej na Gena i Alę. Czynna była tylko moja niechęć do Tokowego, którą hamowałem jednak wszelkimi sposobami rozumiejąc, że decydującą rolę odgrywają tu moje uczucia rodzinne. W mojej dużej i zgodnej rodzinie też grałem rolę niezbyt czynną, nadal traktowano mnie jak ucznia, jeszcze się miałem czegoś nauczyć w trudnej szkole życia.

Co do mnie zaś, wszystko przypominało mi do pewnego czasu jakąś grę, to wesołą, to smutną, to ciekawą, to bardzo zwyczajną. Ponieważ w każdej grze obowiązują pewne nienaruszalne reguły, sędziowanie musi być sprawiedliwe, a sama gra, jeśli nie jest pasjonująca, to musi być przynajmniej ciekawa, notowałem więc sobie skrupulatnie, gdzie te trzy zasady zostają naruszone, kto je narusza i czy świadomie, czy nieświadomie; robiłem to zresztą bez widocznej potrzeby, ze stanowiska czysto amatorskiego i, rzecz jasna, nie z perspektywy wieczności — nie ze stanowiska spinozowskiego czy bodaj nawet kryżeniowskiego, określonego przez łaskawe (czy niełaskawe) spojrzenie Ali.

6

Istnieje mnóstwo rzeczy, o których można by opowiadać. Telewizja kolorowa i olimpiada, loty kosmiczne, tygrysy ussuryjskie, bomba wodorowa nad Pacyfikiem i skowronki nad Skrzypajką, kawa z ugorzańskich automatów, trujące dymy fabryki nawozów sztucznych, dzikie konie na Pamirze i wieża telewizyjna w Moskwie, samoloty odrzutowe i mieniąca się księżycowym srebrem rybia łuska, skrzętna praca umorusanych spycharek i mini-spódniczki, hydroelektrownia bracka i twarde kolana dziewcząt dwudziestego stulecia, lot-

niskowce i kombinat włókien sztucznych (czterdzieści tysięcy dziewcząt!), elektrogitary i czasopismo „Zdrow'ja" dla emerytów, tysiącletnia pajęczyna w ciemnym wnętrzu piramidy Cheopsa i Brigitte Bardot uśmiechająca się bez rozchylenia warg, laboratoria, kliniki, przeszczepianie serca i krtani, ampułki, samochody, ukraińska gorzałka z pieprzem, uralskie kamienie półszlachetne i zespół Wirskiego, powieści Simenona i czerwone szelki z NRD, zabójstwo braci Kennedych i festiwal piosenki w Sopocie, wojna w Wietnamie i wojna w Kongo, wojna na Bliskim Wschodzie i wojna na Dalekim Wschodzie, odwetowcy, co marzą o wojnie w Europie, i amerykańscy biznesmeni, którzy też marzą o wojnie w Europie; my mamy jednak po dwadzieścia lat i nie chcemy wojny ani w Europie, ani gdziekolwiek, chcemy żyć i gdyby każdego z nas zapytano, co jest potrzebne do życia, każdy znalazłby własną odpowiedź; może wszystkie odpowiedzi byłyby różne, niepodobne do siebie i byłaby zapewne mowa o mnóstwie najróżniejszych rzeczy, gdyż nasz wiek wypełniony jest wydarzeniami i rzeczami jeszcze szczelniej niż czas Czemerysa pracą przy walcarce. Gdyby zaś zapytano mnie, przyznałbym pierwszeństwo naszej własnej historii, która wydarzyła się w naszym oddziale, jakkolwiek ktoś dopatrzy się w niej może przeładowania sprawami techniki; wyboru jednak na razie nie mam, gdyż dwudziestolatki nie mają tak wiele historii w zapasie, żeby mogli swobodnie wybierać i zadowolić takie czy inne gusty.

A zatem technika. Osoby niemal te same.

Zaczęło się wszystko, jak mi się zdawało, od przyjazdu Zizi. W rzeczywistości zaś zaczęło się o rok wcześniej.

Nasz oddział otrzymał wówczas specjalne zadanie. Rury o niezwykłym przekroju, niezwykłej strukturze i dla niezwykłego urządzenia — coś atomowego czy

rakietowego — nie upoważniono mnie do szczegółowego informowania o tym i zresztą to zbędne.

Za granicą zakupiono dwadzieścia kilka walcarek za czyste złoto, co podano nam bez ogródek do wiadomości, ale rury, które mieliśmy produkować, były o wiele więcej warte niż wszystko złoto świata. Słowem z perspektywy wieczności, ze stanowiska już nawet nie spinozowskiego, lecz jeszcze wyższego. Walcarki nie zostały jeszcze zmontowane, ale już przysłano nam plan, już gdzieś czekano na nasze rury, czekano z niemałą niecierpliwością, czego dowodził ów plan. Wymieniano tam metry (rury mierzy się zwykle na tony, ale w tym wypadku byłoby to po prostu absurdem), co w ostatecznym deszyfrażu równało się nawet kilometrom. Tak jest, jakby załoga naszego oddziału składała się z samych Czemerysów.

Walcarki miały jakąś tam własną techniczną nazwę angielską, ale nazwaliśmy je od razu „rock'n'rollami", bo brzmiały oba te słowa niemal jednakowo, a w dodatku musiał człek tańczyć przy tych maszynach jak w tym już zapomnianym szalonym tańcu, przechylać się i wyginać — mimo wszystko szło nam kiepsko. „Rock'n'rolle" wymyślił jakiś specjalista, żeby produkować kije do golfa. Może nadawały się do tej produkcji, ale do naszych celów — ani rusz. Kto wpakował złoto w „rock'n'rolle", dlaczego zakupiono ich od razu aż tyle, czy wpierw je wypróbowano (wiedzieliśmy zresztą, że nie), czy zapytano o zdanie fachowców, bodaj takich jak Eugeniusz czy nawet ja? „ Proszę bardzo — powiedziałem do Eugeniusza — gdyby ci się nawet nie udało zostać dyplomatą, mógłbyś bodaj pracować w handlu zagranicznym i nie kupiłbyś za złoto takich gratów jak te „rock'n'rolle". — „Alboż kupujemy to, czego nam trzeba? — roześmiał się Eugeniusz. — Bierzemy, co jest".

Mógł się śmiać, gdyż otrzymał wreszcie walcarkę

i mimo że na razie nic na niej nie mógł wywalcować, był w siódmym niebie, ja zaś dotychczas dźwigałem jarzmo Czemerysowej władzy i moją przyszłość, która zaczęła się już zarysowywać, znowu zasnuło swym mrokiem niewiadome — przy tych „rock'n'rollach" nie sposób było nawet marzyć o samodzielności. Eugeniusz dorwał się do walcarki tylko dzięki temu, że sześć naw naszej hali nimi zastawiono, więc odegrała tu rolę nie jego sprawność walcownicza, lecz po prostu sama ilość tych zagranicznych maszyn, niechby się zapadły.

Rury nie szły. Nie tylko kilometry rur, nawet metry. Nie dawaliśmy żadnej produkcji. Gdzieś tam rozbrzmiewały dzwonki telefonów, sypały się depesze i gniewne reprymendy, czego oddźwiękiem w naszym oddziale były codzienne zebrania, narady, apele do załogi, przy czym robiono dość przejrzyste aluzje do złota włożonego w „rock'n'rolle" (alboż myśmy je włożyli!), powtarzano znany zwrot, że „naród liczy na nas" (jakby naród był czymś poza nami, jakbyśmy w ogóle do niego nie należeli); cała ta agitacja nie była zresztą potrzebna, dobrześmy wszystko rozumieli, uwijaliśmy się wokół „rock'n'rolli", wymyślaliśmy czym prędzej setki urządzeń i ulepszeń do kapryśnych cudzoziemskich maszyn, naginaliśmy je do swojej pracy i koniec końcem produkcja wreszcie ruszyła, opornie, co prawda, niechętnie, rury były jeszcze niskogatunkowe i zniekształcone, ale były! Czemerys był pierwszym, który opanował „rock'n'roll"; nie łamał sobie głowy nad wymyślaniem różnych udoskonaleń, wierzył bowiem ślepo, że skonstruowany już mechanizm osiągnął odpowiedni stopień doskonałości i najkrótsza droga do jego eksploatacji — to poznać ten mechanizm jak najprędzej, zrozumieć go jak żywą istotę (niechby spróbował odgadnąć bodaj jedną z istot żywych — własną córkę Alę!), a reszta — to kwestia własnej sprawności.

— Patrz, młody człowieku — mówił z wyrazem dumy na chmurnym obliczu — to się robi tak, a tamto w taki sposób, bo inaczej w ręce się wziąć nie pozwoli. Trzeba, żeby pozwoliło. I już go z rąk nie wypuszczaj. Młody jeszcze jesteś, trudno ci zrozumieć, ale patrz...

Co tu gadać, było w tym człowieku coś demonicznego. Nigdy nie widziałem, żeby człek tak pracował i chyba nigdy nie zobaczę. Gdyby ktoś zmierzył współczynnik pożytecznej pracy człowieka, to dla Czemerysa współczynnik ten równałby się stu procentom. Nic podobnego nawet mi się nie śniło. Czemerys tylko pochrząkiwał widząc moje wysiłki i naiwne próby dorównywania mu bodaj w drobnostkach.

— Jesteś jeszcze młody — powiedział niemal współczująco i nawet z wyraźną, jak mi się zdawało, sympatią — jeszcze nie stanąłeś na swoim miejscu. A człowiek musi mocno stać na swoim miejscu.

Czemerys rzeczywiście stał mocno na swoim miejscu i jako pierwszy w dziale zaczął „ciągnąć rury" właśnie na „rock'n'rollach". Powoli osiągnął zaplanowaną normę (norma ta wydawała się nam marzeniem ściętej głowy, ktoś ją zaplanował jeszcze nawet nie przyjrzawszy się „rock'n'rollom"), potem normę przewyższył, nieznacznie przewyższył i zatrzymał się na tym wskaźniku na kilka dni; to jego osiągnięcie okazało się jednak wystarczające, by wszcząć niebywałą wrzawę (mną nikt się nie interesował, jakby mnie w ogóle nie było na świecie, jakby to nie z mojej niewolniczej pracy korzystał wyzyskiwacz Czemerys). Przybiegli do hali korespondenci, przyniesiono mikrofony obwodowej rozgłośni radiowej, białe i różowe notesy dziennikarskie zwisały dokoła jak jęzory zwierząt odczuwających silne pragnienie; żądano od Czemerysa słów, oświadczeń, zapewnień, życzeń, ale — z czym tu do gościa! Z takim samym skutkiem reporterzy mogli szukać zeszłorocznego śniegu koło pieca ogrzewczego, Czeme-

rys umiał pracować, nie gadać. Mnie również nie upoważnił do składania oświadczeń, nikt się zresztą do mnie nie zwracał. Przychodził wreszcie Tokowy i w imieniu przodownika i mistrza pracy komunistycznej Czemerysa mówił to, co należało powiedzieć w takim wypadku; mogliśmy więc spać spokojnie.

Każdy czeka na swój szczęśliwy traf, na swoją godzinę, swój czas. Jedni nigdy się nie doczekają, innym okazja sama włazi w ręce, trzeci biorą ją siłą i ujarzmiają czas, zmuszają, by im służył. Gdyby mi ktoś powiedział, że przeklęte „rock'n'rolle" dostarczą wielu z nas tej jedynej właśnie sposobności do wykazania się prawdziwymi zaletami, roześmiałbym się po prostu. Najtrudniejszy jest zawsze początek. Dokładasz wszelkich starań, ale mimo to zaczniesz od czegoś, co nie jest istotne, zrobisz zły wybór, przegapisz ten moment, w którym zaczyna się człowiek ujawniając swoje największe zalety. Tak na przykład autorzy pieśni „Tarcza i miecz" oraz „Od czego ojczyzna się zaczyna" też wykazują niezdecydowanie, nie umieją wybrać czegoś jednego. Pieśni chwytają ze serce, wszystkim się podobają, ale od czego zaczyna się ojczyzna, pojąć nie sposób. Może od tego, a może od tamtego. Człowiek ma również wiele początków i jeżeli wybiera jeden z nich, nie znaczy to bynajmniej, że o czymś w ten sposób zadecydował — po prostu trzeba coś w końcu wybrać.

Tak pojawiły się w życiu naszego oddziału „rock'n'rolle".

Jak już wspominałem, Eugeniuszowi powierzono walcarkę. Rur nie produkował, ale stał przy walcarce, był człowiekiem samodzielnym, pewnie będzie się śmielej zachowywać spotykając się z Alą i milczeć więcej nie będzie, bo jak długo można właściwie milczeć.

Tokowy miał sposobność wykazania się energią, której brakło staremu kierownikowi oddziału. Tokowy przypiąwszy się do Czemerysa jak pijawka — stał się

bohaterem dnia, wszystkie bowiem artykuły w gazetach zaczynały się i kończyły słowami: „Jak powiedział zastępca kierownika oddziału, towarzysz Tokowy...", „Jak stwierdził towarzysz Tokowy...", „Jak nas poinformował towarzysz Tokowy..."

Czemerys był już sławny także przedtem. Bo i złote ręce, i najwyższa wydajność pracy, i w ogóle artysta w swoim fachu, unikat. Ale co innego wykazać się kunsztem tam, gdzie ktoś inny zdoła zrobić to również, popisze się mniejszym może, ale zawsze kunsztem, a zupełnie co innego — rock'n'rolle, przy których na razie umiał pracować jeden jedyny człowiek w całym kraju czy może nawet na całym świecie. Człowiekiem tym był Czemerys!

Zmian nie zauważyłem w nim żadnych. Zdawało się, że nic go nie obchodzi rejwach z powodu jego sukcesów, że pozbawiony jest nawet tego roboczego nerwu, który wystarczy podrażnić, by człowiek zaczął się pysznić własnymi umiejętnościami i sukcesami. Czemerys wykazywał absolutny brak zainteresowania zewnętrznymi następstwami swojej niezwykłej sprawności, a jeżeli doznawał nawet satysfakcji, to krył się z tym i rozkoszował potajemnie, jak samotny alkoholik, który niechętnie pije w towarzystwie, lecz chleje wódę bez świadków, przy zamkniętych drzwiach i zasłoniętych oknach.

I uczciwy był Czemerys, tego mu odmówić nie mogę. Kiedy stanął na półmetku wyprodukowawszy, powiedzmy, trzysta metrów rur w ciągu zmiany (liczba ta jest absolutnie umowna, mówię jedynie przykładowo), a potem, zwiększając stopniowo tempo i włączając jakieś nie znane mi swoje wewnętrzne mechanizmy (wydawało mi się niekiedy, że Czemerys sam w sobie jest niewyczerpany, że mógłby iść o lepsze z silnikiem spalinowym lub wysokoprężnym czy nawet z elektrownią atomową średniej mocy) doszedł do dziewięciuset

metrów, czyli prawie do całego kilometra rur, co przechodziło wszelkie nasze wyobrażenia o możliwościach po trzykroć przeklętych „rock'n'rolli", otóż kiedy Czemerys przekraczał już, jak się zdawało, granice prawdopodobieństwa i okazało się nagle, że wszystkie jego sukcesy nie są warte nawet tak bardzo reklamowanej w swoim czasie kopiejki, to trzeba mu oddać sprawiedliwość: nie narobił krzyku, nie bił się w piersi, nie dowodził tego, czego nie można było dowieść — zbyt wysoko cenił swoją uczciwość i honor robotnika; co prawda oszołomiło go to, co się stało, i jakby się załamał (zauważyłem to zresztą tylko dlatego, że stale przy nim byłem), po raz pierwszy od tych kilku miesięcy, które spędziłem u boku Czemerysa, widziałem po wyrazie jego twarzy, że poczuwa się do winy. „Młody jesteś, nie wszystko jeszcze potrafisz zrozumieć — mruknął wtedy usiłując ukryć zmieszanie, a ja nic mu nie cdpowiedziałem, chociaż mógłbym mu powiedzieć, że ludzie młodzi są szczególnie spostrzegawczy, nie umieją bowiem jeszcze zagłębiać się w sobie, chłoną otaczający ich świat, wszystko ich ciekawi, wzrok skierowany mają na otoczenie, na ludzi, na kwiaty, na drzewa, na niebo, na kolory i na ruch we wszystkich jego formach i odmianach. Może młodość nie jest zawsze współczująca, może nie umie przebaczać, jest może skłonna do drwin, lekkomyślna i niecierpliwa, bywa może niepoważna i kapryśna, ale spostrzegawczości nikt jej nie odmówi, nie może odmówić.

Co się właściwie stało?

To, co musiało się stać wcześniej czy później: Czemerys natrafił na Alę, na swoją własną córkę, która wdała się w ojca i była absurdalnie wymagająca w stosunku do ludzi i do siebie, a że ojciec był też jednym z ludzi, nie robiła dla niego wyjątków. Ala uznała za wybrakowane wszystkie rury, które Czemerys wycisnął ze swego „rock'n'rolla". Pewnie, że obok niego pracowa-

łem również ja, więc za brakoróbstwo odpowiadaliśmy obaj, skłonny jednak jestem przypisać wszystko Czemerysowi; skoro sukces przypisywano tylko jemu, o mnie nikt nie pisnął i w osiągnięciach udziału nie miałem, więc po co mam się pchać do udziału w brakoróbstwie!

Ala wybrakowała wszystko. Czułe, doskonałe, unikatowe mechanizmy kontrolne odsłoniły przerażający wprost obraz. Pęknięcia, wgniecenia, wewnętrzne szczeliny i rozdarcia... Rury te przypominały słowa mówiące tylko połowę prawdy, mimo że na pozór słowa takie były krągłe i doskonałe; tak samo krągłe i doskonałe były rury Czemerysa, lecz tylko zewnętrznie, tylko dla zwykłego, nie wtajemniczonego oka, nie uzbrojonego w czułe mechanizmy, bezlitośnie precyzyjne i nieubłagane w swoich orzeczeniach.

Ala wybrakowała wszystkie rury Czemerysa, który nie zbuntował się jednak, nie robił córce wyrzutów, nie beształ jej (mogła przecież stać na jej miejscu inna dziewczyna, inny kontroler, ale czyżby się coś przez to zmieniło?), lecz przyjął pokornie do wiadomości wyrok kontroli technicznej i powiedział do mnie: „Jutro, młody człowieku, rur nie ciągniemy. Rozmontujemy jeszcze raz tę cholerę (bo jużeśmy raz rozmontowali walcarkę i Czemerys badał w niej każdą śrubkę) i jeszcze raz obwąchamy, póki nie poczujemy, gdzie tu śmierdzi imperialistą".

Słów używał zwykle Czemerys dosyć mocnych, więc wypada te, które od czasu do czasu wtrącał, opuszczać, ale pracował cudownie, więc można mu wybaczyć te wtręty.

Towarzysz Tokowy wszakże nie chciał nawet słyszeć o żadnym rozmontowaniu. Oświadczył (co prawda tym razem nie dla prasy i nie dla szerokich mas, lecz jedynie w ramach naszego oddziału, gdzie mógł się wypowiadać dość swobodnie i oświadczać niemal wszystko,

co chciał), że nie pozwoli, by najlepszego robotnika, chlubę zakładów, sztandar i wzór, który wszyscy powinni naśladować (mówił tak o Czemerysie, my zaś nic właściwie nie mieliśmy przeciwko temu), a więc nie pozwoli, by takiego człowieka z powodu jakiejś tam rysy na rurze, rysy niewidocznej, niemal nie istniejącej, dyskwalifikować, wytrącać z jego rytmu pracy, co może zahamować ważny dla państwa proces opanowania nowego sprzętu technicznego.

Tokowy niewiele zresztą mówił, lecz działał.

Przede wszystkim zaliczone zostało wszystko, co Czemerys zrobił. Po orzeczeniu kontroli technicznej sprawa wyglądała tak, jakbyśmy obaj z Czemerysem nic w ogóle nie robili, skoro produkcja okazała się brakiem. Tokowy kazał rury spisać na straty, ale w wykazie rozliczeniowym umieścić wszystko, cośmy obaj wykonali, i to z nadwyżkami, jeszcze nie wiedząc o braku. Zarządził również, żeby Czemerys „ciągnął rury" dalej. Żadnych wyjaśnień przy tym nie dawał, ale gdyby się znaleźli chętni do ich wysłuchania (a było ich pełno na hali, przede wszystkim my obaj z Czemerysem), to z łatwością by umotywował swoją stanowczą decyzję.

Albowiem:

Jeżeli grupa ludzi zrobi na przykład samochód i samochód ten jakoś nie ruszy z miejsca, to grupie tej trzeba zapłacić za pracę? Trzeba. Przecież samochód został zrobiony. Czemerys też wyprodukował rury — trzeba więc za nie zapłacić.

Albowiem:

Rzecz nowa nie jest ludziom znana i tym samym odstraszająca. Jeżeli będziemy odstraszać robotników także my, któż się wtedy zabierze do nowego sprzętu?

Albowiem:

Dyskredytacja przodownika pracy Czemerysa na tej tylko podstawie, że pierwsza setka jego rur okazała

się niskogatunkowa, zaszkodziłaby całej naszej sprawie ciągłego i niepowstrzymanego postępu, sprawie, u której podstaw leżą osiągnięcia i energia chorążych postępu, a w pierwszych ich szeregach kroczy Czemerys, nasza chluba i pociecha.

Albowiem:

Mówiąc prościej i szczerze, oddział nasz otrzymał ważne zadanie państwowe, bardzo pilne, niemal natury obronnej, a wykonać je można tylko wtedy, kiedy wszyscy będą pracowali jak Czemerys; lepiej wobec tego wypuścić tysiąc metrów rur, z tym że tylko dziesięć metrów będzie dobrej jakości, niż nie wyprodukować ani metra, nie będzie bowiem wtedy ani jakości, ani ilości, myśleć zaś należy dialektycznie.

Wykoncypowałem sobie to wszystko, gdyż mogłem w przybliżeniu odgadnąć, co w tych czy innych okolicznościach może powiedzieć towarzysz Tokowy, do którego żywiłem stałą nienawiść za jego postępowanie względem mego ojca; po pewnym czasie okazało się jednak, że co do pierwszej przyczyny mojej nienawiści do Tokowego byłem w błędzie skupiając uwagę na tym, co leżało z wierzchu i lekceważąc niejasności, które z czasem przeszły w potwierdzoną przez fakty pewność.

Czemerys okazał się człowiekiem twardym i żadne „albowiem" Tokowego na niego nie podziałało. Nie podziałały namowy, nie podziałały wykrzykiwane rozkazy.

— Ucz się, młody człowieku — powiedział do Tokowego — naucz się trochę cierpliwości.

Użył jeszcze kilku swoich słów wtrąconych, bardzo odpowiednich w danej sytuacji, i Tokowy cofnął się, gdyż nie sposób było poradzić sobie z Czemerysem.

Było to wprost cudowne. Gdybym należał do nieco wrażliwszych natur, pewnie bym całował Czemerysa

po rękach. Po uczciwych, spracowanych dłoniach, jak się zwykle mówi.

Moim bohaterem i wzorem do naśladowania był mimo wszystko jednak nie Czemerys, lecz Szlachtycz, Lonia Szlachtycz.

7

Aż dziw, jaki był uprzejmy, cichy i delikatny, na hali niczym nie zwracał na siebie uwagi. Trzeba go było długo i bacznie obserwować, żeby się przekonać, iż jego uprzejmość to maskowane wątpliwości, jakie żywi w stosunku do wszystkiego dokoła, a przede wszystkim (wprost nie do wiary!) do samego siebie. A cóż to za człowiek, który nie wierzy w siebie, w swoje własne siły? To człowiek, którego zżera ta niewiara, inteligent w najgorszym tego słowa znaczeniu, chwiejny, miotający się między dwoma brzegami i niezdolny do utrzymania się przy jednym, nie umiejący wybrać. A życie, co tu gadać, jest przede wszystkim wyborem i to niełatwym, nie takim, że wystarczy rękę wyciągnąć i zerwać albo rumiane jabłuszko, albo żółciutkie, lecz wyborem połączonym z walką, z zaciekłym współzawodnictwem; zrozumiałem to już wtedy, kiedy leżałem na kanapie z rozluźnionymi stawami i czekałem, aż wleci mi do gąbki jakiś smaczny kąsek z owoców życia. Nie wlatywało jednak, ani rusz nie wlatywało, do wszystkich diabłów. Zazdrościłem chłopakom, którzy umieją zerwać je sami, nie boją się gonić za tymi owocami i na Wyspy Kurylskie, i nad Jenisej, i do Norylska, i gdzie diabeł powie dobranoc!

Przy pierwszym zetknięciu Szlachtycz wydawał się człowiekiem nieprzeniknionym. Jego marzycielskość i uprzejmość początkowo zbijały ludzi z pantałyku, ale

potem nawet odstręczały od niego tych energiczniejszych, przyzwyczajonych do samodzielnego rządzenia się sobą i swoimi czynami, do brutalnego, że tak powiem, chwytania byka za rogi w każdym poszczególnym wypadku. A życie składa się przecież z poszczególnych wypadków, przyczepionych jeden do drugiego jak wagony jednego składu.

My dwaj z Eugeniuszem znaliśmy Lonię Szlachtycza z jeszcze innej strony, znaliśmy jego skłonność do marzycielskiego filozofowania sobie w domu i pochłaniania wiedzy w zakresie po prostu niepotrzebnym zwykłemu człowiekowi. Na hali ludzie widzieli go wszakże z innej strony, właśnie z tej, która była dla niego najistotniejsza, jeżeli chodzi o kontakt z kolegami po fachu, mogli go ocenić tylko na podstawie tego, czym się wykazywał. A było tego niewiele, bo tylko cicha uprzejmość i niemal niepozorność, zwłaszcza w porównaniu z posturą Tokowego. Tego ostatniego pamiętałem zresztą jako młodego człowieka tak samo chuderlawego i niepozornego, niemal uduchowionego jak Szlachtycz. Tokowy wyzbył się jednak szybko nieokreśloności w charakterze, do czego przyczynił się może fakt, że przybrał niespodzianie na wadze; naruszona ilość przeszła w złą jakość, Tokowy obudził się pewnego pięknego poranku nie tylko krzepki ciałem, ale również z zapasem krzepy duchowej, ideologicznej, że tak powiem. Krzepę swoją Tokowy nie tylko odczuł, lecz postanowił wyciągnąć z niej również niezawodną korzyść. Bo bierz je licho, to uduchowienie i wysubtelnioną delikatność, człowiek żyje wśród żelaza i materiałów twardych, więc subtelności są tu niepotrzebnym zbytkiem, zbrodniczym trwonieniem ludzkiej energii, więc niech żyje słoniowatość, nosorożowatość, hipopotamowatość; im jesteś cięższy, tym więcej problemów potrafisz przywalić i rozgnieść, łatwiej się wybijesz. Życie jest bowiem jak las, przez który trzeba

się przedzierać z siłą spycharki, więc jestem spycharką i nazwijcie to, jak chcecie: albo nieustępliwością, albo nastawieniem ideowym czy też walką różnych ideologii. Nie ja to wymyśliłem, lecz ktoś stokroć mądrzejszy, tyle że do mego użytku, więc trzeba być ostatnim idiotą, żeby nie skorzystać.

Nikt Tokowego nie lubił, ale ludzie wyczuwali w nim siłę i dlatego szli za nim. Tokowy nie tyle zastępował często chorującego kierownika oddziału, ile wypierał starego inżyniera metodycznie i uparcie, z całą nieodwołalnością naturalnego rzeczy porządku, według którego zmieniają się pory roku lub cicho przesuwają się po niebie gwiazdy i planety. Prawo zmienności!

Gdyby kazano ludziom wybierać między Tokowym i Szlachtyczem, wszyscy wybraliby Tokowego, nawet Eugeniusz, a po stronie Szlachtycza opowiedziałbym się chyba tylko ja jako cała jego armia w jednej osobie. Mimo że Eugeniusz bywał ze mną razem u Szlachtyczów i korzystał z ich męskiego towarzystwa, by odpocząć czy też przeciwnie — wzmocnić się duchem, był tak samo prostolinijny jak Tokowy, a niekiedy może nawet przewyższał go w uporze. Eugeniusza (będę go odtąd tak tylko nazywać, bo nie było już Genka z naszego dzieciństwa, nie było Gena, którego wyprawiłem do stolicy, był tylko Eugeniusz, młody człowiek, który stał mocno na nogach, stał tam, gdzie chciał stać, i nic go nie mogło z tego miejsca ruszyć) nic nie obchodziły efemeryczne poszukiwania, odrzucał wątpliwości, jawne lub ukrywane pod uprzejmością czy obojętnością, i leciał jak wypuszczona z łuku strzała, nie jak rakieta, gdyż dzięki radioelektronice rakietę można zawrócić z jej toru, gdzie się tylko chce, a stara i prymitywna strzała, jakkolwiek taka niedoskonała i ograniczona w swoim zasięgu, ma jednak tę wyższość, że zawsze dolatuje tam, dokąd została wypuszczona; a więc Eugeniusz należał do ludzi — strzał i sam siebie

wystrzelił. Dokąd? Bardzo zwyczajnie — tam, gdzie była Ala.

Ala mieszkała w małym mieście hutniczym. Eugeniusz musiał więc opuścić stolicę wbrew wszystkiemu na świecie i mieszkać w naszym mieście. Tam, gdzie Ala. Ala pracowała w walcowni rur, więc musiał tam pracować Eugeniusz. Gdyby Ala uniosła się z pomocą balonu nad ziemię, Eugeniusz też by sobie nadmuchał balon i zawisł nad ziemią. Byle być tam, gdzie Ala.

Może wyda się komuś śmieszne, ale ja miałem swoje wesołe, szare oczy, a czego by człowiek nie zrobił dla takich oczu! Może te dalekie szare oczy, istniejące raczej w mojej wyobraźni niż w rzeczywistości, tchnęły we mnie tę złudną tęsknotę do czegoś wzniosłego, co przeciwstawiało się wulgarnej przyziemności Tokowego, nie pozbawionej, jak mi się wydawało, interesowności. Nie zawsze udaje się wyrazić ściśle wszystko, co kłębi się w głowie. Tylko w sklepach przyczepia się do wszystkich towarów etykietki. W życiu mnóstwo zjawisk nie ma etykietek. Chwyta więc człek pierwszą lepszą rzecz (jak Eugeniusz) i zadowala się tym na czas pewien albo siedzi i czeka, póki ktoś porozstawia te rzeczy na półkach pojęć, weźmie go za rękę i poprowadzi na wycieczkę. I pomyślisz wtedy rozgoryczony: a po co masz własną głowę? Miotasz się jakiś czas niespokojnie, czegoś pragniesz, ale ożywienie niebawem mija i znowu pędzisz jałowe życie w zwykłym rytmie nudy, niekiedy jesteś nawet czynny, ale nic ci nie daje zadowolenia. A serce na coś czeka. Serce czeka...

Wymyśliłem sobie Szlachtycza. Chciałem złączyć w jedną całość i Szlachtycza, i owe radośnie uśmiechnięte szare oczy, wymarzyłem sobie i dalekie oczy, i niezwykłość Loni Szlachtycza. Wierzyłem, że nastanie taki czas, kiedy Szlachtycz otrząśnie się ze swego zadumanego ugrzecznienia i zażąda od wszystkich: Myślcie! I będzie widać po twarzach, kto chce myśleć,

a kto się od tego uchyla. Szlachtycz miał prawo stawiać ludziom wymagania — nie miałem co do tego żadnych wątpliwości, Lonia wydawał mi się skondensowanym rozumem, odsłoniętym jak nerw bolącego zęba.

I zdawało mi się jeszcze, że Szlachtycz nie może jednak w żaden sposób znaleźć dla swego rozumu zastosowania. Jak dla energii atomowej w celach pokojowych.

Nie, znajdzie to zastosowanie.

I znalazł.

Oddał do użytku „rock'n'rolle", z którymi nie potrafiliśmy sobie poradzić w naszym oddziale i na których sam wszechpotężny Czemerys ciągnął brak.

A rzecz najważniejsza — Szlachtycz uwierzył we mnie tak samo, jak ja przez cały czas wierzyłem w niego. Zabrał mnie od Czemerysa, który nadal ciągnął tylko wybrakowane rury, co zdecydowanie i bezlitośnie stwierdzała Ala (panował między nimi pokój, ojciec z córką razem wychodzili z huty i przychodzili do pracy również razem. Czemerys szedł zawsze w milczeniu, Ala coś bąkała po drodze, ale stosunki między obojgiem nie pogorszyły się, mimo że córka wprost zarzynała ojca swoją skrupulatnością i pedanterią), i przydzielił do... Eugeniusza. W ten sposób byliśmy znowu razem po wielu latach, w ciągu których wylegiwałem się na kanapie, obijałem na kursach i wyleciałem z czołgu, a Eugeniusz tymczasem też przestał już łykać szkolne mądrości, obijał przez pewien czas nie ustępujące stołecznym bruki w naszym mieście, zagrał w datującym się od niepamiętnych czasów spektaklu pod tytułem „Ojcowie i dzieci", wypatrzył z bardzo daleka Alę, zrezygnował z dyplomacji, znalazł się znowu w mieście naszego dzieciństwa, lecz tym razem nie jako syn głównego inżyniera, tylko jako samodzielna jednostka opanowana pragnieniem, by stać się prawdziwą klasą robotniczą, co mu się zresztą udało wcześniej niż mnie.

Odpowiednio do naszych zasług Eugeniusz zajmował stanowisko mego zwierzchnika, innymi słowy, miałem pełnić przy nim te same funkcje pomocnika, jakie pełniłem przy Czemerysie. Tokowy nie pozwoliłby za nic przenieść mnie od Czemerysa, gdyż jego życzliwość w stosunku do mojej skromnej osoby jeszcze wzrosła i to do stopnia wręcz już groźnego, ale wmieszał się kierownik oddziału, który machnął ręką na wszystkie swoje choroby, wyjechał przed terminem z sanatorium i kręcił się po hali, brał wszystko we własne ręce i zabierał Tokowemu władzę — ten nie zdołał z niej skorzystać, „rock'n'rolle" bowiem wykazywały nadal nie wróżącą nic dobrego niepokorność czy też nie mogły po prostu dawać tego, do czego nie były przystosowane.

Tak więc kierownik oddziału (Kuzema Fiodor Fiodorowicz, czyli „FF", jak przezywała go żartem młodzież) zabrał mnie od Czemerysa i postawił przy jednej walcarce z Eugeniuszem. Tokowy zawtórował tym przenosinom wrzaskami i grzecznie uśmiechał się Szlachtycz, gdyż przeniesiono mnie na jego prośbę.

Wybiła jego godzina, a my obaj z Eugeniuszem znaleźliśmy się w gronie zaufanych awansującego inżyniera Szlachtycza. Jaki będzie i czy w ogóle będzie ten awans zależało teraz nie tylko od niego samego, ale w pewnej mierze także od nas; z drugiej strony byliśmy w walcownictwie żółtodziobami, bardzo to wątpliwe, by spodziewano się wiele po naszym duecie. Miały tu więc znaczenie jedynie ukryte zdolności Szlachtycza, który wierzył zapewne tylko w siebie samego, a nas dokooptował kierując się po prostu starą sympatią do chłopaków z sąsiedztwa.

Błąd numer jeden.

Bo, jak powiedziałby towarzysz Tokowy:

Szlachtycz zdecydował się na doświadczenie długotrwałe, może nawet beznadziejne. By je przeprowadzić, musiał mieć pomocników wiernych i zaufanych,

a w dodatku jeszcze uległych. Nasz brak doświadczenia był rękojmią tej uległości.

Jeszcze jedno „bo":

Doświadczenie często robi z ludzi kozły ofiarne, a złożyć bez wahania ofiarę z siebie łatwiej jest ludziom młodym, nie mającym jeszcze obowiązków względem innych ludzi; chodzi tu o ofiarę z własnego czasu, wysiłków i zarobków, a w pewnym stopniu także o cierpienia moralne, gdyż możesz stać się przedmiotem drwin i ofiarą prześladowań.

Poszliśmy chętnie za Szlachtyczem, marzyły się nam już wielkie odkrycia i wstrząsy, przewrót w walcownictwie, wawrzyny i uroki sławy.

Błąd numer dwa.

Szlachtycz odrzucił całą swoją uprzejmość i okrutnie nas rozczarował. Oświadczył, że nie zamierza nic nowego odkrywać i na razie nam tego też nie radzi. Jeżeli dać wiarę temu człowiekowi, który umiał tak pięknie opowiadać o wielkich dziełach literatury i wielkich ideach, to ludzkość w ogóle nic nowego nie wymyśla, w każdym razie w ciągu ostatnich kilkunastu tysiącleci, bo tak daleko sięga historia w swoich pismach, a rzecz najważniejsza to legendy, z których najstarsza — to chyba legenda o Atlantydzie, zachowana dzięki Platonowi; a za jeszcze odleglejsze echo zagadkowej przeszłości należy uważać znane teraz powszechnie mapy pewnego admirała tureckiego czy właściwie kopie jeszcze starszych o wiele ich kopii. Nawet trudno sobie wyobrazić, w jak dalekiej przeszłości mogły powstać oryginały tych map, a jeszcze trudniej, wprost nie sposób przypuścić, żeby człowiek z tych zamierzchłych czasów, który żyje w naszych wyobrażeniach pod postacią jaskiniowca, był w stanie wznieść się nad planetę na wysokość kosmiczną, oglądać ją tak, jak oglądają ją nasi kosmonauci; a mapy admirała tureckiego przedstawiają przecież lądy widziane z du-

żej wysokości i zaznaczony jest tam dokładnie kontur Antarktydy, jeszcze nie pokrytej lodami.

Słowem, ludzkość ma już za sobą epokę lotów kosmicznych? Na razie to tylko hipoteza. A może znali ludzie także energię atomową? Znali albo nie, ale o substancji składającej się z atomów mówili już filozofowie greccy. Rakiety? A na jakiej zasadzie zbudowany jest silnik odrzutowy? Wyzyskuje zjawisko odrzutu. Skacząc stosujemy tę zasadę. Gdyby ziemia była lżejsza, odbijałaby się od nas, tak zaś odskakujemy od niej my, przekonując się za każdym razem o jej twardości. Cóż jeszcze. Loty w powietrzu? Ptaki. Pływanie pod wodą? Ryby. Nie ma nic nowego w zdeterminowanym wszechświecie. Powiedziałby tak docent Kryżeń. (Słowo daję, gdybym był dziewczyną, zakochałbym się w Kryżeniu za jego elokwencję).

Kiedy chodziło o naszą pracę, Szlachtycz nie popisywał się krasomówstwem. Siedzieliśmy we trójkę i Lonia wyłożył nam swoją koncepcję prostą jak świat: przed walcowaniem trzeba spróbować wlewki podgrzać. Nie do wysokiej temperatury, która wywołuje zmiany w strukturze metalu i przekreśli zasadę walcowania na zimno, trzeba go trochę podgrzać do jakichś dwustu — trzystu stopni, żeby ułatwić walcarce pracę. Pewnie, że taką prostą i mądrą rzecz mógł wymyśleć tylko Lonia Szlachtycz.

Błąd numer trzy.

Tokowy, mimo że nic mu o tym nie mówiliśmy, przyszedł do nas sam. Uważał zapewne, że nominację na stanowisko kierownika oddziału ma już w kieszeni, więc szastał się i, jak tylko mógł, popisywał się swoją energią.

Tokowy powiedział:

— Po co to wszystko?

— Co właściwie? — uprzejmie zainteresował się Szlachtycz.

— No, te wasze pomysły.

Tokowy miał oczy jasne i uczciwe. Rzeczywiście nie rozumiał. Dopytywał się powtarzając „po co?" i nie wierzył, ja zaś wierzyłem Szlachtyczowi bez pytań, gdyż chciałem wierzyć. Chciałem i basta. Z przychylności rodzi się zaufanie.

Tokowy chciał jednak wiedzieć i Szlachtycz zreferował mu pokrótce, o co chodzi.

— A teraz poprzestań już na tym, człowieku, i nie przeszkadzaj ludziom, którzy próbują przynieść pewien pożytek.

— A kto to wymyślił? — zapytał Tokowy gapiąc się swoimi jasnymi, naiwnymi oczami.

Szlachtycz mógłby zwyczajnie odpowiedzieć „ja", ale odpowiedział inaczej:

— Mistrz Czereda.

— Mistrz Czereda? — zapytał Tokowy i poufale poklepał mnie po ramieniu. — Myt'ko jest już u nas mistrzem?

— Mistrz Czereda — spokojnie powtórzył Szlachtycz i dodał: — Ten, którego wyprawił pan na emeryturę.

— Ach, na emeryturę... — Tokowy teraz dopiero pomyślał o moim ojcu, ja zaś zaczerwieniłem się i gotów byłem zapaść się pod ziemię, bo chyba właśnie wówczas domyśliłem się, dzięki czemu znalazłem się w „drużynie Szlachtycza": przez wdzięczność, jaką miał dla mego ojca, wziął mnie do siebie. A może ojciec postawił taki warunek, że niby zdradzę ci tajemnicę, ale musisz za to pomóc memu Myt'ce, bo inaczej nic z niego nie będzie, nie przysporzy robotniczej sławy dynastii Czeredów.

— Na emeryturę... — raz jeszcze powtórzył Tokowy jakby z żalem, że Szlachtycz jest jeszcze zbyt młody, by zastosować do niego tę piękną formułę prawną: „na emeryturę".

— Wypróbowano to podczas wojny — wciąż tak samo spokojnie tłumaczył Szlachtycz — na Uralu. Podgrzewano wlewki lampą lutowniczą. Lżej wtedy szło wyciąganie rur...

— Do samowarów? — przerwał Tokowy.

— Co proszę? — Szlachtyczowi nawet do głowy nie przyszło, że ktoś mógłby sobie pokpiwać.

— Pytam, czy były to rury do samowarów. Bo jak lampą lutowniczą — to chyba rury do samowarów?

— Do celów wojskowych — powiedział Szlachtycz i odwrócił się, żeby coś pokazać elektrykom, którzy montowali dla nas urządzenie do podgrzewania wlewków prądem elektrycznym.

— No, no — zatrzepotał rękami Tokowy — jak powiedział poeta: „Twórz, wymyślaj, próbuj!"

Chciałem zapytać Szlachtycza o siebie, że niby tak a tak, dzięki czemu się tu znalazłem? Nie odważyłem się jednak. Był przecież Eugeniusz. Eugeniusz jest moim kolegą. Będziemy razem, a potem — zobaczymy, jak się sprawy potoczą.

Za to z ojcem nie omieszkałem pogadać od razu.

— Podpowiadasz młodym inżynierom pomysły? — ruszyłem do ataku ledwie przestąpiwszy próg domu.

Tato siedział przy stole uzbrojony w nożyce i obłożony gazetami. Od czasu, kiedy go przeniesiono na emeryturę, codziennie wycinał coś z gazet i chował do różnokolorowych teczek, które trzymał pod zamknięciem. Co właściwie wycinał i chował?

— Lońko Szlachtycz to chłopiec z głową na karku — mruknął ojciec — ideowy chłopiec.

— A ja co, jestem bezideowy?

— Jesteś jeszcze młody.

— Młody, młody! Od Czemerysa się tego nauczyłeś?

— Sam też tak sądzę. Dlaczego taki jesteś rozgorączkowany?

— Bo nie chcę, żeby mną handlowano.

Tata złożył swoje wycinki i wstał.

— Umyj się, zjemy obiad. A kto tobą handluje?

— Ty! — wrzasnąłem. — Sprzedajesz mnie Szlachtyczowi za tę twoją sztuczkę z lampą lutowniczą. Jak w sklepie sprzedaż wiązana.

— Głupi jesteś, Myt'ko — westchnął stary — nikt nikomu o tobie nie napomknął. A wziął cię Lońko, to się go trzymaj.

— No! — Od razu odechciało mi się krzyczeć, nie byłem przyzwyczajony do takich kłótni z ojcem, on zresztą również.

— Trzymaj się Loni — powtórzył tata zamykając szufladę ze swoimi wycinkami.

8

Dobrze mu mówić: trzymaj się. Krzyczą tak pewnie ludzie przyglądając się, jak kowboj dosiada dzikiego konia, który po raz pierwszy czuje na grzbiecie jeźdźca. Oglądamy to często w zagranicznych kronikach filmowych, tak często, że czasem odnosi człek wrażenie, jakby ludzkość dzieliła się tam na dwie części, na kowbojów i tych, co się im przyglądają. Jedni hałasują i kibicują, drudzy usiłują utrzymać się na grzbiecie dzikiego mustanga. Kończy się to zawsze jednakowo: po narowistym brykaniu i stawaniu dęba koniowi udaje się bryknąć jakoś tak, że kowboj leci na łeb, na szyję na ziemię. Chyba żaden się jeszcze nie utrzymał. Przynajmniej w tych ujęciach, które oglądałem.

A my mieliśmy do czynienia z czymś gorętszym niż najbardziej nie okiełzany ogier. Zwrócone były na nas spojrzenia wszystkich, ludzie przypatrywali się nam bacznie i wyczekująco, a za naszymi plecami pokpiwali sobie z nas, besztali, mieszali z błotem, uważali nas za

zera. Może zresztą nie wszyscy, ale czyż był na to czas, by się zastanawiać, kto jest po naszej stronie, a kto przeciwko nam?

Dokoła nas tylko wzruszano ramionami. Nic się nam nie udawało, nic nie zarabialiśmy, a pracowaliśmy jak katorżnicy.

Szlachtycz pokazał wreszcie pazury. Zachowywał się w stosunku do nas jak kolonizator czy plantator i trzymał przy walcarce przez dwie zmiany. W ogóle zapomnieliśmy, co to takiego zmiana, co to dzień roboczy i czas. Mnie było wszystko jedno, były zawsze przy mnie szare wesołe oczy, które jaśniały w chwilach najcięższego zmęczenia i nie zasnuwały się mgłą mimo najboleśniejszych niepowodzeń. Ale Eugeniusz... Jak potrafił trwać przy tym naszym może beznadziejnym poczynaniu, kiedy wokół Ali zaciskał się żelazny krąg zalotników, wśród których byli tacy złotousci jak docent Kryżeń!

Podgrzewaliśmy przeklęte wlewki tylko odrobinę, niemal dłońmi, ale „rock'n'roll" przepuszczał je równie niechętnie jak zupełnie zimne. Rozzłoszczeni rozpalaliśmy je wtedy do trzystu — czterystu stopni; palił się smar i trzeba było rezygnować z walcowania, żeby nie uszkodzić walcarki. Zmieniliśmy smar (Szlachtycz wziął na próbę grafit) i nasz „rock'n'roll" zaczął od razu wyrzucać rury z podejrzaną łatwością, prędzej niż u Czemerysa: Może nareszcie sukces? Ala rozwiała nasze złudzenia z bezlitosnym okrucieństwem. Okruszyny grafitu „wpalały się" w stal, powodowały uszkodzenia, niewidzialne dla oka, ale nie dla kontrolnych przyrządów Ali, i rury były do niczego!

Szły jednak, bierz je licho!

Szlachtycz pojechał do miasta obwodowego, do Instytutu Walcownictwa. Wrócił stamtąd z młodym człowiekiem o cienkiej szyi i bujnej czuprynie, aż śmiech, jaka cienka była ta szyja i jaka bujna czupryna. Opro-

wadzał go po wszystkich instancjach zakładów i przedstawiał:

— Aspirant Frusin.

— Hrysza — mówił aspirant i śmiesznie pociągał nosem.

— Nasz Szlachtycz znalazł chyba najlepszy sposób, żeby sprawę pogrzebać — powiedział chmurząc się Eugeniusz, kiedy posłyszał to aspiranckie pociąganie nosem.

Ja milczałem, ale cierpliwość Eugeniusza mogła się już dawno wyczerpać i chyba nie doczekałby się lepszego pretekstu niż Hrysza Frusin. Gdzieś tam działo się coś z Alą. Alternatywa była tylko jedna: albo Ala, albo nasze doświadczenie. Rozumiałem Eugeniusza i milczałem. Na jego miejscu chyba już dawno pobiegłbym „podkasawszy portki" za komsomołem — mam na myśli jego skład żeński.

Eugeniusz powstrzymał się jednak także tym razem i poprzestał na uwadze o śmiesznym pociąganiu nosem.

A potem przyjechała Zizi. Nie był to jeszcze ten przyjazd, kiedy wszystko skomplikowało się na dobre, lecz dopiero jakby rekonesans: Zizi wionęła po mieście, pokręciła się po hali śmiejąc się perliście — dołeczki na policzkach, kilka tanecznych kroków, porozumiewawcze spojrzenia — oczarowała całą męską populację i zniknęła. A przyjechała, żeby przywieźć do nas z Instytutu Walcownictwa, w którym pracowała jako asystentka, swoją przyjaciółkę Dianę. Dianę mianowano asystentką Hryszy Frusina. Taki młody i już ma asystentkę! Poszliśmy przyjrzeć się jej. Popatrzeć na Dianę chodzili wszyscy mężczyźni, kobiety i dziewczęta — też. Diana odznaczała się bowiem niezwykłą urodą. Taka piękna dziewczyna wprost nie pasowała do naszego otoczenia, wyrastała nad poziom zjawisk naturalnych, była odchyleniem od normy społecznej podobnie jak nasz zakładowy poeta o jowiszowych

brwiach. Gdyby poeta młodszy był i nie był obarczony dużą rodziną, spróbowalibyśmy ożenić go z Dianą. Zresztą — daremny trud. Diana nie uległaby pewnie ani poecie, ani Bogu, ani diabłu. Siedziała dumna jak bogini, ciało jej było takie białe, włosy takie bujne, tak hojnie roztaczała swoje uroki, ale piękność jej tchnęła takim chłodem jak lody Grenlandii.

— W sam raz żona dla Szlachtycza! — powiedziałem do Eugeniusza.

— Dlaczego dla Szlachtycza?

— No, jest człowiekiem trochę niezwykłym, wyjątkowym. Tak długo się w nikim nie kocha.

— To jego rzecz — Eugeniusz nie miał widocznie zamiaru rozmawiać na temat czyichś spraw sercowych, bał się pewnie, że wypłyną przy tym jego własne.

— Ależ taka piękność!

— To mu powiedz. Otwórz ślepemu oczy.

— Powiem, nie bój się.

I rzeczywiście powiedziałem. Szlachtycz słuchał mnie uważnie i nawet się nie uśmiechnął, a po kilku dniach przyniósł mi do domu duży album „Piękne kobiety" — wydawnictwo berlińskie.

— Widzisz, jak różni artyści różnie patrzyli na piękno. Mieści się tutaj osiem czy dziesięć stuleci. Dwóch podobnych obrazów chyba nie ma. I dwóch podobnych kobiet — także. Widocznie to czysto subiektywne. Ze sfery idealizmu. Niekiedy nie trzeba się bać idealizmu. Ja się nie boję.

Gdyby jeszcze do każdego z tych obrazów dołączona była bodaj krótka historia każdej z modelek. Spróbowałem je wymyślać, ale od razu skapitulowałem. Wszystkie te kobiety należały do świata, który był dla mnie obcy i nieprzenikniony. Patrzyłem na nie z perspektywy stuleci jak przez kilometrowe warstwy wód oceanu. Bo na przykład Salome z głową Jana Chrzciciela! Dlaczego uznać mam ją za piękną, kobie-

tę, której podano na półmisku odrąbaną brodatą głowę, a kobieta ta z bezwstydnie odsłoniętą piersią usiłuje upierścienionym palcem podnieść powiekę na martwym oku?

Co prawda, znalazłem tam również Dianę, boginię lasów i polowania, o której mógłbym coś wymyśleć, bo na obrazie patrzyli spoza krzaków na nią i jej ładne, młode służebnice lubieżni brodaci satyrzy.

Cóż mogłem jednak wymyśleć o Dianie, asystentce Hryszy Frusina? Sam Hrysza nazywał Dianę nie inaczej jak tylko boginią, a dziewczyna łaskawie godziła się na to imię zastępcze i w głębi duszy było jej chyba przyjemnie, ale żeby dać coś po sobie poznać... Z jednakowym powodzeniem można było zapewne nazywać Dianę hakiem albo miotłą — nie wytrąciłoby to jej z chłodnej obojętności.

A z obojętnością tą szła w parze tępota i głupota. Obowiązkiem asystentki było notować wyniki badań, które prowadził Hrysza. Frusin brał kawałki rur, nagrzewał je i próbował walcować na specjalnym urządzeniu. Musi tak wypróbować tysiące wariantów, aż wreszcie ustali te warunki, które były nam potrzebne. Zwyczajna mechaniczna praca, wymagająca cierpliwości. Jak każde zresztą doświadczenie. Od Diany nikt nie wymagał nawet cierpliwości, lecz jedynie staranności. „Bogini" udawało się jednak tak zaplątać notatki, że zrozpaczony Hrysza wichrzył swoją czuprynę, wyskakiwał z laboratorium i biegł przez halę krzycząc:

— Trzymajcie mnie, bo ją zabiję!

Tokowy przyglądał się cierpliwie temu „cyrkowi" Szlachtycza. Przełknął i Frusina, i Dianę, przyczaił się w swoim okopie nieufności i wyczekiwał w przekonaniu, że czas pracuje na szkodę starego kierownika oddziału i na korzyść jego, Tokowego. Był niezachwianie wierny popularnej w pewnych kołach zasadzie, że inżynier jest dopiero wtedy prawdziwym inżynierem,

kiedy zostaje kierownikiem, wybija się, robi karierę, do czego niezbędne są jakieś szczególne zalety, jakiś dar, nie zaś sama tylko głowa i umiejętność myślenia. Głowę ma każdy i myśleć też każdy umie, ale dyrektorem zakładów zostaje jeden z dziesięciu tysięcy, a kierownikiem oddziału — jeden z tysiąca.

Szlachtycz chodził i myślał. A co wymyślił? No cóż, nic! Przecież wszystko takie jest proste: kupiono ci za złoto doskonały sprzęt techniczny, więc opanuj go, produkuj rury, przepuszczaj przez walcarkę zimny wlewek, rozgniataj go i przepychaj jak zły los. Im więcej, tym lepiej. Z pożytkiem dla narodu i dla kraju, a tym samym — jeszcze dla czego? Dla komunizmu. Ba, ani mu w głowie. Chce czegoś szukać. Dziury w całym. Jakieś doświadczenia. Jakieś wariactwa. Jakiś abstrakcjonizm w walcownictwie.

Nasza walcownia nie wykonywała zadania państwowego. Jeżeli naszej trójce można było zarzucić niepotrzebne eksperymentowanie, to wszyscy inni, mimo że pracowali zgodnie z instrukcjami Tokowego, nie mieli lepszych wyników.

Wtedy właśnie przyjechała do huty komisja państwowa.

Ale mimo wszystko pierwsza przyjechała Zizi. Frusin zatelefonował bowiem do instytutu i wprawiając w drżenie instalację telefoniczną na całym dystansie aż do miasta obwodowego wykrzyczał, że zabije Dianę, jeżeli ktoś jej natychmiast nie zastąpi. Zizi przyjechała, żeby pomagać Hryszy. Jakkolwiek to smarkacz i smarkaczami jesteśmy my wszyscy.

— Uważasz, że Lonia Szlachtycz też jest smarkaczem? — zapytałem rozgniewany.

— Pewnie, że z twego Loni też smarkacz! — odparła Zizi.

— A niby dlaczego mój?

— Bo przecież nie mój! — roześmiała się Zizi.

W jednej chwili przewróciła wszystko w naszym domu do góry nogami i wysypała z teczek wszystkie wycinki ojca. Tata zupełnie nie mógł sobie z nią poradzić, ale nadbiegła mama i załamującym się głosem — nigdy nie widziałem mamy w stanie takiego zdenerwowania — wrzasnęła na Zizi:

— Nie waż się, ty modnisio! Ojciec pracuje! Pisze pamiętnik!

Pisze pamiętnik? Nasz tata pisze pamiętnik?... Przecież przez całe życie pisał tylko wykazy. Dotychczas stoją mi przed oczyma. Przynosił do domu wytłuszczone kartki. Nazwisko, wielkość produkcji, stawki taryfowe... Wszystko to miało robić biuro, ale ojciec ofiarował swoje usługi sam. Był chorobliwie uczciwy, jeżeli chodziło o wykonywanie swoich obowiązków i wydawał mi się nawet trochę śmieszny i staroświecki.

Jak mógł pisać pamiętnik? O czym? Przez całe życie nic tylko huta, huta i huta. Nie strzelał, nie biegł do ataku, nie brał szturmem miast nieprzyjacielskich, nie ratował czeluskinowców, nie siedział na krze, nie dokonał przelotów bez lądowania, nie skakał ze spadochronem ze stratosfery, tylko po prostu produkował metal i „ciągnął rury". Więc jaki tu pamiętnik? Nie spotkał się ani z carem Mikołajem, ani z Churchillem, za granicą nie był, nie dostał się do niewoli, do wrogich ugrupowań i partii nie należał, przeciwko władzy radzieckiej nie walczył jak Sawinkow lub Szulgin — więc o czym jeszcze pisać? Jak walczył o władzę radziecką swoją pracą, swoją sumiennością i honorem? Ależ tak samo walczyło co najmniej sto milionów ludzi. Nie będą przecież ci wszyscy ludzie pisać pamiętników?

— O czym właściwie piszesz? — przycisnąłem tatę.

Nieco zbity z pantałyku niespodzianym biegiem wypadków i przedwczesnym ujawnieniem jego ukrywanego zamiaru — wtajemniczona była tylko mama —

ojciec podreptał chwilę w miejscu i spojrzawszy z pewną nieufnością na Zizi, cicho powiedział:

— O ideowości komunistycznej.

Od razu podbiegła Zizi, zawisła na szyi ojca, cmoknęła go w policzek i szepnęła mu do ucha:

— Daj mi przeczytać.

Zdjąłem ją z ojcowskiej szyi i postawiłem o kilka kroków dalej.

— Przecież to nie „Tarcza i miecz".

— Sam sobie czytaj o swoich szpiegach! — odpaliła Zizi.

— Nie o szpiegach, tylko o zwiadowcach.

— Alboż się na tym znam! Dasz, tato?

— Jeszcze nie skończył! — wtrąciła się mama. — A ty sumienia nie masz, wszystko porozrzucałaś.

— Pozbieram, pozbieram — podskoczyła Zizi. — Myt'ko, pomóż mi!

Przypomnieliśmy sobie dzieciństwo czołgając się po pokoju i zbierając wycinki; trącaliśmy się, niby to mocowaliśmy się z sobą, przewracaliśmy się wzajem na podłogę i śmialiśmy się. Patrząc na nas tata też się uśmiechał, mama poszła dogotować obiad, a wycinki znowu spoczęły w różnobarwnych teczkach. Rozbrykaliśmy się oboje z Zizi jak niegdyś, kiedy byliśmy jeszcze w szkole i w głowie mieliśmy tylko figle. Co do mnie, to nie otrząsnąłem się jeszcze ze zdumienia, z tego nowego, dopiero co zrodzonego wrażenia, niespodziane odkrycie wprawiło mnie w stan zakłopotania: mój ojciec, emerytowany mistrz Matwij Serhijowicz Czereda pisze pamiętnik, który zatytułował „O komunistycznej ideowości". Widocznie nie są to wspomnienia, tylko refleksje na temat życia, do których w żadnym razie nie dorosłem. Starczyło mi aż nadto wspomnienie szarych, jaśniejących radością oczu, podobnie jak Eugeniuszowi wystarczało milczeć i cierpieć w pobliżu nieprzystępnej Ali; nawet pracę trak-

towaliśmy na razie jak sport, od razu marzyły się nam rekordy, marzyło się, że skoczymy wyżej niż wszyscy, do czego zresztą nie przygotowywaliśmy się wcale; a przygotowanie należy zacząć od razu, kiedy rodzi się pomysł, bo potem, jeżeli pracy nie przyświeca szczytna idea, będzie się ta praca wydawała nudna, męcząca i daremna, wyczerpie się twoja cierpliwość i wycofasz się, nie zrealizowawszy ostatecznie zamiarów — może dlatego tak wiele jest w życiu nieukończonych spraw, że nie umiemy się całkowicie poświęcić jednej myśli, co udaje się tylko bardzo niewielu.

Najmniejsze nawet poruszenie w naszej duszy szuka ujścia w jakimś działaniu, tym bardziej gdy ma człowiek dwadzieścia lat. Trąciłem Zizi jakoś silniej, niż pozwalała na to zabawa. Zizi uderzyła się mocno ramieniem o nogę stołową i strzeliła w moją stronę zielenią swoich oczu ze zdziwieniem i urazą.

— Czego mnie tak szturchasz? Cieszysz się, żeś taki duży i taki głupi?

Nie chciałem być głupi czy naiwny, moje dzieciństwo skończyło się już dawno, mimo że upłynęło od tego czasu jeszcze niewiele lat. Były wtedy szkolne krzesełka z cienkich prętów, margaryna zamiast masła, koszule ze sztucznej tkaniny w jakichś brudnych i nieprzyjemnych kolorach, kiepsko oświetlone ulice. Czy zdawałem sobie z tego sprawę? Przecież trawa była wówczas taka sama, lody, co prawda, wodniste, były jednak i było niebo, może nawet piękniejsze, bo amerykański U-2 jeszcze się na nim nie pokazywał.

Dzieciństwo ma w sobie jakąś roślinną beztroskę. Świat wydaje się nam taką czy inną grą i później staramy się wnieść do swego świadomego życia przyzwyczajenie do tej gry, na różne sposoby maskując swoje zamiary, co robimy świadomie lub odruchowo, ale wcześniej czy później dzieje się coś, że trzeba tej grze położyć kres na zawsze; staje się to bądź pod wpływem

bólu od nieustannych ciosów, bądź w szczęśliwych chwilach olśnień, jakich doznają myśliciele i marzyciele. A są również tacy, co usiłują gwałtem przedłużyć dziecięcą grę przez całe lata podobnie jak docent Kryżeń, który chciał zwabić do chatki zbudowanej ze słów ładną dziewczynę Alę. Moja gra skończyła się przedwcześnie. Może wtedy, kiedy wyleciałem z czołgu, może wtedy, kiedy pochyliła się nade mną twarz o wesołych i szarych, szarych i niezapomnianych oczach, może z powodu niepowodzeń w walcarni, gdzie — jak mi się zdawało — lada chwila chwycę w ręce kawał czegoś materialnego i po raz pierwszy w życiu stworzę sam coś nowego, nowy mały świat, stworzę i dodam do tego, co tworzy cała klasa robotnicza; ale ręce moje trafiały na próżnię, siły uchodziły w piasek, jakbym walczył z siwym dymem lub z mgłą.

A może gra kończyła się dzisiaj wraz z tym okrzykiem naszej mamy, która przestraszona trochę i triumfująca zarazem oznajmiła, że mój tata, mistrz walcownik Matwij Serhijowicz Czereda, pisze pamiętnik...

9

— Co właściwie piszesz, tato?

Pewnie tak powinienem był zapytać taty upatrzywszy porę, w której bylibyśmy tylko we dwóch, zapytać nie przez zwykłą ciekawość, nie tak sobie, lecz z całą odpowiednią powagą i miłością, jaką żywi dla ojca każdy chłopiec w wieku lat dwudziestu, ale bynajmniej nie każdy potrafi wyrazić.

Ja nie potrafiłem również. Więc nie zapytałem. Złość mnie brała, że ojciec tak od razu uległ Tokowemu, że nie stawiał żadnego oporu (kiedy go wypchnięto na emeryturę, był u szczytu swoich możliwości jako mądry

i doświadczony mistrz); a mógł walczyć, powinien był zostać w zakładach, żeby przekazać wszystkie swoje osiągnięcia młodzieży, przekazać je mnie, bo należałem do młodzieży, byłem jej uosobieniem; i oto teraz, pozbawiony ojcowskiej opieki, na którą liczyłem może zresztą podświadomie, patrzyłem na wszystko z ironią, niewiarą i lekkomyślnym tumiwisizmem — może nawet nie ja sam, tylko moi rówieśnicy, a ich wpływom musieliśmy ulec obaj z Eugeniuszem, gdyż próżnia się wypełnia (stare prawo Torricellego, znane jeszcze z szóstej klasy!), natura nie toleruje próżni. Ojciec nie powinien był się cofnąć, stanowisk bojowych nie oddaje się bez walki — oto prawdziwa ideowość komunistyczna, jeżeli o to już chodzi, a nie pisanie pamiętnika i kolekcjonowanie wycinków z gazet, by zagłuszyć poczucie krzywdy.

Ojciec chyba wciąż jeszcze uważał mnie za dziecko, nie traktował mnie poważnie; sam zresztą czułem, że jestem w jakimś nieokreślonym stanie i nie zdaję sobie jasno sprawy ze swoich pragnień, zwłaszcza jeżeli ich źródłem jest moja bezprzedmiotowa tęsknota do promiennych, szarych oczu, raczej wymyślonych niż realnych. Nie umiejąc jeszcze powiedzieć, czego im trzeba, dzieci zwykle krzyczą. Nauczywszy się mówić i wyrażać swoje życzenia, z czasem przestają się drzeć i milkną, gdy są czymś zaniepokojone lub z obawy przed kpinami. Żeby zaś odpłacić światu za jego okrucieństwo, same czym prędzej uczą się drwin i kpią sobie niekiedy ze wszystkiego, co dla nich najświętsze i najdroższe, cierpią w głębi duszy, ale uparcie wykrzywiają usta w uśmiechu.

Ojciec wybrał dzień wolny od pracy, kiedy siedziałem w domu, bo Eugeniusz pobiegł szukać Ali, a Szlachtycz nie zapraszał do siebie nikogo, gdyż miał mnóstwo kłopotów z powodu naszych nieudanych doświadczeń; tato długo kręcił się niezdecydowanie i dreptał koło

mnie wybierając odpowiednią chwilę, chrząkał i pokaszliwał. Znałem go dobrze i wiedziałem, że chce mi coś powiedzieć, ale zaciąłem się w milczeniu z całym okrucieństwem i przypatrywałem się z jakąś złośliwą satysfakcją jego niezręcznym manewrom wokół mojej kościstej i prawdę mówiąc marnej osoby.

Mimo wszystko zdobył się wreszcie tato na odwagę.

— Mówiliśmy wtedy o tym, Myt'ko — zaczął pokaszlując i czerwieniąc się. — Więc chciałem ci dać...

— Co chciałeś mi dać? — zapytałem nie zdradzając zainteresowania.

— Do przeczytania... Jeden zeszyt... Ze środka. Jedno zagadnienie...

— Ach, zagadnienie...

Chciałem jeszcze powiedzieć: „Opracowujesz jakieś zagadnienia? Znalazł się jeszcze jeden profesor..." Pohamowałem się w porę, zamaskowałem ironiczny uśmiech udając ziewnięcie i wyciągnąłem rękę:

— Daj, przeczytam...

Tata wyjął z szuflady gruby zeszyt w czarnej ceratowej okładce (rzeczywiście czarnej i rzeczywiście ceratowej — okładki takie jakoś szczególnie lubią wszyscy, którzy zaczynają pisać na starość) i pokazał mi:

— O, stąd dotąd... Reszta nie jest jeszcze gotowa, jeszcze nad tym przemyśliwam...

— Zorientuję się — powiedziałem protekcjonalnie, z wyżyn swego wieczorowego uniwersytetu ludowego i z perspektywy wieczności przejętej od Spinozy za pośrednictwem docenta Kryżenia. — O Spinozie słyszałeś?

— O Spinozie? Nie, nie słyszałem — zmieszał się tato. — A kto to?

— Był taki filozof. Z perspektywy wieczności.

— A — a — powiedział tato zupełnie takusieńkim tonem, jakim odpowiedziała wtedy Kryżeniowi Ala. I w tonie tym też zadźwięczało jak wówczas w słowach

Ali pod adresem Kryżenia: „Mimo że coś tam paplesz o Spinozie, ale jeszcze głupiec z ciebie".

Tata przez całe życie pisał zlecenia robocze i wykazy, teraz wycinał z gazet jakieś artykuły i wyjątki z artykułów, ale nigdy nie przypuszczałem, żeby czuł się jak w swoim żywiole w sferze czystego rozumowania i górnych pojęć, na które przypada połowa tekstu w dziennikach i książkach o treści politycznej, nigdy bym nie podejrzewał, że ma skłonności do myślenia ścisłego, nawet czysto naukowego. I dochodził tu jeszcze do głosu zwykły ludzki żal z powodu własnej krzywdy i krzywdy wielu innych ludzi, którym przeszkodzono w wykazaniu się zdolnościami, dźwięczał cichy wyrzut, skromne przypomnienie błędów może własnych, a może całego swego pokolenia.

Ojciec pisał:

„Leninowi obce były małe ambicyjki, zazdrość i inne niskie uczucia. Cieszył się zawsze szczerze, widząc zdolnego i mądrego pracownika, i starał się zawsze typować go na właściwe stanowisko. W jednym z listów Włodzimierz Iljicz stwierdza na przykład: «Czicherin to doskonały pracownik, sumienny i znający się na rzeczy. Trzeba takich ludzi cenić. Nic strasznego, że nie ma zdolności do sprawowania dowództwa. Czyż mało jest ludzi, których wadą jest nadmiar tych zdolności!»".

Tata pisał:

„W swoim czasie w kadrze kierowniczej było mało młodzieży. Wyłoniła się więc potrzeba typowania na wyższe stanowiska ludzi młodych, przy czym nie dopuszczano do żadnego, nawet najmniejszego przeciwstawiania młodych starej kadrze i na odwrót.

Zdarza się niekiedy, że ci i owi kierownicy nie umieją właściwie ocenić ludzi znających się na rzeczy i wysunąć ich w porę na odpowiedzialne stanowiska, godzą się z faktem, że na stanowiskach tych pracują

czasem długo ludzie, którzy nie dotrzymują kroku życiu. Zamiast pozbywać się takich pracowników, przerzuca się ich niejednokrotnie z jednego stanowiska na drugie. Wszystko to powoduje zastój i hamuje dopływ nowych sił.

Niezachwianą zasadą naszego życia państwowego powinno być systematyczne odnawianie kadry specjalistów, kierowników aparatu. Kierownictwo obejmować muszą ludzie najzdolniejsi i najbardziej oddani sprawie partii".

To już wziął tata najwidoczniej z wycinków gazetowych, były to znane prawdy, któż tego nie wiedział. Tak właśnie Tokowy zepchnął kiedyś na emeryturę mego tatę, a teraz pragnął ze wszystkich sił wygryźć także kierownika oddziału zgodnie z zasadą stałej zmienności pokoleń, kadr, specjalistów i kierownictwa. Wszystko się zmienia na świecie.

Tata nasz żył tylko hutą. Pracował tam, tam go szanowano, był tam nieprześcigniony, a w domu — w domu jest człowiekiem niepraktycznym, który dziwi się, że poza główną w jego życiu sprawą istnieje jeszcze mnóstwo innych spraw; wszystko wydawało mu się drobiazgiem nie zasługującym na uwagę, wszystko poza walcarnią. W naszym domu wszystko spadało na plecy mamy, rodzice nie podzielili się tu pracą i taki już zapanował porządek: w domu wszystko należy do mamy, a do taty — huta.

Warto może opowiedzieć historię zepsutego kurka. Przejść, że tak powiem, od poezji źródeł do komfortowych instalacji wodociągowych i błyszczących kurków. Ale mowa będzie nie o komforcie, lecz o cenie komfortu i moim tacie.

Byli wtedy oboje, tata z mamą, sami przez całą zimę. Ja odbywałem służbę wojskową, a siostry rozbiegły się w różne strony. Prawie jak u Szewczenki.

Tato przychodził z pracy, mył się, jadł kolację i wło-

żywszy okulary zabierał się do gazet, a mama krzątała się w kuchni, sprzątała i robiła porządki. Potem pewnie siedzieli we dwoje i wspominali dzieci, a może czytali nasze listy czy raczej moje listy, bo pisałem je tylko ja, pewnie dlatego, że byłem najmłodszy, albo jeszcze dlatego, że inaczej żadnej wieści o sobie przesłać nie mogłem. Co do siostrzyczek, to wybierały prostszy sposób: Izyda telefonowała, Zinaida też czasem dzwoniła, a Antonida po prostu przyjeżdżała co tydzień w odwiedziny ze swoim mechanizatorem — przyjeżdżali służbowym gazikiem, ale mechanizator marzył o czarnej wołdze z połyskującą obwódką. Ojciec Wuera był profesorem weterynarii, helmintologiem, jak brzmi nazwa naukowa, czyli mówiąc prościej specjalistą od glist. Profesor miał własną wołgę, a Wuer dopiero chciał ją mieć. Jego pragnienie udzieliło się dwu synkom Wuera, Wowie i Borysiowi. Nasz zięć prenumerował pismo „Za kierownicą", uczył się przepisów drogowych, Wowa i Boryś wiedzieli już, na jakie światło można jechać, a na jakie nie, i obaj marzyli: „Umrzę dziadunio i zostawi nam wołgę". Słowem, taki nowoczesny motyw wyprawienia ofiary na tamten świat — wołga. Krótko mówiąc, rodzice mieli z moimi siostrami kontakt bezpośredni, a ze mną — tylko korespondencyjny. Napomknąłem o tym zresztą tylko przy sposobności, bo nie ma to nic wspólnego z kurkiem.

W ogóle z kurkami, żarówkami i zamkami miała do czynienia mama. Nawet ja, kiedy byłem jeszcze w domu i próbowałem niekiedy przyjść jej z pomocą, zmuszony byłem wycofać się ze wstydem, a mama krzyczała za mną z gniewem: „Też się wdałeś w tatę!".

Pewnego wieczoru w kuchni zepsuł się kurek. Nie można go było zakręcić i kapało z niego, ale nie było jeszcze powodu do niepokoju. Mama jak zwykle owinęła go czystym gałgankiem w nadziei, że ten „bandaż" pomoże kurkowi doczekać następnego dnia, kiedy

przyjdzie hydraulik. Z kurka kapało. Coraz mocniej. Potem woda lała się już strugą. Mama się zaniepokoiła.

— Matwij — zawołała — zobacz no, co się dzieje z kurkiem!

Tato przyszedł z gazetą w ręku, zsunął okulary na sam koniuszek nosa, popatrzył na kurek i, rzecz jasna, nic nie zobaczył. Skoro woda się leje, więc kurek pełni swoje funkcje.

— Ależ spróbuj go zakręcić! — powiedziała mama.

Ojciec spróbował. Woda wciąż ciekła.

— Hm! — zdziwił się tato. Widział już teraz, że coś jest nie w porządku, ale co właściwie i dlaczego, nie wiedział. Mechanizm kurka był dla niego zagadką, po prostu nie istniał w tym świecie walcarek, w którym ojciec spędził całe życie.

Mama przepędziła go z kuchni i jeszcze raz spróbowała kurek „zabandażować". Niby trochę pomogło. Przed spaniem zajrzała do kuchni, żeby się upewnić co do stanu swego „pacjenta". Kurek już w ogóle nie powstrzymywał upływu wody, która lała się swobodnie, a zlew ledwie nadążał z pochłanianiem jej strumienia.

— Matwij — zawołała przestraszona mama — Matwij, trzeba coś zrobić! Co z ciebie za mężczyzna? Kurka nie potrafisz naprawić? A nazywa się, że mistrz!

Mistrz Matwij Czereda poczuł się tak głęboko dotknięty w swojej dumie zawodowej, że wbrew onieśmieleniu, jakie budziły w nim wszystkie domowe mechanizmy, poszedł w milczeniu na balkon, znalazł tam wśród rupieci jakiś klucz i wciąż w milczeniu, posapując tylko z niezadowolenia, zaczął majstrować przy kurku; coś tam przykręcał i rychtował, póki kurek ostatecznie nie puścił i woda wypełniła zlew w kilka sekund. Jeszcze chwila i poleje się na podłogę, zaleje kuchnię i całe mieszkanie, zaleje pomieszczenia pod nami, cały „Klub Ludzi Pracy".

— Dawaj wiadro! — zorientował się w sytuacji tato.

Mama przyniosła z łazienki wiadro, tato podstawił je pod kurek i wiadro głucho dudniąc zaczęło się wypełniać.

— Dawaj drugie wiadro!

Drugiego wiadra, niestety, nie było. Mama podała tacie duży rondel. Tata szybko zastąpił pełne wiadro rondlem, a wiadro postawił na podłodze. Teraz tak samo dudniąc pod strugą wody wypełniał się rondel.

— Wylewaj wodę do wanny i podawaj mi próżne naczynia! — zakomenderował ojciec, który, jak się okazało, w decydujących chwilach umiał mimo wszystko komenderować. Było to coś w rodzaju awarii na jego hali i tata poczuł się w swoim żywiole. Mama jakiś czas nosiła wiadro i rondel z wodą do łazienki, a potem tata postawił ją przy kurku i sam zaczął nosić pełne pojemniki oraz wylewać wodę do wanny. W pierwszej chwili nie pomyśleli, co właściwie będzie dalej, chodziło przede wszystkim o to, żeby woda nie zalała mieszkania, ale kiedy tak na zmianę wciąż nosili wodę z kuchni do łazienki, ogarniała ich coraz większa rozpacz. Woda lała się i lała. Końca temu nie było i być nie mogło, ale ich siły były już na wyczerpaniu. Mama zaczęła po trochu besztać ojca. Że niby taki jest i owaki, nic nie umie, do niczego się nie nadaje. Palcem w domu nie kiwnie. I znowu, że taki jest i owaki. Proszę bardzo, co za człowiek. Im mniej miała sił do noszenia wody, tym hojniej szafowała epitetami pod adresem taty — kobiety to umieją, a moja mama była najprawdziwszą kobietą. Cierpliwy na ogół ojciec wreszcie nie wytrzymał i krzyknął:

— Milcz wreszcie, do wszystkich diabłów! Bo sam już...

Spojrzawszy w tej chwili na mamę słaniającą się już z wyczerpania, od razu pożałował swoich słów i cicho dodał:

— Rzeczywiście moja wina. No, co ze mnie za chłop?

A nie wiesz, czy nie można tu nigdzie zamknąć wody?

Mama nie wiedziała, bo w naszym mieszkaniu jakoś nie było zaworu odcinającego. Było to też jedną z osobliwości „Klubu Ludzi Pracy".

— Leć do kotłowni, może zawór jest tam. Będę sama nosiła wodę — powiedziała mama. — Tylko nie marudź, bo nie mam już sił.

Tato poleciał. Trudno sobie wyobrazić mego tatę biegnącego, bo przez całe życie był uosobieniem spokoju i powolności. Tym razem tato pobiegł jednak, popędził schodami w dół aż do kotłowni i walnął w drzwi. Były zamknięte. Ojciec popędził więc do dozorcy i długo go budził, bo dozorca poprzedniego dnia wieczorem trochę sobie podpił; zaspanego i na pół tylko trzeźwego pociągnął go tato do palarni, pociągnął tylko po to, żeby dowiedzieć się pod zamkniętymi drzwiami, że dozorca nie ma klucza.

— Dawaj drąg czy cokolwiek! — zaryczał tato i ten jego ryk był czymś tak niezwykłym, że dozorca od razu wytrzeźwiał całkowicie i migiem przyniósł drąg. We dwóch wyważyli drzwi, ale wejść do palarni nie mogli, bo na progu powitał ich olbrzymi, czarny brytan i zawarczał na nich.

— Drągiem go! — poradził dozorca chowając się na wszelki wypadek za tatę. Mimo bojowego nastroju tata jakoś nie mógł się na to zdobyć, żeby walić drągiem takie doskonałe stworzenie, więc spóbował przemówić psu do rozumu, ale ten tylko szczerzył zęby i warczał, najwidoczniej obiecując w swoim psim języku, że przegryzie gardło każdemu, kto wkroczy do tego królestwa ciepła, którego kazał mu pilnować jego pan, idąc sobie spać albo strzelić gdzieś kielicha za zdrowie wszystkich żywych i umarłych.

Wtedy ojciec przypomniał sobie wreszcie mamę, groza go ogarnęła i wymamrotawszy: „Zaraz mu przyniosę kiełbasy", popędził schodami na górę.

Mama była bliska omdlenia. Już jej nie stać było nawet na epitety, obrzuciła tylko ojca takim spojrzeniem, że wolałby pewnie utonąć w tej powodzi, niż doczekać czegoś podobnego.

— Kiełbasy! — krzyknął wyrywając mamie wiadro — Weź kiełbasy i zanieś do kotłowni! Siedzi tam pies i nie puszcza.

Mama nic nie zrozumiała, ale posłusznie wzięła z lodówki kawał kiełbasy i poszła na dół. Tato przelewał tymczasem wodę z pustego w próżne i rozwiązywał zadanie dla klasy czwartej: jeżeli z jednej rury się wylewa, to po jakim czasie z drugiej się wyleje?...

Pies kiełbasę zjadł, ale ani dozorcy, ani mamy do kotłowni nie wpuścił. Epopeja zmierzała do punktu kulminacyjnego. Teraz już ojciec był u kresu sił i zwaliłby się lada chwila, ale domyślna mama przyprowadziła dozorcę, żeby ten poćwiczył się trochę w rozwiązywaniu zadania dla klasy czwartej. Dowiedziawszy się o zdradzieckim podstępie psa z kotłowni, tato zaczął wykrzykiwać pogróżki, jakich nikt nie słyszał z jego ust i wypadł na schody jak szalony, tak że mama przestraszyła się nie na żarty, spróbowała go dopędzić, ale udało się jej tylko krzyknąć za nim:

— Matwiju, to psisko cię pożre!...

Co się z człowiekiem dzieje, kiedy jest wyczerpany i traci głowę!

Pewnie, że pożreć ojca pies nie mógł, mimo że był potężny. Ugryzł go tylko porządnie w rękę, kiedy tato rzucił się na niego, by za wszelką cenę wtargnąć do kotłowni i dotrzeć do jej zbawczych zaworów. Zakręcił wszystkie jakie tam były. Woda przestała się lać. Co prawda, w rezultacie omal nie doszło do nowej awarii, bo z braku wody o mały włos nie pękły kotły. Jeszcze dobrze, że w porę przybiegł dozorca i odkręcił te kurki, które należało odkręcić.

Pies został ku swojej hańbie wypędzony z kotłowni. Ugryzłszy tatę w rękę zrobił się od razu pokorny i nieśmiały.

Ojciec musiał się poddać zastrzykom przeciwko wiadomej chorobie, którą psy chętnie przenoszą na ludzi.

A nam pozostała historia o kurku. Jedna z historii rodzinnych. Trochę śmieszna i trochę smutna. W zależności, jak kto w ogóle reaguje. Dla mnie i Zizi była to beczka śmiechu, a dla Toni i Izydy — coś tragicznego. Wuerowi dodało bodźca do rozmyślań nad nową, udoskonaloną konstrukcją kurków. A Wiolonczelista jak zwykle nic nie zrozumiał.

— Kurek?... Przepraszam. Niby jaki właściwie kurek?

Co za typ z tego Wiolonczelisty! Jakby jeszcze wczoraj sam nie zakręcał kurków i nie obwiązywał ich sznurkami. Przecież u jego matki, u cioci Odarki, po dziś dzień ciekną kurki. Wszystkie są popsute.

Zresztą, jeżeli Wiolonczelista nawet udaje, że nie zna się w ogóle na kurkach, tysiące ludzi śmieje się i płacze słuchając jego gry. A mój tato, taki niepraktyczny w drobnych sprawach bytowych, przez całe życie dawał ludziom metal i oto teraz, kiedy nawet jego najbliżsi uważali, że zaczął się dla niego schyłek, wykazuje nagle niemal młodzieńczą żywość umysłu, rozumuje w skali państwowej, sądzi z wyżyn swego pracowitego żywota i już nie sposób tu zapytać, kim są sędziowie. Powie bowiem: Klasa robotnicza. Panująca.

10

Kiedy wracam z huty, czuję, że zmordowane są wszystkie moje komórki. Szlachtycz wycisnął ze mnie wszystko. Lonia z Eugeniuszem zupełnie ostatnio po-

wariowali. Eugeniusza zresztą rozumiem, chce udowodnić Ali, że między nim i Czemerysem jest mimo wszystko różnica, wierzy, że nadejdzie dzień, w którym nawet Ala skapituluje i nie znajdzie w naszych rurach żadnej usterki, tylko gdzież jest ten dzień!

A kiedy całkowicie wyczerpany nie tylko pracą, ile jałowością naszych wysiłków, wracam, ledwie idąc, do domu, zastaję tu... Tokowego! Drogiego towarzysza Tokowego, zastępcę kierownika naszej walcowni, ozdobę i chlubę naszej młodej kadry inżynierskiej czy raczej nie całej młodej, tylko tej jej części, która nabiera krzepy, wagi i autorytetu nie dzięki zdolnościom technicznym, lecz dzięki szczególnej konstrukcji głowy. Tak, tak, głowy! Tacy jak towarzysz Tokowy mają głowy, w których wszystko się mieści i które wszystko ogarniają. Robić nie umieją ci ludzie nic, umieją za to wydawać dyspozycje, czyli uogólniać. Moc uogólnienia tkwi w słowie, nie w ręku, nie w rzemiośle. Z początku widzę nie samego Tokowego, tylko jego marynarkę. Szarą nowiutką marynarkę, ostatni krzyk mody, z dwoma wcięciami z boku (nikt nie ma takiej marynarki — nie sposób się pomylić!). Marynarka wisi na krześle w jadalni. Powieszono ją bardzo starannie, żeby się nie zmięła, nie pogniotła — mógł ją tak powiesić tylko towarzysz Tokowy, towarzysz bardzo pedantyczny, i tylko on ma taką modną i ładną marynarkę. Ale jeszcze nie wierzę. Tokowy? U nas? Niemożliwe? Z jakiej racji! . . .

Gdyby prócz marynarki były jeszcze spodnie, szare, nowiutkie, z kantem zaprasowanym równiutko jak ostrze brzytwy, że aż zazdrość bierze, mógłbym jeszcze uwierzyć. Chociaż nie! Nawet wtedy bym nie uwierzył. Raczej bym przypuścił, że Tokowy w jakiś zagadkowy sposób wyskoczył ze swego garnituru i pobiegł na golasa po mieście, niż bym uwierzył, że może się znajdować w ścianach naszego mieszkania, z wizytą

u tego samego mistrza Matwija Czeredy, którego podstępnie, bez uprzedzenia, podle i bezprawnie przeniósł na emeryturę.

W kuchni słychać było głosy, więc skierowałem się tam. Zastałem sielankę, jaka nie śniła się nawet ojcom kościoła. Połączenie przeciwieństw, przyjaźń nieprzyjaciół, zbratanie antagonistów. Wilk i jagnię, lew i łania czy co tam jeszcze! Wszyscy w jednej pieczarze, czyli kuchni. Tokowy — wcielenie rodzinnej atmosfery i domowego ciepła, przepasany fartuszkiem, który podarowała mamie Izyda, ładnym, ozdobnym fartuszkiem przywiezionym z Włoch czy nawet z Paryża, Tokowy w paryskim, damskim fartuszku! Kino! Mama zamieniająca się cała w słuch i oczarowana każdym słowem Tokowego. Tato, zupełnie wykołowany, trzyma w rękach jakiś przedmiot, który pewnie wetknął mu w dłonie Tokowy. I naturalnie Zizi. Kręciła się po kuchni z energią i prędkością katalizatora, który pewnie tak samo uwija się w chemicznej reakcji między drobinami różnych substancji, by połączyć je bodaj na czas pewien w nietrwały związek chemiczny, przyśpieszyć proces.

— Mógłbyś się przywitać — powiedziała Zizi. — Nie widzisz, że mamy gościa.

— Widzę — wyjaśniłem siostrzyczce — widzieliśmy się już dzisiaj. Na hali. Witaliśmy się ze dwadzieścia razy.

— Zuch z naszego Myt'ka — powiedział Tokowy.

Aż dziw: tato skinął potakująco głową jakoś przypochlebnie, wydało mi się nawet, że po wazeliniarsku przytaknął słowom Tokowego. Alboż takie są mądre, że trzeba je jeszcze potwierdzać. I kto to robi! Matwij Czereda, który słynął ze swojej absolutnej niezależności.

— Czy nie wydaje ci się, tato — odezwałem się wciąż stercząc na progu — że jesteś niekonsekwentny.

— Niekonsekwentny? — wykrzyknął rozweselony Tokowy. — Dowcipniś, nie ma co!

Pomachał swoimi długimi rękoma, ten nowoczesny pitekantrop w paryskim fikuśnym fartuszku i zdecydowawszy niebawem, że okazał już mojej osobie należyte względy, zwrócił się znowu do mamy jako do głównej tu postaci.

— Zrobimy to momentalnie. Lufcik w ogóle usuniemy, nie będzie państwu potrzebny. Po prostu go zdejmiemy i może go pani sprzedać albo wyrzucić. Zrobimy to w jednej chwili, prawda, Matwiju Serhijowiczu?

Tato znowu skinął głową. Co prawda, już nie przypochlebnie i wciąż w milczeniu. Widocznie był tu obecny nie z własnej woli, lecz z musu, bo któż by sobie poradził z takimi dwiema kobietami jak moja mama i siostrunia Zizi! Dopiero teraz dostrzegłem, że ojciec trzyma w rękach wentylator, przeświecający plastykowy wentylator, który pewnie przyniósł z sobą Tokowy kupiwszy go w sklepie lub wziąwszy z magazynu w hucie, bo takie same wentylatory były w kantorach przy halach.

— Gaz nie spala się całkowicie — perorował wciąż Tokowy — spala się może jego połowa, a reszta ulatnia się i zatruwa powietrze w mieszkaniu, przede wszystkim w kuchni. Oddycha pani tą trucizną i skraca sobie życie. Wentylator uratuje panią...

„Wentylator uratuje panią..." Tokowy nie przyszedł do nas po raz pierwszy, wiedział, że nie mamy w kuchni wentylatora, był już tutaj, wypatrywał i przewąchiwał, czym by się przypodobać, i — proszę bardzo — przyniósł w podarunku wentylator. Wentylator w charakterze pośrednika... W czym? Czy chce z pomocą tego wentylatora okupić swój świński postępek w stosunku do mego ojca? Przepędzić człowieka na emeryturę, a w dwa lata później podarować mu wentylator.

Technika wkraczająca w byt i stosunki międzyludzkie. Dwudziesty wiek!

I nagle strzeliło mi do głowy: siostrunia! To ona zwabiła tu Tokowego! Pewnie dawno już wpadła mu w oko i stąd zagadkowa życzliwość, jaką mi okazywał towarzysz zastępca kierownika oddziału. Zizi potrafi każdemu zawrócić w głowie. Ale cóż to za cena — wentylator! Czy nie mogła wymyślić czegoś dowcipniejszego? Kazałaby mu na przykład skoczyć z balkonu. Niewysoko tu u nas, zaledwie pierwsze piętro. Nie zabije się, nóg sobie nie połamie, a ile byłoby śmiechu!

Wywołałem Zizi do przedpokoju i szepnąłem jej:

— Powiedz mu, niech skoczy z balkonu.

— Masz źle w głowie?

— Jeżeli mu nie każesz, zapytam, dlaczego przepędził tatę z huty.

— Wariat! — Zizi zasłoniła mi usta dłonią.

Nie miałem jednak nic do stracenia, jak ów proletariat, co zrzucał kajdany. Wszedłem do kuchni akurat wtedy, kiedy Tokowy, czerwony z wysiłku, wykręcał śruby z zawiasów lufcika i oddawał je po kolei tacie.

— Wzruszająca współpraca — powiedziałem ze źle ukrywaną złością — a czyż nie mógłby towarzysz Tokowy podobnie współpracować z mistrzem Matwijem Czeredą także na hali?

— Ha? Co? — Tokowy udał, że nie rozumie, o co chodzi.

— Dlaczego przeniósł pan mego tatę przedterminowo na emeryturę? — zapytałem bez ogródek, mimo że Zizi dawała mi rozpaczliwe znaki.

— No, to nie ja — powiedział Tokowy machnąwszy śrubokrętem i omal nie spadł ze stołka. To wymachiwanie rękoma wyjdzie mu kiedyś bokiem.

— Nie, to pan — powtórzyłem z uporem.

— Podpisałem tylko zarządzenie — z miną winowajcy spojrzał na Zizi Tokowy.

Zizi wybiegła z kuchni.

— A kto pana zmuszał?

— No, mieliśmy zalecenie...

— Czyje? — wcielił się we mnie duch śledczego. Zresztą, mogłem go wypytywać i wypytywać, a niesprawiedliwość pozostanie niesprawiedliwością. Ale mimo wszystko. Niech się czerwieni, niech spada ze stołka.

— No, ogólne zalecenie — pokręcił ręką Tokowy — tendencja...

— Ale pośpieszył się pan, bo...

Nie zdążyłem dokończyć. Wpadła do kuchni Zizi, zmieszana i wystraszona, wołając:

— Upadł, upuściłam go. Taka szkoda! — i pobiegła z powrotem do jadalni.

Tokowy zeskoczył ze stołka i popędził za Zizi — poczuł się uratowany. Wszyscy również pobiegliśmy. W jadalni wisiała na krześle marynarka Tokowego. Ludzi nie było. Ludzie stali na balkonie ze zwieszonymi w dół głowami. Zina pokazywała palcem i krzyczała: „Tam, tam!" — „Aha, błyszczy — ucieszył się Tokowy — zaraz pobiegnę i w tej chwili przyniosę". Pod balkonem na chodniku leżał kolczyk Ziny. Złoty kolczyk z rubinem. Podarunek taty. „Pobiegnie pan?" — w Zinę już wstępował jej nieodstępny bies. „Tak jest" — wymamrotał Tokowy zadowolony, że zbawczy kolczyk pozwala mu przerwać objaśnienia, których od niego żądałem jako dziedzic rodowego nazwiska Czeredów. Ba, źle trafił. „Pobiegnie pan? — skrzywiła się Zizi. — Nigdy nie myślałam, że jest pan taki..." — „Jaki jestem? Jaki? — wykrzyknął zrozpaczony Tokowy oblewając się potem z zakłopotania i przestrachu i pewnie przeklinając w duchu całą naszą rodzinę do ostatniego pokolenia, a także siebie, że się zadaje z taką wietrznicą. — Jakiż jestem"? — „Właśnie taki — wydęła usta Zizi — w końcu mógłby pan dla mnie sko-

czyć z balkonu. Wielkie mi rzeczy, jakieś półtora metra". — „Skoczyć? — Tokowy rzucił okiem w jedną i drugą stronę starając się zyskać na czasie i mierząc przy tym wysokość, obliczając w głowie — tacy jak on nawet nie kichną bez dokładnego obrachunku i własnej korzyści. — Skoczyć? Chce pani, żebym skoczył?" — „Pewnie, że chcę" — powiedziała Zina i odwróciła się od Tokowego czy właściwie zamierzała się dopiero odwrócić, żeby zamanifestować absolutną pogardę dla jego tchórzostwa. Tokowemu nie obca była jednak taktyka umizgów, wiedział, że jeżeli zmarnuje okazję i nie da się poznać jako szczerze oddany konkurent, musi się pożegnać z wszelką nadzieją na przyszłość. A więc nie zdążyła jeszcze Zina odwrócić się do niego plecami, kiedy Tokowy przełożywszy nogi przez balustradę poleciał w dół, poleciał w swoich spodniach, wyprasowanych jak żadne inne w naszym mieście i w fikuśnym fartuszku, przywiezionym aż z Paryża; mama krzyknęła, tato odruchowo kiwnął głową, że niby dobrze mu tak, i parsknął śmiechem zasłaniając dla przyzwoitości usta dłonią, Zizi zaś wybuchnęła śmiechem otwarcie, rozweselona i ucieszona jak małe dziecko.

— Cha—cha—cha! Och, umieram! Nie zabił się pan, Tokowy? Cha—cha—cha! A spodnie się nie pogniotły? Bo dostanie pan od żony! Cha—cha—cha!

Obaj z ojcem zamieniliśmy ukradkiem porozumiewawcze spojrzenia i poszliśmy do pokoju. Mama zdecydowanie współczuła Tokowemu. Mimo wszystko okazał jej tyle względów, zatroszczył się o zdrowie mamy, przyniósł wentylator, chciał go sam wstawić, już się do tego zabrał; bo jacy są ci mężczyźni w domu, żadni w ogóle mężczyźni, gwoździa wbić nie potrafią.

— Po coś go wpuścił do domu? — zapytałem taty.

— Trzeba jakoś żyć z ludźmi. Do końca — odrzekł ojciec. — Można mu zrzucić w dół marynarkę i basta, ale Tokowy i tak nie zniknie.

I rzeczywiście. Zwykłe sposoby na nic się nie zdadzą. Trzeba znaleźć jakiś szczególny. Ale jaki?

Na pomoc Zizi można liczyć tylko gdy chodzi o figle. Zainscenizowała ten kawał z balkonem i kolczykiem nie dlatego, żeby posłuchać mnie czy uratować Tokowego od moich pytań, ale dla własnej zabawy.

Tokowy, rzecz jasna, przyczłapał z ulicy znowu do nas i zabrał się do wentylatora. Trudno było odwieść tego człowieka od raz powziętego zamiaru. Skoro już postanowił pozyskać sobie względy naszej Zizi, to musiał tego dopiąć za wszelką cenę.

Gdyby to był ktoś zupełnie dla mnie obcy i niesympatyczny, sprowokowałbym kłótnię i spróbowałbym zajechać go w szczękę nawet ryzykując, że sam oberwę, ale kiedy chodziło o Tokowego, chyba nikt na moim miejscu nie zdecydowałby się tak od razu. No, powiedzmy, że dam mu w szczękę czy coś w tym guście, a jutro spotkamy się w innych okolicznościach, on jako zwierzchnik, a ja jako jego podwładny, on — największy autorytet, a ja dotychczas terminujący pomocnik mistrza, pechowiec, który ma jeszcze tę złowieszczą właściwość, że czegokolwiek się dotknie, wszystko to się psuje, przepada, leci w diabły: skierowano mnie do Czemerysa i ten zaczął produkować brak, stanąłem przy Eugeniuszu i nic nam dotąd nie wychodzi, a Szlachtycz już pewnie żałuje, że wziął mnie do swojej ekipy, jakkolwiek nie jest wcale zabobonny.

Potem zresztą postawiłem mimo wszystko na swoim. Tak ośmieszyliśmy w końcu Tokowego, że nie zdołał już zyskać w oczach Zizi (czyż w ogóle mógł coś dla niej znaczyć). A jeżeli przywlókł się do nas spod balkonu, to zrobił to widocznie tylko przez wrodzony upór.

Na razie postanowiłem się nie wtrącać. Pozwoliłem Tokowemu przyśrubować wentylator i podbijać w ten sposób nie tyle chyba serce Zizi, ile mamy. Sam za-

stanawiałem się natomiast nad słowami ojca, że „z ludźmi trzeba jakoś żyć. Do końca". Co się w tym kryje? Pokora czy stwierdzenie konieczności. I jak należy rozumieć te słowa? Że trzeba z ludźmi żyć czy że musimy. Bo jeżeli „musimy", to jest to podporządkowanie się okolicznościom, na co człowiek nie może się świadomie zgodzić; a jak świadomie i ostro stara się ojciec sądzić nie tylko o samym sobie, lecz również o różnych ważnych w naszym życiu czynnikach, jak się przekonałem, przeczytawszy owe kilkanaście stronic jego notatek. A były jeszcze całe zeszyty, które zapisał tata przez długie lata odpoczynku, czy mówiąc zwyczajnie próżniactwa, bo sam to tak rozumiał.

No dobrze, powiedzmy, że nie musimy. A jeżeli trzeba? Co wtedy? Dlaczego trzeba? Kto każe? Po co tolerować w swoim otoczeniu ludzi nieszczerych, dwulicowych, nieuczciwych, podstępnych, gotowych nas zdradzić, niedołęgów? Chyba nie warto próbować jakoś ich przerobić, dokonać reedukacji, na nowo zaprogramować, mówiąc językiem nowoczesnym, bo teraz wszystko się programuje i podobnie jak maszyny elektronowe programuje się również ludzi, tylko że nie raz na zawsze! Gdzieś słyszałem, że rózgami można nawet zająca nauczyć zapalania zapałek. A człowiek? Człowieka, jak sądzę, można wszystkiego nauczyć. Człowiek jest przecież panem natury, ma najwyższe zdolności umysłowe. Ma je również Tokowy, rozum ma rzeczywiście, tyle że chytry i jednostronny. Więc co, mamy żyć z Tokowym? A przecież ze mną nie chcieli ludzie żyć, kiedy zapragnąłem leżeć na kanapie i czekać śmierci czy postępu choroby, czy sam nie wiem czego. Pchali mnie to tu, to tam, wsadzili do czołgu i wyrzucili, kiedy był w biegu (nie wierzę, że działały wtedy siły żywiołowe, należał mi się ten upadek za to, że taki byłem nie podciągnięty, należał się właśnie od ludzi). Aha, jestem młody. A czy Tokowy jest już taki stary? — Pięć —

siedem lat różnicy. Tyle, ile między mną i Szlachtyczem.

Nie umiałem rozwiązać tych problemów, mimo że obowiązkową szkołę podstawową ukończyłem i mimo że edukowałem się nadal pomyślnie na uniwersytecie wieczorowym. Mogłem za to zaatakować swoją siostrunię, kiedy towarzysz Tokowy umocowawszy wentylator uwolnił nas wreszcie od swego miłego towarzystwa, innymi słowy, włożył swoją szarą, modną marynarkę z dwoma wcięciami z boku i poszedł w dół schodami „Klubu Ludzi Pracy" mijając graczy w durnia i w domino, którzy stukali kostkami po wypolerowanej powierzchni długich stołów, pokrytych blachą cynkową, i dziko wykrzykiwali: „Dubeltowy! Pusty!", uciekając od tych okrzyków z zabobonnym przestrachem, bo nikt nie chce wyciągnąć w życiu „dubeltowego-pustego" losu, każdy stara się wyciągnąć „dubeltową szóstkę"!

— Po co go do nas ściągasz? — przyparłem Zizi do muru. — Flirtować możesz sobie w instytucie czy gdziekolwiek, tylko nie tutaj! Wiesz co to za jeden, ten Tokowy?

Przyglądała mi się z jawną drwiną w spojrzeniu. Słowem, co mi masz do gadania!

— Wiesz, że jest żonaty?

— No to co?

— Że ma dwoje dzieci?

— No to co?

— Dwóch chłopczyków!

— No to co?

Zbiło mnie trochę z pantałyku to uparcie powtarzane „no to co?".

— Co to ma znaczyć „no to co?" — wrzasnąłem. — Czyż nie rozumiesz!...

— A co ci zależy? — zapytała Zizi, jakby odgadując, co o niej pomyślałem.

— Niby jak... — zbaraniałem — na czym ma mi zależeć?

— Bo ja wiem... — Zizi wzruszyła ramionami. — Na tych chłopczykach czy jeszcze na czymś. A gdyby były dwie dziewczynki? Też byś się tak darł? Czy tylko z powodu chłopczyków? Uważasz, że wyrosną tacy jak ty?

— Co chcesz przez to powiedzieć? Że ci się nie podoba jak wyrosłem?

— Podoba mi się czy nie, mógłbyś mnie zostawić w spokoju.

— Przecież zwabiłaś już Tokowego do domu!

— Phy, zwabiłam... Może to właśnie on się do mnie przyczepił!

— To go odczep!

— Nie chce mi się.

— Pomyśl, co ludzie będą o nas gadali. Mniejsza o tatę i stosunki między nim i Tokowym, ale rodzina Tokowego... W ogóle strona moralna tej sprawy...

— Strona moralna! — Zizi obchodziła mnie teraz dookoła jak tygrysica wypatrująca, jak się zabrać do pożarcia ofiary. — Co ty wiesz o moralności! A może to nieszczęśliwy człowiek!

— Tokowy jest nieszczęśliwy!

— A może żona go tyranizuje?

— A może, a może! — przedrzeźniałem Zinę. — Co mnie obchodzi jego nieszczęście.

— Dbasz tylko o siebie.

— A ty — o cały świat? Czy raczej o jego męską połowę?

— No to co? Moja rzecz! A w ogóle nic ci do tego! Za mały jeszcze jesteś!

— O rok młodszy od ciebie!

— Osesek z ciebie! Gdyby nawet tylko o miesiąc! Gdybyśmy nawet byli bliźniakami i ja urodziłabym się o pięć minut wcześniej niż ty, byłbyś też po dziś

dzień oseskiem. Co właściwie wiesz o mężczyznach? Mam od nich setki listów. Przeczytałbyś i zobaczył...

— Nie mam zwyczaju czytać cudzych listów.

— Wcale ci ich nie dam. Bo nic nie rozumiesz. Gdybyś przeczytał bodaj jeden list, zrozumiałbyś jednak wiele. Zrozumiałbyś ludzką duszę, ludzkie serce.

— Więc dlatego tak kolekcjonujesz te serca! Wbijasz je na szpilki jak motyle.

— Milcz!

Szeptaliśmy sobie słowa, które w innych okolicznościach wykrzykiwalibyśmy na całe gardło, ale trzeba się było kłócić w tajemnicy, starać się, żeby nie słyszeli rodzice; mimo wszystko oszczędzaliśmy mamę i tatę, byliśmy już tacy dorośli, że mogliśmy porachować się z sobą sami i nie wciągać do naszych sprzeczek nikogo więcej. Nie wiem, jak wpłynęła ta sprzeczka na Zizi, ale co do mnie zareagowałem na to wszystko bardzo boleśnie. Przyszedłem następnego dnia do pracy, wziąłem Szlachtycza na bok i powiedziałem:

— Do naszego obozu przedostała się agentura Tokowego.

— Agentura? — Szlachtycz udał, że bierze moją zagrywkę poważnie.

— Agent siedzi w laboratorium.

— Któż to jest? Frusin?

— Zizi! — A ponieważ Szlachtycz patrzył na mnie z uśmiechem, dodałem czym prędzej: — Właśnie Zina, moja siostra.

— Nie rozumiem.

— Moja siostra Zina jest agentem Tokowego. Jego zaufaną osobą.

— Bo co, Tokowy kandyduje na deputowanego?

— Na deputowanego? — z kolei ja nie zrozumiałem. — Na jakiego deputowanego?

— Kiedy ktoś ma zostać deputowanym, potrzebni mu są zaufani ludzie. Żeby opowiadali wyborcom...

— Źle się wyraziłem. Po prostu Zina wtajemnicza we wszystko Tokowego.

Szlachtycz roześmiał się swobodnie i beztrosko.

— Przecież nie mamy żadnych tajemnic. To, co może być tajemnicą, ukryte jest także dla nas pod siedmioma pieczęciami. Dopiero szukamy. A kiedy znajdziemy, będą o tym wiedzieli wszyscy. Po to właśnie szukamy. Dla wszystkich. Także dla Tokowego.

— Tokowy to nie wszyscy.

— Słusznie. Ale należy do nich. Do społeczeństwa. A społeczeństwo to złożony organizm. Ma różne części składowe.

— I z tymi częściami składowymi trzeba żyć? Ze wszystkimi?

— Trzeba? — Szlachtycz w zadumie mruży oko. — Nie, powiedziałbym raczej, że musimy. Czasem musimy.

— Więc to ostateczność? Trzeba się z tym pogodzić?

— Prawdziwy człowiek się nie godzi. Trzeba dokładać wszelkich starań, żeby podnieść ludzi do naszego poziomu, jeżeli ich poziom jest niższy, albo dorównać im, jeżeli sami pozostajemy w tyle. Zadowala cię takie postawienie sprawy, Mytiu?

— No, skoro tak... — mamroczę onieśmielony i idę do Eugeniusza, który przysłuchuje się naszej porannej wymianie zdań dosyć obojętnie, jest bowiem człowiekiem czynu i nie będzie marnować czasu na pustą gadaninę, a poza tym ma wciąż w głowie Alę, kiedy zaś taka dziewczyna wkwateruje się do czyjejś głowy, to żadna milicja już jej stamtąd nie wymelduje.

Zabieramy się do swoich wlewków. Znowu przez cały dzień będziemy się zmagać z upartymi mechanizmami, będziemy łamać ich milczący i zagadkowy opór usiłując im narzucić swoje warunki, one zaś będą je uparcie odrzucać, mimo całej naszej nieustępliwości, wbrew żelaznej woli Szlachtycza i naukowym inter-

pretacjom Hryszy Frusina, które zmieniają się codziennie, a ta zmienność zaleceń nie dowodzi przecież ich ścisłości i słuszności. Hrysza Frusin szuka tak samo jak my i nic nie znajduje też tak samo jak my. Taki jest Hrysza Frusin. Złe języki na hali mielą, że przyjechał tu niby to „w pogoni za szczęściem i karierą", czyli innymi słowy, że chce skorzystać z cudzej pracy i z jej pomocą obronić rozprawę.

Wiemy jednak dobrze, jakim człowiekiem jest Hrysza Frusin.

11

Zmiana się kończy, ale nie dla nas. Ludzie śpieszą do domu, ludzie gdzieś idą, gdzieś ktoś na nich czeka, coś ich gdzieś ciągnie, ale my zostajemy na hali. Można by, co prawda, kichnąć na tę całą historię, machnąć zwyczajnie ręką i także wyjść po zmianie, korzystając z konstytucji i ustawy o pracy, ale trzeba będzie wtedy mieć do czynienia ze Szlachtyczem, co nie jest takie proste.

Nie zapyta mnie, dokąd idę i dlaczego. Po prostu zauważy moją sromotną ucieczkę z pola bitwy i głosem bezbarwnym, grzecznie i uprzejmie, że aż na mdłości się zbiera, stwierdzi fakt:

— Wychodzisz.

Od dawna już Szlachtycz nie jest tym byłym marzycielem nie z tej ziemi, skończyły się oderwane refleksje i piękne rozważania dotyczące nie wiadomo kogo (w żadnym razie nie nas obu z Eugeniuszem) i ustąpiły miejsca jakiejś powszedniej aż do obrzydzenia zaciętości; jeżeli można go także teraz nazwać filozofem, jak nazywaliśmy go kiedyś, to filozofem realnych czynów, odruchów i stanów. Mrużąc swoje zimne, stalowoszare oczy jakoś tak spojrzy, kiedy ukradkiem

wynoszę się z hali, i powie spokojnie: „Wychodzisz". I mogę wytłumaczyć sobie te słowa, jak mi się podoba. Na przykład: „Jesteś zdrajcą". Albo: „Smarkacz z ciebie". Albo: „Szkoda, że cię dopuściłem do spółki".

Spróbuję się przed nim wytłumaczyć. Powołam się, że przyjechała siostra ze stolicy i że nie widziałem jej już dwa lata, że są dzisiaj urodziny mamy, a mamę mam tylko jedną, że umówiłem się z tatą i mamy pojechać w odwiedziny do Wuera, że mam dzisiaj zajęcia na uniwersytecie, że w miejskiej bibliotece właśnie na dzisiaj, tylko na jeden wieczór zarezerwowano mi książkę, a czekam na nią w kolejce od kilku miesięcy. Mogę powiedzieć, co mi się żywnie podoba. Mogę przytoczyć jak najbardziej przekonywujące argumenty, że na przykład stanąć mam przed komisją kwalifikującą kandydatów na kosmonautów. Cicho, grzecznie i z zabójczą uprzejmością Szlachtycz odpowie:

— Nie rozumiem cię.

I basta. Nigdzie nie pójdę, znowu włożę kombinezon i znowu stanę obok Eugeniusza (albo Eugeniusz koło mnie, jeżeli to on chciał dać drapaka) i będę walczyć z niepokornym żelazem, aż mi wszystko na świecie obrzydnie, będę coraz bardziej tracił wiarę w prawo dialektyki stwierdzające zdecydowanie, że ilość musi przejść w jakość. Kiedyż ilość naszych zmarnowanych przy walcarce zwykłych i nadliczbowych ciężkich godzin walki przejdzie w wymarzoną i tak bardzo pożądaną jakość? I czy w ogóle przejdzie? I dlaczego Szlachtycz z uporem tyrana stawia właśnie na ilość godzin, liczy na wytrwałe wysiłki? Cichy tyran Szlachtycz! Człowiek, w którym można się wpierw zakochać za jego niezwykłość, za to, że taki jest niepodobny do wszystkich innych, a potem powoli znienawidzić za to ciche tyranizowanie.

Rozumie jednak, że nawet tacy dwaj chudzielcy jak ja i Eugeniusz dochodzą do kresu sił i wytrzymałości.

Po jednej ze zwykłych utarczek, kiedy „ekipa" spróbowała się zbuntować i nie posłuchać, a potem została sromotnie pokonana i znowu odesłana na galery na przeciąg czasu potrzebny Szlachtyczowi do jego niepojętych obliczeń, idąc z nami do domu wszczął kształcącą rozmowę, podobną do tych, jakie prowadził z nami dawniej, kiedy nie ulegliśmy jeszcze jego tyranii nakazującej nam zmagania z „rock'n'rollami", lecz byliśmy uważani za młodych sąsiadów, których należało pouczać i wyposażać w życiową mądrość na drogę życia.

— To nic ciekawego pracować od godziny do godziny — mówi Szlachtycz. — Człowiek powinien mieć wyższe zainteresowania.

— A co to takiego? — pytam z głupia frant.

— Wyższe zainteresowania — Szlachtycz sądzi, że słowa te mówią wszystko.

— A jeżeli wszyscy będą mieli wyższe zainteresowania? — z kolei odzywa się Eugeniusz, który ma, co prawda, wyższe zainteresowania, ale bynajmniej nie tam, gdzie chciałby je umiejscowić Szlachtycz, nie na hali z zimnym i nieustępliwym „rock'n'rollem", lecz koło miejskiego kwietnika, gdzie regularnie wystawali przedstawiciele klubu milczków wraz ze swoim prezesem Alą Czemerys.

— W idealnym społeczeństwie tak właśnie będzie — obiecuje Szlachtycz — będziemy wtedy mówili o społeczeństwie komunistycznym.

— Patrzcie, jak to jest — mruczy Eugeniusz — kiedy trzeba coś robić, od razu mówi się o ideałach. A w rzeczywistości to, z czym się stykamy na każdym kroku, wcale nie jest idealne. Nie mówiąc już o zwykłym życiu. Weźmy sztukę. Wrzeszczą wszyscy jak wariaci tylko o realizmie. A gdzież tu miejsce dla ideałów?

— A realizm socjalistyczny? — podpowiadam.

— At — z gniewem machnął ręką Eugeniusz — sam

realizm i tyle. A może tak zresztą trzeba? Nie palę się do idealizmu. Jestem pragmatykiem.

— Czym jesteś? — słowo to usłyszałem chyba po raz pierwszy.

— Pragmatykiem.

— A co to znaczy?

— Diabli wiedzą! — wzdycha Eugeniusz. — Leonid pewnie wie. Bo mnie po prostu spodobało się to słowo.

— Przypomina trochę pergamin — śmieję się z Eugeniusza. — A po co ci ono?

Szlachtycz czeka, nie wtrąca się, kiedy tak sobie z humorem docinamy, ale kiedy wreszcie milkniemy, powtarza z cichym uporem:

— Człowiek powinien mieć wyższe cele. Jak Lenin. Pomyślcie tylko, jak marzył o rewolucji i jak zrealizował swoje marzenia. Nie do wiary! Wprost nie sposób pojąć tego rozumem. Wyższe cele... Tak, moi drodzy.

Rozstajemy się. Szlachtycz będzie pewnie rozmyślać o rewolucji i wyższych celach, a że nie chce być samotny w swoich myślach spróbował pozyskać dla nich nas, co mu się chyba nie udało; w każdym razie dzisiaj, bo już w pół godziny później Eugeniusz stukając swoimi buciorami — numer 44! — zszedł po schodach niosąc w stronę kwietnika swoją nieszczęsną głowę, bolącą od rozmyślań o Ali, ja zaś zabierałem się do wypytywania Wuera, który przyjechał z Tonią i swoimi chłopcami w gościnę, co nowego zamieszczono w piśmie „Przy kierownicy" i czy nie wprowadzono kardynalnych zmian w regulaminie ruchu ulicznego, opracowanym i zatwierdzonym w celu spadkowej wołgi, niecierpliwie oczekiwanej przez męską połowę Wuerowskiej rodziny.

Ale cele wyższe przyświecają nie tylko Szlachtyczowi. Jeszcze jeden człowiek całkowicie podziela poglądy naszego inżyniera. Człowiek ten siedzi w laboratorium

przy naszej walcowni i egzystuje obok nas, ale widzi swój wyższy cel w naginaniu własnej egzystencji, biegnącej równolegle z naszą, pod takim kątem, by się przecięły z linią naszych zmagań z „rock'n'rollami" — wtedy osiągniemy to, co potrzebne jest i nam, i wam, i wszystkim. Mówi tak Hrysza Frusin, aspirant, którego Szlachtycz wywabił z Instytutu Walcownictwa, obiecawszy mu lekką pracę naukową czy też skusiwszy go po prostu problemem praktycznym i jego na pozór łatwym rozwiązaniem.

Obaj z Eugeniuszem po raz pierwszy widzimy z bliska uczonego. Prawdę mówiąc, Hryszę Frusina trudno chyba już nazwać uczonym, jest jakby kandydatem na to stanowisko, a jeżeli nawet napisze kiedyś rozprawę, to też uzyska tytuł kandydata nauk, właśnie kandydata, tak że jego obecne stanowisko oceniać wypada jeszcze niżej; nie wspiął się nawet na pierwszy szczebel nauki, tylko kręci się w dole koło tej drabiny. Biorąc rzecz zresztą od jej strony czysto formalnej. Bo dla mnie i Eugeniusza Hrysza Frusin jest mimo wszystko uczonym, pierwszym żywym uczonym, z którym możemy rozmawiać, palić papierosy z filtrem, sprzeczać się, prosić o informację, gdzie można kupić krawat albo angielskie czarne buciki; w końcu, żeby się przekonać o materialności aspiranta możemy nawet Hryszę pomacać, uszczypnąć go czy pociągnąć za włosy; bo jeżeli może wyniknąć wątpliwość co do realności tego człowieka, to budzi ją przede wszystkim jego czupryna, ta masa rdzawych, poskręcanych drutów, przenośne dżungle, makieta jednego z tych światów w kosmosie, które ludzkość powinna dopiero odkryć.

— Powinni byli dać mi na imię Samson — śmieje się Hrysza — bo cała moja moc tkwi w tych włosach. Pytam was, gdzieście jeszcze widzieli taką czuprynę!

— Warto by się dogadać na milicji, żeby cię tam ostrzyżono — mówię do Frusina.

— Na milicji? Nie zgadzam się nawet na Dalilę! Biblijny Samson był zwykłym mięczakiem, jeżeli tak rozmiękł przed Dalilą i pozwolił się ostrzyc! Cóż z niego za mężczyzna!

— A może Dalila była tego warta? — wystąpił z hipotezą Eugeniusz.

Szlachtycz nie bierze żadnego udziału w naszej rozmowie. Stoi przy oknie oparty czołem o szybę; zawsze tak stoi, kiedy przychodzi do laboratorium, jego twarz jest wtedy blada, wprost bez kropli krwi i Szlachtycz wydaje się jakby mniejszy, jego chuderlawa postać wydaje się dziwnie znikoma, jakby jej połowa rozwiała się w powietrzu, słowem, aż strach bierze. A stoi jak niemy wyrzut pod adresem Hryszy Frusina z powodu jałowości jego doświadczeń naukowych i jego bezradności, która dorównuje naszej własnej bezradności, mimo że Hrysza w odróżnieniu od nas, od „pragmatyków", jakby powiedział Eugeniusz, atakując problem Szlachtycza zbrojny jest w naukę, atakuje go ze szczebla aspiranta instytutu naukowo-badawczego.

— Ty jesteś specjalistą od Dalil, a ja od rur! — śmiejąc się krzyczy do Eugeniusza Frusin.

— Nie taki znów wielki specjalista — gwizdnąłem lekceważąco. — Jaki z ciebie specjalista, jeżeli nie możesz znaleźć temperatury do produkowania naszych rur!

— Ach tak? — Hrysza podskakuje do mnie wymachując mi przed oczyma zabrudzonymi smarem rękami. — Widzisz te ręce? Ręce uczonego, tak? A cały wasz problem — to nauka, tak? Więc ci powiem, że to awantura! Jasne! Uczę się od dwudziestu lat! Od dwudziestu! Tyle, ile ty żyjesz na świecie, ja się uczę. I mogę ci oświadczyć, że to awantura!

— Cała huta o tym mówi — uśmiechnąłem się gorz-

ko. — Też mi odkrycie Ameryki. Nikt nie wierzy, więc mówią ludzie, że awantura. Zawsze tak mówią. A jeżeli postawimy na swoim? Jeżeli cel wyższy zostanie osiągnięty?

— Ach, cel wyższy! Towarzysz Szlachtycz żyje tylko w imię wyższych zainteresowań! — Frusin biega między nami, to się zabiera znowu do pracy, to znów wszystko ciska precz i zaczyna tak gestykulować, jakby go opadły osy. — A ja sobie nie życzę! Awantura, właśnie! I wciągnięto mnie do niej. Twoja siostrzyczka mnie wciągnęła.

Frusin wskazuje na Zinę, która siedzi sobie spokojnie przy stoliku i maluje usta jaskrawoczerwoną kredką. Nie zwraca na Frusina najmniejszej uwagi, więc aspirant wpada w jeszcze większą wściekłość, podbiega do Ziny i z wyciągniętym w jej stronę palcem krzyczy:

— O, patrzcie! To ona wciągnęła mnie do tej awantury. A ja, idiota, poszedłem na lep.

— Wiedziałam, że jesteś wariat, tak samo jak Szlachtycz — Zizi odwraca wzrok od lusterka. — Wszyscy jesteście zwariowani. Trzeba było zebrać was do kupy.

— Zwariowani? — odskakuje od niej Frusin w jednej chwili zapominając o wszystkim, co powiedział i jak zadeklarował swoją wrogość względem nas i Szlachtycza. Jest teraz znowu naszym sojusznikiem, bo pojawił się nowy przeciwnik, a do walki z nim mężczyźni muszą zjednoczyć swe siły. — Sądzą tak o nas ludzie ograniczeni, którzy nie rozumieją celów wyższych. Nie można się w życiu kierować tylko zdrowym rozsądkiem. To równoznaczne ograniczeniu. Zdrowy rozsądek mają tylko kobiety, które stanowiły zawsze najbardziej konserwatywną część społeczeństwa.

— Gdyby kobiety nie miały zdrowego rozsądku — spokojnie mówi Zina — nie rodziłyby dzieci. Ciebie też nikt by nie urodził, towarzyszu aspirancie.

— Moja mama urodziła mnie na męczarnie, nie na rozkosze! — teatralnie załamuje ręce Hrysza. — Ledwie stanąłem na nogach już musiałem coś robić. Trafiałem zawsze między takich ludzi, co sami nie spali i nie dawali spać mnie. Mówili, że nie będziemy spać, póki nie dopniemy swego. A czego dopiąłem?

— Ponieważ nie spałeś — dolatuje od stolika, przy którym siedzi Zizi — może dlatego wydajesz mi się trochę sympatyczny. Nie znoszę mężczyzn śpiochów!

— Zanotuj, Zino — zapominając w jednej chwili o całej tej gadaninie spokojnym głosem mówi nagle Frusin: — Pisz: przy temperaturze od trzystu osiemdziesięciu do...

— Znowu klapa! — krzyczy rozpaczliwie Hrysza i zatapia palce w czuprynie, a mnie i Eugeniuszowi aż ciarki chodzą po plecach, bo a nuż połamie sobie palce.

Szlachtycz odlepia się w końcu od szyby, zwraca twarz w naszą stronę, jego postać przybiera swoje zwykłe rozmiary i Lonia jest znowu człowiekiem z krwi i kości, ucieleśnienie wyrzutu niepostrzeżenie zaczyna żyć zwykłym życiem.

— Bądź uprzejmy, Hryszo — mówi grzecznie, może z nadmiernym nawet ugrzecznieniem — rób dalej swoje i nie poddawaj się rozpaczy.

— Jesteś niczym jakiś właściciel niewolników! — podskakuje do niego Hrysza i od razu odskakuje, jakby się bał, że oberwie po gębie.

— Tak, jestem — chętnie przystaje Szlachtycz i uśmiecha się rozbrajająco. — Pracuję po szesnaście godzin na dobę i chcę zmusić do takiej samej pracy wszystkich, każdego, kto chce się nazywać na przykład inżynierem albo jeszcze więcej — uczonym.

— Nie jestem uczonym — niemal tragicznym głosem mówi Frusin — jakiż ze mnie uczony? Jestem traczem! Piłuję rury na kawałki i nagrzewam te kawałki czy może własną głowę, bo ja wiem! Siedemdziesiąt sześć

gatunków stali i skala temperatur od pięćdziesięciu do tysiąca stopni! Ile może być niebywałych wariantów przy takim zakresie? Milion? Miliard?...

— Można to obliczyć.

— Zbadałem już tysiąc, dziesięć tysięcy kawałków!

— Tysiąc osiemnaście! — spokojnie wtrąca Zina.

— Ty! — krzyczy na nią Hrysza. — Zdradziłaś interesy uczonych! Syrena o uwodzicielskim głosie! Trzecia siła przekupiona przez Szlachtycza!

Zina chichocze słuchając tego krzyku. Bawi ją sama myśl, że znajdą się może ludzie, którzy uwierzą, iż Zinę Czeredę można przekupić. Czym? I kto? Jeszcze się taki człowiek nie urodził. Sama każdego zapędzi w kozi róg.

— Zwariuję wśród tych rur i z tą dziewczyną! — chwyta się za głowę Frusin. — Gdybym mógł odgadnąć przeklętą temperaturę, jakiej wymagają twoje rury, Leonidzie!

— Uczeni nie odgadują — mówi Szlachtycz.

— A czyż jestem uczonym? Jestem tylko aspirantem. A ściślej — traczem! Piłuję rury!

— Robisz doświadczenia. Od tego zaczyna się nauka.

— Więc od nich też się zaczyna — wskazuje Frusin na mnie i Eugeniusza — robią także doświadczenia. Tylko nie z kawałkami rur jak ja, lecz z całymi rurami.

— Może rzeczywiście zaczyna się od nich, może bardziej od nich niż od ciebie i ode mnie — stwierdza Szlachtycz i zdjąwszy niespodzianie marynarkę zakasuje rękawy białej koszuli. Marynarkę wiesza na krześle, na którym siedzi Zizi.

— Żal mi twojej koszuli! — wykrzykuje Frusin i ze śmiechem przegradza Szlachtyczowi drogę swoimi zabrudzonymi smarem rękami, jakby go zachęcając, żeby się przebił i dowiódł w ten sposób, że wcale mu nie

zależy na czystej koszuli. Szlachtycz spokojnie okrąża jednak Hryszę.

Teraz już basta. Możemy tu stać godzinę, dwie, do samego rana, bo ci dwaj niekiedy w ogóle nie idą spać, nigdzie się nie śpieszą; Frusin mieszka w zakładowym domu zajezdnym i nie ciągnie go do tej nieprzytulnej tymczasowej siedziby, a Szlachtycz ma na razie w głowie swój plan maksi i uznaje tylko pracę. Nie wiadomo, czy kiedykolwiek zmieni jakoś ten plan, czy weźmie bodaj niewielki urlop. Czekać na to nie warto, bo jeżeli pozwoli sobie nawet na coś tak niebywałego, to będzie to nieprędko, w każdym razie nam obu z Eugeniuszem nie starczy cierpliwości, by się tego doczekać; a mamy jeszcze inne sprawy do załatwienia i to dosyć pilne. W wieku lat dwudziestu jakoś się człowiekowi wydaje, że powinien się śpieszyć z pewnymi rzeczami, na przykład — zakochiwać się w dziewczynach, zabijać się z powodu jakichś tam oczu albo z zapartym oddechem wystawać godzinami przy jakiejś blondynce lub brunetce. Później może się to nam wyda śmiesznym i niepotrzebnym zajęciem, ale kiedyż będzie to później!

Nigdy zresztą nie możemy tak od razu wstać i odejść. Stoimy na środku laboratorium, aż się skręcamy, tak nam przykro, korci nas wprost, żeby dać stąd nogę, ale co powie czy raczej co pomyśli o nas Szlachtycz? A nie jest to nam obojętne. Nie dorośliśmy jeszcze, co prawda, do poziomu jego świadomości i czujemy, że brak nam jego charakteru, ale pragnienia, dążenia i nadzieje — czyż jesteśmy ich pozbawieni?

Na potwierdzenie słów Hryszy Frusina o zdrowym rozsądku kobiet Zizi trochę jeszcze posiedzi przy stoliku i zapisze dwie — trzy informacje, które jej Hrysza wykrzyczy, a potem potrząśnie włosami, błyśnie zębami, strzeli roziskrzonymi oczami — i tyle ją widzieli!

— Pracujcie, chłopcy! — zawoła w progu, a my obaj z Eugeniuszem pobieglibyśmy za nią z wielką chęcią,

ale jeszcze się ociągamy, jeszcze przestępujemy z nogi na nogę na środku laboratorium i czekamy, aż Szlachtycz popatrzy na nas spokojnie i powie, żebyśmy poszli odpocząć „bo jutro trzeba możliwie najwcześniej... może z Hryszą na coś tu dzisiaj natrafimy, więc trzeba by jutro od razu..."

Na nic nie natrafią, wiemy to i my, i oni, ale będą siedzieli, będą wytrwale sprawdzali stare notatki i łamali sobie nad nimi głowę.

— Z trudem postępuje moja nauka — westchnie Frusin — ale twoja produkcja nie lepiej. Niewiele zdziałamy w naszym życiu, towarzyszu Szlachtycz.

— Człowiek osiąga najwyżej osiem procent sprawności — Szlachtycz zapomniał, że przeszedł już ze stanu niematerialnego rozmarzenia do stanu czynnego i podchodzi znowu do okna, wpatruje się w ciemność, a potem zwraca się do nas wszystkich i uśmiecha się z zakłopotaniem: — Osiem procent — wstyd i hańba! Ile razy o tym myślę, staje mi przed oczyma pięćdziesiąt pięć tomów w granatowych okładkach ze złotym napisem: „Lenin". Stoją w mojej szafie bibliotecznej i przypominają o niedoskonałości naszych sił i zdolności. Pięćdziesiąt pięć tomów i jeszcze z pięć chyba tomów nie wydanych jeszcze prac Lenina. Proszę bardzo — sześćdziesiąt tomów. Pierwszy swój artykuł napisał Lenin w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym trzecim roku, ostatni — w tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim. Na trzydzieści lat — sześćdziesiąt tomów, po dwa rocznie. A ponadto: założył partię komunistyczną, dokonał rewolucji październikowej, obronił republikę przed obcą interwencją, pokonał zniszczenia i głód... Nie do wiary! Zdawałoby się, że przechodzi to wszelkie ludzkie możliwości. Ale było tak. Widzisz, co to znaczy Lenin. A co my? Ja i ty, Hryszo, albo ci przystojni chłopcy, sympatyczni zresztą chłopcy, co my wszyscy znaczymy w porównaniu z Leninem? I jak się to dzieje, że minę-

ło już przeszło czterdzieści lat od śmierci Lenina, a my jakbyśmy zmaleli zamiast wznosić się na te wyżyny, które nam wskazał całym swoim życiem? Czy może źle się wsłuchujemy w jego nakazy, może rzadko wspominamy jego słowa i tylko po to, by usprawiedliwiać nasze słabostki, niedopatrzenia czy błędy?

— Nie lubię cytatów — mówi Frusin — nie mogę zapamiętać wszystkiego, co powiedział Lenin, a skoro nie mogę, to jakże cytować? Siedzieć i wertować tomy?

— Nie chodzi mi o słowa — ciągnie Szlachtycz — ale w ogóle o Lenina, o jego życie i walkę, jego pracę i energię. Rozpacz mnie ogarnia wobec mojej własnej małości — oto tragedia...

Obaj już nas nie dostrzegają. Nie ma nas. Zbyt jesteśmy przyziemni ze swoimi „pragmatycznymi" pragnieniami, zbyt normalni dla tych dwóch, do których pasowałby teraz chyba tylko nasz zakładowy poeta o jowiszowych brwiach. A propos, w ubiegłym tygodniu wystąpił w radiu i swoim głucho i smutnie brzmiącym głosem czytał niewesoły wiersz: „Guzy, odciski na dłoniach, daleka do brzegu droga..." Widocznie miał rzeczywiście rację, w każdym razie — nie odmówiłbym mu słuszności bodaj z uwagi na nie rozwikłany kłąb naszych spraw „rock'n'rollowskich". Daleko było już nie tylko do jednego, ale do obu brzegów... od jednego odpłynęliśmy tak daleko, że nie sposób już zawrócić, a do drugiego ani rusz nie możemy dotrzeć. Później poeta obiecał jednak ponurym głosem: „Hej, wszyscy znikniemy", a wtedy już za nic nie mogłem się z nim zgodzić, gdyż nie miałem zamiaru zniknąć z owym dziarskim i junackim „hej" na ustach. Szczerze mówiąc, zirytowała mnie jego obietnica powszechnego zniknięcia i znowu przyszło mi na myśl, że poeci nie powinni codziennie kręcić się wśród nas i podpatrywać każdy nasz krok, by w razie naszego najmniejszego niepowodzenia od razu głosić posępne

proroctwa zagłady, czyli końca świata, zaprawione zresztą odpowiednio dziarskim „hej—hej". Podobno pieśniarze byli niegdyś ślepcami: i ów starożytny Grek, co opisał bohaterskie czyny i wędrówkę swoich ziomków, i jakiś wielki poeta angielski, wreszcie nasi kobziarze. Było to dogodne pod wieloma względami. Pieśniarze koncentrowali uwagę tylko na rzeczach wielkich, drobnych nie dostrzegali. Obecnie wyszedł chyba z mody ten zwyczaj, co niektórzy uważają za pożałowania godne. Przede wszystkim chyba tacy żwawi chłopcy jak ja, bo wcale nie mamy ochoty zniknąć.

Zniknąć natomiast z laboratorium i pozostawić nocne rozmowy Szlachtyczowi i Frusinowi — proszę bardzo. Szturchnąłem więc z lekka Eugeniusza i zaczęliśmy się tyłem wycofywać w stronę drzwi. Ale właśnie wtedy drzwi otworzyły się na oścież i stanął w nich odprasowany jak zwykle towarzysz Tokowy, mówiąc wyraźnie i z naciskiem:

— Szlachtycz, wezwano pana...

Stał i patrzył na mnie tak, jakbym był Szlachtyczem i został gdzieś tam wezwany. Zagryzłem dolną wargę i śmiesznie pociągnąłem nosem, żeby przypomnieć Tokowemu jego skok z balkonu, co nie wywarło jednak na nim pożądanego wrażenia; jego oczy nadal patrzyły zimno i ciężko, jak dwa kamienie odpowiednio oszlifowane i wstawione w odpowiednie miejsca na twarzy naszego zastępcy kierownika oddziału, a to jego kamienne spojrzenie wydało się jeszcze cięższe, kiedy znowu zabrzmiał zimny głos Tokowego:

— ...wzywa pana komisja...

Kiedy takiemu spojrzeniu towarzyszą słowa, słyszymy je zwykle. Rzeczywiście słyszałem Tokowego, ale puszczałem jego słowa mimo uszu, a Szlachtycz chyba go nawet nie zauważył. Tokowy powiedział więc głośniej:

— Szlachtycz, do pana przecież mówię!

— Bo co? — Szlachtycz popatrzył na niego zaciekawiony.

— Wezwano pana.

— Wezwano?

— Komisja... komisja państwowa pana wzywa... Do gabinetu dyrektora huty...

— Mnie? — Szlachtycz udaje, że nie może ani rusz zrozumieć, czego chce od niego Tokowy.

— No tak... właśnie był telefon... Żeby natychmiast...

— Wzywają mnie?

— Wzywają.

— A może proszą?

— Proszą? — Tokowy nie zorientował się dotychczas, że jest przedmiotem drwin. — No, nie wiem... może proszą... Słowem, czekają... I to prędko!

— A... dobrze — spokojnie powiedział Szlachtycz i z zafrasowaniem pochylił się nad notatkami Hryszy.

— Szlachtycz, cóż pan?... — zapytał z przestrachem Tokowy.

— No co?

— Przecież czekają na pana.

— Nie ma mnie — uniósł ramiona Szlachtycz.

— Jak to nie ma?

— Po prostu. Mój dzień pracy dawno się skończył. To już — nie ja.

— Nie pan? A kto?

— Powiedzmy, że mój sobowtór... Moje sumienie... Wyrzut pod adresem własnej niedoskonałości...

— Słuchaj pan, Szlachtycz, nie zawracaj mi pan głowy. Zrobiłem swoje, powiedziałem panu, że wzywa pana komisja państwowa. Sprawa jest poważna. Nie ma teraz u nas nic poważniejszego.

— Myli się pan, Tokowy, są rzeczy o wiele poważniejsze — westchnął Szlachtycz.

— Pięćdziesiąt pięć tomów pan widział? — przysko-

czył do Tokowego Frusin — powiedz mi pan, widział pan pięćdziesiąt pięć tomów?

— Jakich tomów? — Tokowy aż się cofnął zaskoczony pytaniem.

— Jeżeli widział je pan nawet, to nie myślał o nich. I z całą pewnością głęboko się pan nad nimi nie zastanawiał. A warto! Niech pan spróbuje!

— Co mi pan tu o jakichś tomach! — Tokowy pluł już sobie w brodę, że tu przyszedł. — Moja rzecz to zawiadomić, że telefonowano, że wezwano Szlachtycza... Wzywa go do gabinetu dyrektora... przewodniczący komisji państwowej.

Zupełnie zapomnieliśmy o komisji państwowej, która pracowała przecież w hucie przez cały tydzień albo nawet więcej. Gdzieś tam kogoś wzywano, o coś wypytywano.

Eugeniusz przeląkł się pewnie przypomniawszy sobie komisję, bo nic nie mówiąc zdecydowanie wyciąga mnie z laboratorium. Trochę podejrzany wydaje mi się ten pośpiech mego przyjaciela, ale kiedy znaleźliśmy się na hali, wszystko wyjaśniło się od razu. Przed nami, w drugiej nawie, dopiero co opuściwszy swoje skrupulatne mechanizmy kontrolne, idzie Ala, idzie obok walcarek i wymachuje swoją torebką na długim rzemyku, taką, jaką noszą stewardessy, idzie wśród metalowego chaosu, wśród syku i zimnego rozbłyskiwania świetlówek, wśród uporządkowanego, ujętego w ramy konstrukcji i obliczeń bezładu, idzie wysoka, jasnowłosa dziewczyna, dumnie niosąc na cienkiej i smukłej szyi swoją urągliwie piękną głowę i wszystko ustępuje na plan dalszy, wydaje się nieistotne i nic nie znaczące wobec naturalnego wdzięku cechującego każdy ruch zagadkowo nieprzystępnej kontrolerki z działu kontroli technicznej.

Niestety, są na świecie nie tylko piękne dziewczyny, ale również surowe komisje państwowe.

Jak widać ze wszystkiego, nie liczono się tu z modą, nie zbudowano zakładowego biurowca w nowoczesnym stylu, nie spróbowano zmodernizować bodaj wnętrz; wszystko w tym budynku wzniesiono tam, gdzie kończy się most dla pieszych biegnący nad połową terytorium huty, utrzymane jest w tonie surowym i zimnym, charakterystycznym dla lat trzydziestych, dla doby pierwszych pięciolatek: surowe są kolory, surowe meble i nawet sekretarka w poczekalni dyrektorskiej jest też surową, niełądną kobietą w starszym wieku, która wygląda raczej jak sędzia niż jak sekretarka w zwykłym tego słowa znaczeniu. Budowano ten biurowiec dawno, a po wojnie odbudowano dokładnie tak samo, jak wyglądał z początku, i potem już chyba niczyja ręka nie dotknęła tu niczego. Ciężkie, ciemne meble, staromodne telefony (też ciężkie i niezgrabne), olbrzymie kałamarze na biurkach, mimo że wszyscy piszą teraz długopisami i atrament w kałamarzach dawno już wysechł, ciężkie zasłony na oknach — wydaje się, że w ich fałdach zachował się jeszcze kurz z czasów kultu jednostki.

Ludzie chyba jakoś nie pasują do takich wnętrz, wydają się tu wprost niepotrzebni. Może właśnie dlatego poczekalnia przed gabinetem dyrektora była pusta, a kiedyśmy weszli, sekretarka spojrzała na nas trochę jakby przestraszona, jakkolwiek ten wyraz lęku na jej twarzy ustąpił od razu surowości, bardziej licującej ze stanowiskiem strażniczki tego niedostępnego królestwa; sekretarka nawet się nie siliła na życzliwość, lecz wprost przeciwnie, całą swoją postawą manifestowała niezadowolenie z wtargnięcia nieproszonych gości; żeby zaś zamanifestować wagę swego niezadowolenia i nie robić nam żadnych nadziei, wstała spoza swego monumentalnego biurka (mogło służyć za postu-

ment konnego pomnika), podeszła do drzwi gabinetu i udała, że szczelnie je zamyka, mimo że i tak były dość szczelnie zamknięte te ciemne dębowe drzwi, wysokie i ciężkie, z niełądną rzeźbą. Następnie, wciąż nie darząc nas jednym bodaj spojrzeniem, sekretarka krokiem strażaka wlokącego gumowy wąż na ćwiczeniach wróciła do swego postumentu pod konny pomnik, wyprostowała się dumnie na krześle czy raczej tronie i ponad naszymi głowami spojrzała gniewnie na wejściowe drzwi, czy jeszcze jacyś zuchwalcy nie odważą się naruszyć spokoju tego czcigodnego przybytku. Zachowanie sekretarki było najwyraźniej staromodne i do repertuaru naszych czasów nie należało. Bo co słyszymy w audycjach radiowych dla młodzieży? Człowiek współczesny powinien być taki jak tego wymagają nasze czasy. Ale bądźmy pobłażliwi, nie wymagajmy od starszej wiekiem sekretarki, żeby chodziła w mini-spódniczce, zwłaszcza że nie każde kolana nadają się do wystawiania na widok publiczny. Tylko że za pozwoleniem! Dawno już wyszły z użycia wszystkie te sposoby o psychologicznym w pewnym stopniu oddziaływaniu, których bogaty zestaw zademonstrowała nam sekretarka; wiemy to nie tylko my dwaj z Eugeniuszem, ale wie to dobrze nawet mój tata Matwij Serhijowicz Czereda. Nieprzystępna postawa sekretarki nie wywarła na nas żadnego wrażenia, bo tak czy inaczej gospodarzami powinniśmy się tu czuć przede wszystkim my, a sekretarka należy właściwie do całego tego wnętrza, które wszystkim już obrzydło, ale brak było bądź czasu, bądź energii, żeby je przekształcić.

I ja, i Eugeniusz rozumieliśmy jednak, że prawo mianować się gospodarzami ma tu przede wszystkim zasłużony mistrz walcownik, więc wypchnęliśmy do przodu tatę, a sami trzymaliśmy się z tyłu niby asystenci czy przyboczna straż ogólnie szanowanego człowieka. Takim więc nierównym szykiem przypomina-

jącym klucz przelotnych ptaków posuwaliśmy się naprzód przez całą długość pokoju, idąc po grubym kilimie w kierunku biurka sekretarki, ale potem pociągnąłem tatę za połę marynarki, zaskoczony tym tato przystanął i obaj z Eugeniuszem omal nie wpadliśmy na niego; przystanek okazał się bardzo w porę, bo wypadł akurat naprzeciw wysokich drzwi gabinetu. Szybko nachyliłem się ojcu do ucha i żarliwie wyszeptałem:

— Powiedz jej.

— Co powiedzieć? — głośno zapytał tato.

Przychodząc nam obu z pomocą Eugeniusz podszedł wtedy do sekretarki i złożył oświadczenie czy momerandum — nie wiem, jak to się tam nazywa w dyplomacji.

— Przyszliśmy do dyrektora!

— Tak jest — poparłem jego oświadczenie i znowu szepnąłem ojcu: „Powiedz również!" Tato nie zdradzał jednak nigdy chęci do składania publicznych oświadczeń i także tym razem uznał za stosowne nie odzywać się.

— Dyrektor jest zajęty! — bezzwłocznie odrzekła sekretarka i uniosła się z krzesła, widocznie, by dodać swym słowom wagi.

— Zdaje się, że należymy również do ludzi zajętych — zacząłem już, kiedy niespodzianie zdobył się na energiczne wystąpienie mój tata.

— Poczekaj — powiedział — przyszliśmy w ważnej sprawie, nie na pogaduszki. Olimpiado Chrysanfiwno, chodzi o to... Przecież pamięta mnie pani? Czereda jestem. Musimy się zobaczyć z dyrektorem.

— Jest zajęty — sekretarka patrzyła na nas szklistymi jak u ryby oczami. — Ma ważną naradę...

— Naradę — powtórzył tato — no, skoro naradę...

— Poczekamy, aż dyrektor pójdzie na emeryturę — mruknąłem — wtedy się już nagadamy.

Wzmianka o emeryturze ubodła ojca, opanował

ogarniające go znowu niezdecydowanie i ruszył do nowego natarcia.

— Dyrektor jest na naradzie. A my? Przyszliśmy się również naradzić. Czy może niepotrzebne mu są rady człowieka, który pół wieku pracował w hutnictwie?

Szczerze mówiąc, trochę tu zalatywało demagogią. Bo wyobraźmy sobie tylko: gdyby dyrektor od rana do wieczora wysłuchiwał rad i wspomnień weteranów pracy, kiedy by właściwie pracował? Cóż, jeżeli ta demagogia jest nam w tej chwili na rękę lepiej z niej nie rezygnować! Sekretarka też zrozumiała, że skończył się okres rokowań pokojowych i lada chwila mogą się zacząć energiczne działania wojenne. Żeby nie drażnić gęsi, a my obaj z Eugeniuszem wyglądaliśmy w tej chwili jak zadziorne gęsiory z nastroszonymi piórami, sekretarka czym prędzej, niemal biegiem rzuciła się ku drzwiom i stanęła przyciskając do nich plecy. Na jej twarzy wypisane było wyraźnie: „Tylko po moim trupie!", a my byliśmy o tyle na poziomie, że potrafiliśmy to odczytać.

— U dyrektora jest komisja państwowa — groźnym szeptem poinformowała nas sekretarka i wyczuliśmy, że nie uważa nas za zuchwalców czy dziwaków, lecz za wariatów. Wszyscy uciekają usłyszawszy te dwa słowa „komisja państwowa", a ci tutaj sami się pchają!

— Może wyjdziemy na powietrze i poczekamy? — nieśmiało zaproponował tato.

— Przecież obiecałeś nam! — popatrzyłem na niego z wyrzutem.

— No, obiecałem. Alboż się wymawiam? Wyjdziemy na papierosa... A jak tam... tego, to my... to ja...

— A ja bym im tam wszystko wygarnął — w słowach Eugeniusza zadźwieczała niezwykła u niego zaciętość.

— Spokojnie, spokojnie — powiedział tato i za-

wrócił ku drzwiom nie zwracając na nas uwagi i nie patrząc, czy idziemy za nim, czy wciąż jeszcze stoimy naprzeciw sekretarki.

— Pójdziemy zapalić? — spytałem Eugeniusza.

Ten skinął w milczeniu głową.

Przechadzaliśmy się długo po dziedzińcu huty. Dziwaczne połączenie przyprószonej kurzem zieleni drzew, metalowej konstrukcji mostu dla pieszych oraz hal zakładowych, szarego asfaltu i czarnego laku samochodów, co stały szeregiem przy chodniku tchnąc jakimś dziwnym niepokojem i przepajając nim wszystko, co było tu nam znane od dawna, działało na nas z jednej strony uspokajająco, z drugiej zaś denerwowało. Samochody przypominały przecież o komisji państwowej, o naszych niepowodzeniach na hali, o kierowniku oddziału i o Tokowym, o „rock'n'rollach" i Szlachtyczu... Och, było o czym myśleć, mogliśmy tym obdzielić wszystkich dokoła, co właśnie robiliśmy, bo przechodzili koło nas ludzie idący na zmianę, potem ci, którzy wracali ze zmiany, szło dużo znajomych, zwłaszcza dużo znajomych ojca, i jeżeli ojciec nie był skory do pogawędek i ograniczał się do niewyraźnego „hm" albo „zobaczymy", to my z Eugeniuszem nadrabialiśmy miną i przechwalaliśmy się, że stawaliśmy już przed komisją i jeszcze tam pójdziemy, i powiemy, i dowiedziemy i przekonamy, i omal że nie zmusimy.

A potem ludzka fala odpłynęła i pozostaliśmy we trójkę wyczekując uparcie i może beznadziejnie.

Wreszcie do czarnych limuzyn zaczęli podchodzić ludzie. Każdy do swojej. Jaśniały bielą kołnierze koszul. Wszyscy ci mężczyźni mieli białe kołnierzyki, krawaty i starannie odprasowane spodnie, słowem wszystko jak należy. Samochody niby żywe istoty od razu drgnęły, gdy zapaliły się silniki.

Do pierwszego samochodu zbliżał się wysoki, postawny mężczyzna ze Złotą Gwiazdą Bohatera Pracy Socja-

listycznej w klapie marynarki. My trzej znaleźliśmy się też przy tym samochodzie. W tej decydującej chwili tato nie czekał na zachętę z mojej strony i z zadziwiającą u niego śmiałością przeciął przedstawicielowi komisji drogę i powiedział bez żadnych wstępów i ceremonii:

— My, wszyscy trzej, czekamy właśnie na pana...

Prezes komisji obejrzał się, może żeby wyznaczyć do rozmowy z nami kogoś z kolegów, ale od razu zauważył, że tamci są daleko i że wszystkie drogi odwrotu ma odcięte. Utworzyliśmy coś jakby zamykający go trójkąt i pilnowaliśmy każdego jego ruchu. Prezes należał widocznie do ludzi przyzwyczajonych do delikatności, bo przywołał na twarz wyraz zainteresowania i powiedział, co prawda, bez uśmiechu, ale także bez irytacji:

— Słucham was.

— Chodzi tutaj... chodzi o oddział walcowania na zimno... Chcielibyśmy wiedzieć — zaczął zacinając się trochę ojciec, ale prezes komisji wyszedł nagle z „nerw" i następując na mego niewysokiego tatę całym swoim ciężarem zagrzmiał z wysokości swego wzrostu i stanowiska państwowego:

— Co chcielibyście wiedzieć? Jak zerwano wykonanie ważnego zadania państwowego? I czy pogłaskamy was za to po głowie? To chcielibyście wiedzieć?...

— Czego właściwie krzyczysz, Aleksandrze — jakimś bardzo zwyczajnym i spokojnym głosem powiedział tata. — Co, nie poznałeś mnie? Matwij Czereda jestem.

— Czereda? — Prezes komisji osłupiał. — Jaki Czereda?

— No, Matwij.

— To rzeczywiście ty?

— Chyba ja. A to jest mój syn Myt'ko. A to — Eugeniusz. Z oddziału walcowania na zimno...

— Nie przypominaj mi bodaj ty o tym oddziale, przerobiłbym go na żyletki!

— Może na żyletki, a może... — wtrąciłem się chcąc skorzystać z ojcowskiej znajomości, ale prezes komisji przerwał mi nie patyczkując się zbytnio:

— Bądź wreszcie cicho!

— Niech pan nie krzyczy — rozzłościłem się — wyszło to już z mody.

— Ach, wyszło z mody! A narażać państwo na szkody jest nadal w modzie? Tak?

— Chłopcom nie o to chodzi — tato próbuje przyjść nam z pomocą.

— W ogóle nie ma tu o czym gadać — westchnął prezes, najwyraźniej zmęczony. — No, co u ciebie słychać, Matwiju?

— Poszedłem na zasłużony odpoczynek.

— Na emeryturę? Nie wiedziałem. Dlaczego tak wcześnie?

— Tak się złożyło. Ale powiedz mi, co będzie z kierownikiem oddziału?

— To już nasza rzecz.

— Myli się pan, nasza! — podskoczyłem do prezesa komisji. — Bo nic innego nie robicie, tylko zdejmujecie ludzi i mianujecie.

Ojciec zakaszlał, ale zrobiłem już swoje, wydusiłem z prezesa komisji, co chcieliśmy wiedzieć.

— Waszego kierownika oddziału — powiedział prezes powoli — zwolnimy z pracy, usuniemy z partii i oddamy pod sąd.

O, właśnie teraz powinien był zrobić użytek ze swojej starej znajomości z prezesem komisji mistrz Matwij Czereda. Jak powiedziane jest w pieśni: „Lata wspomnijmy młode, frontowe". Cofnęliśmy się obaj z Eugeniuszem pozostawiając pole walki przyjaciołom z młodych lat w nadziei, że wspomnienia z tych lat dokonają tego, czego nie były w stanie dokonać żadne

argumenty, żadne zapewnienia i obietnice, prośby o łaskę i apele do humanitarnych uczuć.

Wtem na pomoc prezesowi komisji przyszedł skądciś wysoki, zwalisty mężczyzna w jasnopopielatym garniturze. Towarzysz Tokowy! Przygładzając mocno przerzedzone włosy roztaczał cały wachlarz uśmiechów od przypochlebnego do pyszałkowatego i huknął na nas jak na smarkaczy:

— Żebym was tu nie widział!

Potem skoczył już, żeby odsunąć tatę, ale prezes komisji mruknął:

— Proszę nam nie przeszkadzać.

A co najśmieszniejsze w całej tej historii, że jest od początku do końca zmyślona. Nic nie było: ani naszej wizyty w dyrektorskiej poczekalni, ani wciągania do czynu mego taty, ani jego rozmowy z kolegą z młodych lat i prezesem komisji państwowej w jednej osobie. Po prostu wyobraziłem sobie tylko, jak przeszkodziliśmy członkom komisji wsiąść do samochodów. A w rzeczywistości po zebraniu na hali wszyscy powsiadali i odjechali.

13

Zebrania organizuje zwykle ktoś nieznany i niewidzialny. Wyznacza w miarę możliwości cel zebrania, jego czas trwania i liczbę mówców, planuje nawet rezolucję, którą uchwali zebranie. Ale jest jeszcze strona techniczna, na przykład stół dla prezydium, krzesła dla prezydium, przeniesienie mównicy, instalacja mikrofonów... To już należy do nas, do młodzieży walcowni. Z przyjemnością nosimy stoły. Ile? Dwa czy trzy? Zestawiamy je, przykrywamy czerwonym suknem. Im więcej ich przykrywamy, tym liczniejsze będzie prezydium i tym ważniejsze i poważniejsze będzie zebra-

nie. Woda? Przynosimy kilka syfonów. Będzie wody pod dostatkiem, więc będzie też dużo gadania, będą rozróby i zaciekłe spory.

Wolę zebrania bez wody... Kiedy dominuje sam tylko entuzjazm. Gorące przemówienia. Podniosły nastrój. Człowiek sam nabiera chęci, żeby się czymś odznaczyć, dokonać czegoś wielkiego, żeby też stanąć przed kolegami i zawołać: „A ja też!".

Ale tym razem nie było na zebraniu podniosłego nastroju. Przebieg miało nieprzyjemny, przykry i ciężki. Odbyło się na hali, żeby wszyscy byli obecni, żeby wszyscy usłyszeli, dowiedzieli się i wzięli sobie do serca spadającą na wszystkich hańbę: walcownia nie wykonuje zadania państwowego!

Coś trzeba począć. Ale co?

Kierownika oddziału nie ma. Pod brzemieniem nieszczęścia rozchorował się na dobre.

— Zdaje się, że zawał... — mówi ktoś z młodzieży.

— Zawał to po prostu nieprzyjemny wypadek na drodze do nieśmiertelności — beztrosko rzuca ktoś inny.

Trzeci wyciąga gazetę i pokazuje artykuł wstępny zatytułowany „Młody robotnik".

— A o czym tam mowa?

— O tobie! O, posłuchaj: widzimy go wszędzie, gdzie potrzebna jest mądra głowa i zręczne ręce, niestrudzona energia, śmiałość w poszukiwaniach, inicjatywa...

— Jak Figaro — to tu, to tam...

— Słuchaj dalej, Figaro: w jego młodych oczach widzieliśmy głęboką zadumę i entuzjazm, swój komsomolski zapał człowiek ten łączy z trzeźwym rozumowaniem...

— To nie o moich oczach. Młode oczy ma tylko Myt'ko Czereda.

— Ale nie ma w jego oczach głębokiej zadumy.

— A zaglądałeś mu w oczy?

— Słuchaj, słuchaj. O naszej hucie: w przedsiębiorstwie tym młodzież cieszy się rzeczywiście poważaniem, widzi przed sobą rozległe horyzonty, ale musi też czynić zadość wysokim wymaganiom bez żadnej taryfy ulgowej...

— Poczekaj, zaraz zobaczysz rozległe horyzonty, komisja państwowa da ci dzisiaj w kość! Podobno jej prezes zdjął już czterdziestu dyrektorów, odkąd przewodniczy...

— Czyni zadość bez czego... jak tam jest powiedziane?

— Bez taryfy ulgowej?

— Niby jak to rozumieć?

— At, jakieś tere-fere...

Eugeniusz i ja, obaj milczymy. Stoimy prawie na samym przodzie, między nami — Szlachtycz. Niby stalowa zbroja między dwoma betonowymi słupami. Mogłoby się nawet wydać, że Szlachtycz chowa się między nami, szuka obrony, ale wiemy, że tak nie jest. To my gotowi jesteśmy schować się za jego plecami i trzymamy się go widząc tylko w nim ocalenie. Wiadomo, komisja państwowa będzie mówić o całej walcowni, winnych nikt specjalnie nie będzie szukać, a tym bardziej nie spróbuje zwalić winy na dwóch chłopaków, Eugeniusza i Dmytra, ale jakoś nam markotno, jakby to z naszej winy zwołane zostało to masowe zebranie.

Prezydium — wprost jak nigdy. Cztery rzędy krzeseł. Cała komisja państwowa. Dyrektor zakładów. Jego zastępcy. Sekretarz egzekutywy i chyba cała egzekutywa. Kierownicy oddziałów. Naszego nie ma, jest za to Tokowy.

Kiedy byłem jeszcze uczniem w naszych zakładach, kierownictwo było mniej liczne. Dwaj zastępcy dyrektora, a główny inżynier nie miał w ogóle zastępcy. Teraz dyrektor ma ich siedmiu, główny inżynier trzech,

a kierownicy oddziałów też po dwóch i nawet trzech. Sami zastępcy.

Ale co mnie obchodzą ci zastępcy? Są skromnymi ludźmi, nie naprzykrzają się, nie mają zbyt wiele ani praw, ani chyba także obowiązków, służą raczej za tło swoim zwierzchnikom, a ich stanowiska zostały wymyślone tylko celem podwyższenia im uposażeń. W rezultacie techników w walcowni zamianowano inżynierami, inżynierów — starszymi inżynierami, a mistrzów — starszymi i głównymi mistrzami. Bardzo to wszystko przemyślne.

Można tę przemyślność dostrzec także teraz obserwując, jak rozsiadło się prezydium. W pierwszym rzędzie, na środku — prezes komisji państwowej, dyrektor zakładów, sekretarz egzekutywy, główny inżynier, przedstawiciele obwodowego i miejskiego komitetu partii i wreszcie — niespodzianie! — Tokowy, widocznie zamiast kozła ofiarnego, bo kierownik oddziału na zebranie nie przyszedł, leży chory. Ponadto w skład prezydium weszli członkowie komisji państwowej i wszyscy nasi zakładowi kierownicy różnego szczebla. Interesują mnie jednak głównie ci trzej w pierwszym rzędzie na środku. Znam ich tak samo, jak Arkadiusza Rajkina, którego widziałem w telewizji, a który mnie nie widział. Mogę znać mnóstwo historii o Rajkinie, a on o mnie — ani jednej. Stąd niedogodność, jaka kryje się w sławie. Mam niejako przewagę nad tymi trzema ludźmi, którzy znaczą tak wiele, kiedy ja nie znaczę nic. Ale nie koniec na tym. Życie moje splata się tak mocno z ich życiem, że zatraca się różnica wieku. Początki cofają się w czasie omal do dnia dzisiejszego, a niedawne wydarzenia zapadają w głąb lat, jakich nie mógłbym chyba znać z tej prostej przyczyny, że jeszcze się wówczas nie urodziłem; znam je wszakże, gdyż już wtedy istniałem, żyłem w swoim ojcu, który później przekazał mi hojne dziedzictwo, wszystkie

swoje zdolności, historie, tradycje oraz ludzi, co go otaczali. A jeszcze wcześniej odbyło się równie uroczyste i niepostrzeżone przekazanie spadku przez mego dziadka Serhija memu tacie Matwijowi, więc też kiedy stoję oto przed stołem prezydium, przed tymi trzema szanowanymi i zasłużonymi ludźmi, nie przytłaczają mnie swoimi wysokimi stanowiskami, nie ma między nami nieprzebytej bariery, łączę się z nimi przez życie moje i mego ojca Matwija Czeredy, moje pierwsze kroki są także ich pierwszymi krokami, a wszystkie późniejsze szczeble ich marszu naprzód nie są niedostępne dla mnie; nie należy zresztą wysnuwać stąd wniosku, że prezydium w ogóle nie istnieje, że nie wiadomo kto jest kim, że nikt nikogo nie powinien słuchać i nie ma żadnych autorytetów. Chodzi o tymczasowość, o pewną umowność stanu, w jakim znajdują się jedni i drudzy, o wzajemną wymianę na podstawie umowy: dzień dzisiejszy należy do ciebie, a jutro może będzie już należało do mnie, jeżeli na to zasłużę. Dziś pierwsi jesteście wy, a jutro pierwszymi będą ostatni; tak utrzymuje się w społeczeństwie równowaga, co dostarcza energii niezbędnej do codziennej pracy i wielkich rewolucji.

Za moimi plecami toczy się prowadzona szeptem rozmowa, w której chodzi głównie nie o czas zaprzątający moją uwagę, lecz o zwykłe mechanizmy służące do jego mierzenia. Nie przeszkadza mi, przeciwnie, może ta rozmowa właśnie kieruje moje rozmyślania na zmiany w czasie i wypełniające go treści.

— Wiesz — mówi jeden — znowu wymienił sobie zegarek.

— On to potrafi! — mówi z zawiścią w głosie drugi. Nie wymieniają żadnego nazwiska, mówią po prostu o nim, ale nie ma to dla mnie znaczenia.

— Miał wtedy szwajcarski, z koroną, pamiętasz?

— Jeszcze jak! Ze złotą koroną.

— A werk — jak złoto!

— Świetny zegarek!

— Zaczął wymieniać wskazówki!

— Powiedziałem mu: co robisz! Ale nie posłuchał.

— Nie rozumie, że nie wolno wymieniać oryginalnych części. Wszystko musi być oryginalne. Wtedy zegarek jest zegarkiem! A jeżeli wymienisz część oryginalną na obcą — nic już z niego.

— Z wyglądu może będzie nawet ładniejszy i mechanizm zostanie nietknięty, ale to już nie to. Z pewnością.

— Przecież powiadam, że oryginalnych części nie wolno ruszać. Bo od razu połowa siły przepadnie! Nie będzie wtedy ani siły, ani dokładności. Wszystko zostaje naruszone, kiedy obejmiesz coś z oryginalnych części.

— A on tego nie rozumie. Opylił ten z koroną i kupił omegę. Zegarek wprost śpiewał. I co? Zaniósł go do zegarmistrza, zdjął cyferblat i wskazówki, kazał wstawić pozłacane, kształtowe. Bo tamte świeciły. I cyferblat, i wskazówki. A on boi się promieniowania. Chociaż cała Europa się nie boi. Lektor wygłosił u nas referat: „Promieniowanie naszym przyjacielem".

— Świeci czy nie, wszystko jedno. Najważniejsze, żeby było naturalne. Inaczej nie sposób. Mechanizm ulega uszkodzeniu. Nie ma już mowy o dokładności. Ładny może będzie, fikuśny, połyskliwy od złota, ale niedokładny, bo brak mu jego oryginalnych części. Mówię ci.

— Pewnie. Ale spróbuj to jemu wytłumaczyć.

— Mówiłem mu. Nie wymieniaj oryginalnych części, zostaw zegarek w spokoju. Wszystko powinno w nim być oryginalne. Wtedy będzie i wartościowy, i dokładny. A wymienisz coś... Ładny będzie, ale do niczego.

Przez ten czas, kiedy tamci dwaj rozmawiali o postępowaniu kogoś trzeciego, który z nie wyjaśnionym uporem narusza harmonię i celowość istniejących przy-

rządów, kiedy z pełną dostojeństwa powolnością zajmowało miejsce prezydium i w hali milkła wrzawa, ja odbywam błyskawiczną (lecz bynajmniej nie krótkotrwałą) wędrówkę w czasie nie wybierając towarzyszy podróży, gdyż są tu przede mną, staję przed nimi, a czas zatrzymał się między nami tylko na mgnienie, by znowu urwać się z uwięzi i popędzić naprzód; wszystko, co idzie naprzód, musi jednak pozostawić coś w tyle, więc kto chce zajrzeć w przyszłość, powinien na taką samą odległość popatrzeć w przeszłość, odcinki czasu, między którymi się znajdzie, będą sobie równe według najprostrzej, co prawda, geometrii Euklidesowej, ale innej się na razie nie uczyłem, a jeżeli figuruje jeszcze ta geometria w programie szkolnym, więc pewnie nie została dotąd wycofana i posługiwanie się nią nie jest grzechem. Wiem również, że chcąc skoczyć w dal trzeba nabrać rozpędu i cofnąć się w tym celu od linii startu. Usiłuję więc cofnąć się przed skokiem w dal, jakkolwiek jeszcze nie wiem, komu przyjdzie skoczyć, i nie jestem pewien, czy to już kolej na mnie.

Zaczynać trzeba od prezesa komisji. Nie tylko dlatego że jest tu dzisiaj najważniejszą osobą, ale z tej przyczyny, że łączy mnie z nim w czasie więź najstarsza. Przez mego tatę Matwija Czeredę. Z prezesem komisji, tytułowanym obecnie z szacunkiem Oleksandrem Mykołajowiczem (z nie mniejszym szacunkiem ludzie zwracają się do mego taty per Matwij Serhijowicz — to już przywilej starości), ojciec biegał niegdyś po osiedlu hutniczym, obaj chodzili razem do dziewcząt z centrali telefonicznej i obu im nadano dziewczęce imiona — Szura i Motia, bo z lada powodu i bez powodu wykwitały na ich policzkach rumieńce wstydu, obaj ożenili się z dwiema komsomołkami, z Olą i Katią, „artystkami" z naszej huty, które grały w amatorskim spektaklu „Trzy siostry" Czechowa i w ciągu jednego

wieczoru podbiły serca dwóch hutników. Może przeszliby tak razem przez całe życie, bo przynajmniej w owych czasach żaden z nich nie wyobrażał sobie rozłączenia z kolegą. Nie mówili o tym, nie bili się w piersi, teatr uznawali tylko jako taki, jako istniejący niezależnie od nich i dalecy byli od wszelkiej teatralności w życiu — w ciężkich czasach wojny domowej i odbudowy przyzwyczaili się do surowości. Miłość surowa może być również miłością trwałą, więc wierzyli, że nigdy dzielić ich nie będzie chłodna przepaść, nie potrafili sobie wyobrazić, że się rozstaną i nie potrafiły tego tym bardziej ich żony.

Stało się tak jednak. Trzeba było wydelegować młodego i dzielnego hutnika do Szwecji, żeby się tam zapoznał z najlepszymi osiągnięciami. Stal szwedzka, jej świetne gatunki. Wszyscy hutnicy słyszeli o mieście Eskilstun. Za górami, za morzami. Prawie legenda. Trzeba tam pojechać, nauczyć się i prześcignąć. Powinien to być ktoś z ich huty. W ich wieku. Jeden pojedzie, nie dwóch czy trzech. Wybrano Szurę, czyli Oleksandra. Miał zabrać swoją młodą żonę Olę i pojechać do Szwecji na rok czy nawet na dwa lata. Mógłby zrezygnować, ale nie zrezygnował. Wybrano go przecież, zaufano i zaszczycono. Któż się odważy zlekceważyć taki dowód zaufania? Sam Czereda namawiał kolegę: „Jedź, naucz się... i prześcignij!".

Trudno dziś opowiedzieć o tych wydarzeniach ze wszystkimi szczegółami. Czas je rozmywa jak deszcz glinę. Gdyby teraz zapytano Oleksandra Mykołajowicza, dlaczego wybrano wówczas właśnie jego, może by sobie przypomniał bodaj jedną z głównych przyczyn. Nie mogłem go jednak zapytać i wątpliwe zresztą, czy w istocie przypomniałby sobie. Bo ile było potem podróży w jego życiu, jeszcze ważniejszych i ciekawszych: i za granicę, i po własnym kraju w związku z zadaniami państwowymi!

Oleksandr pojechał i przyjechał. Wrócił po dwóch latach do rodzinnego miasta. Ale jak wrócił? I czy był to w ogóle Oleksandr, czyli Szura, przyjaciel i kolega Matwija? Ludzie mają to do siebie, że się zmieniają. Uczą się i poddają reedukacji, a zresztą bez wiary w zmienność życie byłoby pewnie nieciekawe, wprost nudne. W ciągu dwóch lat można zapewne nauczyć się wiele nowego, ale czy można również przerobić własne ja? Oleksandr stał się zupełnie nowym człowiekiem. Nie poznawał nikogo ze starych przyjaciół, do Matwija zwracał się per „pan", odpychając go w ten sposób od siebie, była jakaś pogardliwość w jego słowach, gdy rozmawiano o sprawach fachowych, a całym swym wyglądem Oleksandr demonstrował, że już mu tu za ciasno, że przerasta to prowincjonalne środowisko, że ciąży mu zacofanie i ograniczenie tutejszych ludzi, począwszy od ich sposobu myślenia i kończąc na ich sposobie ubierania się. Zmieniła się również Ola, która także zwracała się do swojej przyjaciółki Kati per „pani"; nie były to już Czechowowskie siostry, które marzyły o dobroci i szlachetności w stosunkach międzyludzkich, o swobodnej i radosnej pracy. Jedna pozostała zwykłą dziewczyną z huty, druga okazała się Ewą z huty i dała się skusić europejskim zbytkiem i beztroskim życiem.

Oleksandr nosił teraz czapkę uszytą z klinów ze skrzypiącej skóry, sportowe marynarki, celuloidowe kołnierzyki i krawaty w groszki, błyszczące żółte kamasze; Ola zaś zadawała szyku strojąc się w kokieteryjne kapelusiki, boa i lakierki. Niedługo zresztą mieszkali teraz w naszym mieście, gdyż Oleksandra, jako fachowca z nabytym za granicą doświadczeniem, mianowano prezesem jakiejś komisji i wyjechał na delegację tym razem we własnym kraju, ale z przyzwyczajenia zabrał żonę, jakby przeczuwając, że już więcej do nas nie wróci.

Rzeczywiście nie wrócił. Między nim i ojcem nie doszło do żadnej sprzeczki, jeden drugiemu nie powiedział złego słowa, po prostu tak się sprawy ułożyły, że jeden pozostał na całe życie mistrzem, a drugiego życie to uczyniło prezesem różnych komisji. I tyle.

Raz się spotkali, ale znowu nie byłem świadkiem ich spotkania z tej naturalnej przyczyny, że jeszcze nie przyszedłem na świat. Było to podczas wojny na Uralu, nasza ewakuowana huta miała zostać uruchomiona w nowym miejscu, ale nie uruchomiono jej w porę, więc przyjechała komisja państwowa, żeby ustalić przyczyny tej zwłoki, bo wojna nie czekała. Prezesem komisji był Oleksandr Mykołajowicz. Specjalnie mego taty nie szukał, może zresztą nie wiedział, że ojciec tu jest. Tato też się nie kwapił do spotkania, ale ktoś sobie przypomniał i powiedział o tacie, a Oleksandr Mykołajowicz wyraził chęć zobaczenia się z mistrzem Czeredą; był u nas w domu na herbacie, rozpamiętywał z moimi rodzicami przeszłość i trochę się wszyscy rozczulili, ale tylko trochę, bo podczas wojny nie wypadało zbytnio się roztkliwiać. Oleksandr Mykołajowicz dał także do zrozumienia, że przebywa teraz w sferze wysokich zainteresowań i uczuć, że ma zaszczyt spotykać się z samym towarzyszem Stalinem, że wykonuje jego osobiste polecenia, cieszy się jego zaufaniem i jest w łaskach. Mówił o tym ostrożnie, aluzjami, z dość wyraźnym drżeniem w głosie, z czego Matwij Serhijowicz wysnuł wniosek, że Oleksandr Mykołajowicz jest co prawda, w łaskach, ale trochę się obawia, by ich nie stracić; chciał więc jakoś dać swemu byłemu koledze do zrozumienia, że w razie czego może zawsze liczyć na poparcie, bo nie został tu zapomniany, hutnicy pamiętają wszystkich swoich ludzi. Te aluzje i zapewnienia nawet rozczuliły Oleksandra Mykołajowicza i obiecał, że będzie pisał listy, że nie

zapomni, ale wyjechał i... zapomniał, miał bowiem mnóstwo państwowych kłopotów na głowie.

A teraz jest tutaj i znowu nie zainteresował się, co z ojcem, mimo że przyszły już te lata, kiedy należy pytać o każdego ze starych kolegów i to pytać, czy jeszcze żyje. Pewnie, mógłbym się wtrącić do tej przeciągającej się od dawna gry z udziałem dwóch upartych ludzi, podejść bodaj teraz, póki nie zaczęło się zebranie, i powiedzieć Oleksandrowi Mykołajowiczowi:

— Mieszka tu pański przyjaciel z czasów młodości, Matwij Czereda, ale nie chce się z panem spotkać.

I tyle. I kropka. Niech się zastanowi. Niech rozszyfruje.

Bo rzeczywiście, dlaczego nie chce się spotkać? Kto powiedział? Skąd wiem? Może to ja usiłuję przenieść własny sposób myślenia i oceny zjawisk na stosunki między nimi, które kształtowały się kiedyś dawno inaczej, niż kształtują się obecnie? A może mam prowincjonalny kompleks niższości? Może żyję w świecie małych wymiarów, a Oleksandr Mykołajowicz kierował się prawami wielkich liczb oraz ważnych czynów i zadań, do których nie mam jeszcze dostępu? Oto jego Gwiazda Bohatera Pracy Socjalistycznej. Najwyższe odznaczenie państwowe, którego nikt za darmo nie otrzymuje. A przedtem odznaczony został Orderem Lenina. Ojciec ma również Order Lenina. Nie za wysługę lat, za co niekiedy przyznawane jest to wysokie odznaczenie, lecz za wojnę, za wykonanie zadań o wyjątkowym znaczeniu dla obrony państwa. Widocznie Oleksandr Mykołajowicz wykonywał jeszcze ważniejsze zadania. Chciałem się pocieszyć bodaj w ten sposób, starałem się wykazać obiektywność w stosunku do prezesa komisji, dokładałem wszelkich starań, ale siedział obok niego dyrektor zakładów, „Podejście państwowe", jak go przezywaliśmy, gdyż przy każdej

sposobności postulował „podejście państwowe" i w mojej pamięci, którą nie sposób było teraz oddzielić od pamięci mego ojca, gdyż tak mocno splotły się z sobą, otóż we wspólnej pamięci Czeredów znowu ożyło wspomnienie pozostające w związku z prezesem komisji i dyrektorem.

Wojna. Ural. Sroga zima czterdziestego pierwszego roku. Budowano hutę po prostu pod świerkami, na śniegu, nie pobudowano jeszcze hal, ale sprzęt już montowano i instalacja zgniatacza dobiegała końca... Nie wykonano jednak wszystkich prac w terminie. I wtedy — komisja państwowa. Z obecnym prezesem na czele. O wiele młodszy, ale tak samo surowy jak dzisiaj. I także dwie grupy ludzi: komisja z Moskwy i załoga huty. Tyle że obecny dyrektor był wówczas głównym inżynierem, drugą osobą w hucie, chociaż faktycznie pierwszą, bo to właśnie on przywiózł z Ukrainy wszystkie urządzenia ewakuowanej huty.

Główny inżynier miał na sobie kożuch i czapę z grubego sukna, z dużym daszkiem — w tych „czapkach pierwszych pięciolatek" jakoś chodzą teraz tylko Gruzini.

— Nie ma wirnika — wskazuje na główny silnik zgniatacza dyrektor nie uruchomionej jeszcze huty — nie możemy uruchomić zgniatacza, póki nie nadejdzie wirnik. To kolej nas wrobiła. Nie mogą go odnaleźć, powiadają, że nie ma wirnika.

— To ty ewakuowałeś hutę z Ukrainy? — zwraca się prezes komisji do głównego inżyniera.

— Tak, ja.

— Wirnik załadowałeś?

— Załadowałem.

— Nie bujasz?

Główny inżynier milczy urażony.

— Gdzież jest wirnik? — krzyczy prezes komisji. — Gdzieś go zaprzepaścił?

— Nie wiem. Jest gdzieś w drodze... Przecież nie odpowiadam za pracę kolei...

— Cóż za główny inżynier z ciebie, jeżeli nie wiesz, gdzie jest wirnik! — mówi rozzłoszczony prezes komisji i chwyciwszy za daszek czapki jednym szarpnięciem ściąga ją głównemu inżynierowi na twarz. — Powinieneś znaleźć z zawiązanymi oczami. Trzeba było biec za platformą z Ukrainy aż tutaj!

Członkowie komisji śmieją się, hutnicy milczą nachmurzeni. Wtem z przesłoniętych czapką ust głównego inżyniera dolatuje mamrotanie:

— Sto osiemnaście czterysta sześćdziesiąt siedem.

— Co to za liczby? — pyta groźnie prezes komisji.

— Numer platformy, na którą załadowałem wirnik — wciąż spod czapki odpowiada główny inżynier.

— Co, zapamiętałeś go?

— Przypadkowo. Bo jeszcze pomyślałem, że taki przecież ładunek, więc a nuż...

— Widzicie go, geniusz! Sprawdzimy! Przetrząśniemy wszystkie koleje. A jeżeli nabujałeś...

A potem, kiedy komisja już odeszła — poirytowane twarze hutników, pełne oburzenia okrzyki:

— Nie powinieneś tego tak zostawić!

— Trzeba się poskarżyć!

— Zmuś go, żeby cię przeprosił!

— Zwróć się do samego Stalina!

— Trzeba mieć do wszystkiego podejście państwowe — wzdycha główny inżynier.

Pewnie także teraz powtarza dyrektor te słowa nachylając się do sekretarza egzekutywy Wasyłenki, mężczyzny bardzo jeszcze młodego w porównaniu z prezesem komisji czy dyrektorem i bardzo przystojnego. Wasyłenko zdaje się nie pasować do tamtych —

starych, zasłużonych, zadowolonych z zajmowanych stanowisk, wyzutych z pozytywnej zazdrości i gorących pragnień jak nieśmiertelni bogowie. Wasyłenko, odkąd go znaliśmy, jeszcze jako inżynier zawsze walczył o sprawiedliwość, żądał rzetelności i uczciwości, przeciwstawiając się bezdusznym stosunkom produkcyjnym. Należał do tych, co chcieliby zhumanizować — w najlepszym tego słowa znaczeniu — wszystko dokoła; wiedzieliśmy o tym i lubiliśmy Wasyłenkę, mimo że nie każdy z nas miał z nim bezpośrednio do czynienia, nie zależeliśmy od niego — ale czyż sympatię i szacunek żywimy tylko dla tych, od których jesteśmy uzależnieni? Wasyłenko był młody. Prezes komisji i dyrektor mogli przeciwstawić jego młodości swój staż pracy, który wynosił łącznie dla nich obu blisko sto lat. Cóż, nasz młody sekretarz egzekutywy nie mógł się pochwalić takim stażem. Przed czterdziestu laty z ręki kułaków zginął jednak jego ojciec. Gdzie zaliczyć taki staż? A dwadzieścia pięć lat temu poległ na froncie jego brat. I potem, już po wojnie, zginął jeszcze jeden brat, lotnik doświadczalny. Miała matka trzech synów, pozostał jej jeden. A ojciec i bracia pozostawili mu w spadku swoją zgubę. Czy należy więc porównywać czyjeś czterdzieści i jego cztery lata? Może należałoby raczej pomyśleć, co dzisiaj robimy, czym usprawiedliwiamy swój pobyt na ziemi, jak pokazujemy, co jesteśmy warci, jak tego dowodzimy co dzień, co godzina...

Sekretarza egzekutywy znałem z jeszcze jednej strony. Łączyło nas coś, o czym Wasyłenko nic w ogóle nie wiedział. W klasie ósmej bowiem uczyła nas literatury żona Wasyłenki, Ariadna Hryhoriwna. Wasyłenko w ogóle nie istniał wtedy dla nas, nie mogliśmy sobie nawet wyobrazić, żeby taka kobieta jak Ariadna Hryhoriwna mogła mieć męża — wydawała się nam wszystkim taka nieosiągalna w swojej piękności, taka

była taktowna, opanowana, kulturalna. Podobała się jednakowo i chłopakom, i dziewczynom, polubiliśmy ją już na pierwszej lekcji, ale Eugeniusz prześcignął nas wszystkich, bo po prostu wziął i zakochał się w Ariadnie Hryhoriwnie. Nic innego nie robił, tylko się zakochiwał i zawsze udawało mu się wszystkich w tym wyprzedzać. W tym swoim zakochaniu bywał bardzo szczery, powiedziałbym nawet, że nachalny, bo od razu się oświadczał. Z nauczycielką zrobił to wprost artystycznie. Pisaliśmy wypracowanie na lekcji literatury, temat dała nam Ariadna Hryhoriwna zwyczajny, wzięty z życia. Skrzypieliśmy piórami, potem oddawaliśmy nasze bazgroły podpisane nazwiskiem. Wszyscy byli wtedy obecni — trzydzieścioro dwoje. Ariadna Hryhoriwna zabrała wypracowania i obiecała, że przyniesie je na następną lekcję. Przyniosła rzeczywiście, ale powiedziała, że opracowań jest jakoś nie trzydzieści dwa, lecz trzydzieści trzy — jedno nie jest podpisane, czyli anonimowe i zbędne, absolutnie zbędne.

— Może autor się zgłosi? — zapytała nauczycielka.

Nie, nie zechciał się ujawnić.

— Przeczytać wypracowanie! Przeczytać! — wrzeszczeliśmy.

Ariadna Hryhoriwna trochę się jakby zmieszała, nawet się lekko zaczerwieniła. Domyśliliśmy się, że wstyd jej za tego anonima.

— Przeczytać! — darliśmy się na całe gardło. — Wykryć go!

Jakby można było z treści wywnioskować, kto to napisał. Byłoby prościej przyjrzeć się pismu.

— Nie jestem pewna, że należy przeczytać — powiedziała nauczycielka. — Jeżeli autor nie chce się zgłosić przy wszystkich, niech podejdzie do mnie podczas przerwy.

Podczas przerwy też nikt do niej nie podszedł.

Nie wiem, co na to pedagogika i czy nie została naruszona jakaś zasada tej zagadkowej dla nas, uczniów, nauki, ale spodobało się nam, że Ariadna Hryhoriwna nie puściła wydarzenia w niepamięć i postanowiła doprowadzić sprawę do końca.

— Dzieci — przemówiła do nas — zrozumcie mnie właściwie. W tym nie podpisanym wypracowaniu nie ma nic złego. Przeciwnie, są tam dobre słowa o kimś, kogo dobrze znacie i — uśmiechnęła się — kogo ja znam również. Autor mógłby się przyznać bez obawy i ryzyka, że zostanie ukarany. Postępuje jednak według zasady: nie ma głupich. Zła to zasada, powiedziałabym nawet, że haniebna. Bo jeżeli człowiek w dzieciństwie nie ma odwagi mówić otwarcie nawet przyjemnych rzeczy i ukrywa swoje dobre uczucia, tym łatwiej i chętniej będzie ukrywał zło i nieprawdę. Człowiek taki może się okazać później oszczercą, pisać anonimy, psuć ludziom humor, przeszkadzać im w pracy i zatruwać życie. Nie chcę, żeby wyrośli z was tacy, co ukrywają swoje imię, bądźcie we wszystkim otwarci, bo nie ma nic droższego niż czyste sumienie!

Wtedy wstał Eugeniusz i powiedział czerwieniąc się:

— To ja napisałem.

— Bardzo dobrze — powiedziała spokojnie Ariadna Hryhoriwna. — Skoro już się przyznałeś do autorstwa i nie ukrywasz się z nim więcej przed kolegami, masz tu swoje wypracowanie. Przeczytaj je, niech się wszyscy także zapoznają z treścią.

Słowem, ujawnił się! Po prostu sumienie przemówiło w tym Genku. Co za typ! Okazało się zresztą, że to jeszcze nic, cośmy o nim pomyśleli, kiedy się przyznał. Nikomu z nas do głowy nie przychodziło, co mógł tam napisać. A napisał tak:

„Dzisiaj na lekcji literatury otrzymaliśmy niezwykły temat: scharakteryzować bliskiego nam człowieka,

scharakteryzować tak, żeby zgodnie z metodą L. Tołstoja wydobyć na jaw dialektykę duszy swego bohatera.

Zrobić to trudno, ale spróbuję.

Już od roku spotykam się z tą osobą codziennie.

Stoi mi przed oczyma jej wysoka, nieco tęga postać, widzę jej powolne ruchy i dumny chód, słyszę jej łagodny głos. Wsłuchuję się chętnie w jego intonacje, takie zmienne i niespodziewane. Głos jej rozbrzmiewa raz pewnie i rozkazująco, każe iść za sobą, to znów chwyta za serce nutą liryczną, ale nigdy nie brzmi ostro i krzykliwie.

Myślę, że jej zawód wymaga ładnego głosu.

I konieczna jest ładna powierzchowność.

Lubię na nią patrzeć.

Powiedział Czechow, że w człowieku wszystko powinno być piękne: i twarz, i ubiór, i dusza, i myśli.

Doskonale się do niej odnoszą te słowa.

Wszystko jest w niej takie zharmonizowane. Skromne kostiumy, eleganckie buciki, nawet różne drobiazgi dobiera z niezwykłym smakiem.

Widziałem ją raz w teatrze.

Była bardzo ładnie ubrana: czarna aksamitna sukienka bez rękawów, na białe ramiona narzuciła piękny szal.

Znowu nic, co by było niepotrzebne i wszystko razem takie ładne!

Lubię patrzeć na jej ręce z cienkim pierścionkiem na palcu. Kiedy przesuwa dłonią po oczach, mały diamencik rozbłyskuje jak łezka. Od niedawna weszło to w jej zwyczaj, że tak przesuwa dłonią po oczach. Pewnie męczą się jej oczy. Tak, zaczęła wkładać czasem okulary. Ale nie wydaje się w nich brzydsza.

Lubię także jej oczy i uśmiech. W oczach pojawia się czasem cień smutku. Nawet się domyślam, jaka jest

przyczyna tego smutku. Jej uśmiech też bywa czasem smutny. Myślę wtedy: jak można sprawiać jej przykrość, jak można?

Dziwne uczucia budzi we mnie ta osoba. I bezgraniczny szacunek, i chęć, by zrobić dla niej coś niezwykłego, i jakiś niejasny niepokój.

Chciałbym, żeby taka była moja matka (ale nie mam matki) i żeby kiedyś moja dziewczyna była do niej podobna.

Co to jest? Młodzieńcza miłość czy też inne uczucie? Nie wiem".

Proszę, taki był nasz Genek! Wprawdzie nabujał, że nie ma matki, i wyprzedzając wszystkich wyznał miłość Ariadnie Hryhoriwnie, przebaczyliśmy mu, bo wszyscy lubiliśmy Ariadnę Hryhoriwną.

Nie znaczy to, rzecz jasna, że sekretarz egzekutywy Wasyłenko byłby zachwycony, gdybym teraz popchnął w stronę stołu prezydialnego Eugeniusza i powiedział:

— To jest właśnie ten Genek, co oświadczał się kiedyś pańskiej małżonce.

Czas wspomnień kończył się jednak. Prezydium naradzało się nad sprawą przewodnictwa. Widocznie to takie ważne i niezwykłe zebranie nie było przygotowane, zaczynało się trochę samorzutnie, że tak powiem. Przewodniczący mu triumwirat nie mógł ani rusz uzgodnić podziału obowiązków. Mruczał coś do dyrektora prezes komisji, dyrektor wzruszał ramionami powołując się na „podejście państwowe", spokojnie wymawiał się od przewodniczenia zebraniu sekretarz egzekutywy. Zainstalowany przed nimi mikrofon chwytał każde słowo i wzmacniając brzmienie głosu roznosił po hali.

W końcu prezes komisji mruknął do dyrektora:

— Jesteś dyrektorem, więc zaczynaj, a potem zobaczymy...

Dyrektor najwyraźniej niechętnie wstał, poprawił krawat i takim tonem, jakby się usprawiedliwiał, zaczął:

— A więc, towarzysze...

Zebranie się zaczęło.

14

Wiedzieliśmy, że dyrektor będzie mówić o podejściu państwowym do sprawy. Rzeczywiście powiedział o podejściu państwowym. Ale co dalej? Tajemniczy urok zebrań kryje się w fakcie, że prezydium zawsze wie, jak będą się rozwijały wydarzenia, a pozostali uczestnicy mogą tylko snuć domysły mniej lub więcej prawdopodobne. Coś jakby antyteatr. Bo w teatrze z reguły cała widownia doskonale wie, kto jest na scenie złoczyńcą, a kto bohaterem pozytywnym, nie wiedzą zaś tego do pewnego czasu sami aktorzy, zebranie natomiast jest lustrzanym odbiciem tej wypróbowanej w ciągu wieków całych scenicznej konwencji: widzami stają się tu aktorzy, a widzowie — aktorami.

Dzisiaj wszystko się jednak pomieszało i poplątało. Po zagajeniu dyrektorskim triumwirat znowu się sprzeczał, jak prowadzić zebranie dalej. Planu nie było.

— Nie przygotowaliście zebrania! — nie ściszając głosu huknął do mikrofonu prezes komisji zwracając się do sekretarza egzekutywy. Ten pochylił się w stronę prezesa chcąc mu zapewne coś szepnąć w zaufaniu, ale w rzeczywistości przybliżył się do mikrofonu stojącego akurat naprzeciw Oleksandra Mykołajowicza i odpowiedział na całą halę:

— Zgrzeszyłbym przygotowując takie zebranie — ludzie powinni się sami wypowiadać.

— Gdzie jest kierownik oddziału? — zapytał prezes

komisji zwracając się tym razem już rzeczywiście do wszystkich.

— Zachorował — odpowiedział Wasyłenko.

— Nawarzył piwa — i zwolnienie chorobowe? — Prezes komisji spodziewał się, że zareagujemy na jego słowa pogardliwymi uśmiechami czy nawet skwitujemy zachowanie kierownika oddziału wybuchem śmiechu, ale wcale nie zbierało się nam na śmiech i wiedzieliśmy wszyscy, że kierownik oddziału jest człowiekiem starym i rzeczywiście chorym, że wszystko to było dla niego ciężkim i bolesnym ciosem. Jak się tu śmiać!

— Jest zastępca kierownika — powiedział dyrektor.

— Co nam z zastępcy! — Widać było, że prezes komisji przygotował sobie natarcie i że zastępca go nie zadowala.

Nie tracąc czasu Wasyłenko zwrócił się do Tokowego, który chował się za czyimiś plecami, i zapytał:

— Tokowy, możecie zabrać głos?

— Jestem gotów — podciągnąwszy spodnie zerwał się Tokowy. Na jego policzkach pojawiły się mocne wypieki, ręce mu się kołysały, kiedy długo i niezgrabnie szedł do mównicy, potem jeszcze nasunął pasemka czarnych włosów na łysiejące ciemię, jakby chciał przesłonić jałowość własnych myśli, i wreszcie przemówił. Gadał już teraz, jakby czytał z książki:

„Główny kierunek naszego życia jest jasny, wytknęły go dokumenty programowe partii i rządu".

Tokowy mówił:

„Społeczeństwo nie stoi na jednym miejscu. Podlega rewolucyjnym wstrząsom, przeobraża się i zdecydowanie zmierza ku komunizmowi".

Powiedział dalej:

„Na stanowisku zastępcy kierownika oddziału starałem się zgodnie ze stawianymi nam wysokimi wymaganiami stosować partyjne metody pracy organizacyj-

nej i ideowo-wychowawczej, osiągnąć możliwie najwyższą efektywność całkowicie podporządkowując swoje życie interesom..."

Zacytował nawet czyjś wiersz:

Bo ludziom jeden los sądzony...
Skromni i ci, co w blasku sławy,
Znikniemy jak jesienią trawy
Schną, zostawiając swe nasiona.

— Myślę, że po was pozostaną tylko nie wykonane zadania państwowe — powiedział do mikrofonu prezes komisji i sam się roześmiał z własnego dowcipu. — Nie deklamujcie nam tu wierszy, tylko powiedzcie, jak zamierzacie dawać rury!

— Nie zdołamy wykonać zadania państwowego — przerzuciwszy się z poezji na prozę oświadczył Tokowy, a hala od razu zahuczała wzburzona i poruszona.

— Nie obrażajcie ludzi — zorientowawszy się od razu, że robotnicy są niezadowoleni, cicho ostrzegł Tokowego sekretarz egzekutywy.

— Nikogo nie obrażam, ale... Przyjrzyjcie się, towarzysze, jaka sytuacja wytworzyła się w naszym oddziale, jak idą na marne nasze wysiłki... A tymczasem...

— Na kogo się właściwie skarżycie! — zagrzmiał prezes komisji. — Jesteście przecież kierownikiem oddziału, jednym z kierowników!

— Ależ w tym cała tragedia, że jednym z kierowników — podchwycił Tokowy. — Bo kierownik oddziału...

— Wasz kierownik oddziału jest tchórzem — powiedział twardo prezes komisji — zląkł się i nie przyszedł na zebranie.

— Jest rzeczywiście chory — zainterweniował Wasyłenko. — Niekiedy człowiek może zachorować zetknąwszy się z niesprawiedliwością.

— Kierownictwo i sprawiedliwość mają ze sobą nie-

wiele wspólnego — wciąż tak samo twardym głosem zagrzmiał prezes komisji. — Lenin w osiemnastym roku oświadczył bez ogródek, że dziewięć dziesiątych aparatu można zamienić nowymi ludźmi, jeżeli tamci nie dają sobie rady.

— Lenin przychodzi do nas nie wtedy, kiedy przy sposobności przypominamy sobie coś z tego czy innego tomu — powiedział spokojnie Wasyłenko — ale kiedy pracujemy uczciwie, nie szczędząc wysiłków.

— Nie przepracowaliście się — prychnął gniewnie Oleksandr Mykołajowicz. — Mówcie, towarzyszu Tokowy. Co wam przeszkadza w wykonaniu planu? Mówcie o istotnym stanie rzeczy.

— Jeżeli o istotnym stanie rzeczy... jeżeli o istotnym — machnął ręką Tokowy — to trzeba, żeby na hali zapanowały normalne stosunki. Co to znaczy? Zaraz wytłumaczę. Zapomnieliśmy o szeregowym inżynierze, o dowódcy wytwórczości, pozbawiliśmy go praw, zepchnęliśmy go na plan dalszy, zapomnieliśmy o ludziach, którzy są nam potrzebni przede wszystkim. Są nam potrzebni pracownicy, rzeczowi inżynierowie. Niechaj nie sięgają po gwiazdki z nieba, niechaj będą zwykłymi, przeciętnymi inżynierami bez fantazji i wariackich pomysłów, bez modernizmu i abstrakcjonizmu, ale niech dadzą za to już dzisiaj to, co potrzebne jest narodowi dzisiaj, nie jutro. A jak sprawy przedstawiają się u nas? Zapomnieliśmy o dniu dzisiejszym i przestawiliśmy się wyłącznie na jutrzejsze nie istniejące osiągnięcia, mówiąc po prostu: zamiast produkować rury dzisiejsze, jakie wytwarzać możemy, pocieszamy się tym, że dzięki jakimś tam udoskonaleniom i zmianom technologii jutro będziemy ponoć dawali dziesięć albo sto razy więcej rur. Ale jaką mamy gwarancję? I czy możemy czekać do jutra? Mnie, podobnie jak całemu narodowi, potrzebna jest jedna rura dzisiaj, żeby rakie-

ta poleciała dziś. Jutrzejszych rur oczekiwać nie mogę. Rakieta musi polecieć dzisiaj. Racja czy nie?

— Racja — przytaknął prezes komisji.

— Tylko w ten sposób wygrywa się wszystkie wojny z nieprzyjaciółmi i czasem! Dla mnie czas jest najgorszym wrogiem. Nie mogę tak samo wiecznie czekać, jak wiecznie żyć!

— Racja! — jeszcze raz zagrzmiał prezes komisji.

Szturchnąłem Eugeniusza — przecież Tokowy wyraźnie pije do Szlachtycza. Mniejsza że także trochę do nas, nie brano nas w rachubę, ale do Szlachtycza! Taki sobie półlegalny donosik. Z filozoficznym ugruntowaniem. Tokowy nie może żyć wiecznie. Nikt mu zresztą nie każe. Wieczność istnieje jednak mimo wszystko, istnieją również jej wymiary — takie buty, towarzyszu Tokowy!

Dyrektor wstał i powiódł po hali nieco zmieszanym spojrzeniem. Tokowego już nie było na mównicy, wycierał spotniałą łysinę sadowiąc się obok Czemerysa, który — jak się okazało — też był w prezydium jako przodownik pracy. Nikt nie prosił o głos. Szlachtycz potrząsnął ramionami, zamierzał widocznie ruszyć do ataku, ale udało się nam go powstrzymać. Nie warto. Tak samo, jakby pobiegł pod ogniem cekaemowym. Trzeba poczekać, aż cała amunicja zostanie wystrzelona, i wtedy już biec, bo inaczej skosi człeka ten ogień. Nic smutniejszego niż wojsko, co nie doszło do pola bitwy.

Dyrektor coś powiedział głównemu inżynierowi huty, pewnie go poprosił: „Ratuj!" Podejście państwowe wymaga, żeby nie dopuszczać do tego przedłużającego się milczenia, trzeba tę ciszę wypełnić.

Główny inżynier posłuchał. Był to człowiek bardzo szanowany i poważny. Budziły szacunek i dodawały mu powagi okulary oraz pomarszczone czoło. Usto-

sunkowywał się do wszystkiego z całą odpowiedzialnością, z jednakowo poważnym wyrazem twarzy grał w szachy, obierał gotowane jajko i dobierał słowa w rozmowie; zdawało się, że całe pokolenia asekurantów stały za plecami głównego inżyniera, taki był z niego człowiek powściągliwy i rozsądny i z taką bojaźliwą ścisłością starał się zawsze formułować swoje myśli.

— Będę mówić z całą świadomością i z naciskiem — zaczął główny inżynier, jakkolwiek wszyscy i tak wiedzieli, że będzie mówić z całą świadomością i z naciskiem. Z jednej strony podnosiło go to w naszych oczach, ale jednocześnie taki był przez to nudny. A zwykli inżynierowie, którzy w pracy mieli z nim wciąż do czynienia, uważali, że główny tak właśnie mówi, bo nie umie czy nie chce wysłuchiwać czyichś propozycji, wnikać w czyjąś koncepcję lub potrzebę. Przypominał skarbiec pełen klejnotów, do którego obcym wstęp jest surowo wzbroniony. Żył w zamkniętym światku odszlifowanych sądów i wyszukanych sformułowań, była to świątynia, do której nikogo się nie wpuszcza, sklep, w którym nic się nikomu nie sprzedaje, potok, w którym nikt się nie kąpie czy — mówiąc prościej — zamek, od którego zgubiono klucz. Bo spróbujcie znaleźć klucz do psychiki człowieka, który mówi zamykając się cały czas w sobie i nie zwraca uwagi ani na zniecierpliwienie prezesa komisji, słuchającego po raz pierwszy tego rodzaju mówcy, ani na hałas na sali, jako że ludzie zbyt dobrze znają swego głównego, by słuchać uważnie każdego jego słowa i jszcze raz nadaremnie próbować coś z tego zrozumieć.

— Powiem o czasie, o którym powinienem mówić. Mówimy o rytmie życia. Rytm ten ulega przyśpieszeniu, to bardzo dobrze. Jest w tym jednak także tragedia, bo jak było jeszcze wczoraj? Czas był mniej ruchliwy i w jego toku nie tak gwałtownie zmieniały

się rzeczy i świat. Dzisiaj nie możemy się spokojnie przyglądać marnowaniu czasu. A marnujemy go przez nasze organizacyjne braki i nieporządki. Tokowy wykazał przykładną troskliwość o dobro sprawy. Zwróćmy jednak uwagę, jakie dwuznaczne jest jego położenie. Nie jest mu przyjemnie, że dzieje się źle, wytworzono jednak atmosferę pedagogicznego braku odpowiedzialności i towarzyszowi Tokowemu przypada rola biernego obserwatora. Jest na oddziale grupa ludzi, nie powiem, że duża grupa, ale wiemy przecież, jaka niebezpieczna bywa aktywizująca się demoralizacja, jak często ludzie znajdują zadowolenie w dezorganizacji, jaki bierny spokój wykazują w czasie walki z trudnościami i niepowodzeniami fałszywi głosiciele aktywności duchowej. Zaczyna się rozmagnesowywanie i demobilizacja wysiłku tych pracowników, którzy podchodzą do rzeczy realnie. Czyż możemy na to pozwolić? Jestem po stronie towarzysza Tokowego. Są nam potrzebni rzeczowi, może nawet przeciętni inżynierowie, od których można wymagać i którzy potrafią uczynić wymaganiom zadość. Bo cóż nam z obietnic? Pozostawmy je religii. Naszym bogiem jest realna praca z realistycznym podejściem do spraw realnych.

— Bodaj raz by przyszedł i zobaczył, co robimy — westchnął Eugeniusz. — Nawet się nie pokazuje na hali.

Prezes komisji jakby usłyszał te słowa.

— A gdzieście byli, główny inżynierze! — rozgniewany prezes poruszył się gwałtownie na krześle. — Co się tam dzieje w waszym oddziale? Przedszkole urządzacie? Klockami się bawicie? Jak się komu podoba, tak je układa! Nie możecie zaprowadzić porządku?

Główny inżynier, który zamierzał się właśnie ukłonić (kłaniał się zawsze, kiedy kończył przemówienie, był człowiekiem bardzo grzecznym i dobrze wychowa-

nym), pozostał na mównicy, lecz po to jedynie, żeby powtórzyć to, od czego zaczął:

— Niestety, istnieje pewna utrzymująca się dwuznaczna sytuacja, usankcjonowana dwuznaczność, która rozciąga się na wielu realnie myślących pracowników. Towarzysz Tokowy jest tylko jednym z nich. Jeżeli chodzi o mnie — ja również. Niestety, ale tak właśnie jest.

— Cóż to za bachanalia! — zwrócił się prezes komisji tym razem do dyrektora.

Dyrektor pewnie by się powołał jak zwykle na podejście państwowe, nie zdążył jednak odpowiedzieć surowemu prezesowi komisji państwowej, bowiem rozepchnąwszy pierwsze rzędy i jednym susem przezwyciężywszy odległość między prezydium i masą, na mównicy znalazł się Hrysza Frusin, co było niespodzianką dla całego zebrania, a szczególnie dla nas.

— Jakie bachanalia? — zawołał Hrysza. — Dlaczego obrażacie wszystkich tych ludzi? Jakim prawem?

Zwracał się do prezesa komisji, który zorientował się od razu i nie dając się zbić z pantałyku, odpowiedział Hryszy pytaniem:

— A kim właściwie jesteście, że pozwalacie sobie krzyczeć?

— Kim jestem? Pytacie, kim jestem?

— Pytam. Wyobraźcie sobie, że pytam.

Administracyjne doświadczenie starło się z bezbronnością nowicjusza. Prezes komisji przeprowadził w swoim życiu chyba tysiące takich zebrań, czuł się w swoim żywiole, a za swoimi plecami miał autorytet państwa, które tu reprezentował. Hrysza natomiast nie miał nic: ani doświadczenia, ani autorytetu, ani umiejętności występowania w takim oto sporze. Nikt go tu prawie nie znał, więc nie mógł liczyć na życzliwość i poparcie, a powadze prezesa komisji nie mógł przeciw-

stawić nic prócz swojej komicznej czupryny, z której już się tu i ówdzie śmiano; kiedy zaś Frusin powtórzył kilkakrotnie, kim właściwie jest, a potem skonsternowany czy może oburzony lekceważeniem swojej osoby zaniemówił, ludzie zaczęli wprost ryczeć ze śmiechu. I ten ryk właśnie uratował Frusina, bo Wasyłenko podał mu szklankę wody i uniósłszy się na krześle przywołał wszystkich do porządku, a Hrysza trochę tymczasem ochłonął i powiedział gniewnie i z przejęciem:

— Chcecie wiedzieć, kim jestem! Aspirantem.

Znowu rozległy się śmieszki, a prezes komisji rozweselony uniósł brwi, co mogło znaczyć: skoro taki z ciebie ptaszek, to nic tu nie poradzimy. Hryszy chyba zależało jednak bardzo nie tyle na własnej osobie, ile na tej warstwie społecznej, do której się zaliczał: wszystkich aspirantów Związku Radzieckiego bronił ten śmieszny chłopiec z dżunglą rudych włosów na głowie, więc nie poprzestał na zwykłym wymienieniu swego tytułu zawodowego, lecz powtórzył raz jeszcze, ba, wrzasnął ze wszystkich sił:

— Aspirantem jestem! I co z tego? Dwadzieścia lat uczę się, dwadzieścia lat mój dzień pracy trwa czternaście godzin, kilkakrotnie uległem okaleczeniom, wylatywałem w powietrze razem ze swoimi urządzeniami do walcowania, paliłem się i sam gasiłem pożar, kiedy wszyscy inni wyskakiwali przez okna pozostawiając mnie w laboratorium swemu losowi. Kocham swoją mamę, która nauczyła mnie kochać wszystkich ludzi. A znalazłem się w hucie dlatego, że jest tu inżynier Szlachtycz. Gdyby mi się udało mu dopomóc, to... Kiedy delegowano mnie z Instytutu Walcownictwa do tej huty, powiedziano mi: „Szlachtycz — to dzień jutrzejszy. Postaraj się, Hrysza..." A co tu zobaczyłem? Zobaczyłem, że Szlachtycz nie jest nikomu

potrzebny. Ludzie są do niego uprzedzeni. A dlaczego? Przemawiał tu towarzysz Tokowy i główny inżynier, a wy, towarzyszu prezesie, popieracie ich. A dlaczego?

— No, no — poprawiając się na krześle odezwał się swym donośnym głosem prezes komisji — chętnie posłucham dlaczego.

Sądził widocznie, że Hrysza znowu wywoła śmiech na hali, a człowieka ośmieszonego nie ma się co bać, poza tym zawsze warto, by ludzie trochę odetchnęli w toku zebrania. Frusin był jednak w znacznie poważniejszym nastroju, niż można się było spodziewać. Nawet my obaj z Eugeniuszem nie pomyślelibyśmy nigdy, że krzykliwy i sympatyczny w swoim braku powagi i konsekwencji Hrysza zdobędzie się na takie długie i chaotyczne, co prawda, lecz pełne gniewu i goryczy przemówienie, jakie dziś usłyszeliśmy z jego ust. Nie było to właściwie przemówienie, lecz potężny krzyk duszy, krzyczały w nim dusze wszystkich tych, co płonęli, wylatywali w powietrze i cierpieli — dla ludzi, dla jutra, by szczęśliwsze było życie i lepszy cały świat.

— Kiedy pojawia się zdolny i utalentowany człowiek, od razu rodzą się jego zaciekli antagoniści w osobie niedołęgów i przeciętniaków, jakichś pigmejów. Może zresztą tak właśnie być powinno? By zwalczyć trudności? Ale czy należy oficjalnie popierać tych pigmejów przeciwko ludziom utalentowanym tylko dlatego, że talent jest zawsze jeden, a ich bywa kilkunastu i mają za sobą większość. Piszą na przykład gazety o pewnym znanym trenerze jazdy figurowej. Że niby taki i owaki... Mnóstwo podpisów. Trenera znają jednak wszyscy, gdyż wychował kilku mistrzów Europy i świata, tych zaś podpisujących się nie zna nikt, mają tylko swoje niezasłużone właściwie tytuły i nic nie zdziałali. I jeszcze staż. Długie lata pracy. Podobnie

bywa z piłkarzami. Ledwie się taki piłkarz nauczy strzelać bramki, już go posyłają, gdzie się tylko da. Podnoszą mu kwalifikacje, co tu gadać... Albo pewien znany reżyser filmowy. Laureat wszystkich możliwych nagród, ojciec, twórca naszego filmu. Zdawałoby się, ze wszech miar zasłużony. Nagle kogoś tam zbeształ na zdjęciach czy coś w tym rodzaju. Felieton w stołecznej gazecie. Reżyser zostaje zwolniony z pracy, już nie kręci. Chory, pracując dniami i nocami tworzy w końcu wielki film, którego nie udaje mu się skończyć — reżyser umiera. W tej samej gazecie czytamy: geniusz, przez całe życie tworzył wkładając w swe dzieła cały swój niezwykły temperament, właśnie dzięki temu udało mu się przenieść na ekran Dostojewskiego. Przecież niedawno besztano reżysera za ten jego bujny temperament! Jak to wytłumaczyć? Czy niepokojącym stanem społeczeństwa, które nie umie cenić talentów, w którym nie ma miejsca dla ludzi zdolnych, dla niezwykłych poszukiwań i wysokich wzlotów ducha ludzkiego?! Przemawiał tu Tokowy. Wiem, do kogo się odnosiły jego słowa. Miał na myśli inżyniera Szlachtycza! Tokowy czuje, że Szlachtycz jest od niego zdolniejszy, że do Szlachtycza należy jutro, którego Tokowy tak się boi. A dlaczego się boi? Bo jutro kierownikiem oddziału musi być Szlachtycz, do niego należy przyszłość. Szlachtycz da rzeczywiście te tysiące rur zamiast jednej wymęczonej dzisiaj. A czyż żyjemy tylko dniem dzisiejszym, czy nie stoimy przed wiecznością?

Tokowy uważa jednak, że społeczeństwo — to tylko on, nikt więcej. Tokowy jest właściwie niebezpieczny. W społeczeństwie gromadzi się balast. Nie ma nie tylko wolnych miejsc w ogóle, brak ich dla talentów, wszystkie są zajęte, nie czeka się na nikogo, nikt nie jest potrzebny. Cóż więc będzie z nowymi utalentowa-

nymi ludźmi, a przecież tylko dzięki nim społeczeństwo się rozwija! Mają czekać, aż pójdą na emeryturę ci, co zajmują miejsca? Społeczeństwo musi się oczyszczać. Drzewa też się wyrąbuje, by oczyścić las. W świecie zwierząt są również sanitariusze. A jakie zabiegi sanitarne zdołają nas uwolnić od wszystkich tych przeciętności, nierobów, mazgai, karierowiczów? Że nie ma u nas konkurencji? Nie, konkurencja u nas istnieje, lecz niestety, nie konkurencja pracy i czynu, lecz jakaś przeniesiona jak gdyby z czasów Rusi Kijowskiej czy Moskiewskiej. Wszędzie mamy kacyków. Kto się dorwał do stanowiska, jest już panem położenia. Marny pisarz zostaje redaktorem pisma, więc drukuje swoje własne bazgroty, których nikt nie wziąłby do rąk. Przeciętny architekt zostaje kierownikiem biura i przepycha swoje kiepskie projekty, szpeci teren kamiennymi potworkami. Jakiś inżynier z przypadku zostaje dyrektorem zakładów i zalewa rynek marnymi wyrobami, tak samo marnymi jak on sam, bo przecież — jakie matki, takie dziatki. A co trzeba robić? Przepędzać ich wszystkich bezlitośnie! I bez gorzkich żalów. Dzisiaj ja dokonałem czegoś niezwykłego — cześć mi i chwała! Jutro ktoś zrobi to lepiej, więc powinienem to uznać i ustąpić mu miejsca. Na ziemi jest dość miejsca dla wszystkich, a żadna praca nie hańbi.

W ciągu tego chaotycznego przemówienia Hryszy prezes komisji tylko lekceważąco mrużył oczy; jak widać, nie wywierała na nim wrażenia ani zapalczywość, ani kategoryczność młodego aspiranta. Ktoś z członków komisji szepnął coś Oleksandrowi Mykołajowiczowi, pewnie mu podpowiedział, że chyba już czas zamknąć temu ponadplanowemu mówcy usta. Prezes komisji pokręcił się tylko ociężale. Słowem, niech się młodzieniaszek wykrzyczy.

— Niepotrzebnie z tym wyskoczył — powiedział cicho Szlachtycz. — Po co? Kto go tu zna?

— Tokowy jest przeciwnikiem nowatorstwa! — wykrzykiwał tymczasem Frusin. — Dawał tu do zrozumienia, że nie pozwala się mu rozwinąć jego przeciętnych zdolności. Jest ponoć ortodoksyjny, walczy przeciwko herezji. Przeciwko herezji czy przeciwko nowatorstwu? We wszystkich epokach bano się herezji. A my też się boimy? Czym się więc różnimy od minionych epok i ówczesnych ludzi? Nic nie zapomnieliśmy i nie nauczyliśmy się niczego? Nie wierzę, nie wierzę, nie mogę uwierzyć!

— Dziękujemy bodaj za to — wstał prezes komisji. — Skończyliście?

— Skończyłem.

— A czym właściwie jesteście?

— Aspirantem — odpowiedział Hrysza. Zawtórował mu zgodny wybuch śmiechu.

— Widać — prezes zrobił pauzę, żeby ludzie się wyśmiali — widać, że jesteście aspirantem. No, a my jesteśmy grzesznymi praktykami. Za teorię dziękujemy, postaramy się ją przeżuć, ale dzisiaj interesuje nas strona praktyczna zagadnienia. Wysłuchamy wszystkich. Cierpliwie i uważnie. Byle tylko bardziej na temat. Kto chce zabrać głos?

Znowu nikt nie zechciał. Teraz my obaj z Eugeniuszem już sami wypychaliśmy Szlachtycza, ten powiedział jednak:

— Hrysza zepsuł całą sprawę. Jeżeli zabiorę głos, to jakbym pluł sobie w brodę. Będzie na to wyglądało, że mamy osobiste porachunki z Tokowym.

— A może warto się z nim porachować — próbowałem przekonać Lonię.

— Nie ma podstaw. Zresztą nie robi się tego z mównicy.

— Wobec tego ja!

Nawet mnie nie powstrzymywał, zapytał tylko:

— A co im powiesz?

— Wszystko!

— Powie, że nazywa się Myt'ko Czereda i jest synem mistrza Czeredy — bąknął Eugeniusz, który odznaczał się powściągliwością w tego rodzaju utarczkach, jak niemal we wszystkich życiowych sprawach. Chciałbym sam mieć jego spokój.

Kiedyśmy się tak spierali z sobą, Tokowy coś tymczasem skwapliwie szeptał Czemerysowi na ucho, ten zaś wzruszał ramionami, jakby chciał zasłonić sobie ramieniem ucho czy też odtrącić uprzykrzonego Tokowego. Widać uległ jednak w końcu namowom, bo wstał i nie prosząc o głos skierował się w stronę mównicy.

Prezes komisji nic nie mówiąc, samym tylko spojrzeniem zapytał dyrektora o Czemerysa, dyrektor nachylił się do niego i pewnie mu powiedział, kto to taki i Czemerys zabrał w końcu głos za milczącą aprobatą.

Wszyscy znali go tu dobrze, Czemerys mógł się obejść bez opinii polecających.

— Znacie mnie — zaczął — gadać nie lubię. Trzaskać dziobem byle nicwart potrafi...

Miał widocznie na myśli Hryszę Frusina, który popisał się wprost rekordową gadatliwością, ponad wszelkie obowiązujące u nas normy. Nie spodziewałem się zresztą niczego po Czemerysie, za to Eugeniusz zamarł w bezruchu, skulił się i pochylił cały do przodu — proszę, co może zrobić z chłopakiem taka dziewczyna jak Ala.

— A jakie jest nasze zadanie? — mówił tymczasem Czemerys cedząc słowa powoli i niechętnie. — Nasze zadanie — to ciągnąć rury. Żyję, żeby ciągnąć rury. Póki rury ciągnę, jestem człowiekiem. A jeżeli ich nie

ciągnę, to co ze mnie za człowiek? Tfu! Nic nie jestem wart!

Była to znowu aluzja do Frusina i jego gorącego, chaotycznego przemówienia, aluzja do nas wszystkich, bo nie „ciągnęliśmy rur". Prezes komisji pokiwał z aprobatą głową. Podobał mu się widocznie styl Czemerysa, rzeczowy styl rzeczowego człowieka, który wywalczył sobie prawo do przemawiania swoją pracą, swoimi osiągnięciami, nie zaś wycieraniem spodni na uczelnianych i aspiranckich krzesłach.

— Ale — powiedział Czemerys i umilkł na dłuższą chwilę, i to „ale" wisiało nad nim jak znak zwątpienia i rozczarowania. Nikt nie wiedział, co nastąpi po tym „ale", nawet prezes komisji poruszył się trochę niespokojnie, a na twarzy Tokowego znowu wystąpiły ciemne rumieńce i jeden tylko Wasyłenko patrzył na Czemerysa z ciekawością niemal dziecięcą, z wesołą ciekawością człowieka, który często się czemuś dziwi i znajduje w tym niemałą przyjemność.

— Ale — powtórzył nasz słynny walcownik — któż w naszej walcowni ciągnie teraz rury? Myślicie może, że ja ciągnę rury? Że ciągnie rury Czemerys? Piszą w gazetach... Gadają w radiu, więc... Czemerys, Czemerys i Czemerys... Wychodzi na spotkanie, zaciąga zwiększone zobowiązania... Więc powiem wam... Czemerys ciągnie brak, nie rury... Trzysta metrów, tysiąc metrów braku... Sam brak... Bo jeżeli trafi się jakiś metr bez braku, alboż to się nazywa ciągnąć rury?... Kapią te rury... jak łzy kapią. Słowem, tak... A co dalej? Dalej tak będą kapać? Jak te łzy? Nie wiem... Nie obiecuję. Przyzwyczajony jestem ciągnąć rury, nie żeby kapało... A „rock'n'rolle" rur nam nie dadzą... Że wpakowane w nie złoto, to jeszcze nic nie znaczy... Samo złoto rur nie popędzi... Ręce są potrzebne... A ręce — oto one... I tyle...

— Co proponujecie? — huknął prezes komisji zniecierpliwiony. — Zgłaszacie jakieś wnioski?

Czemerys w ogóle nie zwrócił na niego uwagi. Pewnie nie uznawał w ogóle słowa wniosek. Zwyczajnie myślał i te jego luźne myśli układały się z trudem w całość, były jednak własne, nie zapożyczone.

— Słowem, są artyści — zaczął znowu z zupełnie już innej beczki Czemerys — różne tam śpiewki, tańce-łamańce... A w naszej robocie też mówi się — artysta. W każdej robocie może być artysta... Taki człowiek. Ciągnąć rury to jak tańczyć na scenie... Może się tak wydać... A co artysta? Śpiewa cudze pieśni. Ktoś mu je napisze, ktoś ułoży muzykę... Artysta to powtarza. A ja ciągnę rury. Jak? Na walcarce... Ktoś ją zrobił? Zrobił. Słowem, ja — na walcarce jak artysta na skrzypcach czy harmonii! A jak harmonia jest do niczego? Do niczego? Tak. Daj mi nową harmonię. Dali. Kupili za złoto. Kupili, ale nie to, co trzeba. Złoto było złotem, ale „rock'n'rolle" nie są takie, jakie być powinny... I proszę bardzo, daję brak... Wszyscy dajemy brak. Czy Tokowemu trzeba, żebyśmy dawali brak? Jemu chodzi tylko o metry!... Dzisiaj metry, a jutro? A co Szlachtycz? Szlachtycz siedzi i łamie sobie głowę, żeby mi dać nową harmonię. Wziął ode mnie chłopaków, Żeńkę i Myt'kę, wziął tego kędzierzawego krzykacza... Suszą sobie mózgownice... Uda się czy nie uda? Kupić, nie kupić, potargować warto... Będzie nowa harmonia, wszyscy będą zadowoleni. Nie uda się — leżą Szlachtycz i jego chłopcy, nikt więcej... Jestem prostym człowiekiem. Chcę ciągnąć rury i tyle. Potu mi nie szkoda... A co jest ponad nami i naszym potem? Co może przewyższać nasz pot? Rozum. Szlachtycz zabiera się do rzeczy z głową. Co wybieram — swój pot czy Szlachtycza? Szlachtycza. To wszystko.

Poszedł z powrotem na swoje miejsce i usiadł obok

Tokowego, który z oburzeniem odsunął się od Czemerysa. Za naszymi plecami ci sami chyba, co rozmawiali o zegarku, dawali teraz wyraz swemu zachwytowi przerzucając się słowami:

— Pokazał im!

— Ale im przygadał!

— A co ten Szlachtycz?

— Bo ja wiem.

— No, Czemerys wszystkim przygadał!

— Dobrze zrobił.

— Chcę ciągnąć rury, powiada, a wy wszyscy...

— A wszyscy — tu mu wiszą!

— Kopnęlibyście się na mównicę, chłopcy — poradziłem im.

— Sam się kopnij, jeżeli taki jesteś mądry!

— Pokrzycz, jak cię w gardle drapie.

— Cicho bądź, to chłopak od Szlachtycza!

— A gdzie?

— O, Szlachtycz stoi między tymi dwoma słupami!

— Ale dał im Czemerys!

Zebranie potoczyło się w nieprzewidzianym kierunku. Aż dwaj członkowie komisji państwowej nachylili się z jednej i drugiej strony do Oleksandra Mykołajowicza doradzając mu zapewne, jak je z tego niepożądanego kierunku zawrócić, ale prezes był człowiekiem zbyt doświadczonym, żeby ulegać zwykłym odruchom. Widział już, jak się wszystko komplikuje może nie tylko w walcowni, lecz w całej w ogóle hucie i powinien był właśnie teraz dać się poznać jako człowiek na wysokości zadania. Dał się poznać i od tego czasu niezupełnie zgadzam się ze zdaniem mego ojca o Oleksandrze Mykołajowiczu, ujrzałem bowiem w tym człowieku jakąś chęć porozumienia się i zgody; mimo całej swojej surowości, mimo że taki był twardy w swoich wymaganiach, uważał, że każdy powinien pozostać so-

bą, żeby się swobodnie wypowiadać, i dać się dobrze poznać, bo tylko z takimi ludźmi można żyć i coś zdziałać nie obawiając się zdrady, tchórzostwa i chwiejności.

Co prawda, wyczuwało się jakąś odpychającą pogardę w jego pozie, kiedy tak siedział rozparty za stołem i ani myślał bodaj raz unieść się z krzesła, popatrzeć na tych, co stali w tylnych rzędach i pokazać się im; siedział przez cały czas zebrania, zachowywał się swobodnie i niewymuszenie, patrzył na wszystkich trochę z góry, ale rozumował przez cały czas intensywnie i ściśle, nie było w nim ślepego uporu ani rozleniwienia, zwracał uwagę na najmniejszą zmianę nastrojów wśród słuchaczy, orientował się dobrze, na czyją stronę przechyla się szala sympatii czy antypatii i przyszedł na zebranie usposobiony przychylnie do Tokowego, przekonany niewątpliwie, że tylko tacy ludzie potrafią wykonać plan państwowy, ale nie uszło jego uwagi powtarzające się kilkakrotnie nazwisko Szlachtycza, co go początkowo zaniepokoiło, ale po przemówieniu Czemerysa, już się przestawił całkowicie i jakby się nawet ożywił, rozbłysły jego duże, ciemne oczy pod gęstymi, krzaczastymi brwiami, wstrząsnął potężnymi barami, powstrzymał dyrektora, żeby nie udzielał nowemu mówcy głosu, i zwrócił się do nas wszystkich z pytaniem:

— Szlachtycz, co za Szlachtycz? Czy nie ten bohater?

— Nieprawdziwy bohater — powiedział ktoś z licznych zastępców półgłosem, ale mikrofon podchwycił to słowo i rozniósł po całej hali.

— Dlaczego nieprawdziwy? — zaprotestował Oleksandr Mykołajowicz. — Bohater jest bohaterem, skoro zaszczyciło go państwo tym tytułem, więc zasłużył. Szlachtycza Wasyla dobrze znałem.

— To jego syn — powiedział Wasyłenko — zdolny inżynier.

— A gdzież on jest? — prezes zwracał się do nas wszystkich a zarazem do dyrektora i do Wasyłenki. — Inżynier Szlachtycz jest?

— Stoi tam — Wasyłenko dawno już zauważył Szlachtycza. Trudno go było nie zauważyć między takimi dwiema tykami geodezyjnymi, takimi drągalami jak my obaj z Eugeniuszem.

— Co nam powiecie, towarzyszu Szlachtycz? — zapytał prezes komisji.

— Nic — odrzekł Lonia nie ruszając się z miejsca.

— Wejdźcie na mównicę i przemówcie do zebranych — zachęcił go prezes.

— Nie mam ochoty kłócić się z Tokowym z mównicy.

— Kiedy trzeba, to się kłóćcie.

Popychaliśmy Lonię: „Idź, daj mu!" Szlachtycz stał w napięciu pobladły i zaciskał szczęki, aż mu guzy występowały na policzkach.

— Prosimy was, Szlachtycz — powiedział Wasyłenko i to „prosimy" zrobiło swoje, Lonia wprost skoczył w stronę mównicy jak przedtem Hrysza Frusin, nie wszedł jednak na nią, lecz stanął z boku, niewysoki, szczupły, roztrzęsiony, chwycił się za mównicę ręką, zwrócił się do Tokowego i zapytał tak, jakby byli tutaj sami, jakby ich nie słuchało tysiąc osób:

— Wybacz mi tę rozmowę, Tokowy... Nie wszczynałem jej, ale skoro już tak się złożyło... Powiedz mi jedno... Powiedz: czy miałeś kiedykolwiek chęć zrobić coś nie dla samego siebie, tylko dla dobra sprawy, czyli w końcu dla narodu?

Tokowy zerwał się, przechylił się cały do przodu i krzyknął z oburzeniem:

— Bo co? Alboż ja?...

— Poczekaj, proszę cię, chcę cię jeszcze zapytać, czy miałeś kiedy takie uczucie, że niech bodaj serce pęknie w piersiach, byle tylko zrobić.

Zebrani słuchali ich obu, słuchało prezydium, nawet prezes komisji przystawił dłoń do ucha i przedzierzgnął się w zwykłego słuchacza, po prostu zaciekawionego. Tokowy jeszcze się nie zorientował, do czego to wszystko zmierza, nie zrozumiał, że jest to może główna rozmowa w jego życiu, rozmowa-spowiedź przed mnóstwem ludzi, przed mikrofonem — mało komu przytrafia się coś takiego.

— Nie rozumiem, o co tu chodzi...

— Możemy mówić otwarcie... Nie należysz do moich przyjaciół i towarzyszy w mojej pracy...

— A masz ich w ogóle?

— Rzeczywiście jest ich mało... Bo rozpędzasz przecież moich przyjaciół i towarzyszy pracy. Chciałbyś wytworzyć wokół mnie próżnię... Jakiś instynkt ci to dyktuje. Otóż chciałbym się dowiedzieć... Chwaliłeś tu przydatność przeciętnych inżynierów, słowem, przeciętniaków.

— Nie przeciętnych, tylko średnich, którzy robią, co do nich należy bez kawałów i różnej tam moderny.

— Średni są właśnie przeciętni. Nikt nie może się uchronić, ale nie każdy się z tym godzi, jeżeli jest rzeczywiście człowiekiem. Że ludzie przeciętni są niezbędni czy nawet — nie do wiary! — przynoszą korzyść, trąbią tylko ci, co oderwali się od mas, zapomnieli o nich. Bo lud zawsze pragnął i będzie pragnąć doskonałości. Z przeciętnymi zdolnościami nie uda się nawet garnka ulepić czy wbić gwoździa w podeszwę — wie o tym każdy mistrz. Jakże można dzisiaj wychwalać to, czego wstydzili się ludzie od najdawniejszych czasów. Sądzę, że ten, co wychwala przeciętność, myśli przede wszystkim o własnym spokoju. Żyć, jak leci, ale wziąć, co najlepsze. Za przeciętne zdolności wytargować cenę najwyższą. Tego chcesz?

Tokowy wreszcie zrozumiał, jaka niebezpieczna jest

ta na pozór niewinna słowna utarczka i od razu zmienił taktykę. Nie wydawał się już teraz zbity z tropu i bagatelizujący przeciwnika, nie gorączkował się jednak, nie zrywał się z krzesła, by znowu usiąść. Podszedł do Szlachtycza i stanął tuż obok niego. Wyższy o głowę, nienagannie ubrany, pełen godności i obywatelskiego oburzenia powiedział cicho, wyraźnie artykułując:

— Jestem przekonany, że grozi nam niewątpliwie niebezpieczeństwo.

— A z czyjej strony?

— Bodaj takich jak ty, jeżeli zależy ci na szczerości. Dlaczego? Zaraz wytłumaczę. Macie przed sobą zawsze cele wyższe. Za mało wam tego, co się robi. Nie jesteście zadowoleni z dotychczasowych osiągnięć. Cały czas przeciwstawiacie siebie załodze, większości. To podejrzane. Nie możemy na to pozwalać. Wciąż tylko cele wyższe. Obraża nas to po prostu. I nie pozwolimy. Tacy jak ty są zawsze podejrzani. Karierowicze. Wynieść się chcecie ponad wszystkich po naszych grzbietach, z pomocą naszej załogi.

— A może pracując razem z załogą?

— Nie zamydlisz nam oczu. Nie pozwolimy rozbić naszych zwartych szeregów. Lepiej zgnieść czyjąś ambicję i pragnienie sławy. Kto sprzeciwia się masom, jest ich wrogiem. Tobie zależy na sławie.

— Mnie? Na sławie?

— A jakże! Bo w imię czego sterczysz na hali po dwanaście godzin pozostawiając ojca kalekę bez opieki, udajesz takiego zapracowanego, nie zakładasz rodziny, żeby dla weterana wojny, dla bohatera...

— Zostaw w spokoju mego ojca!

— Czasy bohaterów i cierpiętników minęły, żelazni komisarze odeszli wraz z epoką komunizmu wojennego. Nasze społeczeństwo...

— Mówisz nasze społeczeństwo, jakby było tylko

twoje. Skąd masz to prawo własności? Czym na nie zasłużyłeś?

— Uczciwie pracuję...

— Dodaj jeszcze, że po gwiazdkę z nieba nie sięgasz... Nie każdy może po nią sięgać, ale po co przeszkadzać innym, tym co tego chcą, pragną? Tak wiele mówimy o pracy, że chyba oduczyliśmy się już pracować jak należy. I denerwuje nas, jeżeli ktoś rzeczywiście bierze się do dzieła. Nieroby boją się takiego człowieka, nienawidzą go. Jest dla nich rzeczywiście podejrzany.

— Uczciwie dajemy krajowi metal. Wiesz, co powiedział Lenin — że metal to podstawa cywilizacji.

— Chętnie cytujecie Lenina. Raz po raz, przy każdej sposobności. A czy myślicie o rzeczy ważniejszej? Żeby iść w jego ślady? Czy macie to uczucie, że Lenin jest przy was albo że go nie ma? — wtedy strach powinien was ogarnąć. Uczestnikom wiadomej ekspedycji polarnej wydawało się zawsze wśród niemych przestrzeni Arktyki, że ktoś im stale towarzyszy. Jakby szedł im na pomoc. Tak samo powinno być z nami. Żeby wśród nas był zawsze jeszcze ten ktoś, Lenin. I żeby zawsze podstawiał ramię, jak podstawiał kiedyś ramię pod koniec belki w dniu komunistycznego czynu społecznego. Jeżeli nie dorośniemy do jego geniuszu, to starajmy się dorównać mu bodaj w pracowitości. Czy możemy zapomnieć, jakim świecił przykładem? O tym myślę, Tokowy. I myślą tak ci, co mi pomagają. I dopniemy swego. Wspominałeś mego ojca. Wiedz — nauczyłem się od niego stanowczości.

Obaj wrócili na swoje miejsca i dopiero teraz prezes komisji uniósł się ociężale z krzesła, postał chwilę w milczeniu pozwalając się oglądać, a potem uśmiechnął się jakoś inaczej niż zwykle.

— Strona moralna sprawy jest dla nas jasna.

W technicznej się zorientujemy. Wniosków komisja wysnuwać nie będzie. Złożymy meldunek rządowi. A tutaj — niech decyduje dyrektor. Hm, jeżeli macie takich inżynierów... Co sądzicie, dyrektorze?

— Podejście państwowe — wymamrotał dyrektor.

— Państwowe... Po prostu ciasno w jednej walcowni takim dwu inżynierom jak Tokowy i Szlachtycz. Ciasno, ale trzeba będzie nadal koegzystować. Każdy idzie własną drogą. Kto dojdzie pierwszy, tego odznaczymy, kto pozostanie w tyle, oberwie cięgi. Ale na razie — musicie iść razem, równolegle. Cóż z wami począć? Nie wpakujemy was przecież do więzienia do różnych cel. Musicie żyć obok siebie. Do końca. Życie jest długie. Walczyć? Słusznie. Walczyć trzeba. Ale również żyć...

Chyba się pomyliłem. Mistrz Matwij Czereda pewnie odszukał gdzieś w hotelu swego przyjaciela z młodych lat, pewnie z sobą pogadali. O czym? Skąd mogę wiedzieć. Może z perspektywy wieczności. A może nie byli sami, może siedział z nimi Wasyl Szlachtycz? Nie sposób tak od razu i całkowicie odgadnąć człowieka, określić zdecydowanie, co w nim jest rzeczywiście ludzkie, a co nie, zwłaszcza gdy dzielą nas lata i pokolenia. Pocieszajmy się jednak, że kiedyś też będziemy tym starszym pokoleniem i że nasiąkniemy w ciągu życia mądrą zagadkowością, żeby miało sobie nad czym łamać głowę nowe pokolenie, bo inaczej rozpróżniaczy się i zepsuje.

Trudno nie ulec tu pokusie opowiedzenia przy sposobności jednej naszej historii, bo na razie — czuję to wyraźnie — streszczam wydarzenia, których terenem była wyłącznie nasza walcownia, a uczestnikami — niewielka ilość osób; wydarzenia to jeszcze nie historia, na razie wszystkie przyczyny i związki są ukryte i nikt nie wie, od jakiego momentu staną się ciekawą historią. A nie chciałbym przecież upodobnić się do docenta

Kryżenia z jego nudnymi wykładami służącymi jedynie do popisania się przed Alą, która nie słuchała zresztą jego gadaniny i śmiała się Kryżeniowi w nos.

Po co opowiadać tę historię? Przecież znają ją wszyscy. Istnieje dla wszystkich tak samo jak nasza huta, jak „Klub Ludzi Pracy", jak kwietnik koło poczty i Gliniana Góra na środku miasta. Chęć, by ją opowiedzieć, odczułem bardzo mocno w chwili, kiedy Szlachtycz stanął przed tysiącem ludzi, by stoczyć pojedynek z Tokowym. Bo kiedy stajesz przed tysiącami robotników, nie pytają się, co umiesz robić, lecz pytają, kim jesteś. Szlachtycz nie był dla nich inżynierem z walcowni, lecz przede wszystkim synem Szlachtycza-bohatera. Bohatera, o którym ktoś powiedział, że jest „nieprawdziwy".

A skoro tak, więc oto historia o nieprawdziwości...

Prawdziwy bohater czy nieprawdziwy?

Trzeba koniecznie znaleźć początek tej historii. Można właściwie zacząć od tego, jak w swoim czasie koło bitego gościńca, czyli szlaku, pewien człowiek postawił kuźnię, podkuwał konie, robił obręcze do kół, a przy tej piekielnej pracy wśród ognia i żelaza nabrał nadludzkiej siły w rękach i siłę tę przekazał swoim potomkom wraz z nazwiskiem Szlachtycz, czyli człowiek mieszkający przy szlaku. A może właśnie dlatego, że miał taką siłę został kowalem, i wtedy początek historii przesuwa się jeszcze dalej, do jakichś wcześniejszych pokoleń i narodzin, a tam znajdziemy jeszcze jakieś historie, bo chociaż z jednej strony tylko człowiek zdolny jest do ich wymyślania, to z drugiej, jak się okazuje, człowiek nic nie wymyśla, wszystko ma swoje zaczątki i źródła; ale w historii z Wasylem Szlachtyczem nie musimy się wcale cofać w daleką przeszłość, wszystko zaczyna się od niego samego, staje on przed nami jako jednostka samodzielna, po nikim nie dziedziczy i nikomu nie prze-

kazuje swoich ciężkich doświadczeń, zdobywanych na krętej drodze, drodze fałszywej, którą opuścił, by pójść prawdziwą, jakkolwiek nie jest wykluczone, że tego rodzaju historie bodaj w pewnych swych szczegółach już się zdarzały i będą się zdarzać, nabierając przez to niejakiej uniwersalności, że tak powiem.

Ojciec Wasyla Szlachtycza był również kowalem, tylko że nie w kuźni na skraju gościńca, lecz w fabryce, był robotnikiem; brał udział w rewolucji i wojnie domowej, należał do tych ludzi, co śpiewali „my nowe życie stworzymy" i chcieli je stworzyć „sami", zdawało mu się, że ta wyzwolona duma robotnicza tchnie zapał we wszystkich dokoła, w cały świat i nie mylił się właściwie, a jeżeli się nawet pomylił, to w jednym tylko wypadku i wypadkiem tym, jeżeli można się tak wyrazić, był jego własny syn — Wasyl. Przed jego dziecięcymi oczyma dokonała się największa w świecie rewolucja, przesuwały się fronty białych i czerwonych, mknęły bandy na taczankach, na dzikich koniach; od najwcześniejszych lat powinien był uczyć się zasad walki klasowej, szczytnego bohaterstwa i odwagi. Ojciec nie miał czasu wychowywać syna, zajęty był przebudową społeczną, jego skala była na miarę całej klasy robotniczej, klasy wiodącej, klasy o znaczeniu światowym. Syn musiał więc brać lekcje postępowania od samego życia i chyba jeszcze od matki, istoty idealnej i przedziwnej w okrutnym świecie przewrotów, wstrząsów, krwi i mąk. Zdobył jednak wiedzę, jakiej nikt go nie uczył. Pracować?... To dobre dla innych. Fabryka?... Niech lepiej inni. Posłuszeństwo?... Niech inni słuchają.

Niepojęta chęć, by zepchnąć na innych własne obowiązki. A cóż on sam? Pozostawał mu Nażerko i Kałmyk. Nażerko był od niego o trzy lata starszy, Kałmyk — w tym samym wieku co Wasyl. Kiedy masz lat dwanaście czy czternaście, takie trzy lata różnicy to

cała epoka, to nieprzystępność i absolutne zwierzchnictwo. W dodatku jeszcze Nażerko — taki wysoki, muskularny, o zwinnym ciele, miał w sobie coś z węża dusiciela z jego doskonałością i nieomylnością każdego ruchu i skrętu. Nazywał się Nazar, ale co właściwie mówi takie nudne imię! Nazwać go Nazarką też nie przeszłoby nikomu przez usta. Nazarko? Coś małego, śmiesznego, nie z tej ziemi. Nażerko natomiast brzmiało tak jak trzeba. Było w tym coś tygrysiego i doskonale pasowały do tego imienia słowa, które Nażerko rzucał każdemu, co miał nieszczęście mu się nie spodobać: „Zaraz ci oczy wydrapię!"

Wasyla przyjął Nażerko dzięki jego sile. Mimo że wzrostem był Wasyl mniejszy od niego, nie ustępował mu w próbie sił, a Nażerko żartować nie lubił i przerzucał przez siebie krzepkiego chłopa. Kałmyk nie miał z nimi wpierw nic wspólnego. Jego ojciec jeszcze przed wojną pracował w administracji w fabryce. Miał zwyczaj patrzyć na robotników mrużąc lekceważąco oczy i z powodu tych szparkowatych oczu przezwano go Kałmykiem; syn odziedziczył przezwisko ojca, a ponadto jeszcze przemyślność. Uczył się w szkole dobrze, czytał książki, chętnie używał niecodziennych w ich gronie słów, jak „katastrofa" lub „polityka". Nażerko dopuścił go do swojej osoby pewnie po to, żeby uzupełnić braki w wykształceniu, które, prawdę mówiąc, równało się zeru.

Nażerko powinien był już dawno pracować w fabryce, ale nie kwapił się do tego. Swoich młodszych kolegów też przyzwyczaił do nieróbstwa, do wesołego beztroskiego szwendania się po mieście. Wałęsali się, uwijali między kramikami nepmanów i powtarzali swoją irytującą kupczyków formułkę:

Szyczki-pryczki,
mukomor-bomaha,

Wykrzykiwali swoje „szyczki-pryczki", póki nie dawano im dziesięciu kopiejek „odczepnego". Dzielono je na trzech, z tym że Nażerko otrzymywał o jedną kopiejkę więcej jako przywódca, wszystko to było absolutnie jasne.

Formułkę ułożył Kałmyk, a może gdzieś usłyszał i przywłaszczył ją sobie; nikt zresztą nie podawał w wątpliwość jego autorstwa, typowano go już na ideologa grupy, z której nikt jeszcze sobie nie wyobrażał, jakie będą jej przyszłe czyny i ich bodaj jakie takie uzasadnienie, gdyż istotne przyczyny pozostały dla nich niezrozumiałe także o wiele później. W ogóle nie wykryto jeszcze mechanizmu duszy, skłaniającego człowieka do odchyleń w zachowaniu nie w kierunku bohaterstwa, co jest wyższą normą zachowania, lecz w kierunku złych uczynków. Przyczyny, jakie wskazują moraliści i pedagodzy, są przeważnie powierzchowne, nieistotne, nie sięgają w głąb. Złe wychowanie? Ależ siedział ten uczeń w klasie i pisał razem z innymi wypracowanie na temat „Co podziwiam w postaci...", a podziwiał, jeżeli można wierzyć uczniowskim wypracowaniom, tylko postaci świetlane, piękne i bohaterskie. Kochał matkę, szanował ojca i szczycił się jego zasługami, jego umiejętnością kucia metalu, jego siłą.

Dziedziczność? Przecież odziedziczył po przodkach tylko umiejętność pracy i szacunek dla ludzi pracy.

Najczęściej mówi się o chęci naśladownictwa. Cechuje człowieka podświadome dążenie do stereotypów, do standaryzacji i ujednolicania. Każdy nie musi zaczynać wszystkiego na nowo, nie musi wynajdować własnego roweru czy łyżki, wykrywać sekretu uprawy zbóż i warzyw, krzesania ognia czy budowy domów...

Dlatego, kiedy pojawia się bohater, wszyscy chcą być bohaterami, kiedy pojawia się Brigitte Bardot, wszystkie dziewczyny chcą być Bardotkami, a wszyscy mężczyźni — mieć swoją Bardotkę, kiedy zaś Gagarin poleciał w kosmos, to wszyscy chłopcy chcieli tam polecieć. Życzenia dobrze zrozumiałe.

Ale kto i dlaczego pragnie naśladować złoczyńców? I jaki był ów pierwszy zły przykład w historii ludzkości, który pociągnął za sobą straszny łańcuch zabójstw, zdrad, rabunków, nikczemności i waśni, który doprowadził do faszyzmu z jego największą w historii wojną, by potem kwitły apokaliptyczne kwiaty detonacyjnych bomb atomowych i wodorowych? Skąd się to wywodzi? Od Kaina, który zabił swego brata? Od synów, co wytrzebili (sierpem!) własnego ojca Noego? Czy od tych rodzonych w mękach dzieci, co zabijają matki swoimi narodzinami, od nieświadomych sierot-złoczyńców?...

W wypadku trzech przyjaciół nie działała chyba żadna prawidłowość i żadne wzory, mimo że było ich dosyć, i dobrych, i złych. Zaczynało się wszystko samorzutnie, w związku, że tak powiem, z sytuacją czy nawet topografią. Wszyscy trzej mieszkali bowiem na Glinianej Górze — nazywało się tak jedyne wzniesienie w naszym mieście, położonym na równym terenie, łysy gliniany garb, zawsze żółty i wydeptany, obstawiony z trzech stron niewielkimi własnościowymi domkami, a z czwartej podparty przez murowany trzypiętrowy dom niewłasnościowy, z różnymi ozdobami i balkonami, dosyć obdrapany, mimo to do pozazdroszczenia. Jego lokatorzy mieli bowiem „mieszkania", podczas gdy posiadacze domków uważani byli za właścicieli „chat" i zaliczani do kategorii społecznie niższej ze względu na rewolucyjne przeobrażenia dokonujące się w kraju i godzące przede wszystkim we wszelkiego rodzaju własność prywatną.

Nażerko mieszkał w jednym z domków, Szlachtyczowie też mieli domek, Kałmyk zaś mieszkał w murowanym domu na pierwszym piętrze, jego balkon wychodził na Glinianą Górę i można było stamtąd obserwować życie dokoła, można było wygłaszać przemówienia, których słuchała w dole gromada sympatyków, a można było także stać sobie zwyczajnie, dłubiąc w nosie, przy czym nie miał człowiek najmniejszego pojęcia, co z niego kiedyś wyrośnie. A więc, wszyscy trzej sąsiadowali z sobą na Glinianej Górze. Najstarszy Nażerko mianował ich potem swoimi giermkami i scementował całą trójkę przejmując należne mu z wiekiem dowództwo. A następnie toczył się już proces niepostrzeżonego przejścia od zwyczajnego zbijania bąków do drobnych kradzieży, łasowania jakichś smakołyków, wreszcie — pierwszego łyku wódki. Siły w nich wzbierały i trzeba było zużyć ich nadmiar, gdyż inaczej się zmarnują, siły tracić wszak można nadaremnie; a już się zorientowali, że można mieć dzięki nim różne przyjemności, wszystko, co jest takie kuszące w życiu. W ten sposób zeszli na błędną drogę.

Niekiedy próbowali pracować, szli do fabryki, urządzali się, ale nie na długo, bo znowu wyrywali się na „wolność" i znowu popełniali jakieś przestępstwo; z wiekiem Kałmyk nabrał jeszcze więcej sprytu i przemyślności i tak wszystko planował, że nigdy nie udawało się ich przyłapać; ponieważ wszystkie przestępstwa uchodziły im bezkarnie, zachęcało to ich do nowych i stawali się już na dobre ludźmi z marginesu. Starali się jednak bodaj na pozór utrzymać wśród zwykłych ludzi, więc wracali do fabryki i na swoją Glinianą Górę (ratowało ich to, że mieli dokąd wrócić). Potem Nażerko, a po nim Szlachtycz ożenili się, wybrawszy sobie najładniejsze dziewczyny na Glinianej Górze, co zapewniło im jeszcze więcej dróg odwrotu; Kałmyk, co

prawda, wolał samotność, tęsknił nawet do samotności doskonałej, o jakiej nie sposób nic opowiedzieć, ułożyć bodaj niewielką historyjkę, ale sam przez się nie był ani trochę interesujący i znaczył coś tylko przez więź z Nażerką i Szlachtyczem.

Nie będę tu pisać o wszystkich wyczynach naszej trójki. Kiedy później historia ta kształtowała się w świadomości współczesnych Wasylowi Szlachtyczowi to wypadło z niej wszystko natury statystycznej, wszystko, co można zwyczajnie wyliczyć. Rejestrowano tylko punkty węzłowe. Po pierwsze: przyśpiewka działająca na nerwy nepmanom:

Szyczki-pryczki,
mukomor-bomaha,
łypki-prypki,
igły do prymusów...

Do przyśpiewki dodawano „dziesięć kopiejek na trzech". Bez tych kopiejek nie byłoby ani przyśpiewki, ani w ogóle całej tej historii.

Potem pojawił się od razu rok czterdziesty. Wszystko inne pomijano jako nieistotne, a może dlatego że nie potrafili się ludzie doszukać przyczyn, nie umieli wytłumaczyć, bo to przecież nic trudnego zarejestrować ciąg wydarzeń, ale trudno jest ułożyć historię. Więc też od owych „dziesięciu kopiejek na trzech" przerzucano most od razu do roku czterdziestego, kiedy trzech dorosłych już chłopów, nie chłopaków z Glinianej Góry (zaznaczamy, że zawsze uparcie wracali na swoją Glinianą Górę i ich rozmieszczenie było wciąż takie samo: Szlachtycz i Nażerko — w ojcowskich domkach, Kałmyk — w murowanym domu na pierwszym piętrze, z balkonem) przeprowadziło wreszcie w Odessie czy Rostowie swoją największą akcję; Nażerko i Szlachtycz byli zwyczajnymi wykonawcami, natomiast plan akcji

i wszystkie szczegóły wykonania obmyślił Kałmyk, który wychodził z założenia, że wszystko genialne jest proste. Gdzieś tam ograbia się banki, napada na wagony pocztowe, pruje nocami sejfy — wszystko to połączone jest z ryzykiem, niebezpieczeństwem, zdenerwowaniem, wszystko wymaga starannego przygotowania, specjalnych narzędzi i, co tu gadać, wielu wiadomości fachowych. Kałmyk zaproponował najprostszą metodę wyjmowania pieniędzy z sejfów — zabieranie pieniędzy razem z sejfami.

Podczas przerwy obiadowej wchodzili do jakiejś instytucji kierując się prosto do księgowości, Nażerko i Szlachtycz z kilkoma wspólnikami wyciągali stamtąd sejf, Kałmyk zabierał w celach kamuflażu kilka krzeseł i spokojnie wychodził na ulicę, gdzie stał zwyczajny ręczny wózek do przewożenia komódek i kanap (o samochód się nie starali, bo dużo z tym kłopotu, a poza tym samochody mają zawsze numery, ktoś przypadkiem zapamięta, zaczną się poszukiwania i nitka doprowadzi do kłębka, więc — żadnych nitek!). Sejf załadowywali, z wierzchu kładli owe kilka krzeseł i oddalali się w niewiadomym kierunku.

Czasem ktoś z pracowników instytucji mógł zapytać:

— A dokąd to wieziecie?

— Przeprowadzamy się — odpowiadał Kałmyk.

— A dlaczego nikt nic nie mówił?

— Właśnie mówimy.

Obrabowali w ten sposób kilka instytucji. Nie wszystkie sejfy były nadziane pieniędzmi, ale łup okazał się dostateczny, żeby cała trójka wróciła na swoją Glinianą Górę i wyprawiła popijawę na cały tydzień. Piątego czy szóstego dnia Nażerko uderzył Kałmyka, który nie chciał więcej pić. „Ach, nie pijesz, kiedy ci nalewam? Ach, ty sk... synu!" I dał Kałmykowi w twarz. Cios był, jak się zdawało, lekki, szybki, prawie niepostrzeżony,

ale Kałmyk wypluł ząb. Zębów się w sklepie nie kupuje, wolał więc nie ryzykować i pił. Zgodnie z prawem jedności działania: skoro wszyscy piją, pij także, wykąpią się w przerębli, wykąp się również, będą się drapać na gładkie ściany, drap się też, jeżeli wyda ci się nawet, że to głupio. Jest przywódca, który wie, co trzeba robić, a twoja rzecz: oddychaj nosem i rób, co ci każe.

Mimo to każdy ma swoje godziny samotności, kiedy bądź śpi, bądź myśli czy po prostu zapomina o wszystkim; nie wziął tego pod uwagę Nażerko, kiedy późną nocą rozeszli się do swoich domów; jakoś nie pomyślał, że Kałmyk mógł się obrazić, nie zauważył, jak drapieżnie zwęziły się oczy Kałmyka, kiedy ten, zdziwiony i rozżalony, przyglądał się swemu leżącemu na dłoni zębowi, który mu wybił Nażerko. Rozstali się w zgodzie, wśród pijackich uścisków, pocałunków i przysiąg, że ich przyjaźń i miłość trwać będzie wiecznie, do tej przysłowiowej grobowej deski, która wcześniej czy później będzie udziałem każdego, tak że trzeba pić i hulać, nic tylko pić i hulać. Wszystko było jak zawsze, było tak samo cudownie jak wtedy, kiedy jeszcze dzielili dziesięć kopiejek między trzech i zbywającą kopiejkę oddawali Nażerce za przywództwo, ale poranek okazał się zupełnie inny niż ich wszystkie dotychczasowe poranki, gdyż nie obudziły ich promienie słońca, tylko milicja.

Nażerko, rzecz jasna, nie pozwalał się wziąć. Już w półśnie poczuł niebezpieczeństwo, wyskoczył z łóżka jak z procy, ale złapano go od razu, związano i poprowadzono na Glinianą Górę, na sam jej środek, gdzie właśnie już wyprowadzano Szlachtycza. Ten nie stawiał oporu, podporządkował się, więc go nie związano, dwaj milicjanci z otwartymi futerałami od pistoletów szli za nim w odległości paru metrów, a kilku innych jeszcze oczekiwało koło domu, w którym mieszkał Kałmyk.

Kałmyka nie brano jednak. Co najdziwniejsze, Kałmyk stał sobie spokojnie na balkonie i przyglądał się swoim konwojowanym kolegom, tak samo drapieżnie mrużąc oczy jak wczoraj, kiedy oglądał swój ząb na dłoni.

Nażerko wściekał się i w złości nic nie widział, ale Szlachtycz był spokojny, szedł pokornie przed swoimi strażnikami i zachciało mu się nagle zapamiętać wszystkie szczegóły tego tragicznego ranka: i senną ciszę ogródków, i rozwodnioną szarość nieba, i obwieszony balkonami murowany dom Kałmyka, a jeszcze wciąż przychodziła mu na myśl jego Tetiana, cicha i oddana, która go kochała nie wiadomo za co; teraz dopiero zrozumiał, jakie to szczęście, kiedy kobieta kocha takiego jak on, a on nigdy jakoś o tym nie myślał, uważał się zapewne za nie byle kogo i dopiero dzisiaj, kiedy spoczęła na jego ramieniu obca ręka, kiedy zobaczył nad sobą dwie mundurowe czapki i dwie pary oczu patrzących tak nieubłaganie, nagle się zdziwił i przeląkł, że Tetiana mogła go pokochać, właśnie takiego, że go dotychczas nie porzuciła i nawet spodziewała się dziecka — jego dziecka! Dlatego nie stawiał oporu, nie chciał przestraszyć Tetiany, pocałował ją w obie ręce i nie oglądając się wyszedł. Nażerko wił się jak wąż, trzeba go było „spętać". Szlachtycz natomiast szedł spokojnie, rozglądał się skruszony po Glinianej Górze, ciężko mu było na sercu, gdy wspominał Tetianę, która pozostała teraz sama, może na zawsze, bo jeżeli nawet uda mu się kiedyś wrócić, to nie wiadomo, czy Tetiana go przyjmie, czy pozostanie tą dawną Tetianą — nic się w życiu nie powtarza: ani młodość, ani pierwsze pocałunki, ani ufne i pełne wyrzutu spojrzenia szarych jak to niebo przed świtem oczu. Nic i nigdy!

I zobaczył Kałmyka. Kałmyk stał na swoim balkonie, stał jak dziesięć czy dwadzieścia lat temu, dla Kałmyka nic się nie zmieniło, patrzył na Glinianą Górę z taką

samą złośliwą ciekawością, jak jeszcze przed ową ich śpiewą „za dziesięć kopiejek na trzech"; Gliniana Góra służyła za scenę wiecznego teatru życia, a Kałmyk był tu widzem i jednocześnie reżyserem, przyglądał się z zadowoleniem, jak przesuwają się po scenie aktorzy, których jego zła wola wciągnęła do akcji, rozkoszował się swoją podłością. Szlachtycz domyślił się od razu, że to Kałmyk wydał ich obu z powodu swego wybitego zęba; nie zabrano go i nie zamierzano zabrać, pozostanie na Glinianej Górze, by przypominać o ich hańbie i poniżeniu — tego Wasyl ścierpieć nie potrafił. Zapomniał o Tetianie, o swojej dotychczasowej pokorze, o swoim smutku, o cichych ogródkach i siwym niebie nad fabryką, wszystko w nim, zda się, zawyło i jednym susem znalazł się przy ścianie murowanego domu, pod samym balkonem Kałmyka, jakby zamierzał zerwać balkon wraz z jego właścicielem i rozdeptać swego wczorajszego kumpla, zmieszać z odłamkami cementu i żelaza. Krzyknęli milicjanci, ale Szlachtycz nic nie słyszał. Zanim wydobędą ze swych otwartych futerałów pistolety, zanim w niego wymierzą — ho-ho! Można tymczasem zdążyć z niejednym. Podskoczył usiłując chwycić się balkonu, ale nie dosięgnął. A milicjanci nie wyciągając pistoletów podbiegli z dwóch stron i spróbowali chwycić Szlachtycza. Odrzucił ich z łatwością jak dwa kociaki. Przyszło im na pomoc jeszcze kilku. Szlachtycz zrozumiał, że nie uda mu się tak lekko dotrzeć do Kałmyka, więc oparł się plecami o ścianę, wyciągnął przed siebie ręce i jak nic odrzucił jeszcze dwóch, a potem trzech milicjantów; atakowali go kupą i całą kupą toczyli się z powrotem — tyle sił było w tym człowieku, że starczyłoby na całą gromadę ludzi, a siły te jeszcze podwoiła złość, więc milicjanci lecieli spod ściany jak pierze z poduszek; a zależało im, żeby okiełzać Szlachtycza jak najprędzej, bo mniejsza już

o tę głupotę, że siedmiu atakuje jednego, nie obawiali się też, że im ucieknie i zniknie, bo mogli wezwać na pomoc jeszcze siedmiu innych milicjantów, ale obudziła się w nich również bojowa zaciętość, chcieli pokazać temu rozjuszonemu olbrzymowi swoją przewagę — i nie dawali ani rusz rady.

Nażerko przyglądał się Szlachtyczowi z satysfakcją.

— Daj im, Wasiu, daj!

Nawet Kałmyk przysunął się do balustrady balkonu i z ciekawością patrzył, co się dzieje na dole. Nie należał nigdy do zwolenników ślepej siły, wolał nie iść przebojem jak ci milicjanci, zawsze potrafił znaleźć drogę okrężną i znalazł również wyjście z tej sytuacji. Niespodzianie Kałmyk krzyknął: „Trzymaj, Szlachtycz!" i kiedy Szlachtycz na moment zadarł głowę, skoczył na niego z balkonu i zbił go z nóg ciężarem swego ciała; milicjanci rzucili się na obalonego i po chwili już był spętany tak samo jak Nażerko.

Stanęli przed sądem w tym samym mieście, w którym przeprowadzili swoją akcję z wywiezieniem sejfu. Nażerko i Szlachtycz dostali wyroki, a Kałmyk — z zawieszeniem. Kałmyk wrócił więc na Glinianą Górę, a jego dwaj kumple pojechali na koszt państwa gdzieś daleko, żeby coś tam piłować czy może budować.

O miejscu tym opowiadano bez bliższych szczegółów. Posępne miejsce, więc szczegóły też posępne, a że w historii tej już sama ludzka szpetota jest dość niepociągająca, nie warto sprawy pogarszać nieistotnymi i zbędnymi uzupełnieniami.

Wiadomo było tylko, że Nażerko i Szlachtycz zostali niebawem niekoronowanymi królami tej miejscowości wśród sobie podobnych i że dzięki swojej sile i śmiałości dokonali „zamachu stanu", bo królowała tam przed nimi jakaś inna grupa — jak widzimy trony nie bywają nigdy wolne. Władza nad innymi zapewniała Nażerce

i Szlachtyczowi zaufanie ze strony zwierzchnictwa oficjalnego. Zaufanie i przywileje. Bo przywileje istnieją zawsze, jak materia i energia, a kiedy ktoś je traci, uzyskuje je ktoś inny. Niezniszczalność i niemałe znaczenie tych przywilejów skłania do walki o nie, a jeżeli Nażerko i Szlachtycz nawet nie znali tej prawdy, to w każdym razie czuli, że tak jest, i postępowali nieomylnie. Zająwszy uprzywilejowane stanowisko odczuli jednak, że brak im mimo wszystko trzeciego, brak im podpowiadacza i nauczyciela, a jest to postać równie wieczna jak przywileje w każdym środowisku ludzkim. Obeszło się bez perswazji i namów, bo każdy gotów był do nich polecieć, wystarczyło gwizdnąć, kiwnąć palcem czy mrugnąć okiem. Wybierali sobie trzeciego sami. Długo i nie zwracając niczyjej uwagi. Obaj zgodzili się na Hryzoduba. Był w swoim czasie na jakimś kierowniczym stanowisku w gospodarstwie leśnym, a nazwisko miał, rzecz jasna, jakieś inne, ale przezwano go tak tutaj w związku z rekordowym lotem pilota Hryzodubowej; ludzie byli tu bardzo uczuleni na bohaterstwo i od razu zrozumieli, jak wielkiego czynu dokonała młoda kobieta ze swoimi koleżankami i żeby dać wyraz swojej pogardzie dla człowieka, który miał kiedyś wszystko: wyższe wykształcenie, stanowisko kierownicze, Ojczyznę, szczęście — a wkroczył na drogę przestępczą nie wiadomo dlaczego, bez przyczyny, nie zmuszony do tego przez warunki życiowe jak oni, „szlachetni złodzieje", żeby się nad tym niedawnym inteligentem dotkliwie poznęcać przezwali go Hryzodubem. Była w tym przezwisku także aluzja do przestępstwa, które Hryzodub popełnił i o którym wszystkim chętnie opowiadał z jakąś naiwną radością.

— Za co masz wyrok? — pytano go.

— Za bagatelną rzecz, za las, za takie same drzewa jak te tutaj.

— A duży wyrok?

— Mniejsza że duży — niesprawiedliwy! Mógł być dwa razy mniejszy. Nie do wiary: za dwanaście tysięcy hektarów — dwanaście lat. Krzycząca niesprawiedliwość.

— A gdzieś podział tyle lasu?

— Nie dla siebie to robiłem, nie dla siebie. Kołchozom sprzedawałem. Spółdzielniom, na ich potrzeby.

Ale skłonny do wynurzeń Hryzodub ze swoją zgniłą duszą miał dużą zaletę: był wykształcony, uczył się różnych rzeczy, deklamował Jesienina wyciskając słuchaczom łzy z oczu, recytował z pamięci „Annę Kareninę" Tołstoja i jeżeli nawet coś tam bujał, wymyślał, nie sposób było to sprawdzić.

Nażerko i Szlachtycz dokooptowali Hryzoduba i znowu było ich trzech; Hryzodub o wiele przewyższał inteligencją Kałmyka, brakowało mu tylko poczucia godności własnej, miał chłop coś psiego w naturze, ale przyjaciele spodziewali się, że z czasem zrobią z niego człowieka, a śpieszyć się nie było potrzeby, mieli przed sobą jeżeli nie wieczność, to w każdym razie dobrych kilka lat. Okazało się jednak, że czasu pozostało im bardzo niewiele, niemal wcale.

Zaczęła się wojna z faszystami.

Żeby dowieść swego patriotyzmu, Nażerko i Szlachtycz odpowiednio wpłynęli na swoich kolegów; postanowiono podnieść dzienny urobek do poziomu dotąd niebywałego w tych stronach. Ale zadowoliło ich to nie w całej pełni i nie na długo. Wojna wciąż trwała, upłynął już pierwszy jej miesiąc, a sprawy tam, na zachodzie, przybierały chyba kiepski obrót.

Właśnie wtedy wysunął się na pierwszy plan Szlachtycz, który przez wszystkie dotąd lata stał jedynie przy boku Nażerki, nigdy się nie wysuwał na czoło i cierpliwie czekał na rozkazy swego starszego kumpla.

— Trzeba wiać — powiedział nocą Szlachtycz.

— Dokąd? — zapytał Nażerko.

— Tam, na front.

— Myślisz, że się przedostaniemy?

— Musimy się przedostać.

— Gdybym się jakoś dobrał do Kałmyka — westchnął Nażerko.

— Tylko do frontu! — stanowczo powtórzył Szlachtycz.

— Zabierzemy Hryzoduba — zdecydował Nażerko — niech nas, bestia, wyprowadzi z tych swoich lasów.

— Rozprzedał swoje i wyrąbał — roześmiał się Szlachtycz; lżej mu się zrobiło na sercu, że Nażerko od razu przystał na jego propozycję, nie obraził się i nie przypomniał o swoim pierworództwie i starszeństwie.

Kiedy powiedzieli o tym Hryzodubowi, ten się rozpłakał.

— Na czworakach się poczołgam — mówił pochlipując — przez indyjskie dżungle was przeprowadzę, pomogę się wydostać z lasów nad Amazonką...

— Patrzcie go, inteligent — powiedział Nażerko — zachciewa mu się jakiejś Amazonki. Co to za licho?

— Rzeka — odezwał się Szlachtycz.

— A skąd wiesz?

— Słyszałem. Zapamiętałem.

— No, Wasiu — Nażerko łaskawie poklepał Szlachtycza po ramieniu — nie nabijaj sobie głowy amazonkami, bo jeszcze się zrobisz inteligentem.

Przygotowywali się gruntownie i uciekli stosunkowo z łatwością, nikt nie brał bowiem poważnie prób wydostania się z tajgi, przebicia się przez jej miejsca nieprzebyte i przezwyciężenia głodu i wyczerpania.

Szli długo i płynęli na tratewkach własnej roboty po jakichś rzekach, ich brzegi porosłe były tajgą, wśród której połyskiwały bielą brzozy, a posuwać się po wo-

dzie było ciężko i strach ich ogarniał, że ktoś ich zobaczy. Inżynier leśny znał się na rzeczy: zdołał ich wyprowadzić prosto do kolei, która biegła przez cały kraj i po której toczyły się już pociągi na zachód, pociągi z żołnierzami i sprzętem zdążające na front — jedyne miejsce dla tych zagubionych ludzi, gdzie mogli się znowu stać prawdziwymi ludźmi. Ledwie dotarli jednak do pierwszego półprzystanku, gdzie na torze zapasowym stał transport wojskowy, stało się coś nie do naprawienia. Podkradli się brzegiem lasu możliwie najbliżej kolei, widać już było białe cyfry i litery na wagonach, widać było młodziutkiego wartownika, który przechadzał się wzdłuż pociągu; Szlachtyczowi wydało się nawet, że widzi zieloną trawę między podkładami pod pociągiem, więc można już chyba było zastanowić się spokojnie, jak się uczepić tego czy innego pociągu, byle pojechać na zachód, tam, gdzie toczą się walki; najtrudniejsze mieli za sobą, zbliżała się wielka chwila prawdziwej wolności i właśnie wtedy Hryzodub bądź oszalał, bądź od dawna już kiełkowała w nim czarna myśl o zdradzie, bo niespodzianie wyskoczył z zarośli na nie osłonięte miejsce i pobiegł prosto w kierunku wartownika wołając płaczliwym głosem:

— Towarzyszu żołnierzu! Towarzyszu żołnierzu!

Nażerko miał jednak błyskawiczny refleks, czego inżynier nie wziął pod uwagę.

— Dokąd, kundlu! — syknął Nażerko i puściwszy się w pogoń za Hryzodubem dopędził go o jakieś dwadzieścia metrów dalej, chwycił za gardło i zaczął dusić. Mógł pociągnąć Hryzoduba z powrotem, miał po temu dość czasu i sił, mógł po prostu zwalić go z nóg, wziąć na plecy i zanieść z powrotem do kryjówki, żeby nadal uciekali we trójkę, a potem można się było porachować ze zdrajcą gdzieś dalej, ale wszystko to było nie dla Nażerki. Po prostu dusił inżyniera i to w postawie sto-

jącej, ten charczał i szarpał się, ale nic nie mógł poradzić, bo tracił już oddech. Szlachtycz, a tym bardziej zaskoczony tym wszystkim wartownik, nie zdążyli się nawet zorientować, co się właściwie dzieje, a już jeden z tamtych dwóch leżał na ziemi martwy, a drugi biegł z powrotem do lasu.

Wartownik ocknął się wreszcie, jego żołnierskie serce nie mogło pogodzić się z niespodzianym zakłóceniem porządku, więc zdjął z ramienia karabin, szczęknął zamkiem i wymierzył.

— Stój! Stój, bo strzelam!

Nażerko pędził do lasu jak młody źrebak.

— Stój! — rozległo się raz jeszcze i padł strzał z krótkim szczękliwym odgłosem, rzucając Nażerkę prosto w krzaki na Szlachtycza, w jego objęcia, ale już Nażerkę martwego.

Trzeba było teraz uciekać i Szlachtycz nie myślał zwlekać. Ścigać go chyba nikt nie będzie, bo wystarczyły dwie osoby dramatu, który się rozegrał przed jego oczami, czyli Hryzodub i Nażerko. Jeden uciekał w stronę pociągu, drugi go zadusił i zginął od kuli wartownika. I tyle. Nic już nie pozostało za plecami Szlachtycza, wszystko się dla niego zaczynało. I była jeszcze samotność. Trzeba było przezwyciężyć samotność i odległość, przejść niepostrzeżenie tysiące kilometrów, pas przyfrontowy, gdzie każdy mógł być podejrzany o szpiegostwo; są to jednak znowu szczegóły, które mogą być takie czy inne, a chodzi przecież o tę walkę, jaką stoczył człowiek, by odzyskać prawdziwe człowieczeństwo utracone bez przyczyny, głupio i niemal bezpowrotnie.

Szlachtycz dotarł do rodzinnego miasta, był znowu na Glinianej Górze, przyszedł późną nocą, nazajutrz po owym dniu, kiedy ostatni żołnierz radziecki opuścił miasto; faszyści zresztą nie wiedzieli o tym jeszcze i nie

pchali się tam, a Szlachtycz może też nie wiedział, że nasi się wycofali, czy też wprost przeciwnie — zamierzał sam jeden obronić Glinianą Górę przed nieprzyjacielem; śpieszył tutaj i tutaj wrócił, bo gdzież miał jeszcze wrócić. Nie zastał na Glinianej Górze matki, która umarła miesiąc temu, nie zastał ojca, którego ewakuowano z fabryką, ale zastał swoją Tetianę i urodzonego podczas jego nieobecności syna Lonię; Tetiana czekała na niego tutaj, bo nie miała gdzie na niego czekać poza Glinianą Górą, i tak oto połączyło się tych dwoje w czarną noc letnią czterdziestego pierwszego roku, ostatnią noc wolności już nie bronionej i nie pilnowanej, wolności, która nazajutrz z rana miała się stać niewolą.

Czyż biegł przez cały kraj po to, żeby się znaleźć w niewoli?

Tetiana szeptała coś, że teraz nie oda go nikomu, nikomu nie pokaże, ukryje go, bo mają przecież syna, że Wasyl należy tylko do niej i nie ma nareszcie tego przeklętego Nażerki, który był przyczyną wszelkiego zła, więc teraz wszystko będzie dobrze, teraz...

— A faszyści? — zapytał Wasyl. — Co ty wygadujesz, Tetiano, a faszyści?

Pojawili się w mieście, przyjechali także na Glinianą Górę. Dwaj motocykliści na szarych motorach, w szarych mundurach i kaskach, z szarymi twarzami, przemknęli przez Glinianą Górę w płochliwym czy może pełnym zaaferowania pośpiechu i pojechali dalej, jakby nie mieli zamiaru w mieście pozostać; pozostali jednak, umocnili się, zajęli fabrykę, zajęli budynki Rady Miejskiej, pocztę, technikum, Pałac Kultury; motocykliści objeżdżali wszystkie ulice i na parkanach, na słupach telegraficznych i wszędzie, gdzie wywieszano zwykle afisze, zrobiło się aż czarno od zarządzeń i ogłoszeń drukowanych dużymi literami i kończących się tymi

samymi pogróżkami: „Rozstrzał... Rozstrzał... Rozstrzał". Za przechowywanie broni, za niewykonywanie zarządzeń, za zwykłe nieposłuszeństwo w stosunku do okupanta, za nieprzestrzeganie przepisów zaciemnienia, za ukrywanie rannych czerwonoarmistów, za rozpowszechnianie ulotek i bolszewickiej literatury, za chodzenie po ulicach po godzinie policyjnej. Rozstrzał, rozstrzał i rostrzał...

Ukryć się w takim małym mieście przed nieprzyjacielem jakoś by się udało, ale nie przed swoimi. Po tygodniu do domku Szlachtyczów przyszedł mężczyzna w na pół niemieckim mundurze, z opaską na rękawie i z niemieckim karabinem za plecami. Był to Kałmyk.

— Nie chowaj go i nic nie mów — wyciągnąwszy przed siebie dłonie powstrzymał Tetianę, która zamierzała już uciec się do swego zwykłego: „Nic nie słyszałam i nic nie wiem". — Wszystko wiem, nic się przede mną nie ukryje, a mój przyjaciel Wasia w ogóle nie potrzebuje się chować. Gdzie jest? Pokaż.

Szlachtycz wyszedł i spojrzał na opaskę z napisem: „Policja".

— To ty — powiedział Szlachtycz. Nie wiadomo, czy ożył w tej chwili w jego myślach ów ranek, kiedy zabrano go stąd z Nażerką, czy chodziło mu o tę opaskę na ramieniu Kałmyka.

— Nie myśl, Wasiu — żarliwie tłumaczył się Kałmyk — o tobie tom wtedy ani słowa... Chciałem się zemścić na Nażerce. Ciebie też przecież deptał... Zabrali ciebie, bo wiedzieli, że byliście wspólnikami... Tylko na Nażerkę byłem cięty... A wyszło, że...

— A to? — zapytał Szlachtycz wskazując na opaskę.

— To — żadna sztuka — nie zrozumiał go Kałmyk — polityka... Chcesz, to cię polecę... Wezmą cię... Jesteś przecież bojownikiem przeciwko bolszewizmowi... polityka...

— Nażerko był bojownikiem. Nie ma go. A co tam ja!

— Ty też.

— Ale ty nie jesteś przecież bojownikiem i mimo to dostałeś karabin...

— Mam pewne zasługi.

— Ale ja chyba więcej?

— Więcej — od razu zgodził się Kałmyk. Bał się widocznie Szlachtycza, bał się, że ten pójdzie do Niemców i opowie, jak to wówczas było i jak Kałmyk skoczył z balkonu.

— Jeżeli mam więcej zasług, to jakże będę służyć tam, gdzie ty? — żachnął się Szlachtycz. — Chcę wyżej!

Żartował na razie złośliwie, sam jeszcze nie wiedział, jak się zachować, ale Kałmyk brał wszystko za dobrą monetę. Tyle lat spędził razem ze Szlachtyczem, że nie wątpił teraz w jego szczerość i uczepił się tego „wyżej", chciał za wszelką cenę okupić swoją winę względem dawnego kolegi.

— Potrzebni są nasi ludzie w gestapo — powiedział Kałmyk tajemniczo. — Niemcy pytają o takich, szukają. Mogę za ciebie zaręczyć. Gestapo — to wszystko. Katastrofa!

— A co myślisz! — zatarł ręce Szlachtycz. — Może to akurat dla mnie!

— Pogadam.

— Pogadaj, pogadaj...

Tetiana patrzyła na męża już nie tylko ze zgrozą, lecz wręcz z nienawiścią.

— Coś sobie umyślił? — wrzasnęła na niego, kiedy pozbyli się wreszcie Kałmyka.

— Moja rzecz.

Znowu czuł się samotny, sam jeden na całym świecie; wrócił do domu, do Tetiany, na Glinianą Górę,

ale — jak się okazuje — nie wrócił wcale do tych ludzi, do społeczeństwa, z którego się wyobcował z powodu swego bezsensownego postępowania, był nadal człowiekiem z marginesu, a jaką iść drogą, by zostać prawdziwym człowiekiem, nie wiedział i nikt mu nie mógł nic doradzić ani pomóc; po tamtej stronie frontu czekało na niego nieubłagane prawo, tutaj był jeszcze bardziej nieubłagany wróg, ale słowo już się rzekło — Kałmyk podsunął mu pewną myśl i trzeba było realizować tę myśl w samotności i w beznadziejnej tajemnicy.

Poszedł służyć do gestapo.

Z początku jako zwykły strażnik. Czekał trafu. Czekał uparcie i cierpliwie.

Traf przybrał postać tęgiego mężczyzny, inteligenta, sądząc z wyglądu i zachowania; najwidoczniej znał Szlachtycza jeszcze przed wojną (bo któż w mieście nie znał Wasi Szlachtycza!), Szlachtycz natomiast zobaczył go po raz pierwszy. Ów człowiek wybrał taki dzień i godzinę, kiedy Szlachtycz stał na posterunku przed gestapo, podszedł z boku, stanął trochę dalej i szepnął:

— Panie posterunkowy! Panie Szlachtycz!

— A czego?

Nieznajomy przybliżył się i wciąż szepcząc opowiadał, że wpadł na trop bandy bolszewików, którzy drukują ulotki. Chcieli go wciągnąć, ale ani mu w głowie. Udaje tylko, żeby zaskarbić sobie ich zaufanie. I od razu przyszedł, żeby zawiadomić. Może go pan Szlachtycz przepuści do niemieckiego naczelnika.

— Adres znasz? — surowo zapytał Szlachtycz.

— Tak, wszystko wiem. Nawet ulotkę przyniosłem, mogę pokazać.

— Dobra. A kiedy się tam zbierają?

— W każdą środę, o szóstej.

— Czekaj na nas przed domem za kwadrans szósta. Będziemy.

— Niech pan pamięta, panie Szlachtycz!

— Trzymaj język za zębami! — Szlachtycz pokazał mu nie karabin, lecz zaciśniętą pięść.

Dostał się sam do untersturmbahnführera Grünbecka (niewysokiego wzrostu czterdziestoletni mężczyzna z trupią główką na czapce i literami SD na lewym rękawie, niegdyś zwyczajny urzędnik skarbowy w Kassel, a teraz władca i kat tego miasta), powiedział że udało mu się wytropić pewnego roznosiciela ulotek, i poprosił o pozwolenie schwytania tego zdrajcy. Grünbeck zechciał wziąć udział w tej akcji, żeby na własne oczy zobaczyć żywego bolszewika w chwili, gdy uprawia swoją zbrodniczą działalność przeciwko wielkiej armii führera, i zorganizował ją z dużą pompą — otoczono całą dzielnicę, porozstawiano ludzi w ukryciu, ogłoszono alarm dla całego garnizonu; sam Grünbeck wraz z kilkoma współpracownikami i Szlachtyczem już na pół godziny przed określonym czasem przechadzał się w przebraniu w umówionym miejscu; kiedy pokazał się oczekiwany zdrajca — a był rzeczywiście zdrajcą swego narodu — Szlachtycz krótko krzyknął: „To on". Grünbeck mrugnął na znak, że pozwala mu złapać ptaszka, więc Szlachtycz szybko poszedł na spotkanie owego człowieka, trochę zdziwionego, że gestapowcy przyszli przedwcześnie, z wprawą wyjął mu ulotkę z tej samej kieszeni, z jakiej wyciągnął ją tamten przyszedłszy z donosem. Zapytał: „To ta?", a otrzymawszy twierdzącą odpowiedź, pokazał ulotkę z daleka Grünbeckowi, wyrwał pistolet i wystrzelił zdrajcy między oczy.

Kiedy podbiegł Grünbeck z funkcjonariuszami, zdrajca był już martwy.

— Nie trzeba się tak śpieszyć — z niezadowoleniem

pokręcił głową Grünbeck. — W takich wypadkach chodzi o zeznania.

— Nie wiedziałem — usprawiedliwiał się Szlachtycz — to z nienawiści.

— O, tak, tak, to bardzo dobrze. Nienawiść — to bardzo dobrze. Cudownie pan postąpił, Szlachtycz! — Grünbeck poklepał Szlachtycza po ramieniu. Ten najemnik swoim okrucieństwem od razu podbił serce urzędniczyny z Kassel.

Odtąd Szlachtycz zaczął awansować. Młodszy śledczy. Śledczy. Starszy śledczy. Prawa ręka Grünbecka. Sam Kałmyk, kiedy się spotykali, prężył się i stuknąwszy obcasami mówił: „Czołem panie Szlachtycz!" Przysyłano mu listy: „Jeżeli będziesz się nadal wysługiwać faszystom, powiesimy cię jak psa". Pokazywał listy Grünbeckowi i szef gestapo przydzielił mu ochronę, goryle towarzyszyli Szlachtyczowi w drodze do pracy i do domu.

Wszyscy uważali go nie za tego, kim był w rzeczywistości. Nadal grał ujemną rolę, tylko że teraz Szlachtycz grał komedię wobec otoczenia świadomie. Wystąpił przeciwko całemu światu, zrezygnował z pomocy, ze współczucia i zrozumienia, nawet z nadziei na podziękowanie. Spodziewać się mógł tego jedynie, że zostanie natychmiast rozstrzelany, jeżeli Grünbeck zacznie się trochę domyślać, jaką w rzeczywistości działalność uprawia jego wierny pomocnik.

A Szlachtycz mając w ręku listy zakładników ostrzegał ich, pomagał ludziom uniknąć aresztowania. Pilnował anonimów i starał się jakoś zawiadomić wszystkich, którzy padali ofiarą donosów. Ze spokojnym okrucieństwem rozprawiał się ze wszystkimi zdrajcami, którzy zwracali się do niego denuncjując ludzi z podziemia lub wydając jakiegoś uczciwego człowieka radzieckiego. O rozprawach tych wiedział na razie tylko

on sam i jego ofiary, te zaś milkły na wieki i nie mogły już nikomu nic opowiedzieć. Bo gdyby... Była to straszna i okrutna gra ze śmiercią, gra człowieka zrozpaczonego, który czuł, że puste jest jego wnętrze jak wyschnięta studnia, człowieka właściwie nie istniejącego i bezimiennego; tylko tak to można nazwać, był bowiem niczym, nie istniał ani dla swojej ziemi, ani wobec ludzkich praw, ani nawet dla tych, co powinni być mu najbliżsi: kobiety, którą kiedyś nazwał swoją małżonką, i syna, który nie mógł się wyrzec ojca, bo nie potrafiłby tego jeszcze zrobić i nie znał przyczyny ludzkiej nienawiści.

Była to samotność doskonała i zuchwała, jeszcze bardziej niż wtedy, kiedy uciekał — taka oto nagroda przypadła mu za wszystko, co było w przeszłości, a w przyszłości, jak wszyscy sądzili, Szlachtycza czekał los jeszcze gorszy i nieunikniony, nic go od tego nie uratuje.

A co się działo między Szlachtyczem i Tetianą? Narracja zatrzymuje się tu nieśmiało na progu, nie waży się wejść między parę tych bliskich sobie ludzi, by zbadać udrękę ich wzajemnych stosunków. A określić je można jednym słowem — wrogość. Wrogość ta maskowała się opanowaniem i udanym niedostrzeganiem się, wrogość ta była gęsta jak woda w słonym morzu, oni zaś byli ludźmi-amfibiami, wyposażonymi w skrzela, które przepuszczają wodę niepostrzeżenie i bez przeszkód; woda nie istnieje, nikt jej nie widzi i nie zauważa, nikt nie śmie wyrzec słowa o wrogości, ale oboje wiedzieli, że wrogość dodaje im bodźca, że pędzi ich naprzód lub odrzuca w tył, że pochłania niemal całą ich energię, taką niezbędną w tych ciężkich czasach.

Aż nastał dzień czy raczej wieczór, kiedy przyszedł kres tej bezsensownej i ślepej wrogości. Między tą parą

ludzi, milczących i czujnych, stanął trzeci. Przyszedł mimo wszystkich zakazów i godziny policyjnej, nie bojąc się groźby rozstrzelania; może zresztą nie przyszedł tą późną porą, może Tetiana ukryła go w domu jeszcze w dzień — nie sposób to dzisiaj ustalić; stanął przed Szlachtyczem w późny, słotny wieczór jesienny, wzrostu był niewysokiego, wymizerowana twarz mówiła o głodzie i poniewierce, stanął przed gestapowskim śledczym, obrzucił go spojrzeniem swych mądrych oczu i powiedział spokojnie:

— Obserwujemy was, towarzyszu Szlachtycz, i wszystko wiemy.

— Towarzyszu? — Szlachtycz poczuł ucisk w piersiach. — Nie zapraszałem pana. Kim pan jest?

Ów ucisk przeszedł po chwili i ustąpił miejsca podejrzeniu, że gestapo już wszystko wie i Grünbeck podesłał prowokatora.

— Powtarzam — powiedział przybysz — wiemy wszystko. Opinie polecające na nic się tu nie zdadzą. Mogę się przedstawić byle jakim nazwiskiem — nie uwierzycie mi i tak samo ja nie uwierzyłbym wam na słowo. Znaczą coś teraz tylko czyny.

Spokojnie i bez pośpiechu zaczął wyliczać wszystko, czego Szlachtycz dokonał w tajemnicy przed gestapo na szkodę faszystów, począwszy od zabójstwa pierwszego prowokatora i ostrzeżenia zakładników; gdyby gestapo wiedziało bodaj dziesiątą część tego co ów człowiek, Szlachtycza nie byłoby już dawno na świecie, nie pozwoliliby mu nigdy działać tak długo, a Grünbeckowi nie starczyłoby cierpliwości tak samo, jak brakło mu już cierpliwości czekać, kiedy führer zdobędzie cały ten wielki kraj, i codziennie przechwalał się przed Szlachtyczem: „Herr Wasil, za tydzień nasz sztandar będzie powiewać nad Kremlem!" Mijały tygodnie i miesiące,

Szlachtycz słuchał przechwałek Grünbecka i robił swoje.

Można już było pozbyć się wątpliwości co do nieznajomego przybysza, ale Szlachtycz jeszcze się trochę obawiał.

— Przypuśćmy, że jestem taki, jak mnie tu pan przedstawia, że pana nie aresztuję czy po prostu nie zabiję, jak by można było sądzić z pańskich słów. Więc co z tego?

— Przyszedłem z poleceniem — odpowiedział przybysz. — Złożycie przede mną przysięgę i odtąd będziecie działać nie na własną rękę, lecz według naszych wskazań.

— To wszystko?

— Wszystko.

— Tak zwyczajnie?

— Na pierwszy rzut oka.

Szlachtycz obejrzał się. Stała za nim Tetiana.

— To ty mnie śledziłaś? — zapytał.

— Nie — westchnęła — uwierzyłam...

Nie pytał, w co Tetiana uwierzyła. Uwierzyła, że Wasia będzie prawdziwym człowiekiem. A co jej pozostało? Trwało to nie dzień i nie miesiąc, lecz lata. Począwszy od Nażerki i Kałmyka aż do małego Grünbecka, który przyjechał z dalekiego Kassel pozostawiwszy tam swoje sprawy skarbowo-podatkowe, by przelewać cudzą krew.

— No dobrze — niezgrabnie zwrócił się do żony Szlachtycz — no dobrze już... Może rzeczywiście wykieruję się na człowieka...

Nadano mu pseudo „Obcy" i pracował w gestapo aż do dnia wyzwolenia miasta od faszystów. Kazano mu potem cofać się czy raczej uciekać z Grünbeckiem; ścisnąwszy zęby usłuchał, wsiadł do samochodu z Grünbeckiem i jeszcze jednym gestapowcem, ale nie był

w stanie długo podporządkować się poleceniu i podczas pierwszego bombardowania niemieckiej kolumny przez samoloty radzieckie Szlachtycz z zimną krwią zastrzelił obu gestapowców, poczekał, aż noc zapadnie i w samochodzie załadowanym gestapowskim majątkiem i teczkami pełnymi tajnych dokumentów spróbował wrócić do swego miasta.

Nie dojechał, zatrzymali go w drodze dwaj fizylierzy. Zaprowadzili Szlachtycza do bardzo ugrzecznionego i obłudnego starszego lejtnanta o wyglądzie inteligenta w okularach i ten zaczął się przygotowywać do pisania protokołu, rzucając od czasu do czasu „naprowadzające" pytania: „Kto? Kiedy zdradził? Gdzie? Co robił? Z kim współpracował?..." Żeby się usprawiedliwić, Szlachtycz mógł się powołać tylko na dwóch ludzi z podziemia, z którymi pozostawał w kontakcie, nie znał zresztą ich nazwisk, tylko pseudonimy. W dodatku nie lubił inteligentów, w każdym z nich widział jeżeli nie Kałmyka, to Hryzoduba, który ukradł dwanaście tysięcy hektarów lasu państwowego; Szlachtycz nie żywił dla inteligentów szacunku, a ten starszy lejtnant nawet się ze swoją inteligencją nie krył, z pogardliwym uśmiechem sypał jakimiś wierszykami robiąc w ten sposób różne aluzje: „Szybciej biegł Harun niż łania rącza...", „I żyć się śpieszą, i do uczuć kwapią...", „W ciężkiej życia godzinie..."

— Puśćcie mnie do mego miasta! — uparcie powtarzał Szlachtycz.

— A może cię posłać do uzdrowiska? — zachichotał lejtnant.

— Jestem Obcy, możecie sprawdzić! Mój pseudonim jest Obcy. Puśćcie mnie do mego miasta!

Sprawdzimy, wszystko sprawdzimy, każdą twoją kosteczkę sprawdzimy — znęcał się nad Szlachtyczem starszy lejtnant — kiedy hulałeś z faszystami i piłeś

z nimi sznapsa, myśmy tylko o tym myśleli i szykowali się, żeby ciebie weryfikować. Tak to sobie wyobrażasz?

Szlachtycz zrozumiał, że o niczym nie przekona upartego inteligenta, więc umilkł i tylko wzbierała w nim zimna nienawiść, kiedy patrzył na okulary lejtnanta.

Nie obiecując nic Szlachtyczowi, ten spróbował jednak ustalić prawdziwość zeznań zatrzymanego i rezultat tej weryfikacji chyba zdziwił bardzo starszego lejtnanta, bo jeszcze nocą, nie czekając ranka przyjechał do zatrzymanego wysoki generał z zaplecza, zamknął się ze Szlachtyczem na dobrą godzinę, po czym dość surowo pogadał ze starszym lejtnantem i po jakichś jeszcze formalnościach zatrzymanego zwolniono, nawet z honorami.

Generał zaś zbeształ tak samo Szlachtycza, że złamał rozkaz, zabił Grünbecka i usiłował wrócić do rodzinnego miasta.

— Potrzebujemy was tam, rozumiecie? — powiedział dobitnie.

— Rozumiem.

— Dopędźcie Niemców i za wszelką cenę przywróćcie sobie zaufanie, z jakiego korzystaliście. Wymyślcie legendę o śmierci Grünbecka i jego pomocnika.

— Mogli zginąć podczas bombardowania. Wyskoczyliśmy z samochodu, żeby się ukryć, obaj zginęli, a ja wsiadłem do samochodu i pojechałem.

— Bierzcie samochód.

— Są tam ważne dokumenty.

— Z dokumentów zdejmiemy z łatwością kopie, a oryginały są wam potrzebne, żeby nie budzić podejrzeń. Bez Grünbecka może was jeszcze przyjmą, ale z próżnymi rękoma — chyba nie...

— Straciłem cały dzień przez tego inteligenta.

— Straciliście przez samego siebie — powiedział generał. — Musicie to nadrobić. Powodzenia!

— Dziękuję.

Dopędził faszystów, wywarł odpowiednie wrażenie, odzyskał zaufanie i jechał z nimi coraz dalej i dalej na zachód, póki nie skończyły się okupowane tereny; był także w Polsce, ale niedługo, i znalazł się w końcu w Berlinie, gdzie tacy jak on (to jest niezupełnie tacy!) grupowali się pod dowództwem brodatego „wujka Borysa", niegdyś pułkownika armii carskiej, pozostającego obecnie pod rozkazami niemieckiego hauptmana, inteligenta, który mówił bardzo cichym głosem, a ukończył aż dwa uniwersytety — jeden w Niemczech, drugi w Anglii; ktoś tam jeszcze liczył na kontynuowanie wojny, przygotowywano ich do tego, ale wojna się kończyła, Berlin oblegały wojska radzieckie, z Berlina uciekali wszyscy, którzy tylko mogli uciekać, a mogło to zrobić niewielu, bo esesmani rozstrzeliwali każdego, kto próbował opuścić stolicę bez pozwolenia. Dla tej dziwacznej grupy pozwolenie nadeszło jednak i zostali przerzuceni w Alpy Bawarskie; tam „wujek Borys" gdzieś przepadł, a hauptman niezbyt dawał się we znaki, pilnował tylko, żeby ktoś z nich nie poszedł za przykładem brodatego pułkownika carskiego; były to chyba najcięższe dni dla Szlachtycza, dni bezczynności wypełnione spowiedziami i wyznaniami wszelkiego rodzaju szubrawców, których musiał słuchać cierpliwie nie zdradzając swej nienawiści i wstrętu do tych wyrzutków, oni zaś uważali go za swego i nawet szczególnie zasłużonego. Nie pozwalał sobie więcej na smarkaczowatą wprost lekkomyślność i wyczyny pod wpływem tęsknoty do rodzinnego miasta, wprost ze śmiechem wspominał swoją próbę szybszego powrotu do Tetiany i syna — uważał wtedy swoje zasługi za tak wielkie, że dla niego wojna się już skończyła. Teraz zaś

wprost przeciwnie — bał się, że wojna skończy się lada dzień, on zaś nie zdążył odpokutować za swoje grzechy, przezwyciężyć wszystkiego, co było w nim ujemne. Właśnie dlatego w oddziale niedobitków pod rozkazami hauptmana Szlachtycz był tym najbardziej zdyscyplinowanym, nawet, powiedziałbym, ugrzecznionym, a owym wyrzutkom miał służyć za wzór łotra i służył.

Wojna się kończyła, ale nie dla niego. Oglądając się za siebie Szlachtycz stwierdzał ze zgrozą, że właściwie nic jeszcze nie dokonał takiego, co by go uczyniło tym prawdziwym człowiekiem. We własnym kraju był człowiekiem z marginesu właściwie od samego początku, teraz umarł dla kraju, przepadł, zniknął bez śladu, potępiony i pohańbiony. Trzeba się było odrodzić, zmartwychwstać, wrócić do życia, rzeczywiście urodzić się jako inny zupełnie człowiek — ale jak?

Był w królestwie śmierci, wśród niedobitków i w niedobitym kraju, gdzie wszystko dokoła konało i wiło się w przedśmiertnych konwulsjach, drżeli ze strachu w kryjówkach i zakamarkach zdrajcy i mordercy, zakopywali się w głębokich norach esesowscy oprawcy, którzy mieli za plecami spalone wsie, powieszonych mężczyzn, rozstrzelane kobiety, pozabijane niewinne dzieci. Kto by uwierzył człowiekowi, który wyrwawszy się z takiego otoczenia, przyszedłby i powiedział: „Jestem niewinny", albo nawet więcej: „Zrobiłem tam to a to"?

Ktoś go tu posłał, ale czy nie zapomniano o nim? I czy coś zdziała, dokona czegoś szczególnego, rzeczywiście niebywałego? Przebywał więc na razie w królestwie śmierci, drogi powrotnej nie widział i nie mógł ani myśleć, ani wyobrazić sobie, co się dzieje w domu, na ziemi rodzinnej.

Jak daleko pozostał ten ranek, kiedy rozwalił dwóch

gestapowców, ten dzień i ta noc, kiedy wracał do Tetiany i syna! Wracał i... nie wrócił. Zniknął, przepadł, może na zawsze!

Nie wiedział i nie mógł się nawet domyślić, co się dzieje z jego Tetianą i Lonią. Nie wiedział, że Gliniana Góra była kilka razy pod ogniem artyleryjskim i bombami, że wszystko, co mogło tam lec w gruzach, legło, a wszystko, co mogło spłonąć, spłonęło do cna, ludzie zaś, którzy ocaleli, rozeszli się, rzecz jasna, po całym mieście szukając przytułku; udzielano im tego przytułku, wszystkim udzielano, tylko nie Tetianie z synem: żonie zdrajcy i jego synowi. Znalazła gdzieś w końcu piwnicę w zbombardowanym domu, głęboką i wilgotną piwnicę, w której mały Lonia dowiedział się po raz pierwszy (o wszystkim dowiadywał się wtedy po raz pierwszy), że jego ojciec jest zdrajcą, a on sam — synem zdrajcy, i mały chłopczyk, jeszcze dobrze nie rozumiejący, co to takiego zdrajca, nabierał podejrzliwości w stosunku do świata, dręczyły go po nocach koszmary i krzyczał, budził się przerażony, był nerwowy i blady, rósł jak ten kiełek, co nie może w żaden sposób przebić się przez ziemię. Los dziecka zależał w każdym razie od człowieka, którego chłopak właściwie nie pamiętał, od człowieka może już nie istniejącego, dawno już zabitego; piętno tego człowieka pozostało jednak na Loni i jego matce, było głębokie, palące i usunąć się nie dało.

Generał powiedział wówczas Szlachtyczowi: „Zdecydujesz sam". Chodziło o to, kiedy będzie mógł zerwać z tym wszystkim niewiadomym i niepewnym i wrócić do życia. Im silniejsza natura, tym bardziej rwie się do życia, czego Szlachtycz dowiódł już owego pierwszego dnia ucieczki z gestapowcami, kiedy starczyło mu cierpliwości przejechać z nimi tylko sto kilometrów (prawdę mówiąc, należy dodać do tej setki kilometrów dwa

lata niebywałej cierpliwości i codziennego igrania ze śmiercią pod samym nosem Grünbecka); nauka nie poszła jednak w las i Szlachtycz używał teraz całej swej groźnej siły, by tłumić zwyczajne ludzkie odruchy, wydawał się jak z drewna wyciosany, nauczył się już nie tyle cierpliwości, ile czegoś ponad nią, na co nie ma jeszcze nazwy; czekał chwili, kiedy będzie mógł podjąć decyzję, tę ważną i jedyną, a niejeden raz już miał wielką chęć skończyć z tą swoją dwuznaczną sytuacją. Hamował się jednak, powstrzymywał, zdawało mu się jakoś, że jeszcze dokona czegoś ważnego i wahał się tak do samego końca wojny, widział już, co się dzieje po tym końcu, ale wciąż jeszcze nie nadchodziła owa chwila, o której mówił wtedy generał — w ten sposób wraz z całą gromadą, wśród której przebywał, wraz z faszystowskim hauptmanem, co zmienił mundur wojskowy na cywilny garnitur, wraz z brodatym wujkiem Borysem, który po niedługiej nieobecności znowu się pojawił w ich górskiej siedzibie, wraz z całą tą hałastrą znalazł się Szlachtycz u nowych rozkazodawców, którzy chętnie przyjęli od rozgromionych faszystów to haniebne dziedzictwo.

Do dalszego ciągu naszej historii brak nam faktów. Nie było świadków, nie było ludzi, co by widzieli na własne oczy, a jeżeli chodzi o Szlachtycza, nie uważał tych trzech lat samotności wśród wrogów za bohaterstwo. Była to dla niego próba cierpliwości i oczekiwanie na odpowiednią chwilę, w której trzeba będzie powziąć decyzję z największym pożytkiem dla wielkiego świata, by wrócić do niego jako człowiek nowo narodzony i pewny swojej przyszłości. Czym jest bowiem przyszłość dla człowieka? Przyszłość może być wypełniona bogatą treścią, ciekawa, obfitująca w różne możliwości, a może być także perspektywą szarej egzystencji, w której nie będzie nic prawdziwie wartościowego, bę-

dzie tylko fałszywa nadzieja wieczności. Szlachtycz szedł dość długo złą, fałszywą drogą, żeby dobrze teraz rozumieć gorzką prawdę: masz tylko jedną okazję w życiu, jedną szansę, by wejść na właściwą drogę. I skorzystał w końcu z tej możliwości, upatrzył tę chwilę, do której przygotowywał się długo i wytrwale notując w swojej zadziwiającej pamięci wszystko, co mógł wynieść z królestwa zbrodniczej dwuznaczności: pseudonimy, punkty kontaktowe, hasła, znaki szczególne agentów, adresy. Ale wydawało mu się, że wszystkiego tego wciąż jest jeszcze mało, opanowała go chciwość, aż do otępienia chciwość, która omal nie zniweczyła wszystkich jego wysiłków i owych trzech lat podwójnego życia wśród wrogów; a ci zdążyli tymczasem przeobrazić się gruntownie i jeżeli nawet w swojej istocie pozostali sobą, to występowali już pod inną firmą: faszystów rozgromiono, odeszli w przeszłość, odpowiadali przed trybunałami międzynarodowymi, ale grupa cichego hauptmana i brodatego wujka Borysa, dobrze ukryta w wielkopańskim zamku pod niedużym miastem w Bawarii, otrzymała nowego szefa, tak samo brodatego jak wujek Borys, Włocha zza oceanu, mistera Tomaso. Ten ściągał do zamku coraz nowych instruktorów, by uczyli Szlachtycza i jego kolegów tego, co sami umieli i czego w praktyce nigdy nie stosowali; sam mister Tomaso chyba też nie był nigdy praktykiem, należał do teoretyków szpiegostwa, do nauczycieli, a jego praca polegała na wyposażeniu i wysyłaniu wiernych sług w tajemnicze i groźne niewiadome, sam zawsze sprawdzał, jak są wysłannicy przygotowani, przeprowadzał z nimi rozmowy, udzielał instrukcji, obmacywał każdy szew ich ubioru, żegnał znakiem krzyża, obejmował, całował w policzki i wylewał serdeczne łzy, niemal szlochał, tak mu było żal tych, których zmuszony był posyłać na walkę z bolszewikami,

posyłać może nawet na śmierć, lecz wielką i zaszczytną, jak sądził mister Tomaso.

Szlachtycz uważany był niemal za najgorliwszego ucznia i robił takie postępy, że mister Tomaso zawsze stawiał go za wzór innym; jak wiadomo, zachwyty nie bywają jednak wieczne, Szlachtycz powinien był mieć się bardziej na baczności. Zapomniał o niej jednak, oślepiła go chciwość, nie zorientował się, że zaufanie mistera Tomaso ma swoje granice i raz po raz wykręcał się od sposobności bycia przez niego uściskanym na pożegnanie i opłakanym; zręcznie, jak mu się zdawało, typował do odjazdu coraz innego kandydata, by samemu znaleźć się wśród ostatnich wysłańców; rozumował słusznie, że im więcej odleci tych opłakanych i wycałowanych przed nim, tym więcej łotrów zdoła zdemaskować w swoim kraju; ryzykował nawet, że zostanie napiętnowany jako tchórzliwy i chwiejny, byle tylko możliwie najpóźniej opuścić cichą pustelnię mistera Tomaso, być tym ostatnim, który poczuje na ustach słony smak jego łez, wylewanych zawsze, gdy mister Tomaso wyprawiał szpiegów i dywersantów do kraju, wielkiego i uświęconego zwycięstwem nad faszyzmem. Mister Tomaso nie należał jednak do ludzi ograniczonych, nie dał się zwieść pozorami tchórzostwa — wersję tę sugerował Szlachtycz swoim zachowaniem: znając nienaganną przeszłość tego olbrzyma mentor szpiegów nie miał podstaw po temu, by go podejrzewać o nieczyste zamiary, ale instynkt doświadczonego łowcy dusz podpowiadał misterowi Tomaso, że trzeba mieć na tego Rosjanina oko; jeżeli nic w jego życiu nie budziło nieufności, musiało jednak niepokoić jego stałe usiłowanie, by nie tylko nie skorzystać z pierwszeństwa, ale w ogóle uchylać się od kolejki — niezrozumiałe były te usiłowania, by — mówiąc przenośnie — iść stojąc na jednym miejscu. Mister Tomaso należał do ludzi ostroż-

nych — jak wiadomo, strzeżonego Ban Bóg strzeże i jeżeli się człek sam nie ochroni, sam też sobie będzie winien. Mister Tomaso wiedział, że w swojej pracy nie wolno mu zrobić żadnego fałszywego kroku. Może też za każdym razem, kiedy wyprawiał w drogę nowego szpiega, płakał nie nad jego losem, lecz nad własnym, który zależał całkowicie od sukcesu czy wsypy tego czy innego elewa. Nie chciał więc ryzykować. Łzy nie przesłaniały mu oczu, przeciwnie — przemywały je i oczyszczały i oczy mistera Tomaso patrzyły jeszcze baczniej. A takie bystre oko jest może nawet lepsze od czujności równoznacznej właściwie zwykłej podejrzliwości i potrafi czasem sięgnąć daleko.

Mister Tomaso przyglądał się więc teraz Szlachtyczowi swoim bystrym okiem robiąc to niepostrzeżenie, co udawało się tym łatwiej, że pod obserwacją byli wszyscy „wychowankowie" szkoły brodatego mistrza-płaksy. Szlachtycz powinien był o tym wiedzieć i wiedział zresztą, nie spodziewał się tylko, że jest wyjątkowo bacznie inwigilowany, co omal nie doprowadziło do fatalnego końca.

Nie należy sądzić, że „wychowankowie" mistera Tomaso byli całkowicie odgrodzeni od świata murami starego wielkopańskiego zamku i siedzieli tam jak zwierzęta w klatce. Bynajmniej. W pewnych granicach, zakreślonych przez mistera Tomaso dość szeroko, mogli korzystać ze wszystkich uciech, jakich pragną mężczyźni w średnim wieku, szkoleni do tajemniczych i groźnych akcji. Dozwolone były pijatyki w murach zamku i poza nim, w eleganckich lokalach lub knajpach, znajomości i spotkania z przedstawicielkami płci pięknej, oglądanie i podziwianie dzieł sztuki odpowiednich do ich poziomu, wreszcie przebywanie po kilka godzin na łonie natury — odbywano więc niekiedy dość dalekie wycieczki piesze lub samochodami czy dla

urozmaicenia — rowerowe; jedzie człek z wypchanym plecakiem na grzbiecie, na głowie ma kapelusz z piórkiem, skórzane szorty odsłaniają jego mocne, owłosione nogi i nikt z napotykanych przechodniów nie odróżni go od tutejszego człowieka, od stałego mieszkańca i pana tych gór, dolin, rzeczek i jasnego nieba. Istniało tu jednak niewielkie i niemal niedostrzegalne — w każdym razie dla obcego oka — istniało pewne ale; chodzić, spacerować, jeździć na wycieczki, pić i nawet nawiązywać intymne stosunki mieli prawo tylko grupowo; za bramy zamku wolno było wyjść co najmniej we dwóch, a kiedy tacy dwaj znaleźli się już poza nimi, każdy z nich wiedział, że jego koledze polecono go pilnować, tak samo jak on z kolei będzie musiał potem zameldować o każdym kroku towarzysza. Korzystając z okazywanego mu zaufania Szlachtycz może najczęściej ze wszystkich wychodził do miasta nie z grupą, lecz we dwójkę ze swoim chyba najbliższym kolegą, rudym Juchimem — Juchim miał rdzawe włosy na karku i dobrotliwe, jak się zdawało, spojrzenie, co przyjemnie kontrastowało z posępnym wyrazem twarzy Szlachtycza. Juchim z owłosionym, rudym karkiem odznaczał się jeszcze niezwykłą lekkomyślnością. Tłumaczyło się to jego przedwojennym zawodem (był księgowym w powiatowej spółdzielni spożywców), a wiadomo przecież, że kiedy taki zahukany prowincjonalny buchalter wyrwie się w szeroki świat, mąci mu się w głowie. Tu się właśnie przydało opanowanie i powaga Szlachtycza, jego stateczność równoważąca wybryki rudzielca. Zauważył to wszystko mister Tomaso i niedwuznacznie powierzył opiece Szlachtycza rudego Juchima, jeżeli nie w celach reedukacji, to bodaj po to, by go dozorować i hamować; Szlachtycz nie wątpił, że rudzielcowi również polecono go pilnować, ale nie przyszło mu jakoś do głowy, że

może to być polecenie takiego samego rodzaju jak to, które on sam otrzymał, że Juchim mógł zasłużyć na większe zaufanie mistera Tomaso, nie uwzględnił wreszcie, że on sam i rudy Juchim stoją obaj na różnych stanowiskach. To go właśnie zgubiło.

Bo w końcu postanowił się ulotnić. Pewne oznaki kazały mu się domyślić, że przeciągnął strunę odkładając wciąż moment, gdy mister Tomaso będzie go miał sposobność opłakać. Oficjalnie Szlachtycz awansował na instruktora, nie szkolono go już celem wysłania do ojczyzny, jeżeli nawet nie przejrzano jego gry, unieszkodliwiono go mimo to bez zdemaskowania; nie mógł już teraz czekać, kiedy to nastąpi, czy pocieszać się, że nastąpić nie może, stanął wobec groźby, iż całe jego dotychczasowe życie pójdzie na marne, daremne okażą się jego wysiłki. Jak się zachowywali przerzuceni do kraju zdrajcy, nie wiedział, wiedział jednak, że tam są, wiedział, jakie mają zadania, więc czyż mógł dalej czekać cierpliwie nie wiadomo już jakiej sposobności?

Tego dnia, w którym podjął swoją decyzję, świeciło słońce. Chyba nic więcej o tym dniu powiedzieć nie można. Słońce świeci zawsze, świeci, kiedy trzeba, ale najczęściej wtedy, kiedy właśnie nie trzeba; Szlachtycz nie mógł już czekać dłużej, nie mógł nawet wybrać nocy, gdyż noc jako pora ucieczki jest równie podejrzana jak dla ludzi jego nowego fachu oglądanie się na ulicy i tylko słońce może w pewnym stopniu rozwiać podejrzenia. Postanowił więc uciekać w biały dzień, w samym śródmieściu, gdzie zawędrował wraz z rudym Juchimem i upił go w restauracji „Pod świerkami" w trupa, co robił już nieraz i odstawiał potem kolegę do zamku wszelkimi możliwymi środkami lokomocji.

Ulokowawszy rudy kark Juchima między dwoma kieliszkami koniaku, Szlachtycz poszedł w stronę wyjścia, niby od niechcenia, żeby wyjrzeć tylko na chwilę

na dwór i odetchnąć świeżym powietrzem, szedł spokojnie, nie oglądając się za siebie jak człowiek obawiający się prześladowcy za plecami (rachunek za alkohol i jedzenie był wyrównany), a jeżeli Szlachtycz szedł nawet niezbyt pewnym krokiem, to raczej potwierdzało jego dobre zamiary, bo trochę podpity człowiek, to człowiek trochę podpity i nic więcej; Szlachtycz wyszedł więc z restauracji i znalazł się na chodniku wśród przechodniów nie wyróżniając się niczym w tym bawarskim tłumie. Kołysząc się lekko podszedł do najbliższego samochodu przy chodniku, przy czym zdążył jeszcze zauważyć, że obok kierowcy siedzi kobieta. Wcale tym nie zmieszany spokojnie otworzył drzwiczki. Tamci dwoje zdziwili się w pierwszej chwili, a potem uśmiechnęli poczuwszy od nieznajomego zapach alkoholu. Skorzystawszy z tego Szlachtycz usadowił się wygodniej i zamknął za sobą drzwiczki, ale robiąc to wiedział już z całą pewnością, że obserwuje go para zimnych i bezlitosnych złych oczu. Czyje to oczy, nie wiedział. Może kręcił się koło restauracji odkomenderowany do inwigilacji najemnik, a może rudy Juchim tylko udawał, że spił się jak bydlę, grał komedię, a teraz wypadł na ulicę, żeby puścić się w pogoń za zbiegiem — nie grało to już żadnej roli. Najzupełniej trzeźwy Szlachtycz wyjął z kieszeni pistolet, przystawił go kierowcy do potylicy i z cichą pogróżką w głosie powiedział:

— Ruszaj! Bo zabiję!

Kobieta chciała krzyknąć, ale ścisnęło się jej gardło. Kierowca zapalił silnik i wtedy ta para oczu z tyłu pobiegła; Szlachtycz nie oglądał się, nie patrzył, ale wiedział, że oczy biegną, potem rozległ się także głos; nie zaglądając nawet w lusterko nad kierownicą Szlachtycz poznał ten głos, głos rudego Juchima.

— Stój! — krzyczał Juchim biegnąc tak pewnym krokiem, jakby pił dotąd samą tylko wodę. — Stój!

Kierowca nie wahał się jednak, czując na karku pistolet wiedział, co robić. Samochód nie czekał na Juchima, odbił się jednym zrywem od chodnika i pomknął ulicą.

— Za miasto! Prędzej! — spokojnie powiedział Szlachtycz.

Juchim pędził już teraz gdzieś za ostrym zakrętem, bo ulice biegły tu kręto jak zwykle w podgórskich miastach. Juchim najwyraźniej zasługiwał na wysokie pełnomocnictwa — nie tylko po mistrzowsku udawał pijanego, ale okazał się również mistrzowskim prześladowcą. Po pierwsze, stracił, co prawda, z oczu samochód ze Szlachtyczem, ale wiedział dobrze, dokąd kierowca skręci i którędy pojedzie. Po drugie, od razu wykombinował, jakie niedogodności ma do zwalczenia duży i ciężki wóz, którym trudno manewrować na wąskich i krętych ulicach; biegł więc chodnikiem tylko tak długo, żeby dopaść do pierwszego motoru, który zatrzymał się, jak widać, w tym jedynie celu, żeby jego właściciel mógł poflirtować z młodą blondynką czy raczej nie blondynką, lecz takim samym rudzielcem jak Juchim, w dodatku piegowatym. Babka była pewnie seksowna, ale nic to Juchima nie obeszło — wskoczył na tylne siodełko i podobnie jak Szlachtycz szturchnął motocyklistę w bok pistoletem i warknął:

— Jedź! Za samochodem!

Trudno powiedzieć coś pewnego o tych obu pistoletach. Wątpliwe, by mister Tomaso wyposażył w nie obu idących się zabawić kumpli, a dawać jakąkolwiek broń tylko jednemu (czyli Juchimowi) i pozbawić jej Szlachtycza, też by się nie zdecydował z wielu względów, jemu samemu tylko wiadomych, jakkolwiek nie takich znów tajemniczych, żeby się ich nie domyślić kosztem

niejakiego wysiłku. Tak czy inaczej, w decydującym momencie obaj mieli broń. Jednemu była potrzebna do ucieczki i wystarał się o nią w jakiś sposób, drugiemu miała służyć na wypadek pościgu, do którego musiał być zawsze przygotowany, więc zdobył własnymi siłami dziewięciostrzałowy pistolet niedużego kalibru, ale wystarczający, by człowieka przedziurawić i wypuścić z niego życie.

W miastach podgórskich ulice wydają się zawsze jakieś głębsze niż gdziekolwiek, są to wprost nie ulice, lecz wąwozy, ciasne, że aż dech zapiera, nie wiadomo, jak się stąd wyrwać i wydostać. Mercedes ciężko dyszał na tych uliczkach, sapał z wysiłku, miasto ciągnęło się, w nieskończoność.

Świeciło słońce. To wszystko, co można powiedzieć o owym dniu. Słońce oświetlało dla rudego Juchima popielaty mercedes, którym uciekał Szlachtycz; stosunkowo szybko znalazł się wóz w polu widzenia czerwonego motoru z rudym Juchimem, zygzakowatość miejskich ulic i podmiejskiej szosy sprzyjała nie popielatemu samochodowi, lecz czerwonemu motorowi i słońce przyświecało także nie Szlachtyczowi, tylko Juchimowi, który niemal już dopędzał zbiega rozdziawiając usta w niemym krzyku; Szlachtycz widział te usta w lusterku, mógłby wpaść na ten pomysł, żeby nie oglądając się nawet, lecz posługując jedynie tym lusterkiem, strzelić do rudego przez ramię, jak uczył płaksiwy mister Tomaso, ale jakoś nie przyszło mu to do głowy i nie zamierzał zresztą komplikować swojej ucieczki jeszcze strzelaniną czy ofiarami, jeżeli będą nimi nawet takie wyrzutki jak Juchim; czego nie zechciał zrobić Szlachtycz, zrobił jednak Juchim, któremu szeroki mercedes zatarasował całą drogę, nie pozwalając się przegonić i wyprzedzić, a w następstwie zatrzymać (pytanie, czyby się zresztą nawet wtedy zatrzymał).

Celując czy nie Juchim zaczął strzelać do samochodu, który był taki szeroki, że wprost nie sposób spudłować i wszystkie kule musiały trafić w kilkaset huczących koni mechanicznych, wyprzedzających motocykl. Możliwe, że tak też było w rzeczywistości i że nie zmarnowała się żadna kula Juchima, tylko że szkody te kule nie wyrządzały, nawet nie drasnęły żadnego z koni mechanicznych, które charczały, huczały, grały żelazną śledzioną i jak szalone parły coraz głębiej w góry. Dwie kule wszakże jedna po drugiej jakby złe oko specjalnie wybrało dla nich cel, trafiły Szlachtycza w nogę. Zrobiły to niepostrzeżenie i lekko, jakby żartem, Szlachtycz poczuł jednak, że niespodzianie traci przytomność. Wtedy dopiero wystrzelił przez ramię raz i drugi, może nawet trzeci, ale już tego nie słyszał, gdyż zapadł się w jakąś palącą czerń i nie widział, jak motocyklista, bądź trafiony, bądź przestraszony strzałami z samochodu, skręcił kierownicę i uderzył wraz ze swoim pasażerem o pierwszy występ skalny, wokół którego biegła droga. Po sekundzie Szlachtycz odzyskał przytomność; pogoni już nie było, lecz pojawił się teraz nowy wróg — miał dwie rany w nodze, ale o ranach tych nie powinien wiedzieć kierowca i siedząca przy nim kobieta, musiał ukrywać przed nimi i swój ból, i ogarniającą go niemoc, i coraz częstsze, coraz dłuższe okresy, w których tracił przytomność.

Świeciło słońce — to wszystko, co można powiedzieć o owym dniu.

...Wrócił do miasta rodzinnego w długi czas później, ze szpitala wojskowego, z grubą, sękatą laską w ręku, niezręcznie utykając. Wpierw zobaczyli go ludzie na Glinianej Górze. Nic tam nie rozpoznawał, nikt nie poznał również jego, mimo że jasno świeciło słońce, swoje, znajome słońce, pod którym wyrósł, wyrósł jako ktoś z marginesu. Słońce to oświecało na jego piersiach

Złotą Gwiazdę Bohatera Związku Radzieckiego, świadczącą o jego prawdziwym bohaterstwie. Z przeszłością zerwał raz na zawsze.

Szlachtycz odnalazł Tetianę i syna. W owej ciemnej i wilgotnej piwnicy, bo nie nastała jeszcze pora, by wyjaśnić wszystkie wojenne sprawy, więc musiała być ta piwnica i ta dwuznaczna sytuacja małego Lońki w szkole, gdzie nie mówiono mu tego, co prawda, w oczy, ale pamiętano, że jest synem zdrajcy, i wszystkie jego nieprzeciętne postępy w nauce raczej miano mu za złe, niż go za nie chwalono. Słońce świeciło jednak obecnie jaskrawo i radośnie. Szlachtycz wrócił jako bohater. Jeszcze szeptano tu i ówdzie: „Nieprawdziwy bohater", jeszcze nie wierzono, ale słońce wciąż świeciło.

Szlachtyczów zakwaterowano w „Klubie Ludzi Pracy", gdzie mieszkali tacy znani ludzie, jak główny inżynier huty, kierownik czwartego, największego w hucie oddziału i zasłużony mistrz Czereda, udekorowany za wojnę aż dwoma Orderami Lenina. Okazało się, że także Tetiana zasłużyła się w czasie wojny i wręczono jej teraz order za wojnę, czego nie można było zrobić wcześniej przez wzgląd na ważną misję Szlachtycza na dalekim nieprzyjacielskim zapleczu. Niespodziewana zmiana w życiu powinna była również wpłynąć jakoś na małego Lonię i rzeczywiście wpłynęła w ten sposób, że chłopak z większą jeszcze gorliwością, aż do zapamiętania poświęcał się nauce.

Sam Szlachtycz nie zamierzał chodzić w aureoli swego bohaterstwa, chciał być rzeczywiście prawdziwym człowiekiem, jak to rozumieli w mieście wszyscy jego rówieśnicy, garnął się do ludzi, chciał coś razem z nimi robić; tak wiele miał jeszcze sił i jeszcze więcej dobrych chęci. Długo wybierał odpowiednie zajęcie, żeby nie pozostać tym kimś tylko szanowanym za dawne za-

sługi, wreszcie zaproponowano mu coś, co może niezbyt nawet pasowało do bohatera, ale zgodził się od razu, uczepił się po prostu: oddano mu do dyspozycji zbitą z jakichś desek budkę, w której miał sprzedawać różne drobiazgi — zapałki, mydło, kasze, makaron. Jego budka stała pod Glinianą Górą, po jej drugiej stronie; tuż blisko była huta, więc idąc na zmianę lub do domu ludzie przechodzili tędy, wszyscy witali się ze Szlachtyczem, kupowali to i owo. Była tuż niedaleko rodzona Gliniana Góra, byli bliscy ludzie, cała przeszłość została zapomniana i świadczyła o niej tylko jego Złota Gwiazda. Ale czyż nie było to wystarczające?

Chętnie sprzedawał na kredyt. Przed wypłatą ludzie zawsze chodzą przez kilka dni bez pieniędzy. Szlachtycz wiedział to dobrze. I wszyscy też wiedzieli, że mogą wziąć u wuja Wasi na kredyt kilogram makaronu, wziąć bez żadnego kwitka, bo Szlachtycz i tak zapamięta; mógł zresztą nie pamiętać, wszyscy bowiem punktualnie oddawali długi, on zaś niedbale wrzucał piątki, dziesiątki i duże, czerwone banknoty trzydziestorublowe do pustej skrzynki po makaronach i przygadywał ze śmiechem: „Co Bóg daje, wszystko się przydaje". Kiedy komuś się powiedzie, ludzie często reagują dwuznacznymi uśmieszkami i opuszczają wzrok maskując zazdrość, nieufność lub kpinę. Do Szlachtycza uśmiechali się otwarcie i szczerze, przyjęto go życzliwie, stał się od razu swoim człowiekiem, człowiekiem jak wszyscy, przeszłość nie istniała, uznano tę tylko jej cząstkę, którą wieńczyła Złota Gwiazda Bohatera.

Ale tymczasem, kiedy Szlachtycz już się zupełnie uspokoił, przeszłość nagle przypomniała o sobie, zawitała bez pytania, bez uprzedzenia i pukania, wtargnęła, okrutna i bezmyślna, i w jednej chwili zatruła człowiekowi zadowolenie z tej całej pozytywności, jaką wreszcie osiągnął.

Słońce tym razem nie świeciło. Była noc. Mroźna noc owej najcięższej — głodowej zimy powojennej. Szlachtycz zamierzał zamknąć swój punkt i przysiadł zmęczony na skrzynce, żeby zapalić. Papierosów nie palił, przyzwyczaił się do skrętów i pewnie dlatego, że szeleścił papierem, nie usłyszał skrzypienia śniegu. A może śnieg nie zaskrzypiał, może podkradli się ci dwaj niepostrzeżenie i bezgłośnie; pewnie czekali tu długo i upatrzyli chwilę, kiedy otworzył już drzwi i usiadł, żeby zapalić i dać trochę odpocząć poranionej nodze. Jeszcze szeleścił papierem robiąc skręta, gdy drzwi nagle odskoczyły w ciemności i do kramiku wpadło tych dwóch — jeden nalany, z twarzą jakby z surowego ciasta, drugi o małej głowie, wysoki i groźny z tą swoją niemal wężową głową, z pistoletem wymierzonym prosto w pierś Szlachtycza.

— Blat! — warknął Surowe Ciasto.

— Wykładaj forsiaki — poparł go Mała Główka przymrużając oko i celując w serce Szlachtycza, to znów między oczy. Strzelać taki będzie bez uprzedzenia, bez zastanowienia i wahania. Szlachtycz dobrze znał tego rodzaju ludzi. Surowe Ciasto zamknął za sobą drzwi, ale Szlachtycz zdążył zauważyć, że na dworze pozostał jeszcze trzeci. Pracowali z wprawą, nowicjuszami nie byli. Szlachtycz siedział wyciągnąwszy przed siebie ranną nogę, ze zwieszonymi rękoma, jego laska leżała na podłodze zbyt daleko, żeby ją podnieść, trzeba nachylić się, a Mała Główka zdążyłby tymczasem wystrzelić co najmniej trzy razy; Szlachtycz pojął, że przegrał. Trzeba było jednak coś robić w nadziei na jakiś cud, na szczęśliwy zbieg okoliczności, bo może jeszcze ktoś nadejdzie z huty, może...

— Forsa? — zapytał beztrosko. — A po co wam forsa, chłopcy?

Surowe Ciasto należał do praktyków, sapał tylko

i czekał w milczeniu, za to Mała Główka rad był, że może się popisać umiejętnością prowadzenia konwersacji, należał bowiem do odmiany rabusiów inteligentnych; na to właśnie liczył Szlachtycz rzucając owo pierwsze lepsze zdanie jak psu kość.

— Coś ty, szemrany! — zachichotał Mała Główka. — Na bajer bierzesz czy ci odbiło! Sam kiedyś sejfy patroszyłeś, i to na zycher, a teraz pytasz, na co blaty! Bez nich sam Rothschild skapieje! Co do mnie — to za blaty tygrysa w klatce rozerwę!

— No, kiedyś taki, to bierz, są tutaj — spokojnie zapalając skręta powiedział Szlachtycz i wskazał na skrzynkę z różnokolorowymi banknotami.

Surowe Ciasto sapnął z niezadowoleniem i podejrzliwością, a Mała Główka zarechotał z nie ukrywaną zjadliwością.

— Szyczki-pryczki — rzucił niby tak sobie, a Szlachtyczowi zionęło od razu w twarz chłodem przeszłości i Kałmykiem, o którym zupełnie zapomniał. — Nie podskakuj, szemrany, baletnica już z ciebie nie wyjdzie, nóżkę masz nitowaną. A ja nitów nie uznaję. Dziury robię w garnkach! Jasne? Dawaj blaty! Już!

— Eech... — rozzłoszczony Szlachtycz rzucił się do skrzynki, chwycił garść banknotów i cisnął prosto w twarz bandytom. Surowe Ciasto od razu chwycił, co się dało, w obie ręce, a Mała Główka tylko mrugnął powiekami; Szlachtycz wydobył więc ze skrzynki nowy plik banknotów i znowu podrzucił je w górę. „Ach, podłe bestie! Ach, wy..." — mamrotał wciąż, rzucając tamtym między oczy piątki, dziesiątki i nawet trzydziestki, a Surowe Ciasto łapczywie je chwytał, podnosił z ziemi, łowił w powietrzu; Mała Główka przyglądał się chwilę tej niesprawiedliwości i spróbował sam coś złapać bodaj jedną wolną ręką, ale było tego mało, wprost żałośnie mało i bał się w dodatku, że Surowe

Ciasto zagarnie o wiele więcej, niż by mu się należało, nic tu jednak zmienić nie mógł — pieniądze leciały ze skrzynki i leciały, a Surowe Ciasto zgarniał je obiema rękami; Mała Główka zaczął więc wspierać swoją wolną rękę także tą, która trzymała pistolet, z początku tylko trochę nią poruszył trzymając broń wycelowaną w Szlachtycza, ale niebawem zaczął poczynać sobie śmielej, aż w końcu tak się do tego zapalił, że spróbował nawet użyć pistoletu jako pomocniczego narzędzia, by przychwytywać banknoty w powietrzu, zanim po nie sięgnęła dłoń Surowego Ciasta. Szlachtycz, jak się zdwało, nie zwracał na grabieżców żadnej uwagi i w przystępie gniewu chciał chyba tylko jednego: skończyć z tym, wypróżnić skrzynkę do samego dna, rzucić napastnikom w twarz wszystkie pieniądze i splunąć czy może rzucić miechem jak nigdy dotąd. Ale tak się tylko wydawało. Szlachtycz bacznie obserwował obu i ledwie pistolet skierowany został w bok, a ręce Małej Główki wypełniły się również piątakami i dziesiątkami, ciężka laska znalazła się od razu w ręku swego właściciela, który bezzwłocznie zadał nią straszny cios Małej Główce, a potem zaatakował Surowe Ciasto; z trzaskiem otworzyły się drzwi, rozjuszony Szlachtycz na jednej nodze skoczył w ciemność, żeby zdruzgotać wszystko także tam; w ciemnościach stał jednak doświadczony wspólnik tamtych dwóch głupców i dał od razu nogę. Szlachtycz zdążył zobaczyć tylko jego plecy, lecz nawet po tych plecach, nawet w ciemnościach i wprost szalejąc z gniewu poznał Kałmyka i pożałował, że noga mu nie pozwala puścić się za nim w pogoń.

Mała Główka zabity na miejscu, Surowe Ciasto był ranny — pękła mu czaszka, ale mózg się w niej trzymał. Bandytę umieszczono w szpitalu, na korytarzu pod drzwiami siedział milicjant. Po dwóch tygodniach Su-

rowe Ciasto przyszedł do siebie. Nocą, kiedy pilnujący go milicjant usnął pod drzwiami, Surowe Ciasto wylazł z sali, zadusił milicjanta, wyskoczył przez okno, w samej tylko bieliźnie uciekł po śniegu i zniknął bez śladu.

Szlachtycz zapominał powoli o tym wydarzeniu. Dowiedział się, że Kałmyk w czterdziestym trzecim roku został skazany na kilkanaście lat pozbawienia wolności za służbę w policji u faszystów (pełnił tę służbę chytrze: nikogo nie bił i nie aresztował, nie strzelał do nikogo, nosił tylko opaskę i karabin, więc też wyrok był stosunkowo łagodny), odsiedział je widocznie, wrócił do starych praktyk. Należało to już jednak do organów sprawiedliwości. Szlachtycz nie chciał się więcej pogrążać w te ciemne sprawy, wracać do nich.

Ale ta ciemna przeszłość znowu zawitała nieproszona. Znowu w ciemnościach, od razu po tamtej zimie, na przedwiośniu, kiedy drzewa były jeszcze ogołocone i smętne, ale powietrze tchnęło już taką rzeźwością, że chciało się żyć i żyć...

Do miasta przyjechała Klaudia Szulżenko. Załamywała na scenie swoje zadziwiająco piękne ręce, śpiewała: „Zapalmy, kolego..." i wszyscy szli tłumnie do zakładowego Pałacu Kultury na jej koncerty, gdyż w pieśniach tych dźwięczało echo niedawnej przeszłości, gdyż dopiero co dźwignięto Pałac Kultury z gruzów, a wiosna szła spoza Dniepru taka piękna i była w niej ta sama słodka udręka, co w załamanych białych rękach śpiewaczki... Szlachtycz poszedł również na koncert z Tetianą, siedział w pierwszym rzędzie, a piosenki były wszystkie dla niego — czyż mógł bodaj marzyć kiedyś o czymś podobnym?

Wyszli potem oboje z pałacu, na skwerze stały nagie drzewa, szumiał nad nimi ciepły wiatr wiosenny zza Dniepru, a Szlachtycz i Tetiana milczeli, bo chcieli pomilczeć trochę po tych pieśniach i tkliwym załamywa-

niu białych rąk: nie wiedzieli, że milczą tak we dwoje po raz ostatni (a zdarzało się to już tyle razy z powodu nieporozumień i jeszcze częściej z powodu błędów jednego z nich), więc lepiej by było, gdyby zamienili z sobą bodaj parę słów owego ostatniego wieczoru, ale nic przecież nie wiedzieli.

Kałmyk pojawił się przed nimi jakby utkany z mroku przeszłości. Niematerialnie bezgłośny i widmowo szary szedł złowieszczo na ich spotkanie. Szlachtycz nawet nie zdając sobie jeszcze sprawy, co zaszło, przechylił się, zrobił też krok w stronę Kałmyka, ale nie jak człowiek zdrowy, lecz właśnie kaleka z chorą nogą, gdyż jego ciało opisało jakiś dziwaczny łuk odchylając się i od Tetiany, i niby też od Kałmyka, ale tak żeby go dosięgnąć, nakryć i więcej nie wypuścić. Kałmyk okazał się zręczniejszy. Wystrzelił chyba jeszcze wcześniej, niż go Szlachtycz ujrzał, a ujrzał go, zdaje się, dzięki wystrzałowi i z powodu tego wystrzału właśnie przechylił się całym ciałem; pierwsza kula bowiem trafiła Szlachtycza w pierś, lecz nie w serce, druga zaś, która miała go już zabić z całą pewnością, zabiła Tetianę.

Tak oto Szlachtycz pozostał sam z synem czy raczej Lonia pozostał sam nie tylko bez matki, lecz na pewien czas również bez ojca. Wyleczywszy się bowiem Szlachtycz przepadł, zanurzył się znowu w świat przestępczości. Przyzwyczaił się nie liczyć na nikogo, robić wszystko własnymi rękoma i nie mógł czekać spokojnie, aż organy sprawiedliwości dotrą do Kałmyka — Kałmyk był także jego własną winą, wszystko to było absolutnie proste jak w zbiorze zadań arytmetycznych; pozostali tylko oni dwaj, z tym że jeden czaił się złowrogo w ukryciu, a drugi był aż nieprzyzwoicie na oczach wszystkich, za co wciąż drogo płacił.

Szlachtycz przebywał znowu wśród ludzi z marginesu

jak we wczesnej młodości. Pił z jarmarcznymi włóczęgami, wyciągał z najtajniejszych kryjówek różnych złodziejaszków i drobnych oszustów, odnowił swoje dawne, jeszcze przedwojenne stosunki i znajomości i przez cały czas zbliżał się niepostrzeżenie, lecz wytrwale i przemyślnie do tego jednego punktu, wymacywał niewidoczną nitkę, która by go przywiodła do Kałmyka, gdziekolwiek się ten znajduje i ukrywa. Działał zapewne niezgodnie z prawem, ale czyż całe jego życie toczyło się nieomylnie wytkniętym szlakiem i w ramach logiki? Walczył o swoje pozytywne ja, którego, jak sądził, nikt mu nie wywalczy i nie przyniesie w podarunku — nie prosił przecież nikogo o pomoc, kiedy szedł przeciwko światu i ludziom.

Kałmyka odnalazł w tym mieście, w którym niegdyś przeprowadzili akcję wywożenia sejfów. Czekał tam na niego kilka tygodni. Potem odbyło się prawie to samo, co owego przedwiośnia na skwerze przed zakładowym Pałacem Kultury. Tylko zmieniły się teraz role: Szlachtycz pojawił się przed Kałmykiem na chodniku, wyłonił się zwyczajnie z tłumu przechodniów, stanął tuż przed nim, tak że nie zdążyły się nawet rozszerzyć bodaj trochę wąskie oczy Kałmyka, i wystrzelił prosto w te znienawidzone, przeklęte, zbrodnicze oczy.

Szlachtycz miał potem nieprzyjemności, ale jakoś z tego wyszedł.

Teraz już mu tak nie ciążyły oznaki powszechnego szacunku, podobało mu się, że syn jest taki inteligentny, lubił w ogóle mądre rozmowy, w których nie brał jednak czynnego udziału, lecz przysłuchiwał się jedynie, chętnie proponował kielicha, ale sam nie pił.

Końca historia ta nie ma. Szlachtycz Wasyl żyje bowiem w Szlachtyczu Leonidzie. Żyje w człowieku tak nad podziw do niego niepodobnym, ale na to nie ma już rady...

Rzeczywiście nie ma rady, jeżeli chodzi o to, kto jest czyim synem. Wszyscy jesteśmy synami jakichś ojców, każdy z nich jest jakoś na swój sposób niezwykły, jeżeli weźmiemy na przykład bodaj nas trzech: Lonię Szlachtycza, Eugeniusza i mnie. Opinie o nas uwzględniają przede wszystkim zasługi naszych ojców, póki nie przekroczymy zwykłych ram i nie próbujemy stanąć na głowie zamiast na nogach; a kiedy pozwolimy sobie trochę za wiele, kiedy najzwyczajniej nie damy komuś spać w nocy albo zrodzi się w naszych głowach jakiś dziwaczny na pierwsze wejrzenie pomysł, pomstują ludzie nie tylko na nas, ale tak samo na naszych ojców; można wtedy usłyszeć gadaninę, że Wasyl Szlachtycz to bohater „nieprawdziwy", a mistrz Czereda mimo że mistrz, nie potrafi zalutować kotła do bielizny, ojciec Eugeniusza natomiast nie potrafił pokierować własnym synem, ale próbuje kierować całym ministerstwem.

Czy tylko zresztą jacyś tam ludzie gadają! Przecież z całym opisanym już poprzednio brakiem konsekwencji mówili przede wszystkim sam autor tej zawiłej i chaotycznej opowieści i jego najbliższy przyjaciel Eugeniusz; a mówiliśmy nie o kimś tam, lecz o naszym Loni Szlachtyczu, bo nie mogliśmy inaczej i w ferworze nazywaliśmy nawet wuja Wasię „nieprawdziwym" bohaterem, mimo że wiedzieliśmy o jego prawdziwym bohaterstwie jak wszyscy w naszym mieście.

Ale kiedy to jeszcze będzie!

A na razie komisja państwowa powsiadała do samochodów i odjechała.

Bardzo możliwe, że z prezesem komisji spotkali się i rozmawiali mistrz Matwij Czereda i Wasyl Szlachtycz, może tym się właśnie tłumaczyła nieco dziwna chwiejność Oleksandra Mykołajowicza na zebraniu

w naszym oddziale, może wpłynął na to również sekretarz egzekutywy Wasyłenko, który dla nas obu z Eugeniuszem zachował na zawsze urok jakiejś zagadkowości już bodaj dlatego, że był mężem takiej kobiety jak nasza była nauczycielka literatury, a może podziałała na prezesa trochę niezwykła, bo przebiegająca tak ostro rozmowa Loni Szlachtycza i Tokowego — tak to było czy inaczej, dość że komisja wsiadła i odjechała; Oleksandr Mykołajowicz składał widocznie sprawozdanie władzom i czekano w hucie, co władze powiedzą, jakie zapadną decyzje; w hucie zaś pozostało wszystko po staremu, kierownik oddziału chorował i podobno zamierzał przejść na emeryturę, Tokowy zaś ze źle ukrywaną złośliwą satysfakcją rządził się w walcowni, do Szlachtycza i do nas nie czepiał się na razie, ale spróbował mimo wszystko oderwać mnie od mojej małej gromadki.

Po zebraniu wracaliśmy z Eugeniuszem do domu w doskonałym humorze. Poszturchiwałem Eugeniusza pięścią pod żebra i wykrzykiwałem: „Chcieliście ziemi, dałem ją wam". Już mi się zdawało, że Tokowego nie ma, że go zdjęto, że nie pozostało nigdzie nawet śladu po Tokowych i wciąż poszturchując Eugeniusza wołałem: „Składajmy ofiary i palmy wonności na cześć zniknięcia towarzysza Tokowego".

— Nie ciesz się przedwcześnie — mówił chmurząc się Eugeniusz.

— A dlaczego się nie cieszyć?

— Nie mów hop...

— A ja już przeskoczyłem!

Eugeniusz milczał. I nie doszedł ze mną do „Klubu Ludzi Pracy", tylko skręcił w wiadomym kierunku.

— Co, Ali nie było na zebraniu? — zapytałem.

— Nie widziałem.

— Kłamiesz, plecami też byś ją zobaczył.

— A jak ci powiem, że jej nie było, lżej ci będzie? — zapytał Eugeniusz. — No to — proszę bardzo. Czołem. Do jutra.

I odszedł nie oglądając się.

— Chcieliście ziemi, dałem ją wam! — huknąłem za nim, byle coś huknąć.

A w domu miotała się po pokojach Zizi przyglądając się sobie we wszystkich lustrach, starych i nowych. Czyżby nowy konkurent?

— Gęś traci pół życia na czyszczenie piór — przygadałem siostruni.

— Tym lepiej dla gęsi, a gorzej dla gęsiora — odpaliła.

— A wszystko to po to, żeby znieść jajko.

— Ciebie też zniesiono.

— Chcieliście ziemi, dałem ją wam — powiedziałem ni w pięć, ni w dziewięć. Zina spojrzała na mnie trochę niespokojnie.

— Pijany jesteś czy masz nie wszystko po kolei?...

— Nie zgadłaś. Byłem na zebraniu. A dlaczego ciebie nie było?

— A kto mi doda tyle życia, ile mi go zabierze takie zebranie? Mam tego dość w instytucie, na swoje chodźcie sami.

— Odbyło się. Na wysokim szczeblu. Tak twemu Tokowemu dali w kość, że nie pozbiera się jeszcze długo. Jeżeli dla niego tak się muskasz — to wszystko na nic. Nie przyjdzie. Będzie się martwić.

— Będziemy się martwili we dwoje — nie ustępowała siostrunia — odpowiada ci ta perspektywa?

— Zinka, zwariowałaś! Z tym typem! A zresztą, teraz nawet nosa tu nie...

— Będzie tu za pół godziny. Nie masz nic przeciwko temu?

— Tokowy?

— Tokowy.

— Niemożliwe. Przecież takeśmy mu dali...

— Coście mu dali? Dzwonił do mnie jakieś dziesięć minut temu. Żółtodziób z ciebie. Wcale się na ludziach...

— Przecież wszyscy go atakowali... nawet Czemerys... Zinko, zastanów się! Ty — i Tokowy! Po tym wszystkim...

— Nikogo to nie powinno obchodzić, kiedy dwoje ludzi umawia się co do tego, co odnosi się tylko do nich...

— Do wszystkich diabłów, przecież zapominasz, że istnieją związki między ludźmi! Bierzesz jednego i ciągniesz od razu cały łańcuch, naruszasz związki, kogoś unieszczęśliwiasz i sama się ośmieszasz w czyichś oczach.

Był to podstęp z mojej strony. Chodziło mi o Tokowego — że się ośmieszył, że jest zerem. Bo co jest wart po dzisiejszym zebraniu? Może dlatego szuka ucieczki u Ziny, chce się jakoś zrehabilitować bodaj we własnych oczach?

Zina zdecydowała, że lepiej ze mną nie dyskutować. Potrafiła się upierać jak to powszechnie znane zwierzę, które — jeżeli podania nie kłamią — nawet przemówiło, bo aż tak się zacięło w uporze. Siostrzyczce nie udało się jednak zepsuć mi humoru. Poszedłem się umyć i nawet próbowałem ułożyć własną melodię do złośliwej piosenki pod adresem Tokowego: „Chcieliście ziemi, dałem ją wam". Ze śpiewem byłem jednak zawsze na bakier, wbrew rozpowszechnionym sądom o muzykalności narodu ukraińskiego należałem do natur dość dalekich, jeżeli nie wrogich muzyce i dlatego moje kompozytorskie wysiłki skończyły się tym, że Zizi zaczęła walić w drzwi łazienki i bynajmniej nie delikatnie zaproponowała mi, żebym zamilkł. A zrobiła to

siostrunia wcale nie dlatego, że nie mogła wytrzymać mego fałszowania. Po prostu siedział już u nas w domu towarzysz Tokowy, który mógł bez większych trudności zrozumieć przejrzystą aluzję zawartą w mojej piosence, a Zina nie chciała widocznie sprawiać mu niepotrzebnych przykrości.

Za to ja, ujrzawszy towarzysza Tokowego tuż blisko i na obszarze, że tak powiem, suwerennym, nie mogłem się powstrzymać, żeby nie zakończyć dzisiejszego dnia swoją piosenką i wrzasnąłem mu prosto w twarz:

— Chcieliście ziemi, dałem ją wam.

Towarzysz Tokowy nie zamierzał jednak zważać na głupie śpiewki jakiegoś młokosa, w którym, co prawda, pokładano nadzieje, ale jeszcze nie wiadomo było, czy ich nie zawiedzie.

— A-a, Myt'ko — powiedział Tokowy, jakby ujrzał mnie dzisiaj po raz pierwszy i zapomniawszy o mnie od razu zawołał: — Jesteś gotowa, Zino? Bo pociąg nam ucieknie.

U nóg Tokowego stał koszyk. Zapewne buteleczka wina i wszystko inne. Pociąg... Proszę bardzo, pojadą widocznie na Skrzypajkę, bo teraz już się tam nie chodzi pieszo, jak kiedyś chodziliśmy my, tylko się jedzie pociągiem elektrycznym. Jeden przystanek — i Skrzypajka. Towarzysz Tokowy chce zapomnieć na łonie natury o goryczy, jaką go napojono dziś na zebraniu. I w dodatku nie sam! I jak się uwinął — aż dziw! Do siebie do domu nawet nie zajrzał i prosto z delikatesów do nas. Sądzi widocznie, że skok z balkonu dał mu już prawo całkowicie rozporządzać Ziną. Psychologia drobnego posiadacza. Tylko że dziewczyna to nie kura!

Jakoś miałem dzisiaj obsesję drobiarską — to gęś, to kura. Na dobitek Tokowy postanowił nagle zainteresować się moim losem. Przez ten czas, kiedy ubierała się i robiła sobie makijaż Zina.

— Jesteś jeszcze młody, Mytiu — dokonał Tokowy niebywałego odkrycia — nie zawsze umiesz właściwie wybierać ludzi, którzy by ci... Bo przeszedłeś od Czemerysa do Szlachtycza... Jakie masz teraz zarobki? Żadne! Gdybyś mnie zapytał...

Czyżby prezes komisji zmienił swoją decyzję i zanim wsiadł do samochodu, powiedział coś pocieszającego Tokowemu? Niemożliwe! Tak samo jakby Ziemia zmieniła nagle kierunek, obracała się, obracała w jednym i zaczęła się nagle obracać w odwrotnym.

— Powinieneś trzymać się ludzi rozsądnych i przewidujących — pouczał mnie Tokowy nie dostrzegając lub nie chcąc może dostrzec mojej kpiącej miny.

— Od szarej kury szare kurczęta — wymamrotałem aforyzm Frusina, żeby ostatecznie zakończyć dzień pod znakiem drobiarstwa, ale do pokoju wpadła nagle Zizi, zasłoniła mi usta dłonią, żebym jeszcze czegoś nie wygarnął, fajtnęła przed nami jaskrawą cygańską sukienką i pociągnęła Tokowego do drzwi.

— Uważajcie na zakrętach! — zdążyłem jeszcze zawołać za nimi, dziwiąc się nie tyle lekkomyślności siostruni, ile opanowaniu towarzysza Tokowego, wszystko po nim spływa jak woda po kaczce!... Tfu...

Huta wznosi się za polami pszenicy, cała w różnobarwnych kłębach dymu, z rozmytymi w rozkołysanym tumanie liniami konstrukcji. Przestrzeń pochłonęła wszystkie odgłosy i niemy obraz huty na błękitnym ekranie nieba wydaje się jakby dziwacznym ujęciem z filmu kolorowego z czasów kina niemego.

A tutaj — cały świat własnych barw, dźwięków i kształtów. Zieleń drzew na Skrzypajce, śpiew niewidzialnych ptaków, cykanie koników polnych w trawie, koronkowe cienie liści i rzeźbiona twarz Zizi, jasny, nienaganny garnitur Tokowego, zadowolonego i pewne-

go siebie, Tokowego, któremu udało się usidlić taką nie ujarzmioną dotychczas dziewczynę jak Zizi.

Zina całym rozpędem wpada na Tokowego, zwisa mu na szyi, wymachuje zgiętymi nogami usiłując go zmusić, żeby się bodaj trochę nachylił. Tokowy stoi jednak wyprostowany jak dąb, pyszni się swoją siłą, a potem — kiedy Zizi się tego nie spodziewa — nachyla się nagle i rozkłada ręce, a zaskoczona Zizi rozluźnia palce — i oto siedzi już na trawie, wyprzedziła Tokowego, który zbity z tropu stoi teraz w niezgrabnym przechyleniu, z rozpostartymi rękoma i rozczapierzonymi palcami i uśmiecha się trochę głupkowato.

— Cóż to, Zino?

Zizi milczy, przez jej pełne wargi przewinął się uśmiech, Tokowy z godnością siada naprzeciw niej na trawie, wypakowuje zawiniątka i flaszki.

— Śniadanie na trawie — mamrocze — jak u tego francuskiego malarza. Wie pani... Tyle razy widziałem reprodukcję tego obrazu, ale żeby właśnie tak...

Zizi się śmieje.

— Śniadanie na trawie — mamrocze wciąż Tokowy odkorkowując butelkę. — Ech, Tokowy, Tokowy, tak długo żyjesz na świecie i dotąd nie wiesz, co to takiego — śniadanie na trawie.

— Kolacja — stwierdza Zina.

— Tak, kolacja, ale niech się nazywa śniadaniem na trawie. Ładnie brzmi. Prawda, że ładnie.

— Możliwie...

— I gorąco jak rankiem... Zdejmę marynarkę. Pozwoli pani?

— Proszę.

— Mamy tutaj — mruczy Tokowy wciąż się krzątając, ale Zina zrywa się nagle, odbiega nieco dalej i woła:

— Rzuć pan to, Tokowy, na nic nie mam chęci.

— No jakże?... Takie śniadanie... Taka kolacja... Na łonie...

— Nie chcę i tyle!

Zina biegnie jeszcze dalej, rzuca się na trawę, tarza się, chwyta w zęby kwiatek, przegryza łodyżkę, kładzie się na wznak, przesuwa kwiatek z jednego kącika ust do drugiego i mówi drwiąco:

— Nudziarz z pana, Tokowy!

— Czemuż tak mnie pani, Zino... — usiłuje bronić się Tokowy.

— Straszny nudziarz!

Przez przedwieczorną przejrzystość jedzie pociąg. Po wysokim nasypie, wśród pszenicy i zieleni ogrodów wije się skwapliwie pociąg elektryczny, a w oknach wagonów — twarze, twarze i twarze. Pod nasypem, na skraju Skrzypajki leży na zielonej trawie Zizi, leży na wznak z kwiatkiem w rozchylonych ustach i twarz jej jest piękna jak kwiat, wcale nie harmonizuje z porozstawianymi nie opodal nie tkniętymi zakąskami i napojami, które przywiózł Tokowy, a sam Tokowy w swojej białej koszuli i marynarce — trzyma tę marynarkę nie wiadomo dlaczego przed sobą — też nie pasuje ani do tej pięknej dziewczyny w barwnej sukience, ani do zielonych, pięknie powycinanych liści, ani do pól pszenicznych dokoła, ani do tego pociągu w szybkim biegu.

— No, co pan umie, Tokowy? — znęca się nad nim nadal Zizi. — Jest pan inżynierem czy czym właściwie?

— Ja? — Tokowy podchodzi bliżej wymachując marynarką. — Umiem, jeśli pani pyta... całego Jesienina i połowę Błoka... na pamięć...

I uroczyście, zawodzącym głosem deklamuje:

Pod nasypem, w rowie nie skoszonym,
Spoczywa i patrzy jak żywa,
Z głową szalem barwnym otuloną,
Młodziutka i piękna — o dziwo...

Dudni nad ich głowami pociąg tocząc się po wysokim nasypie. W oknach wagonów profile, profile. I oto pędzi prosto ku nim profil małżonki Tokowego, pokazują się przy niej dziecięce główki. Jeszcze daleko jest ten profil i te dwie chłopięce główki, ale oto są już tutaj, blisko...

To młodość tak pędziła próżna,
W marzeniach pustych omdlewała,
Tęsknota żelazna, podróżna
Gwizdała, aż serce pękało...

Wśród dudnienia metalu przesuwa się nad Tokowym profil jego małżonki, ale Tokowy go nie widzi, nic nie widzi poza Ziną, ona zaś, jakby odczuwając zbliżające się niebezpieczeństwo, unosi się na łokciu i długo odprowadza pociąg wzrokiem...

Tym razem rzeczywistość okazała się zupełnie inna niż cała ta moja wymyślona scena. I nie dlatego że nie miałem doświadczenia, jeżeli chodzi o śniadanie na trawie i dziewczyny przegryzające zębami kwiat; po prostu u drzwi wejściowych zadzwonił dzwonek w kwadrans potem, jak Zizi wybrała się z towarzyszem Tokowym na Skrzypajkę. Pomyślałem, że to Eugeniusz, którego odprawiła z kwitkiem Ala, wcale nie przepadająca za towarzystwem takich bałwanów jak on, i żeby mu dopiec nie śpieszyłem się z otwieraniem, słusznie rozumując, że ten, co zadzwonił raz, zadzwoni po raz drugi. Nie zadzwonił jednak, tylko walił w drzwi rękami i nogami. Nie mógł to być Eugeniusz. Przekazu pieniężnego, pocztowego lub telegraficznego od nikogo się nie spodziewałem, a milicja respektując prawo nienaruszalności mieszkań też nie dobijałaby się tak nachalnie; gdyby nie paliła mnie ciekawość, poczekałbym jeszcze i niechby ten ktoś pieklił się za drzwiami, ale co robić, taka już jest natura ludzka. Ewa nawet się raju

wyrzekła za tę niewielką satysfakcję, jaką było zaspokojenie ciekawości, ja zaś w ogóle nie ryzykowałem.

— Zaraz otworzę! — zawołałem. — Nie trzeba tak walić, nikt teraz drugich takich drzwi nie zrobi.

Otworzyłem i oto zepchnąwszy mnie z drogi jak martwy przedmiot do mieszkania wpadła Zizi! Proszę bardzo — i Skrzypajka, i śniadanie na trawie, i „tęsknota żelazna"!

— Hej! Witam! — powiedziałem. — Jak się udała przejażdżka? Jak się czujesz?

— O! — stanąwszy w drzwiach Zizi pomachała mi przed nosem kopertą. — Wstąpiłam na pocztę i odebrałam list.

— Jak widzę, pisze.

— A co myślałeś?

— A towarzysz Tokowy?

— Odesłałam go do domu. Obrzydł mi. To wzdycha, to udaje kozaka. Nie wiadomo w końcu, czy mu smutno, czy wesoło. Nie znoszę takich.

— A list?

— Na poste restante.

— Pytam, czy jest wesoły?

— Jeszcze nie czytałam. Położę się zaraz na kanapie i przeczytam. Lubię czytać listy leżąc sobie na kanapie.

— Nie zauważyłem, że masz taki zwyczaj.

— Wielu rzeczy jeszcze nie zauważyłeś.

— Zauważyłem za to, jak Szlachtycz wygarnął dzisiaj twojemu Tokowemu publicznie i bez ogródek.

— Zabierz go sobie.

— Kogo? Tokowego czy Szlachtycza?

— Obu.

— Radzę ci, zwróć uwagę na Lonię. Rzeczywiście człowiek.

— Wszystkie pociągi zapchane są takimi ludźmi.

— Mylisz się. Takich znajdziesz chyba tylko w stat-

kach kosmicznych. A jak wiadomo, trafiają tam tylko wyborowi.

— Więc twój Szlachtycz jest też wyborowy? — roześmiała się Zizi. — Przecież wiatr go może zdmuchnąć. Wysechł od swoich książek i teorii.

— Więc mierzysz ludzi pudami?

Zina wypchnęła mnie z pokoju i zamknęła drzwi.

— Nie przeszkadzaj mi czytać! — zawołała za drzwiami.

Nie przypomniałem Zizi, że kanapa, na której zamierza czytać idiotyczny (niewątpliwie!) list, niegdyś należała wyłącznie do mnie, i w ogóle dość już miałem tego droczenia się z siostrzyczką, która tak przecież ładnie odstawiła towarzysza Tokowego! Pomyśleć tylko, jak wlecze się teraz przez miasto z koszykiem pełnym prowiantu i butelek! Śniadanie na trawie! Śmiech na sali!

16

Towarzysz Tokowy nie myślał jednak żartować. Zakołysał się jak czółno na fali, ale się nie przewrócił i zdradził się niebawem z niedwuznacznym zamiarem utopienia kogoś innego.

Zaczęło się ode mnie. W każdym razie chyba ja pierwszy wyczułem ten zamiar Tokowego. W jakiś tydzień po owym zebraniu i figlu, który spłatała Tokowemu Zina, z rana natknąłem się w hali na naszego starszego mistrza, którego wszyscy przezywali „Doczekajmy do poniedziałku". Należał do gwardii Tokowego i dzięki Tokowemu awansował na starszego mistrza, mimo że nie wykazał się w pracy żadnym talentem, w każdym razie nie zauważyliśmy, by się wyróż-

niał szczególnymi zdolnościami w hutnictwie. W życiu jednak tak bywa, że znajomość rzeczy o niczym jeszcze nie decyduje, umiejętności tak samo. Nawet się nie obejrzałem, a już głównym inżynierem huty mianowano człowieka, który wygląd miał rzeczywiście menażerski, ale inżynierem był marnym. Tak samo w oddziale. Jego kierownik wygląda rzeczywiście na kierownika w każdym calu, ale nie ma w nim ani krzty z inżyniera. Nasz starszy mistrz zdał sobie sprawę z tego rodzaju nieprawidłowości będąc jeszcze zwykłym robotnikiem, więc ani nie wspinał się na szczyty, ani nie zgłębiał tajników zawodowych, lecz przyjął inną taktykę, dając się poznać to jako ormowiec, to jako kontroler czy po prostu jako wesoły i przystojny chłopak, wierząc, że jakoś pójdzie w górę. I rzeczywiście, Tokowy zrobił z niego aż starszego mistrza. Korzyści nie przynosił żadnej, ale szkody, prawdę mówiąc, też nie wyrządzał. A w ogóle był rzeczywiście wesołym chłopakiem, w tym samym mniej więcej wieku co ja i Eugeniusz, bardzo lubił kino, a w rozmowie zwykle sypał wcale trafnie tytułami nowych filmów, co mu oszczędzało trudu myślenia i dobierania do własnych myśli jeszcze własnych słów. Korzystał z gotowego, wszystko było łatwe, proste i wesołe. Dlatego go właśnie przezwano „Doczekajmy do poniedziałku". Kiedy Szlachtycz chcąc ujarzmić „rock'n'rolle" zaczął podgrzewać wlewki, mistrz rzucił dowcipne powiedzonko: „W ogniu brodu nie ma", a nasze zmagania z Tokowym nazwał „Dwa lata nad otchłanią". Emerytowanych hutników (w tej liczbie mego tatę) nazywał stale „Cieniami zapomnianych przodków". Pasował do niego i jego dowcipów tytuł filmu „Doczekajmy do poniedziałku", bo w poniedziałek wyświetla się w kinach nowy film, a więc miał mistrz okazję, żeby wymyślić nowy dowcip i w ten sposób był zawsze dla wszystkich swoim chło-

pem, wszystko układało się cudownie i po jego myśli. Taki oto był nasz starszy mistrz — sympatyczny, wesoły, dowcipny i jeżeli nawet mistrzem nie był żadnym, nikomu to, jak się zdaje, nie przeszkadzało, bo jeżeli nikomu nie pomagał, to przynajmniej nikomu również nie szkodził.

Zobaczył mnie więc u wejścia do hali i już z daleka zaczął do mnie machać rękoma — widocznie przejął to przyzwyczajenie od towarzysza Tokowego. Chytrze przymrużywszy oczy mistrz powiedział półgłosem, niby to tylko do mnie:

— Zygzaki sukcesu!

Naiwniakiem nie jestem i nabrać się nie dałem, nie rozdziawiłem gęby i nie uraczyłem mistrza swoją oceną komedii „Zygzaki sukcesu", nie poskarżyłem się, że nie zdążyłem obejrzeć tego arcydzieła naszego filmu i że nie dostałem dzięki niemu bólów brzucha ze śmiechu. Nie, kod naszego „Doczekajmy do poniedziałku" rozszyfrowałem, jak należało.

— Zygzak? — powiedziałem. — A w jakim kierunku, w czyją stronę?

— W twoją, potomku Czyngis-chana.

— Pod postacią?

— Diabła z teczką.

Pod miłym przezwiskiem „diabła z teczką" rozumiał mistrz towarzysza Tokowego, który, co prawda, nie nosił teczki, ale przysługiwała mu symbolicznie, należał z urzędu do ludzi z teczką, jako że nie był zwykłym inżynierem, lecz kierownikiem. Jaką sprawę miał Tokowy do mnie z samego rana, przed rozpoczęciem zmiany — było to jeszcze jedną zagadką tych ostatnich dni, całkowicie dla nas wypełnionych oczekiwaniem. Szczególnie ciężkie wydawało się to oczekiwanie mnie i Eugeniuszowi, gdyż wierzyliśmy jeszcze w sprawiedliwość, spodziewaliśmy się, że sprawy naszego oddziału zostaną

gdzieś tam rozstrzygnięte na szczeblu nie tylko najwyższym, lecz także najsprawiedliwszym; nie przyzwyczailiśmy się jeszcze liczyć tylko na własne umiejętności, których mieliśmy zresztą niezbyt wiele, nie mogliśmy się poszczycić szaleńczą pasją Szlachtycza i Hryszy Frusina, dla których nie istniała ani komisja państwowa, ani wysokie instancje, ani ważniejsze decyzje tak długo, póki nie zrobią tego, co zrobić zamierzają i mogą. Obaj z Eugeniuszem wierzyliśmy w pomoc gdzieś z góry, z boku, wszystko jedno skąd, ale w pomoc, w sprawiedliwość. Coś się musiało stać i dokonać, musiało się coś wreszcie stać po odjeździe komisji państwowej, przygnębiająca nas niepewność ustąpiła miejsca nadziei, a nasz dotychczasowy stan ducha, stan podniosłego protestu zastąpiło ufne oczekiwanie; bo skoro w naszej obecności odbył się pojedynek między Szlachtyczem i Tokowym i po stronie Tokowego nie stanął nikt z kierownictwa, musiało to znaczyć, że tak czy inaczej, wcześniej czy później wszystkie w ogóle sympatie będą po stronie Szlachtycza — nabieraliśmy dzięki temu pewności i wiary w to, co być powinno i co zostało postanowione.

Czas upływał jednak i nic się nie zmieniło. Nie było nic, co być powinno, nic, co zostało postanowione. Stan naszej ciągłej niepewności nabierał groźnego charakteru, charakteru ciągłego zagrożenia.

Mistrz miał teraz sposobność, by na temat komisji i jej stosunku do Szlachtycza i do nas zastosować wiele mówiący w tym odniesieniu tytuł nowego filmu: „Strzeż się automobilu". Ale czyż nie znaliśmy się na żartach?

Dzisiaj widocznie coś się powinno stać. Dzień zaczynał się od niepożądanych drobnostek i jeszcze zobaczymy, co z nich wyniknie. Nie było nawet potrzeby czekać do poniedziałku. Zostałem wciągnięty w zygzak

sukcesu wraz z diabłem z teczką czy może wbrew temu diabłu. Może mistrz postanowił po prostu przekazać mi ostatnią plotkę czy swój domysł na temat humoru Tokowego, którego przyczyny (tego humoru, rzecz jasna) najlepiej wiadome były mnie i Zinie, wszyscy zaś inni mogli je sobie tłumaczyć, te przyczyny złego humoru, sprawami oddziału, w którym dotychczas sytuacja była niepewna i nieokreślona. Wcale niedwuznacznie mistrz wskazał przez ramię wygiętym kciukiem (dość charakterystyczny gest: zaciśnięta pięść, a odstawiony, wygięty mocno kciuk, jakby przerzucony przez ramię, energicznie i zdecydowanie wskazuje jednocześnie w tył i jakby w dół zdając się mówić, że zostałeś wezwany po to, byś zstąpił niżej, niż stałeś dotąd). Tak więc towarzysz Tokowy wzywał mnie do kantoru już z rana, przed rozpoczęciem pracy. Siedział tu całą noc i czekał, aż przyjdzie do pracy Myt'ko Czereda? Niby dlaczego taki zaszczyt?

— Z samego rana gadanina? — nie uwierzyłem mistrzowi. — A kto będzie przy walcarce?

— Martwy sezon — odrzekł mistrz.

Spojrzałem w stronę naszej walcarki w przekonaniu, że zobaczę tam Eugeniusza. Nie było go. Nie zobaczyłem również Szlachtycza. Nic strasznego, mógł być w laboratorium. Przychodził niekiedy później, jeżeli wraz z Frusinem zbyt długo piłował swoje rurki. Czasem w ogóle nie szedł do domu i z rana zastawaliśmy ich obu wysmarowanych, zmordowanych i zobojętniałych, z oczyma, w których była rozpacz z powodu nowego niepowodzenia. Gdzież tu zygzak sukcesu? A może sądzony jest tylko głupcom i nierobom?

Gdzież jest jednak Eugeniusz? Czyż towarzysz Tokowy wezwał go również na rozmowę?

— I co, trzeba iść? — zapytałem mistrza wciąż się jeszcze wahając.

— Oni byli pierwsi — odrzekł mistrz i popchnął mnie w stronę kantoru, w którym, jak się okazuje, rozsiadł się towarzysz Tokowy, może tylko na pewien czas, ale się rozsiadł. Dowcipną odzywkę mistrza można było sobie tłumaczyć dwojako: albo że u Tokowego jest już Eugeniusz i Szlachtycz jako pierwsi, albo że nie ma tam jeszcze nikogo i pierwszym miałem być ja. Jako pierwszy zaszczycony zostanę jego zaufaniem i albo pokłócę się na wieki z drogim towarzyszem Tokowym, albo dam piękny przykład zgody.

Tokowy siedział koło biurka, właśnie koło, nie zaś przy biurku, co dowodziło nieoficjalności jego zamierzeń, jakkolwiek z drugiej strony — oderwać człowieka od pracy, nie dopuścić go do niej właściwie, tylko wezwać przez swego pomocnika na rozmowę to już postępowanie oficjalne i każe wezwanemu, czyli mnie w tym wypadku, mieć się na baczności, zwłaszcza że — jak stwierdziłem — Tokowy jest sam, nie ma tu ani Szlachtycza, ani Eugeniusza.

— Słucham — powiedziałem skinąwszy na powitanie głową.

Tokowy bawił się ołóweczkiem trzymając go w dwóch palcach i trochę z dala, żeby nie upadł żaden pyłek na jego starannie odprasowane, nienagannie popielate spodnie, bawił się ołóweczkiem tak, jakby chciał pokazać, że jeżeli tylko zechce, może się pobawić mną i w ogóle nami wszystkimi, gdyż jesteśmy nikim i niczym, on zaś jest Tokowym, powierzono mu pełnienie obowiązków i jak długo są mu powierzone, będzie je pełnił, nam natomiast nic nie powierzono i w ogóle coś my za jedni? Dzieci swoich ojców. A kim są nasi ojcowie? Cienie zapomnianych przodków, jak to trafnie określał starszy mistrz, również trafnie przezwany „Doczekajmy do poniedziałku".

— A więc — powiedział Tokowy — wrócisz do Czemerysa. Już to z nim uzgodniłem.

— Dokąd, dokąd? — powtórzyłem dwa razy. — I kto?

— Do Czemerysa. Ty.

— A Eugeniusz? — zapytałem ze źle ukrywaną kpiną w głosie.

— Chodzi o ciebie.

— A Szlachtycz? — pokpiwałem sobie w dalszym ciągu nie będąc się w stanie pohamować, gdyż nie sposób traktować poważnie człowieka, który w twoich oczach skakał z balkonu, by przynieść damski kolczyk, a potem wlókł się przez miasto z kobiałką, w której było nie zjedzone śniadanie na trawie.

Tokowy, jak się zdaje, puścił wszakże w niepamięć i skok z balkonu, i wydarzenie z nie opróżnionym koszykiem. Nie zdradzał chęci do wspomnień, przebywał w sferze mimo wszystko oficjalnej, jakkolwiek bawił się ołówkiem i siedział koło biurka; żeby ostatecznie wskazać mi moje właściwe miejsce, wstał, przesiadł się na należne mu miejsce przy biurku i w dalszym ciągu rozmawiał już spoza tej barykady, której żadna chyba rewolucja nie zdołała usunąć czy bodaj zmóc.

— Mowa jest o tobie. Zdecydowaliśmy, że przejdziesz dzisiaj do Czemerysa — zaczął znowu swoje.

Mogłem zapytać: „Kto zdecydował?". A usłyszeć odpowiedź: „Kierownictwo oddziału", ale nie zrobiłem tego, znałem odpowiedź z góry.

— A Szlachtycz? — zapytałem znowu.

— Musisz zostać walcownikiem, więc dlatego...

Przypominało mi to trochę naszego Wuera. Kiedy ten przyjeżdżał z kołchozu, mówił zawsze o „hodowcach, oborowych, chlewomistrzyniach, drobiarkach i dójkach". Ludzie w ogóle nie istnieli dla niego, byli dodatkiem do swoich zawodów. Podobnie Tokowy opieko-

wał się mną jako walcownikiem, nie jako zwykłym Myt'kiem Czeredą, chłopakiem, który miał dopiero zostać człowiekiem, może nawet z perspektywy wieczności.

Mógłbym dalej ironizować, łącząc towarzysza Tokowego z naszym Wuerem jako jednakowo lekceważących wszystko, co istotnie ludzkie w człowieku, ale pohamowałem się i chyba słusznie, bo prawdę mówiąc, żaden to przecież wstyd zostać walcownikiem i w ogóle mieć w ręku jakiś fach, jakąś umiejętność, rzemiosło, bo chyba wtedy dopiero stać się można prawdziwym człowiekiem, a nie jakimś nie wiadomo czym.

— A Szlachtycz? — powtórzyłem, ze Szlachtycza bowiem Tokowy nie zamierzał, zdaje się, robić walcownika, gdyż ten był walcownikiem, specjalistą o wysokich kwalifikacjach; można było z łatwością rozporządzać mną, ale Szlachtyczem?

— Śmieszne — powiedział Tokowy — to już przechodzi wszelkie granice. Szlachtycz, Szlachtycz... Gdyby ten Szlachtycz dbał tak samo o ciebie, o was obu, jak wy o niego. O niczym jeszcze nie wiesz. Młody jesteś. Pójdziesz do Czemerysa.

— Już od niego słyszałem, że jestem młody... Nie mam ochoty słuchać znowu. I w ogóle...

— Co w ogóle? — obojętnie zapytał Tokowy. — Co w ogóle, jeżeli można wiedzieć?

Mówił z taką miną, jakby znał jakąś tajemnicę. Bardzo ważną tajemnicę. Miał nade mną przewagę, dowiedziawszy się o tej tajemnicy o godzinę wcześniej niż ja, i wygrywał na tym. Był to chwyt nieuczciwy, ale Tokowy mógł sobie na to pozwolić, gdyż funkcję kierownika oddziału pełnił on, nie ja. Widocznie coś się tu w końcu stało. Zajdą zmiany w walcarni. Zmiany niepożądane. Nie takie, jakich się spodziewaliśmy. Zwyciężył Tokowy. Ale dlaczego? Jakim prawem? Czyżby się okazało,

że tworzymy wraz ze Szlachtyczem tylko odosobnioną grupkę niezadowolonych, Tokowy zaś reprezentuje dobrze zorganizowaną większość, która wcześniej czy później wchłonie niezadowolonych?

— Mimo wszystko, co ze Szlachtyczem? — powtórzyłem uparcie.

— Szlachtycza też przerzucimy do Czemerysa — pokręcił ołówkiem Tokowy. — Niech zbada, dlaczego stary ciągnie rury z brakiem. Niech pomoże. Zdolnych inżynierów trzeba odpowiednio wykorzystywać.

Aha! Skoro wóz nie toczy się do przodu, popychamy go w tył. Wprzęgniemy także Szlachtycza, bo czyż nie daliśmy mu wyższego wykształcenia! Mnie nie dano jednak wyższego wykształcenia. Średniego również. Tylko podstawowe. Resztę zdobyłem sam. Wieczorowe, uzupełniające itp. Szlachtycz mógłby się nawet zgodzić, chociaż wątpię. Ale ja?

— Co do Szlachtycza nareszcie się wyjaśniło — powiedziałem opierając się o futrynę — ale jeżeli o mnie chodzi, sprawa się komplikuje.

— Komplikuje się?

— Komplikuje się. Przez nakazy...

— Nakazy?... — Tokowy spojrzał na mnie na poły ironicznie, na poły niespokojnie. Błysk ironii w jego spojrzeniu mówił o tych, których starszy mistrz nazywał „Cieniami zapomnianych przodków", gdyż wszyscy mistrzowie, Czeredowie i nie — Czeredowie i ich pomocnicy, przeniesieni z inicjatywy towarzysza Tokowego na emeryturę, byli dla niego cieniami, co już nie wrócą, natomiast niepokój mógł Tokowy odczuć stwierdziwszy, że nie jest o czymś poinformowany. Mógł od razu przypuścić, że wiadomo mi coś takiego, o czym nie słyszał i czego się nie domyśla; sam fakt mego istnienia stanowił dla Tokowego stałe zagrożenie, bo tak czy inaczej byłem przecież z rodu Czeredów,

byłem spadkobiercą mistrza Czeredy, stanowiłem splot różnych powiązań wciągających także Tokowego i przeze mnie samego, i przez Zinę, i przez ojca, którego Tokowy przeniósł w swoim czasie na emeryturę, powołując się na dominujące wówczas tendencje. Pewnie także teraz kierował się dominującymi tendencjami, które usiłował wyczuć swoimi wyczulonymi zmysłami służącymi mu chyba tylko do wyczuwania tendencji i do niczego pożytecznego poza tym. Mógł się rzeczywiście przestraszyć, że przegapił jakąś tendencję, i dlatego w spojrzeniu, które rzucił w moją stronę spod ołóweczka, był również niepokój, jakkolwiek umiejętnie ukrywany.

— Jakie nakazy? — Zależało mu na tym, żeby się dowiedzieć, wymagało tego jego stanowisko. — Jakie?

Miałem teraz Tokowego w ręku, ale nie nadużywałem jego cierpliwości. Kiedy chodzi o rzecz wielką, byłoby poniżej godności własnej cieszyć się ze swojej przewagi nawet nad przeciwnikiem, a Tokowy starał się przecież zostać moim przyjacielem, jakkolwiek wybierał po temu nie te sposoby i drogi, jakie mi się marzyły w wieku moich lat dwudziestu.

— Nakazy Leninowskie — powiedziałem.

— Leninowskie? Co ty wygadujesz? Żarty sobie stroisz?... — Tokowy aż wstał, zaskoczony i chyba nawet wzburzony, a może po to, żeby rozmawiać ze mną nadal na tej samej płaszczyźnie. — Czy myślisz, że gadasz z mównicy?

— A czyż mówi się tak tylko z mównicy? W wielkie święto? — zapytałem trochę naiwnie. — Bo ja, Dmytro Czereda, z perspektywy wieczności...

— Z perspektywy wieczności? Kpisz sobie?

— No, może źle się wyraziłem... Ale biorąc pod uwagę nakazy? Mam do tego prawo? Chyba nikt mi go nie odebrał. Przeciwnie, przypominano mi je! Bo były

nakazy? Były. Umacniać, strzec, ulepszać... Przyjaźń narodów, Związek Radziecki, armię, partię, wierność zasadom... Uczyć się i uczyć... wszystkie nakazy wykonano. Beze mnie umocniono, ustrzeżono, ulepszono... Wszystko beze mnie. Dla mnie nic nie pozostało. Czuję się jakiś pokrzywdzony czy co. I protestuję. Z oburzeniem. Żądam prawa do uczestniczenia. Chcę również wykonywać nakazy Lenina. W miarę sił i możliwości.

— Co ty wygadujesz? — Tokowy wyszedł zza biurka i zbliżył się do mnie. Współczuł mi szczerze, nie udawał.

— A Szlachtycz stwarza dla takich jak ja sposobność, możliwość — dowodziłem nadal z uporem. — Szlachtycz powiada: Jeżeli potrafisz wymyślić dla ludzkości bodaj śrubkę, to ją wymyśl! Przyczynisz się czymś do wykonania wielkich nakazów... Nasz zięć, nie Wuer, tylko ten drugi, stołeczny wiolonczelista, często powtarza, że każda nowa nuta wzbogaca świat. A co przypada w udziale mnie? Każda nowa rura? A z czyją pomocą ją dam? Czemerysa czy Szlachtycza?

— Przecież nie daliście niczego ze swoim Szlachtyczem, a Czemerys wyrabia po pięć norm dziennie — przypomniał spokojnie, ze złośliwą satysfakcją Tokowy. Tak postawić sprawę mógł tylko Tokowy. Pięć norm braku? Co są warte te normy, jeżeli już nie z perspektywy wieczności, to bodaj ze względów zasadniczych, które wreszcie sformułowałem otwarcie!

— Może jestem głupim i naiwnym chłopakiem, ale Szlachtycz dla mnie...

Wtem otworzyły się drzwi, ktoś popchnął mnie lekko i usłyszałem wypowiedziane głosem Szlachtycza słowa:

— Więc jesteś tutaj, bo szukam cię po całej hali.

Szlachtycz był niezwykle umorusany i obszarpany, właściwie w ogóle nie wyglądał na zwykłego Szlachtycza — jakiś brudas, jakaś nieprzytomna, wprost pijaną

z wyczerpania istota, ale na jego twarzy malowała się wyraźnie radość, radość ta była i w głosie, i w każdym ruchu.

— Gdzie jest Eugeniusz? — zapytałem zapominając w jednej chwili o Tokowym.

— Nie ma go — odpowiedział Szlachtycz nieco zmieszany (nie zauważyłem zresztą wtedy tego zmieszania) — będziemy dzisiaj we dwóch. Musimy wypróbować jeszcze jeden sposób. Natrafiliśmy na coś z Hryszą.

Był dzisiaj niezwykle rozgadany i nawet mówił inaczej niż zazwyczaj.

— Wątpliwe, czy wypróbujecie — odezwał się Tokowy.

— Wątpliwe? — Szlachtycz spojrzał na niego bez zdziwienia, po prostu jak na martwy przedmiot. — Niby dlaczego wątpliwe?

— Zabieram Czeredę do Czemerysa. Panu także...

— Co mnie także?

— Zabraniam panu wszelkich doświadczeń. Najwyższy czas, żeby się zabrać rzeczywiście do dzieła.

— Jak to rozumieć?

— Właśnie tak.

Widocznie zaszło coś mimo wszystko. Za plecami Tokowego stała pewność siebie, za naszymi tylko upór i wiara w nasze poczynania. Ale jak to niekiedy mało, sama tylko wiara!

— Zabraniam panu! — powtórzył z naciskiem Tokowy.

— Czego mi pan zabrania?

— Wszystkiego.

— Chodźmy, Mytiu — spokojnie powiedział Szlachtycz i wyszedł z gabinetu.

— Jutro porozmawiamy w innym miejscu — zawołał za nim Tokowy, psując tą dość banalnie brzmiącą obietnicą całą powagę i wagę tego ranka, który zaczął

się dla niego tak szczęśliwie. Bo co to właściwie znaczy, że rozmowa zostanie przeniesiona w „inne miejsce"? Przede wszystkim trudno odgadnąć następstwa takich rozmów, po drugie człowiek, uciekający się do takiego „przeniesienia", poniża się i ośmiesza, może tak samo jak przez skok z balkonu czy coś w tym rodzaju.

17

Szlachtycz nie powiedział mi tego dnia niczego. Wciąż był niezwykle, wprost niebywale gadatliwy, wydawał się niemal pijany i mógł iść o lepsze z samym Hryszą Frusinem, tłumaczyłem to sobie jednak jego podnieceniem, gdyż nocą udało się im wreszcie natrafić na coś realnego; chwycili nieuchwytnego ptaszka za ogon, wyrwali może jedno dopiero piórko czy też zdawało się im tylko, że je wyrwali, ale Szlachtycz był w takim podniosłym nastroju, jakby trzymał w ręku już całego ptaka. W ciągu długich miesięcy przeprowadziliśmy mnóstwo wszelkich prób, nasz „rock'n'roll" obudowany był różnymi urządzeniami pomocniczymi, stosowaliśmy wszystkie możliwe i niemożliwe sposoby smarowania, przeskakiwaliśmy z jednej temperatury na drugą w całej skali, jaką proponował Hrysza Frusin, podgrzewaliśmy nasze wlewki tak i inaczej, za naszymi plecami stała nie tylko wynalazcza wytrwałość Szlachtycza, ale również sama Nauka pod postacią kudłatego aspiranta Frusina. I co z tego? Czyż przewyższyliśmy Czemerysa, o czym marzyliśmy w chwilach rozpaczy wywoływanej przez bezlitosne orzeczenia Ali stwierdzającej brak, brak i znowu brak!...

— Nareszcie wymacaliśmy coś z Hryszą — powiedział mi Szlachtycz. — Okazało się, że przez cały ten czas szliśmy, jak to często bywa, błędną drogą. Jak się zdawało, zwykła logika dyktuje, że im więcej podgrze-

wamy wlewek, tym lżej go będzie walcować. Ale w rezultacie otrzymywaliśmy odkształcenia. Niepożądane i nieuniknione.

Wygłosił dla mnie cały referat zdobywając się po raz pierwszy na taką, powiedziałbym, elokwencję na tematy techniczne. Zawsze pracował najchętniej w milczeniu, dzisiaj zaś jakby się w nim otworzyły słowne upusty, bo wprost potoczyły się na mnie słowa.

— Otóż spróbowaliśmy w końcu nagrzewania do niższej temperatury. I co? Wyszło jak nigdy dotąd! Jak myślisz, jaka to była temperatura?

Nie chciałem ani myśleć, ani odgadywać, byłem tylko ciekaw, dlaczego Lonia taki jest do siebie niepodobny. Może zaraził go swoją gadatliwością Hrysza Frusin, przepuścił przez niego potoki własnych słów?

— Sto sześćdziesiąt, nawet sto dwadzieścia stopni, właśnie! — wykrzyknął rozentuzjazmowany Szlachtycz. — Sto osiemdziesiąt i nawet sto dwadzieścia, a nie trzysta czy czterysta, nie sześćset, jak się nam jakoś zdawało. A dlaczego? Bo posługiwaliśmy się elementarną logiką ucznia klasy szóstej: ciała podgrzewane rozszerzają się, metal staje się podatniejszy, wiązanie Van der Waalsa zostaje naruszone itp. Ale odkształcenia? Nie uwzględnialiśmy odkształceń.

Wszystkośmy uwzględniali i nad wszystkim łamaliśmy sobie głowę. Obrzydło już wszystko, nosem wyłaziło. Prawdę mówiąc, byłem pewny, że do czegoś tu w końcu dojdziemy. Czy rozwiążemy jednak kiedykolwiek problem Tokowego i w ogóle takich jak on? To rzeczywiście chciałbym wiedzieć. Tylko że nie dowiem się tego w żadnym razie od Szlachtycza, który tak się pogrążył w swoich problemach technicznych, że nie chciał słuchać ani o Tokowym, ani nawet o Eugeniuszu. Bo kiedy zacząłem snuć na głos domysły, dlaczego nie ma Eugeniusza w pracy, Szlachtycz puszczał to mimo

uszu, a kiedy zapytałem go wprost, co się właściwie mogło stać, że Eugeniusz nie przyszedł, i to w takim przełomowym, jak się okazuje, dniu, Szlachtycz, ten zawsze taki uprzedzająco grzeczny Szlachtycz, udał, iż nie słyszy mego pytania, jakby było wystosowane tak sobie — do bożego świata, do Pana Boga, do Organizacji Narodów Zjednoczonych, wszystko jedno do kogo i do czego, byle tylko nie do niego.

— Mimo wszystko spróbujemy na początek sto sześćdziesiąt stopni — z przesadnym ożywieniem w głosie mówił Szlachtycz stając na miejscu Eugeniusza i nawet — dziw nad dziwy! — mrugając do mnie familiarnie, jakby zachęcał moją wysokość do współpracy i sojuszu. — Dzisiaj coś musi wyjść. Koniecznie!

— Pewnie — mruknąłem chmurnie — rzeczywiście wyjdzie, bo jeżeli wkłada się z jednej strony kawałek żelaza, to z drugiej powinien ten kawałek wyleźć, czyli wyjść pod jakąś tam postacią. Ale dlaczego nie przyszedł dziś do pracy Eugeniusz?

Tak się toczyła ta towarzyska gra między nami: Szlachtycz do mnie o stopniach i rurach, a ja w odpowiedzi — o Eugeniuszu. Robiłem to zresztą o niczym nie wiedząc, kierując się jedynie prawami przyjaźni i chyba przeczuciem. Szlachtycz natomiast rozmyślnie kierował rozmowę na inne tory; denerwował się przy tym i z powodu moich usiłowań, by dowiedzieć się, z jakiej przyczyny nie stawił się do pracy Eugeniusz, i najwidoczniej dlatego, że pracowałem niezbyt uważnie. Kiepskim byłem tego dnia pomocnikiem i sojusznikiem, tak że wysiłki Szlachtycza szły na marne, nie mówiąc o moich własnych, w ogóle obracających się wniwecz.

Tokowy nie przeszkadzał nam, ale miał nas zapewne na oku. Zbiła go trochę z pantałyku dzisiejsza postawa Szlachtycza i przygotowywał się widocznie do jutrzej-

szego nowego starcia na najwyższym szczeblu. Szlachtycza natomiast dzisiejsze niepowodzenie nie zbiło z tropu, przygotowywał się do nowego szturmu, co mi też powiedział, nadal tak samo rozgadany i niepojęcie skory do wywnętrzeń:

— Nie udało się przy takiej temperaturze, jutro spróbujemy przy stu dwudziestu. Rozmyślnie zostawiłem sto dwadzieścia na sam koniec. Z każdym minimum związane jest największe ryzyko. Jeszcze jeden dzień i osiągniemy to, czego chcemy. To już dowiedzione i przesądzone. Umyślnie próbowałem jeszcze dzisiaj przy stu sześćdziesięciu, żeby mnie to już więcej nie kusiło. A jutro we dwóch...

— We dwóch? — niezbyt grzecznie przerwałem Szlachtyczowi. — A Eugeniusz? Wyciągnę go jutro do pracy, gdybym go nawet musiał rozłożyć na części i zmontować na miejscu! Poskładamy go i zmusimy, żeby stanął do walcarki!

— Możliwe, że nie przyjdzie — cicho powiedział Szlachtycz zrozumiawszy, że nie uda mu się w dalszym ciągu wykręcać, i decydując się na podjęcie tego wątku w rozmowie.

— Nie przyjdzie? Przecież już dzisiaj nie przyszedł! Wystarczy! Co mu jest, na tyfus zachorował?

— Wiem, ale...

Szlachtycz pogrążył się w żywiole swego niezdecydowania, jeszcze chwila i wszystko pochłonie jego zwykła uprzejmość, której nie przebije żadna siła.

— Coś się stało? — krzyknąłem. — Nikt nie potrafi powiedzieć? Przez cały dzień nikt nie powiedział ani słowa o Eugeniuszu! Co się z nim dzieje?

— Trudno to wytłumaczyć... W każdym razie ja nie potrafię. Wykracza to poza ramy...

— Jakie ramy? — nic nie rozumiałem z jego aluzji

i niedomówień. — Jakie ramy, kto i co wykracza? Nic nie rozumiem! Co się stało?

— No, nie mogę o tym... — Wydało mi się, że cała ta rozmowa jest dla Szlachtycza wprost bolesna. — Dowiesz się sam...

— Co, wpakowano go do kicia? Ostrzyżono go na milicji?

— To byłoby zbyt proste... Sprawa jest bardziej skomplikowana... zawiła... Właściwie o wiele delikatniejsza i poważniejsza... Dowiesz się... Jesteś jeszcze młody, Mytiu, ale...

Ten także na tę samą nutę: młody jesteś! Umówili się wszyscy, czy co? Zwarty front przeciwko Myt'ce Czeredzie: Czemerys, Tokowy, a teraz nawet Szlachtycz! Wszyscy uważają, że jestem młody. A dla Ziny jestem już nie tylko młodzikiem, lecz młokosem. Jeżeli zresztą tamci uważają mnie po prostu za młodego, to czuję się tym jeszcze bardziej dotknięty, bo siostrunia nazywa mnie młokosem mimo wszystko z miłości do mnie i sympatii, oni zaś wszyscy odpychają mnie tym słowem „młody", dają mi niedwuznacznie do zrozumienia, że jeszcze nie dorosłem i nie jestem w stanie pojąć tego, co dla nich jest otwartą księgą.

— A gdzież on właściwie jest, ten Eugeniusz! W domu czy gdzie właściwie? — zasypywałem Szlachtycza pytaniami zbity zupełnie z tropu, z wprost dziecięcym brakiem logiki, gdyż Szlachtycz, który chyba w ogóle nie spał dzisiaj w domu, a teraz przez cały dzień był razem ze mną w walcarni, wiedział chyba o Eugeniuszu jeszcze mniej niż ja albo w ogóle nic. Więc dlaczego napomyka o jakichś tam ramach upodabniając się do docenta Kryżenia, który zachęcając do wydawania sądów z perspektywy wieczności, sam był ograniczonym durniem z takiej czy innej perspektywy, o czym świadczyły bodaj jego umizgi do Ali.

— Widocznie w domu — odpowiedział Szlachtycz kontynuując rozmowę spokojnie i chyba niechętnie.

— Musimy pójść do niego! — uczepiłem się tej myśli, jedynej, jaka przyjść mogła w tym wypadku do głowy takiemu chłopakowi jak ja. Bo cóż jeszcze mogłem wymyślić?

— Idź sam — powiedział Szlachtycz — a ja popracuję jeszcze w laboratorium. Umówiłem się z Frusinem...

Wprost jakby Szlachtycz przeprowadził się do huty i wujek Wasia nadaremnie czekał na syna w „Klubie Ludzi Pracy". Było to już ponad moje siły, okazało się silniejsze od zainteresowania pracą; przecież stało się coś dzisiaj z moim przyjacielem Eugeniuszem, coś takiego, co nie mieści się w ramach wszelkich przypuszczeń. Co się stało, co?

Z pytaniem tym wpadłem do mieszkania, które Eugeniusz zajmował wraz ze swoją ciotką, i mimo że nie wypowiedziałem tego pytania na głos, można je było z łatwością wyczytać ze wszystkich oznak zdenerwowania, z mojej twarzy i całej mojej postaci, która zawisła nad ciotką Eugeniusza jak znak zapytania, wprost krzyczała o moim szalonym zaniepokojeniu.

Ciotka Eugeniusza należała do tej odmiany ludzkiej populacji, o jakiej trudno powiedzieć coś określonego. Powierzchowność miała niepozorną, głos bezbarwny i w ogóle ledwie nawet wyglądała na kobietę. Stosownie do wyglądu zewnętrznego kształtowało się niegdyś zapewne także jej wnętrze, bo odznaczała się ta Eugeniuszowa ciotka taką niezmąconą obojętnością względem wszelkich przejawów życia, że zetknąwszy się z tą obojętnością gotów był człek powiesić się lub skoczyć z drugiego piętra (gdyby mieszkała ta ciotka na trzydziestym drugim — to z trzydziestego drugiego itd.); nie miało to jednak wpływu na mnie, bo wylatując

w swoim czasie z czołgu uzyskałem megatonowy ładunek i mogłem wstrząsnąć nie jedną ciotką, lecz całym ich milionem. Usłyszawszy moje natrętne dzwonienie ciotka otworzyła drzwi i stanęła w nich jak posąg. Można było ze skóry wyskoczyć.

— Gdzie jest Eugeniusz? — wrzasnąłem. — Co się z nim dzieje?

Ciotka nic nie mówiąc mierzyła mnie wzrokiem. Teraz dopiero zauważyłem, że spojrzenie ma kolące i oczy jak świderki. Prześwidrują cię takie oczy, to aż ci w pięty pójdzie.

— Eugeniusz! — krzyknąłem. — Gdzie jest Eugeniusz!

Ciotka pokazała przez ramię za siebie. Zupełnie tak samo, jak pokazywał dziś z rana nasz starszy mistrz, przezwany „Doczekajmy do poniedziałku", wygiętym, skierowanym w dół kciukiem w geście złowieszczego może ostrzeżenia: że niby człowiek jest gdzieś tam, z tyłu i jednocześnie także w dole, pogrążony w otchłani cierpienia, chorób, zmartwień czy nieszczęść. Po raz drugi ujrzałem dzisiaj ten wygięty, skierowany w dół kciuk, zaczął się dzień od takich drobnostek i kończył się tak samo, co mi się nie podobało, jakkolwiek nie byłem zabobonny.

— Co, jest chory? — zapytałem jeszcze, bo wskazawszy gdzie się Eugeniusz znajduje, ciotka nie zamierzała usunąć się z drogi, lecz stała nadal przede mną tak samo obojętnie i tak samo przewiercała mnie swoimi świdrującymi oczami, ja zaś nie śmiałem po prostu odsunąć jej z drogi ręką w nadziei, że mi się to uda z pomocą wykrzykiwanych słów i swojej niecierpliwości; przekonałem się jednak niebawem, że wszystko to na nic, więc zdobyłem się w końcu na posunięcie niepożądane, lecz szybkie i zdecydowane, czyli po pro-

stu odtrąciłem, odepchnąłem ciotkę i wpadłem do pokoju Eugeniusza.

Leżał na kanapie — takiej z importu, zupełnie niepodobnej do mojej — na kanapie bez sprężyn, która uginała się tylko pod Eugeniuszem, ale nie mogła ani skrzypieć, ani postękiwać czy pojękiwać. Gdyby zresztą kanapa nawet była do tego zdolna i tak by się nie odezwała swoim kanapowym głosem, gdyż Eugeniusz leżał na niej cicho i nieruchomo, zwrócony twarzą do ściany, ze zwisającymi martwo rękami, w spodniach nie wygniecionych, lecz odprasowanych tak samo starannie, jak to robi Tokowy, w białej nylonowej koszuli i może nawet w krawacie, czego zresztą nie zauważyłem w pierwszej chwili.

Kiedy wyleguje się chłop cały dzień na kanapie i jego spodnie nie są wygniecione, lecz odprasowane, wydaje się to zawsze podejrzane. Jest w tym coś nienaturalnego, powiedziałbym jakaś zgrywa. Bo nie jest to już człowiek chory lub taki czy inny — po prostu popisuje się tym leżeniem i cierpi jak aktor na scenie. Kanapa jest jego sceną. Odwiedzający go, tacy jak ja, powinni grać rolę widzów. Przyszło mi to wszystko do głowy, kiedy zobaczyłem nie wygniecione spodnie Eugeniusza i okropnie się rozgniewałem na przyjaciela za ten urządzany w domu cyrk. Jedno było tylko pocieszenie — nie ja jeden dałem się wziąć na tę przynętę. Na krześle przysuniętym tuż blisko do kanapy, z pięcioma palcami zatopionymi w druciane włosy siedział Hrysza Frusin, siedział i milczał! Ten sam Hrysza Frusin, do którego jakieś pół godziny temu poszedł Lonia Szlachtycz, żeby tam, w laboratorium, jeszcze coś usprawnić i wypróbować, a jutro zaatakować wreszcie studwudziestostopniową temperaturą „rock'n'rolle", rury, Tokowego, cały świat i dowieść naszej słuszności, naszego prawa do wieczności!

— A ty co tu robisz? — zapytałem wybałuszając oczy na Hryszę i zapominając na chwilę nawet o Eugeniuszu, o jego martwo zwisających rękach i milczącej nieruchomości zagranicznej kanapy pod kościstym ciałem mego cierpiącego druha.

Hrysza wyciągnął palce z drucianej dżungli i potrząsnął nią jakby w rozpaczy, na znak, że wszystko tu na nic, że nic nie uratuje naszego przyjaciela.

— Co mu właściwie jest? — zapytałem Frusina wskazując na Eugeniusza, ale w odpowiedzi pięć palców znowu utonęło i wyrwało się od razu z dżungli, która zatrzęsła się jeszcze mocniej.

— Tak — trochę już ochłonąłem z pierwszego wrażenia — nauka bywa bezsilna wobec zagadkowości natury ludzkiej. Teoria się wycofuje. Spróbujmy uciec się do praktyki.

Podbiegłem do Eugeniusza, chwyciłem go od razu w dwóch punktach zaczepienia i szarpnąłem usiłując odwrócić go twarzą do nas. Eugeniusz bronił się ze wszystkich sił, z czego wysnułem wniosek, że życie z niego nie uciekło jak benzyna z dziurawego zbiornika, a kiedy szamocząc się ze mną dał mi nawet w szczękę, upewniłem się ostatecznie, iż moja pierwsza diagnoza jest słuszna — Eugeniusz wygłupia się po prostu. Ale z jakiej przyczyny? Co się stało? Zwłaszcza że sam Szlachtycz, człowiek przecież poważny, też stwierdził, że zaszło coś poważnego.

— Genek — powiedziałem nazywając go imieniem z czasów naszego dzieciństwa — co ci jest, Genek?

Odwrócił się znowu do ściany.

— Czy ktoś mi w końcu powie, co się tu dzieje? Genek, może powiesz mi wreszcie?

Szarpnąłem go znowu za muskularne ramię, ale oberwałem po raz drugi w szczękę, przy czym cios wy-

mierzony został już nie w milczeniu, lecz z mruknięciem:

— Odwal się!

— Odwalę się, ale powinienem wiedzieć, co ci jest! — wykrzyknąłem.

— Chce mi się spać — powiedział Eugeniusz i nawet jakby się skulił, spróbował podciągnąć nogi i ułożyć się wygodniej, starając się jednak zachować nadal nienaganny wygląd odprasowanych spodni. Deklarować chęć przespania się w takiej nieodpowiedniej chwili mogłyby tylko postaci z jakichś bardzo kiepskich sztuk. Zresztą, dobrych sztuk chyba nigdy nie widziałem na scenie, więc słowa Eugeniusza niezbyt mnie zdziwiły. Skoro postępował jednak wbrew logice, to znałem się na tym i musiałem trzymać się właśnie logiki żelaznej, czyli znowu chwycić go za ramię i spróbować, czy się nie uda odwrócić go twarzą do nas.

— No! — groźnie zaryczał Eugeniusz odtrącając mnie całym ciałem. — Powiedziałem ci: odwal się! Spływaj!

— Niby ja mam spływać? — zapytałem z łagodnością baranka, hamując w sobie wściekłość stada tygrysów, nosorożców i dzikich bawołów.

— Tak, ty!

— A dokąd?

— Dokąd chcesz! Do wszystkich diabłów! Do swego...

Powinien był dodać: „...Szlachtycza", gdyż kiedyśmy się kłócili, jeden wypominał drugiemu „jego Szlachtycza", co najwyraźniej dowodziło, że jesteśmy o niego zazdrośni, jeżeli w ogóle mężczyzna może być zazdrosny o mężczyznę, a nie o dziewczynę. Tym razem Eugeniusz nie dopowiedział jednak czy też nie chciał wiele gadać, bo i tak stracił na mnie cały zapas słów w ciągu całodziennego milczącego wylegiwania się na kanapie z importu. Jeszcze mocniej przytulił twarz do ściany

i znieruchomiał w pełnym pogardy wyobcowaniu. Zastąpił go i przyszedł mu z pomocą Hrysza Frusin. Pozostawił w spokoju swoją czuprynę i ośmielił się wreszcie przejść od gestów do słów: zerwał się z krzesła, przemknął na palcach do odległego od kanapy pokoju, przywołał mnie ruchem palca i kiedy się przybliżyłem, powiedział mi na ucho:

— Spadło na niego nieszczęście.

— Domyślam się — powiedziałem również szeptem — ale jakie?

— Ala... — szepnął Frusin.

— Ala.

Cofnąłem się o krok od aspiranta. Może to on oczarował zagadkową jasnowłosą dziewczynę, dla której Eugeniusz porzucił wszystko: ojca, stolicę, dyplomację i ONZ! Zawsze aspirant! Przyszłość. W perspektywie — Akademia Nauk. A co Eugeniusz!? W najlepszym razie mistrz walcownik i wieczna pokora w stosunku do kapryśnej i niepojętej blondynki.

— Ty? — zapytałem z pogróżką w głosie. Frusin nie myślał się cofnąć, przylgnąć do ściany, wcisnąć się w kąt, co mnie przekonało, że to nie on. Jakby zresztą mogła Ala zamienić takiego chłopaka jak Eugeniusz na niepokaźnego Hryszę, zresztą o bujnej czuprynie i aspiranta z widokami na Akademię Nauk!

— Więc kto? — zapytałem wciąż tak samo groźnie, zamykając Frusina w kącie bez najmniejszej szansy wydostania się stamtąd, póki nie udzieli mi odpowiedzi.

— Ala — powtórzył szeptem Hrysza, nie mogąc widocznie powiedzieć mi nic więcej czy może nic więcej nie wiedząc. Możliwe, że Ala po prostu uciekła z miasta, pojechała w świat daleki, na jakąś budowę czy jako stewardessa na trasy międzynarodowe, czy to ja wiem gdzie!

Nie traciłem jeszcze nadziei, jakoś mi się zdawało, że

Frusin musi wiedzieć wszystko. Bo po to istnieje przecież nauka! Jedyny przedstawiciel nauki wśród nas, nie licząc docenta Kryżenia, na którego mogliśmy z całym uzasadnieniem machnąć ręką, skoro mimo wszystkich jego dyplomów Ala oczarowała go również. Więc tylko już dla porządku i spokoju własnego sumienia zapytałem Hryszę machinalnie, bez zainteresowania:

— Gdzież ona jest?

I niespodziewanie otrzymałem odpowiedź:

— U Szlachtycza.

— Gdzie-e?

— U Szlachtycza.

Zapomnieliśmy o ostrożności i nasze ostatnie słowa rozbrzmiały głośno, na cały pokój, aż Eugeniusz poruszył się cierpiętniczo na swojej zagranicznej kanapie, ja zaś przeląkłem się i straciwszy głowę cofnąłem się trochę, z czego Frusin od razu skorzystał i w milczeniu zdecydowanie pobiegł do drzwi. Zrobił wszystko, wszystko zostało powiedziane, jego funkcja się skończyła, więc pozostawiając pole bitwy dla mnie znikł cicho jak widmo. Usiadłem na tym samym krześle, na którym nie wiadomo jak długo siedział aspirant, usiadłem zrozpaczony, że taki tu jestem bezsilny, a sytuacja taka jest beznadziejna. Bo co tu mogłem zrobić? Czyż warto się uciekać do stosowanych w takich razach obłudnych form, do okrzyków oburzenia i żalu, ckliwych słów pocieszenia i współczucia? Trzeba było znaleźć jakiś właściwy sposób, faktycznie dopomóc koledze, w którego życiu wydarzyła się katastrofa, może największa w życiu katastrofa. Ale co mogłem zrobić?

18

Ciotka przyniosła herbatę. W milczeniu wetknęła mi w ręce filiżankę na spodku, więc chwyciłem tę filiżan-

kę i łyżeczkę i zacząłem mieszać brunatny, parujący napój, jakbym się spodziewał, że wyłowię z niego rozwiązanie problemu, co wyłonił się tak niespodzianie.

Ala i Szlachtycz... Nie do wiary! W głowie się mąci! To absurd! Co mają z sobą wspólnego? Czy się w ogóle znali? Zwrócili jedno na drugie uwagę? Jak mogło powstać między nimi to coś nie do przezwyciężenia, co ich tak bardzo zbliżyło i złączyło nierozerwalnie wbrew wszelkim przypuszczeniom i oczekiwaniom.

Woda płynie zawsze znikąd, nie wiadomo z jakich stron, często nie wiemy również, dokąd płynie, a jeżeli czasem wiemy, nic się przez to nie zmienia. Woda płynie znikąd i wpada, dokąd chce. Wodą można, co prawda, pokierować, ale będzie się i tak starała przebić tam, dokąd pędzi ją konieczność. Tak jest.

Mieszałem stygnącą herbatę i myślałem o wodzie zapomniawszy o Ali, zapomniawszy o Szlachtyczu i może nawet nie dostrzegając samego Eugeniusza, chociaż trudno go było nie dostrzec, skoro siedziałem koło niego, on zaś leżał w nie pogniecionych spodniach i cierpiał. Czy mogłem mu jednak pomóc? Co powiedzieć? Chyba o zaporożcu.

Zdradzę tu tajemnicę; marzyliśmy o zaporożcu. Nie tak śmiało jak Wuer, nie licząc na to, że dokonamy jakiegoś genialnego wynalazku i zainkasujemy kolosalną nagrodę czy doczekamy się bodaj śmierci profesora, który pozostawi w spadku wołgę. Gdzie tam! Co wilk to nie koza. Marzyliśmy po cichu i skromnie, marzyliśmy bodaj o małym zaporożuniu, który niezbyt się, co prawda, nadaje do naszych rozległych terenów i jest raczej odpowiedniejszy dla zawalonej kamieniami Europy z jej ciasnotą i zgiełkiem, ma jednak cztery kółka, kółka te się kręcą i mogą człeka zawieźć po naszych rozległych terenach dość daleko, tam, gdzie krążą mewy nad stromą falą, gdzie są góry i morze. Marzyliśmy

z Eugeniuszem, że się złożymy i kupimy za nasze zarobione pieniądze zaporożca, pojedziemy do Kijowa popatrzeć tam na cerkwie i ładne dziewczęta, które nie wywarłyby zresztą na Eugeniuszu żadnego wrażenia, bo przebywał w stolicy niedługo i w głowie miał tylko Alę. Kąpalibyśmy się w morzu, potem słuchalibyśmy dzwonów w Suzdalu, spróbowalibyśmy znaleźć miasto z nieustraszonymi emerytami i poszukalibyśmy miasta z nastraszonymi emerytami — nie wiem, czego jeszcze moglibyśmy szukać mając do spółki zaporożca oraz nietknięte jeszcze zasoby głupich wariackich pomysłów i rozumu. Bo uważając się za przeciętnie głupich, mieliśmy również wszelkie podstawy po temu, by uważać się za rozumnych. A cóż to znaczy człowiek rozumny? Czy nie może za niego uchodzić ktoś, kto jeszcze się nie popisał przed nikim swoim rozumem? Bo przecież zachował go na razie w całości.

Mój rozum chyba też zachował się dotąd w całości, ale na pomoc mi nie przychodził i nic absolutnie nie przychodziło mi do głowy w tej tragicznej chwili, żeby bodaj trochę pocieszyć przyjaciela, na którego spadł niespodziany i okrutny cios. I z czyjej ręki w dodatku!

— Hańba — zdobyłem się wreszcie na głośne odezwanie się po raz pierwszy po odejściu Hryszy Frusina. Powiedziałem to pod adresem Ali i jeszcze bardziej Szlachtycza, ale właściwie mogło się to słowo odnosić także do Eugeniusza, bo cóż zrobił, żeby zapobiec temu, co się stało bez jego udziału i nawet wbrew jego woli? Milczał jak zaklęty, a co może wyniknąć z milczenia?

Mało że milczał. Można milczeć, ale zachować przytomność umysłu i koncentrację uwagi. Eugeniusz natomiast nic nie widział i na nic nie zwracał uwagi. Bo nawet ja zauważyłem od razu, że Ala nosi na przykład obuwie zawsze na niskich obcasach. Dlaczego? Teraz sprawa się wyjaśniła — dostosowywała się do niewyso-

kiego wzrostu Szlachtycza. Co prawda, przyszły mi na myśl te niskie obcasy dopiero teraz, przy mieszaniu stygnącej herbaty w filiżance, ale jeżeli teraz o tym pomyślałem, więc już przedtem zaobserwowałem! A Eugeniusz? Czy widział? Wysnuwał jakieś wnioski? Zakochani powinni wszystko widzieć i z wszystkiego wysnuwać wnioski. Na przykład ja. Ujrzałem kiedyś nad sobą wesołe, szare oczy. Teraz nie zapominam tych oczu i ponadto nikomu nic o nich nie wspominam. Nikt nic nie wie! A może powierzyć teraz swoją tajemnicę Eugeniuszowi? Pocieszyć go opowieścią o mojej beznadziejnej miłości, beznadziejnej i bezprzedmiotowej? Czy mu to jednak pomoże? Czy nie pogorszy sprawy?

Och, gdybyśmy już mieli zaporożca! Pojechalibyśmy do lasu. Skręca się z asfaltu w świat zieleni i długo, bodaj cały dzień może człek jechać, a dokoła wszystko będzie zielone na ziemi i niebie, aż w jego duszy zrodzi się również pierwotna zieloność, śmiech zielonego listowia, migotanie zielonych słońc między drzewami i ze wszystkich stron wybiegnie na jego spotkanie trawa, bić będą w oczy piaski swoją białością, wedrą się w zacisze gęstwiny, roztrącą w obie strony sosny, a człowiek wskoczy w ich sypkość, zapadnie w głębokie bruzdy, wyżłobione olbrzymimi kołami potężnych pojazdów, i utknie w nich, poprosi kogoś, by go wziął na linkę i dociągnął do leśniczówki; nieprzytomny ze zmęczenia i szczęścia zobaczy tu studnię i wysokie malwy pod oknami, wyjdzie do niego zgarbiona, chuda babuleńka, którą poprosi o czerpak, by napić się wody, i wtedy... wtedy strzelą przez szybę oczy, szare oczy, jedyne oczy na świecie. Och, gdybyśmy mieli zaporożca! Uratowałbym Eugeniusza, wywiózłbym go stąd, pokazałbym mu...

Ale na razie pędziliśmy obaj beznadziejną egzystencję, on na zagranicznej kanapie, ja na krześle. Łączyło

nas zmartwienie i dzieliło zarazem, gdyż Eugeniusz miał to zmartwienie, ja zaś współczułem mu tylko, nic nie mogąc zmienić ani zaradzić, mimo gorącej chęci, by dopomóc koledze.

— Hańba! — powtórzyłem z mocą, nie będąc w stanie nic więcej powiedzieć ani cokolwiek zrobić.

Nie mogłem wyobrazić sobie Ali i Szlachtycza razem. I miałem zbyt mało doświadczenia, żeby odgadnąć to, co się już dokonało. Jak i kiedy? Dlaczego? I kto pierwszy? Czy to Szlachtycz zwrócił uwagę na Alę, czy Ala zakochała się w Szlachtyczu?...

Siedziałem więc, niezdolny wyrzec słowo, niezdolny do żadnego czynu, nawet do owego wymyślania, które tak lubiłem. Eugeniusz leżał na swojej kanapie z importu, ja wciąż mieszałem i mieszałem herbatę, którą przyniosła ciotka, może tę samą, jaką mieszał przede mną Hrysza Frusin — w każdym razie woda była z tego samego wodociągu, woda płynęła znikąd podporządkowana prawom ruchu; mijały minuty, upływał czas, a ile go już upłynęło i ile jeszcze upłynie? Czas jest obojętny względem nieszczęścia. Może zresztą względem szczęścia również? Czy walczy z nim człowiek, czy mu ulega, czas nie przyśpieszy i nie zwolni swego biegu, mija po prostu, niezależnie od ludzkich wysiłków. Tak samo obraca się ziemia niezależnie od całej naszej krzątaniny, obraca się, kłuta żądłami świdrów, kiereszowana szybami i kanałami, szarpana podziemnymi wybuchami jądrowymi w stanie Newada, obraca się niezależnie od ryku silników odrzutowych i huku rakiet na kosmodromach, obraca się ani prędzej, ani wolniej, po prostu się obraca.

Co do mnie, mogłem się też obracać dokoła swojej osi, ile tylko wlazło, ale wymyślić coś mądrego nie zdołałem mimo wszystko. Ale tak samo jak przedtem, kiedy przyszła mi niejako z pomocą ciotka Eugeniusza

przynosząc filiżankę herbaty, pomoc pojawiła się znowu, ratunek nie dla Eugeniusza zresztą, tylko dla mnie, bo Eugeniusz miał bodaj swoje cierpienie, ja zaś gryzłem się, że taki jestem głupio niepotrzebny i do niczego. Mogłem się właściwie uciec do arkanów dyplomacji, które Eugeniusz częściowo opanował w swoim czasie, mogłem go zapewnić o szczerości swoich zamierzeń, o poważaniu i szacunku, mówić w samych superlatywach:

Z najwyższym szacunkiem pozostaję pokornym sługą waszej ekscelencji...

Z najwyższym szacunkiem — sługa uniżony...

Kreślę się z najwyższym szacunkiem...

Szczerze oddany...

Pański sługa uniżony...

Ale wasz sługa uniżony we wszystkich stopniach uniżoności i odmianach języka dyplomacji siedziałby jeszcze długo nie wiedząc, jak zaradzić złu i w jaki sposób podnieść Eugeniusza z kanapy i rozruszać go. Znowu uratowała mnie ciotka. Tym razem wszakże nie z pomocą herbaty i swoim cichym pojawieniem się i natychmiastowym, bezgłośnym zniknięciem, lecz właśnie i głosem, i uczynkiem oraz dzięki nowemu gościowi.

Gość pojawił się nie wbrew jej woli, jak na przykład ja, lecz właśnie dzięki ciotce. Wszedł poprzedzony jej zaproszeniem, bo ciotka miała głos, przemówiła, umiała zapraszać, otwierała drzwi od pokoju, uśmiechała się — widziałem to na własne oczy — zachęcała:

— Proszę bardzo, proszę tutaj. Jest tam!

Usłyszawszy głos ciotki w przedpokoju, Eugeniusz nastawił uszy jak zając, przestał się nagle zgrywać, usiadł gwałtownie na kanapie i od razu obciągnął koszulę i spodnie. Czekał widocznie cały dzień na przybycie tego gościa, którego jeszcze nie widziałem i nie wie-

działem kto to taki, ale mogłem się domyśleć po nie wymiętych spodniach Eugeniusza. Eugeniusz czekał na Alę. Czekał! Co za idiota! Czyż spodziewał się, że dziewczyna przyjdzie i powie mu, że był to jeden z jej żartów, może bardzo okrutny, ale żart? Czy może chciał, żeby bodaj przyszła i udzieliła wyjaśnień? Co tu wyjaśniać? I czy pomogą tu wyjaśnienia?

Eugeniusz pomylił się jednak. Drzwi się otworzyły i wysunęła się spoza nich ręka ciotki, a potem stanęła na progu sama ciotka, uśmiechnięta i dobra ciotka, już nie tamta bezbarwna istota, co przegrodziła mi drogę do Eugeniusza. Za nią zaś stał... Stał wuj Wasia, Szlachtycz-ojciec, stał zmieszany, duży i niezgrabny, onieśmielony, mimo że przecież bohater; trzymał w jednej ręce butelkę, a w drugiej, między palcami — dwa kieliszki skromnie zwrócone dnem do góry, ale gotowe zapełnić się niebawem. Zmieszał się jeszcze bardziej zauważywszy, że Eugeniusz ma gościa, stropiony wujek Wasia nawet spojrzał na swoją rękę z dwoma kieliszkami zastanawiając się zapewne, jak mu się uda obsłużyć z pomocą dwóch kieliszków nas trzech. Przekonawszy się, że nowy gość nie jest tym oczekiwanym, Eugeniusz zamierzał znowu paść na kanapę twarzą do ściany, ale nie pozwoliłem mu na to.

— Jeszcze czego! — krzyknąłem. — Poczekaj! Wuju Wasiu, pomóżcie mi!

Szlachtycz oddał ciotce butelkę i kieliszki, kusztykając podszedł śpiesznie do kanapy, z łatwością objął Eugeniusza i podniósł wysoko, a potem posadził już nie na kanapie, lecz na krześle, przytrzymawszy go jeszcze za ramiona. A kiedy już człek poczuje na ramionach ciężkie dłonie Szlachtycza-ojca, odechce mu się wiercenia, będzie siedział.

— Poprosimy o jeszcze jeden kieliszek — zwrócił się wuj Wasia do ciotki odbierając jej swój sprawunek.

Podał jeden kieliszek mnie, drugi wetknął w rękę Eugeniuszowi, nalał nam obu wódki, a potem również sobie, gdy ciotka przyniosła kieliszek; spojrzał przy tym na nią pytająco, czy nie wypiłaby również, ale ciotka odpowiedziała spojrzeniem, że jest niepijąca, i wyniosła się po cichutku, żebyśmy mogli sobie sami porozmawiać po męsku.

— No, synku — powiedział wuj Wasia do Eugeniusza — wypijmy po kieliszku, bo obaj jesteśmy niby jakoś jednakowi... W kawalerskim stanie... Z przymusu... Mnie zabrano... I tobie także...

Eugeniusz milczał. Milczenie to tchnęło nienawiścią. Żeby ratować sytuację, powiedziałem:

— Panu... zabrali przecież bandyci... trochę to inaczej... bo bandyci...

— A to mi również wygląda na jakiś bandytyzm. No, synku — westchnął wuj Wasia i familiarnie, współczująco trącił Eugeniusza w łokieć tej ręki, która trzymała kieliszek. — Wypij... i pogadamy. Dlaczego by nie pogadać?...

Wypiliśmy. Wpierw ja z wujem Wasią, potem także Eugeniusz, który gapił się teraz jak baran w przeciwległą ścianę.

— Pomartw się, ulży ci trochę — powiedział Szlachtycz — tylko długo nie rozpaczaj. Komu dziś jest ciężko, wcześniej czy później musi mu się poszczęścić. Jak nie w tym, to w czym innym... A w tym też ci się jeszcze poszczęści! Taki fajny z ciebie chłopak! I nie ja tu powinienem siedzieć, tylko mój Lońka, ale uciekł wczoraj z domu i nie pokazuje się dotąd na oczy... Kto widział coś podobnego... Uciekł i ode mnie, i od...

— Więc ona jest u was? — nie wytrzymałem.

— Siedzi... Czeka czy nawet nie czeka... Wie, że nigdzie przed nią nie ucieknie...

Szlachtycz nalał nam znowu.

— Po kieliszku, chłopcy.

Spodziewał się, że rozwiąże nam języki „kieliszkiem", ale zawiedliśmy jego nadzieje. Ja byłem tu stroną niezainteresowaną, neutralną. A Eugeniusz? Ten zaniemówił na amen. Siedział i patrzył wujowi Wasi na usta, jakby się spodziewał, że wyskoczy stamtąd Ala. Beznadziejna sytuacja! Ale co robić, straszna to rzecz wyrzec się nadziei nawet głupio zwodniczej! Eugeniusz czekał, jeżeli już nie na żywą Alę, to bodaj na szczegóły o niej. Jak torturowany pragnął tych szczegółów, aż wujek Wasia mając w sprawach życiowych doświadczenie domyślił się w końcu, czego się po nim spodziewa pechowiec w odprasowanych spodniach, zrozumiał, że nikt go tu nie wyręczy, nie przyjdzie z pomocą, więc zaproponował jeszcze raz „po kieliszku", chyba już ze względu na siebie, nie na nas i wbrew swojej zwykłej małomówności zaczął mówić i mówił długo, nie czekając na pytania i zachętę:

— Przyszła przedwczoraj — Leonid nie wrócił jeszcze z pracy, ale wiedziała, że lada chwila nadejdzie. Może się umówili, a może się sama domyśliła. Przyszła, siedzi i milczy. Milczę i ja. Nadejdzie lada chwila Lońka, niech sobie gadają, to ich rzecz. O tym czy owym, bo ja wiem! Ale Lońki nie ma. Napomykam o kieliszeczku, odmówiła. Podsunąłem jej książki, przerzucała chwilę i odłożyła. Czytać nie chce... Bieda! Może by w coś zagrać, ale w co? Kiedyś znałem wszystkie gry karciane, ale nie gram już od dawna. Nie mogę patrzeć na karty. A nic innego nie umiem. Słowem, ładny gips — siedzi w twoim domu dziewczyna, czeka na twego synalka, a ty nie wiesz, jak ją zabawić i syna gdzieś diabli niosą!... Kusztykałem po pokojach i kusztykałem, wreszcie przysiadłem koło niej i powiadam: „Wiecie co? Chce pani, to opowiem o «szyczkach-pryczkach»?" Milczy. No więc zacząłem. O „szyczkach-pry-

czkach", czyli o sobie. Słuchała, słuchała w milczeniu, z uwagą i tak uprzejmie. Siedzi jak aniołek, czyściutka i dobra, a potem upatrzyła chwilę i powiada tak właściwie łagodnie, ale trochę uszczypliwie: „Wszystko to wiem. I wszyscy to znają. Całe miasto. Tylko że ta historia jest o wiele ciekawsza niż to, co pan opowiada". — „Ciekawsza? — aż zło mnie wzięło. — Jak może być ciekawsza, jeżeli to historia o mnie?" — „Nie należy już do pana, żyje niezależnie od pana i jest własnością całego naszego miasta. Prawo wyobcowania" — tak chyba właśnie powiedziała. Słowo w słowo, jak Lońka! Wszystko jakoś podsłuchała i wzięła od niego. No, a chciałem jej wszystko wyłożyć! Lońka pokpiwa sobie z taty, więc chciałem opowiedzieć jej... Ale wreszcie przyszedł synalek. „Dobry wieczór" — „Dobry wieczór". Jak obcy. Mówią do siebie „pan" i „pani". Tak oficjalnie. Nic nie rozumiem. A potem ta przymilna i uszczypliwa babka powiada: „Ciężko panu i chcę być w takiej chwili przy panu, bo ja..." I tak dalej. Nie słuchałem już, pokusztykałem do swego pokoju, żeby im nie przeszkadzać, chociaż nie zwracali na mnie uwagi. Jakby mnie tam nie było, jakbym nie istniał i nie żył. Takie buty. Moja historia się wyobcowała, więc syn się pewnie też wyobcował. Zostałem sobie gdzieś z boku sam.

Teraz dopiero zaświtało mi nagle, że w tej historii moje miejsce jest również gdzieś z boku. Bo i tak już właziłem koledze z kaloszami do duszy. Uciekać, uciekać! Zerwałem się, zapomniałem nawet o kieliszku, który trzymałem w ręku, i pobiegłem do drzwi. Nikt mnie nie zatrzymywał, ciotka zawczasu otworzyła mi drzwi, jakby obserwowała przez szparę, co się u nas dzieje. Z kieliszkiem między palcami zbiegłem o piętro niżej i zadzwoniłem do naszego mieszkania.

Otworzyła mi mama, chyba przestraszona czy wzbu-

rzona, trzymała mnie przy drzwiach i śpiesznie szepnęła:

— Tata na ciebie czeka. Zizi uciekła.

— Dokąd uciekła? Z kim?

— Co ty wygadujesz? — oburzyła się mama. — Wiadomo, że sama. A co to za kieliszek?

Popchnęła mnie do jadalni, gdzie siedział przy stole tata — nie trzymał w rękach gazety i nie udawał, że jest zajęty, czekał na mnie.

— Siadaj, Mytiu — powiedział.

Obejrzałem się, w drzwiach stała matka. Nie pytała, czy jadłem obiad, czy jadłem kolację, czy się umyłem, czy się dobrze wytarłem. Och, co za dzionek! Ile tych różnych różności!

— Jeżeli sądzicie, że dowiecie się ode mnie o... — zacząłem, ale ojciec nie pozwolił mi dokończyć.

— Zina wyjechała — powiedział ze spokojnym bólem w głosie, jeżeli ból może być spokojny.

— Powiedziano mi, że uciekła! — wzruszyłem ramionami.

— Wyjechała — powtórzył tata — nic nikomu nie powiedziała, zostawiła pracę, urwała się, jak to ona potrafi...

— A kto ją powiózł: lotnik, szofer czy maszynista elektrowozu?

— Mieliśmy z mamą nadzieję, że jej jakoś pomożesz — nie słuchając mnie ciągnął ojciec.

— Że ja? Że jej pomogę?

— Wszyscyśmy widzieli... Trzeba jej było powiedzieć... Nie mogła wyrzucić z serca Szlachtycza...

— Szlachtycza?!

Przechodziło to wszelkie granice. Nasza Zizi powinna była wyrzucić z serca Szlachtycza! Ażeby go wyrzucić teraz, trzeba go było kiedyś tam wrzucić! Co to wszystko znaczy? Więc cała ta lekkomyślność naszej

Zizi, wszyscy jej adoratorzy, których przyciągała z całej europejskiej części Związku Radzieckiego, a przy sposobności także z azjatyckiej, nawet jej udawany romans z Tokowym — wszystko to było robione ze względu na Szlachtycza, dla Loni, wszystko to było grą i wszyscy o tym wiedzieli prócz mnie, gdyż mimo całej błyskotliwej inteligencji nie zdołałem wniknąć w tę sprawę — stał tu na przeszkodzie mój młokosowaty wiek!

— No, skoro tak... — słów mi brakło z gniewu, nie wiadomo nawet na kogo. — Skoro tak... skoro wszyscyście wiedzieli... i jesteście wszyscy tacy mądrzy... To dlaczego... Dlaczego nie powiedzieliście w porę... nie uprzedziliście?... Powinniście się byli sami zatroszczyć, nie zwalać na mnie... Bo ja jestem młokosem! Właśnie!... I nie chcę zawracać sobie głowy waszymi historiami i w ogóle...

19

Wciąż jeszcze był dzień. Początkowo zlał się z wieczorem, co jest zwykłym rzeczy porządkiem. Potem przeszedł w noc, co też się temu porządkowi nie sprzeciwia, ale zdradzał przy tym najwyraźniejszą chęć trwania, powiedziałbym, w nieskończoność. Takie dni jak ten nie kończą się tak łatwo. Chcąc nie chcąc musimy je zapełniać. I to nie fikcją, nie z pomocą wyobraźni, lecz czynami, działalnością. Więc trzeba było działać. Coś mnie pędziło z ciasnych ścian mieszkania tam, gdzie działo się dzisiaj coś tragicznego dla Eugeniusza, coś przełomowego a w ogóle, jak sądziłem działy się jakieś głupie rzeczy. Bo rzeczywiście! Ni z tego, ni z owego, bez wzajemnego poznawania się, nie zdradzając niczym zainteresowania sobą, a tym bardziej

zakochania, niespodzianie dla wszystkich, a może nawet dla samych siebie, dwoje ludzi połączyło się nierozerwalnym związkiem na wieki, nie dbając o innych i zadając wielu tym innym rany niemal śmiertelne!

Poeta powiedział: róść i działać! Rosłem jeszcze i oto miałem działać! Nadzieja, że znajdę spokój w domu, zawiodła, wprost przeciwnie nawet — wszystko się jeszcze bardziej skomplikowało. Położyć się spać, kiedy dzieją się takie rzeczy w naszym „Klubie Ludzi Pracy"!

Przekradłem się do drzwi. Nie miałem jeszcze określonego planu, lecz tylko zamiar wyrwania się na pole działania. Ale jak się tu wymknąć niepostrzeżenie, kiedy sterczy na drzwiach cały drąg z nierdzewnej stali, czyli bardzo wymyślny zamek z zasuwą, który przy odsuwaniu stuka i zgrzyta jak kobyla głowa ze strasznej bajki. Nawiasem mówiąc, u Eugeniusza drzwi zaopatrzone są w taki sam zamek i nawet mieliśmy raz niezłą nieprzyjemność. Ciotka Eugeniusza przekonana, że siostrzeniec ma klucz przy sobie (Eugeniusz zawsze miał swój klucz, a w ogóle — zawsze są nieprzyjemności z tym zamkiem i trzeba mieć jeden klucz gdzieś poza mieszkaniem, bo a nuż ktoś swój własny zgubi, a wtedy nie sposób w ogóle dostać się do mieszkania), zamknęła drzwi i pojechała w odwiedziny do jeszcze jednej ciotki Eugeniusza (miał tych ciotek chyba dwanaście). Kiedy Eugeniusz wrócił z pracy, drzwi były zamknięte. Nic strasznego, zwłaszcza że zaproponowałem koledze od razu, żeby spędził noc u mnie, a jutro ciotka wróci. Eugeniuszowi nie chodziło jednak o nocleg, tylko o ubranie.

— Mam tam nowy garnitur — powiedział rozgniewany. — Przecież nie pójdę w twoim...

Dokąd zamierza pójść nie pytałem, bo i tak wiedziałem. Z uwagi na dobrobyt materialny naszego społe-

czeństwa sam bym też nie poszedł na randkę z dziewczyną w pożyczonym ubraniu, jakkolwiek mój tata na przykład nie omieszkał przy każdej sposobności przypominać, jak poszedł do ślubu w pożyczonym surducie i jak podczas ślubnej ceremonii pękł mu w dodatku rękaw pod pachą, całe szczęście, że lewy rękaw, bo pan młody trzymał pannę młodą prawą ręką, więc lewą przycisnął do piersi i tak oto, na pół unieruchomiony, dociągnął do końca uroczystości.

Żywiąc do kolegi przyjazne uczucia, chętnie mu pomagamy. Co tu gadać, bardzo chciałem pomóc Eugeniuszowi, żeby mu się udało włożyć nowy garnitur, bo właśnie o tej porze miał stanąć przed Alą. Przyłożyłem palec do czoła, jak robią wszyscy w nadziei, że zrodzi się w ich mózgu myśl, jeżeli nie genialna, to bodaj pożyteczna. Przyłożyłem więc palec w miejscu, gdzie zaznacza się zmarszczka, kiedy ściąga się mocno brwi i w miejscu, gdzie skrzyżowała się ta zmarszczka z dotykającym czoła palcem, zaczęła kiełkować myśl, którą nazwałbym uroczyście koncepcją i która była następująca:

— Wiesz — powiedziałem do kolegi manifestując wyrazem skupienia na twarzy i całym w ogóle wyglądem, że moja koncepcja rodzi się w mękach — wiesz, jest wyjście...

— Wyjście? — drgnął Eugeniusz. — Jakie wyjście? I po co mi wyjście, chcę wejść! wejść do mieszkania!

— Żeby wejść do zamkniętego mieszkania, trzeba znaleźć wyjście z sytuacji bez wyjścia — powiedziałem z powagą.

Eugeniusz pomyślał, że się wygłupiam.

— Nie zawracaj mi głowy — krzyknął — możesz mi pomóc, to gadaj, a nie możesz...

— Aha — przyczepiłem się do ostatniego słowa —

jeżeli nie mogę, to co? Poślesz mnie do diabła albo jeszcze gorzej? Taki z ciebie przyjaciel?

— Zrozum — omal nie jęknął Eugeniusz — zrozum wreszcie...

— Ile masz jeszcze czasu?

— Godzinę.

— Tak jest — mój palec nie dotykał więcej czoła — za pół godziny włożysz swój nowy garnitur.

— Chciałbym wiedzieć jak? — skrzywił się Eugeniusz. — Może mi powiesz, że wasze klucze otworzą nasz zamek? Przecież każdy jest inny! Firmowy! Z gwarancją, bierz to licho!

— Wejdziemy przez balkon — powiedziałem nie siląc się na jakieś wysokie koncepcje.

Nie powiem, by Eugeniusz był wstrząśnięty tym nagim praktycyzmem, nawet mu się spodobał.

— Ale jak? — wyraził powątpiewanie. — Może mnie spuścisz z dachu na linie?

— Wylądujemy na balkonie z komfortem — uspokoiłem go. — Chodźmy do nas. Telefon otwiera każde drzwi. Nie zapominaj, że żyjemy w dobie techniki.

Eugeniusz podreptał za mną jeszcze nie dowierzając, ale żywiąc już niejaką nadzieję.

Wykręciłem dwie cyfry i oznajmiłem, że w „Klubie Ludzi Pracy" pali się na drugim piętrze.

„Klub Ludzi Pracy" znało całe miasto, strażacy też znali nasz dom doskonale, bo często przyjeżdżali tu na trening — bardzo im to odpowiadało, że dom wychodzi na dwie ulice. Można go obstawić samochodami strażackimi z dwóch stron i gasić.

— Pędźmy teraz na dół i czekajmy na strażaków! — krzyknąłem i zbiegliśmy czym prędzej po schodach, w naszym mieście bowiem strażacy zajmują pod względem sprawności, jeżeli nie pierwsze miejsce w Związku Radzieckim, to bez wątpienia drugie. Przyjechały od

razu cztery samochody na jedną i drugą ulicę. Wziąłem tę okoliczność pod uwagę i Eugeniusz czekał z jednej, a ja z drugiej strony domu. Samochód z mechaniczną drabiną przypadł w udziale mnie. Wskazałem kierowcy ręką, jak ma podjechać, żeby drabina wychynąwszy ze schowka oparła się o balkon drugiego piętra. Samochód zahamował, strażacy wprost się wysypali na chodnik, ale od razu się zorientowali, bo nie zdążyłem ust otworzyć, a już zrozumieli, że nic się nigdzie nie pali — nie było przecież ani dymu, ani ognia, a przede wszystkim — gapiów. A ci zbiegają się do pożaru chyba jeszcze wcześniej niż zaczyna buchać dym. Jeżeli zaś nie ma ludzi, nie ma również pożaru.

— Co to ma znaczyć! — wrzasnął na mnie mężczyzna w srebrzystym kasku, widocznie naczelnik. — Co za chuligańskie wybryki? Zachciewa ci się postrzyżyn? Kto nas wzywał?

— To cudownie — powiedziałem — cudownie, że słyszę z waszych ust, towarzyszu, pytanie: „Kto wzywał?", jakkolwiek postawione na samym końcu, bo wpierw obiecaliście mi bezpłatne postrzyżyny i wbrew konstytucji uciekliście się do pogróżek. Rzeczywiście, wzywałem was ja i rzeczywiście się pali.

— Gdzie się pali?

— O, tam.

Wskazałem na balkon na drugim piętrze.

— To balkon — powiedział strażak.

— Tak jest. A za nim mieszkanie. W mieszkaniu się pali.

— Co się pali?

— Gaz się pali. A drzwi są zamknięte. Na angielski zamek. Pstryk — i zatrzasnęły się. A klucze zostały wewnątrz.

— To z pana taki gapa?

— Bynajmniej, to...

Wymieniłem nazwisko Eugeniusza brzmiące, rzecz jasna, tak samo jak nazwisko jego ojca, które w naszym mieście wszystkie osoby bardzo szanowały. Poza tym gaz był w naszym mieście nowością. Zaledwie kilka miesięcy temu doprowadzono go do mieszkań i jeszcze nie wszyscy znali przepisy i nie umieli się obchodzić z tym paliwem, więc nic w tym nie było dziwnego, że taki a taki towarzysz zapomniawszy zakręcić gaz wyszedł z domu, zatrzasnął drzwi i...

Naczelnik straży pożarnej prawił mi jeszcze chwilę morały, jakkolwiek wytłumaczyłem mu, kim jestem i jaka jest moja rola w tej przygodzie, a potem dał mimo wszystko odpowiedni rozkaz. Wtedy przybiegł już zresztą Eugeniusz i spróbowaliśmy obaj pierwsi wspiąć się po drabinie, odepchnięto nas jednak, gdyż strażacy nie zamierzali bynajmniej ustąpić nam pierwszeństwa; w jednej chwili wspięli się na balkon, wybili bezlitośnie szybę, otworzyli drzwi, wpadli do mieszkania i — proszę bardzo, są już z powrotem na balkonie oburzeni, rozczarowani, wprost rozżaleni:

— Nie pali się! Gaz jest zamknięty!

Na szczęście byliśmy już obaj z Eugeniuszem na balkonie. W dawnych czasach, gdzieś w średniowieczu, zrzucono by nas zapewne razem z drabiną, jak to robiono wówczas ze wszystkimi, co usiłowali wedrzeć się na mury cudzego miasta, ale po pierwsze, wtargnęliśmy do naszej własnej fortecy, po drugie, czasy zmieniły się już dawno, ludzkość się ucywilizowała i cywilizacja nas uratowała. Nie zrzucono nas z górnych szczebli drabiny, nie oberwaliśmy nawet pod żebro, nawet nas nie zbesztano, bo nie godzi się besztać młodzieży, która — jak to wszyscy wiedzą — jest przyszłością ludzkości.

Wszystko skończyło się jak najlepiej. Eugeniusz nie spóźnił się na randkę z Alą i nowy garnitur granatowy

w ciapki leżał na nim jak ulał; byłem więc w świetnym humorze, który nie zepsuł mi się wcale z powodu niewielkiej kary pieniężnej, jaką trzeba było zapłacić strażakom. Bo co znaczy taka kara pieniężna! Zapłaciłbym dzisiaj nawet najwyższą, byle tylko dopomóc przyjacielowi!

Musiałem się tymczasem zastanowić, jak się wydostać z domu. Bo kiedy zamek zazgrzytał, mama wybiegła do przedpokoju i popatrzyła na mnie przestraszona.

— Dokąd, Mytiu? Już późno.

— Wstąpię jeszcze do Eugeniusza. Wkrótce wrócę. Odniosę tylko kieliszek.

Kłamałem czy powiedziałem prawdę? Sam nie wiedziałem. Bo rzeczywiście — dokąd? Tylko do Eugeniusza. W pierwszym odruchu. Kiedy znalazłem się jednak na schodach i przeskoczyłem przez dwa — trzy schodki, niepojęta siła pchnęła mnie wcale nie tam, lecz do innych drzwi, zapragnąłem zobaczyć tę, która wpłynęła na przebieg całego dnia dzisiejszego; znowu, jak niegdyś w dzieciństwie, kiedy Eugeniusz rzeczywiście czy, jak mi się tylko zdawało, całował się na Skrzypajce, otworzyły mi się oczy na to, czego dotąd nie dostrzegałem, zachciało mi się zobaczyć z bliska, przyjrzeć się.

Wprost podbiegłem do drzwi Szlachtyczów i zadzwoniłem dokładnie tak samo, jak dzwonił zawsze Lonia. Te dwa długie dzwonki i jeden krótki były swego rodzaju kodem dla ojca i syna i mogła go już znać Ala, jakkolwiek spędziła z nimi dopiero dzień lub dwa. Zadzwoniłem trzy razy udając Leonida, nawet nie wiedząc, czy jest on w domu, czy nie. Usiłowałem wtargnąć do tego domu nieproszony, robiłem to nachalnie i ta moja nieproszona wizyta mogła się wydać jeszcze bardziej nachalna, jeżeli Ala jest sama i czeka na powrót Leonida z pracy, jak też było rzeczywiście. Wtargnąłem w oczekiwanie i niepokój i drzwi otwarły się

natychmiast, jeszcze nie przebrzmiał mój (czy raczej przywłaszczony przeze mnie) sygnał, zdawało się, że Ala stała za drzwiami, stała i czekała na dzwonek, czekała na Leonida, a przyszedł...

— A, to ty, Mytiu — powiedziała nie zdradzając ani zdziwienia, ani oburzenia. Nie było w jej głosie również potępienia, czego się jakoś początkowo spodziewałem, lecz nawet radość w uśmiechu, w oczach Ali, w jej głosie, we wszystkim. A czy to ta sama Ala stała teraz przede mną? Nie znałem tej dziewczyny, wcale jej nie znałem. Kiedy mi otwierała drzwi i domyśliłem się, że Szlachtycza nie ma w domu, że swoim wtargnięciem bodaj trochę zepsuję humor młodej pani domu i w ten dotkliwy sposób zemszczę się jakoś za swego skrzywdzonego przyjaciela, przypomniał mi się nagle wiersz ze starej książki, wiersz właściwie poważny i smutny, ale chciałem wyrwać z niego dwa wersy i kpiąco rzucić je Ali w twarz. Brzmiało to tak: „Czeka na męża żona, dzieci do piersi tuli..." Słowa zamarły mi jednak na ustach czy raczej nie dotarły do nich, utkwiły gdzieś w zwojach mózgowych, jeżeli mam je rzeczywiście. Jakie tam wiersze, jeżeli miałem przed oczyma taki niespodziewany cud, stała przede mną inna Ala! Żadna tam znikająca w chmurach stewardessa, żadnych lodów Grenlandii, żadnych drwiących min i zatykania bliźnim gęby władczym spojrzeniem. Nawet jej włosy miały, jak się okazało, inny kolor niż dawniej. Znikła ich martwa płowość, żywe i złociste odrzucone na bok, spadały lekką falą na czoło, jedno ich długie pasemko zawadziło o brew, swobodnie i wdzięcznie spływało spoza lewego ramienia na piersi.

Co tam włosy! Trudno teraz zaimponować komuś włosami!

Ale oczy! Dość szeroko rozstawione, nie zanadto zresztą — malują się tak teraz dziewczęta zaznaczając

kąciki oczu niemal na skroniach, żeby wyglądały te oczy jak staroegipskie; uważam zresztą, że w tym patrzeniu bokiem jest coś psiego czy raczej ptasiego. Nie, Ali oczy rozstawione są w miarę i nieco przymrużone, dyskretnie uwodzicielskie, mają przy tym wdzięk jakby odpychający, zdają się mówić: jesteśmy piękne, lecz nie dla wszystkich, nie dla wszystkich!

Nie dzięki samym zresztą oczom twarz ta była taka niezwykła i urzekająca. Pomagały im rozstrzelone, niezbyt szerokie brwi, energiczny, zaborczy nos o lekko rozdętych nozdrzach i wreszcie usta uśmiechające się z niezwykłą godnością, odsłaniające bardzo białe, wilgotnie połyskujące zęby. I jeszcze długa delikatna szyja, szczupłe ręce, z których jedna spoczywała na włosach rozsypanych na piersi, a druga cofnęła się nieco wstecz w zapraszającym chyba geście. Dostrzegam wszystko: i białą bluzkę z kokardą z przodu — nasi eleganci na plażach zawiązują tak koszule — i spódniczkę w czerwono-czarną kratę, i czarne pończochy, i lakierowane pantofelki na obcasikach niezbyt zresztą niskich, tak że Ala dorównuje mi chyba wzrostem. Czyż Szlachtycz jest taki wysoki?

— Wejdź, czego stoisz? — roześmiała się Ala. — Lonia niedawno dzwonił, wkrótce przyjdzie.

Nie istniały dla niej żadne problemy, cały świat powinien być na usługi jej i Loni, była uosobieniem samowystarczalnego szczęścia, szczęścia samego w sobie. Aż coś we mnie zaryczało, chętnie bym rzucił jej w twarz: „A Eugeniusz! Co z nim będzie?" Wcale tego nie powiedziałem, sam nie wiem dlaczego, bąknąłem: „Śpiewajmy, śmiejmy się jak dzieci..." Pocieszyłem się myślą, że Ala zrozumie te słowa z głupiej przyśpiewki jako potępienie nieuczciwego i niemoralnego postępowania. Nie odgadła jednak głęboko ukrytej aluzji i powtórzyła:

— Wejdź w końcu, czego stoisz na progu?

Śmiała się całą swoją postacią, promieniała radością i pięknem, aż mnie zazdrość wzięła, korciło mnie wprost jak smarkacza, żeby się pochwalić przed Alą i już usta otworzyłem gotów opowiedzieć jej o promiennych, szarych oczach, lecz opanowałem się w porę, powstrzymałem wylatujące już z ust słowa i zastąpiłem je zwykłym ględzeniem:

— Przepraszam, bo myślałem, że Lonia jest w domu... Chciałem mu...

— Przecież zaraz przyjdzie, wejdź...

Chciałem jeszcze krzyknąć, że noga moja tu nie postanie, skoro mojemu przyjacielowi Eugeniuszowi zadano taki cios, ale znowu tylko bąknąłem ulegając niepojętemu urokowi tej dziewczyny uśmiechającej się z taką godnością:

— Szkoda... Nie wiedziałem... Nie mogłem Loni... Powiedz mu... Winszuję wam obojgu...

Przyjęła to najnaturalniej do wiadomości czy może nawet nie przyjęła, bo ironia była w całej jej pełnej wyniosłości postaci — nic już nie widziałem i nie słyszałem, bo wykręciłem się czym prędzej na pięcie i już odwrócony, wciąż udając wesołka, za plecami pomachałem Ali ręką i uciekłem sromotnie.

Dokąd teraz? Do Eugeniusza.

W zwykłej pozycyjnej wojnie z jego ciotką złamałem jej opór, wślizgnąłem się do mieszkania, doszedłem do drzwi pokoju Eugeniusza, zajrzałem i... cofnąłem się. U Eugeniusza siedziały już dwie osoby, prócz wujka Wasi także mój tata, Matwij Czereda. Teraz tata siedział na tym krzesełku, na którym siedzieliśmy już dzisiaj wszyscy po kolei: Hrysza Frusin, ja, Szlachtycz-ojciec i sam Eugeniusz. Wuj Wasia obejmując Eugeniusza siedział koło niego na kanapie i płakał. Eugeniusz chyba go pocieszał, mój ojciec zaś pocieszał ich

obu czy też może płakał razem z nimi, czego nie zdążyłem zauważyć, bo dałem natychmiast nogę. Nie czułem się zdolny patrzeć i na czyjąś bujną radość, jaką wprost tryskała Ala, i na ludzki ból, gdyż brakło mi niezbędnej po temu wielkoduszności. Wielkoduszni bywają tylko rodzice i nauczyciele. Wielu ludzi zasługuje na miano nauczyciela, ale jeszcze więcej — nie zasługuje na nie.

20

Nazajutrz z rana nadszedł telegram od Ziny: „Zapomniałam różowej bluzki. Niech przywiezie Frusin. Pozdrowienia. Zizi". Był to dokument o historycznym niemal znaczeniu. Wszystkie jej nadzieje legły w gruzach, chłopak, którego tyle lat kochała, tak samo potajemnie kochał, jak się okazało, inną i obecnie miłość ta wyszła na jaw, co przyniosło jednym wiele radości i szczęścia, a dla drugich miało następstwa tragiczne. Cóż więc powinna zrobić dziewczyna, czyli Zizi? Aż strach pomyśleć! A tymczasem przypomniała sobie bluzkę, bluzkę, którą nazywałem: „Szyję zasłaniamy, ręce pokazujemy", modną bluzkę z golfem, ale czyż w jej stanie ducha człowiekowi jeszcze moda w głowie? Co więcej: Zizi jeszcze w dodatku uważała, że z powodu Ali wszystko się tu u nas rozpadnie i Hrysza Frusin zmuszony będzie natychmiast wracać do instytutu i uciec bez laurów, jeżeli nie sromotnie.

Nasza kochana Zizi pomyliła się jednak. Bluzkę mama za moją radą odesłała pocztą, a Hrysza Frusin nie zamierzał na razie nigdzie wyjeżdżać czy uciekać. Jakkolwiek jego praca dobiegła końca, okazała się jednak wartościowa i pożyteczna. Z tysięcy możliwych wariantów, z milionów niewiadomych, z niemal jednoznacznej

beznadziejności Hrysza zdołał mimo wszystko wysupłać jedyną szansę, jedyną liczbę.

Zmagaliśmy się znowu z metalem. Nie ma bowiem większej radości, jak zmagać się z metalem, zmóc go i zwalczyć, jak zgniatać go i tłoczyć, kształtować dowolnie, tworzyć z niego nowe światy, nieskończoność i wieczność! Metal bywa zimny i nieprzystępny, z tępą obojętnością odpiera wszystkie nasze usiłowania, by go ujarzmić, niekiedy zaś szaleje, nie pozwala się poskromić, wyrywa się z ram zakreślanych rozsądkiem i niszczy wszystko dokoła.

Nie uważałem, że znam się lepiej na kaprysach metalu dzięki temu, iż w swoim czasie nie zdołałem w porę podporządkować sobie potężnej metalowej maszyny i zostałem z niej wyrzucony, gdy była w pełnym biegu; może kryło się we mnie więcej złości w stosunku do metalu i niechęci do cofania się przed nim — bo dokąd się miałem cofać, kiedy cisnęło mną w lesie o ziemię i po dziś dzień słyszę za plecami huk żelaznych motorów, a nade mną jaśnieją promieniejące radością szare oczy.

Burza, co przeleciała nad całą naszą gromadką, nie przestraszyła mnie, nie doprowadziła do rozpaczy, jakkolwiek z całego tego grona właśnie ja mogłem się uważać za dotkniętego szczególnie boleśnie: z jednej strony ból mego druha Eugeniusza, z drugiej ukrywane, niewidoczne cierpienia mojej ukochanej siostrzyczki Zizi.

Ranek zastał mnie w walcowni.

Powiedziałem, że „zmagaliśmy się z metalem" — „my", my wszyscy. Nie pomyliłem się. Wszyscy! Szlachtycz, Eugeniusz, nawet Ala, która stała przy swoich misternych instrumentach, wśród cudów elektroniki jak największy cud świata i nie rozbiła dzisiaj naszej gromadki, lecz przeciwnie, jakby zachęcała do

walki, do śmiałych poczynań, do wytrwałej nieustępliwości, tak że pracowaliśmy jak diabły. Szlachtycz stał również przy nas (był tu teraz Eugeniusz), wypróbowaliśmy Frusinowskie sto dwadzieścia stopni i rury od razu ruszyły jak te lale, nasza walcownia nigdy jeszcze nie oglądała nic podobnego; mistrz „Doczekajmy do poniedziałku" widocznie w porę zawiadomił o wszystkim towarzysza Tokowego, który wbrew wczorajszym pogróżkom uznał za stosowne trzymać się od nas z dala i cierpliwie czekał, czym się to wszystko skończy; ziało od niego na nas chłodem, ale nie zwracaliśmy uwagi, nie mieliśmy na to czasu. Rury szły: przerobiony, obudowany, nie podobny do samego siebie „rock'n'rollik" uwijał się w naszych rękach, nie wytrzymał naszej ostatniej próby i uległ. Zresztą, nie ma ostatnich prób, kiedy człek ma do czynienia z metalem. Ala zabrakowała bowiem naszą całodzienną produkcję, wszystko do ostatniego metra! Wszystko okazało się brakiem. Nie czyniło zadość szczególnym wymaganiom. Ciągnęliśmy rury zwyczajnie, a potrzebne były szczególne.

Ala była bezlitosna. Nie litowała się nad Szlachtyczem, dobijała Eugeniusza, mściła się na mnie za wczorajsze: „Śpiewajmy i śmiejmy się jak dzieci".

Duch Tokowego pojawił się z początku w osobie starszego mistrza „Doczekajmy do poniedziałku" i zaproponował nam kilka tytułów dla naszej pracy:

„Twardy orzech"

„Zamki na piasku"

„Operacja «Y»"

„Koniec «Saturna»"

Potem nadbiegł Frusin i wetknąwszy palce w dżungle swojej czupryny wrzasnął:

— Coście narobili? Zepsuliście wszystko! Czyż tak się robi!

Jakby był od urodzenia walcownikiem, a my wszyscy — zwykłymi partaczami.

— Jutro zaczniemy na nowo — powiedział Szlachtycz. — Rzeczywiście zagalopowaliśmy się dzisiaj. Trzeba pracować spokojniej, a teraz jest już nad czym.

Powiedział to sucho, rozsądnie i zwyczajnie. A we mnie aż się wszystko zakotłowało z radości. Chwyciłem Hryszę i puściłem się z nim w tan wokół „rock'n'-rolla" przygadując: „Śpiewajmy i śmiejmy się jak dzieci!" Eugeniusza wolałem zostawić w spokoju, bo a nuż rozwali się po wczorajszych przeżyciach!

Frusin wyrywał się i opędzał ode mnie. Był jakiś niezwykle poważny, nawet zły. Czy rzeczywiście tacy są wszyscy uczeni? Nikt z naszej gromadki nie manifestował zresztą radości, jakby nic się nie stało, jakbyśmy wreszcie nie ujrzeli brzegu dalekiej i majestatycznej rzeki czasu, brzegu, do którego zdążaliśmy przez swoją pracę, wytrwałość, umiejętności, do wszystkich diabłów! Ale zwycięstwo! Cóż że jeszcze niepełne, że częściowe, i podobnie jak Czemerysa tylko ilościowe. Jutro damy również jakość, co Szlachtycz i Frusin wiedzieli lepiej ode mnie. Zwycięstwo! Czy rzeczywiście wszystkie zwycięstwa przychodzą tak oto niemal ukradkiem, zwyczajnie, wprost na smutno?

Dotąd po pracy rozchodziliśmy się każdy w swoją stronę. Dzisiaj zaznaczyła się pierwszy raz zmiana, podzieliła się nasza czwórka na dwie pary — Szlachtycz i Ala oraz Eugeniusz i ja. Hrysza Frusin okazał się piątym kołem u wozu, a miał wielką chęć iść z nami i czym prędzej pogadać o dzisiejszym częściowym niepowodzeniu, wszystko wyjaśnić przed dniem jutrzejszym, ale Szlachtycz delikatnie powściągnął jego zapał i kiedy Ala przebrawszy się podeszła do nas, powiedział:

— Nie będziemy się tu zatrzymywali, chodźmy do nas. Razem z Alą zapraszamy wszystkich.

Spojrzałem na Eugeniusza, co na to powie.

— Jakoś głowa mnie boli — nie zdobył się na nic lepszego Eugeniusz.

— To z przepracowania — roześmiała się Ala. — Skoro tak, idź się przejdź, i przyjdziesz później.

— Dobra myśl — ucieszyłem się — obaj przejdziemy się trochę, a potem wstąpimy. A na razie Hrysza wyłoży wam wszystkie swoje teorie czy raczej resztki teorii.

— Mocno się mylisz, Czereda, jeżeli sądzisz, że to tylko resztki teorii — aż podskoczył Frusin. — Wszystko się dopiero zaczyna! Wszystko...

Ala zatkała mu dłonią usta i Hrysza mruczał chwilę z zatkanymi ustami.

— Chodźmy — pociągnąłem za sobą Eugeniusza, bo jeszcze zostaniemy pozbawieni swobody ruchu tak samo brutalnie jak Hryszę pozbawiono swobody słowa.

Poszliśmy. Skierowałem się do śródmieścia prowadząc Eugeniusza w stronę tego kwietnika, przy którym tyle razy wystawał w milczeniu i zapewne w błogim stanie ducha, ale Eugeniusz mi nie uległ, zdecydowanie zawrócił w przeciwnym kierunku. Ciągnęło go gdzieś na przedmieście, a śpieszył się tak, że ledwie mu dotrzymywałem kroku.

— Dokąd tak pędzisz? — krzyknąłem. — Goni cię ktoś? Czy... — O mały włos nie wypaliłem: — Czy się śpieszysz na randkę? Ale w samą porę ugryzłem się w język.

Pospacerowaliśmy nad rzeką patrząc na jej brunatną, jak zwykle jesienią, wodę. Gdzieś tam w sadach palono już liście, pierwsze przymrozki zwarzyły trawę. Dym wił się powoli, kłębami, łączył się z dymami huty,

snuł się nad rzeką i spływał w dolinę, nadając powietrzu lekki posmak goryczy i niezwykłą lekkość.

Poszliśmy potem na Glinianą Górę, po której pozostała sama tylko nazwa, i to nieoficjalna, gdyż obecnie biegnie tamtędy szeroka aleja Gagarina, a sama góra nazywa się placem Kosmonautów, który otoczony jest nowymi budynkami. Eugeniusz prowadził mnie długo po Glinianej Górze, jakby szukał wczorajszego dnia, jakby Szlachtycz-ojciec opowiadając mu wczoraj raz jeszcze swoją historię dodał jakieś nowe szczegóły, których nikt dotąd nie znał, i Eugeniusz chodził teraz po śladach przeszłości, zwłaszcza że sam przebywał w tej niedawnej, wczorajszej czy przedwczorajszej przeszłości; jeszcze mu nie wychodziła z głowy Ala i można mu było tylko współczuć, jak to robią zwykle ci, w których gronie Eugeniusz nie znalazł się z powodu swego kaprysu i znowu... z powodu Ali. „Przy sposobności wyrażam Naszemu Drogiemu Przyjacielowi głębokie..." Próbowałem układać humorystycznie zabarwione uroczyste pisma z wyrazami współczucia — Eugeniusz nadal nie reagował.

Zwróciłem uwagę na mnóstwo prywatnych samochodów, które pędziły po alei Gagarina i wyrywały się z miasta w otwartą przestrzeń, przypomniałem mu o naszym zaporożcu — zaporożce nie cieszyły się zresztą popularnością w naszym hutniczym mieście — ale Eugeniusz pozostał nadal kamiennie spokojny, zamknięty w sobie i zasępiony z powodu swojej czy raczej nie swojej Ali. Wspominaj, wzdychaj, martw się! Tfu!

— No, skoro tak — rozzłościłem się — to ci przeczytam nasz wspólny horoskop, bo obaj urodziliśmy się w grudniu pod znakiem Koziorożca i całe życie musi mieć jednakowy przebieg, żebyś nawet ze skóry wyłaził.

Popatrzył na mnie z nikłym błyskiem zainteresowa-

nia w oczach. Spodziewał się może, że w horoskopie będą jakieś dobre zapowiedzi co do Ali. Ba, figa z makiem!

— Więc słuchaj — powiedziałem i wygarnąłem jak wyuczoną lekcję: — Charakter chwiejny. Więcej skłonności do zła niż do dobra. Często doznaje uczucia zazdrości i w takiej chwili nie oszczędzi nikogo. Będzie mściwy i egoistyczny. Po pewnym czasie zechce się poprawić, ale będzie już za późno. Ludzie będą się go bać. Będzie podejrzliwy w stosunku do wszystkich, stanie przed sądem. Znajdzie się w więzieniu. Ucieknie, lecz zostanie schwytany. Jego ulubione zajęcie — zimny prysznic i tańce. W miłości niestały, porzuci wiele dziewcząt, niektóre pozbawi czci. Jedna pociągnie go wszakże do odpowiedzialności. Kiedy skończy trzydzieści dwa lata, lód się pod nim załamie. Będzie cierpieć na bóle w krzyżach. Zostanie obrabowany. Z zemsty ożeni się z wdową. Urodzony pod tym znakiem powinien się wystrzegać śniegu i lodu, zanieczyszczonego powietrza, napojów alkoholowych, domów cieszących się złą sławą. Jego strony świata: zachód, wschód, południe. Niech śpi zwrócony głową w jedną z tych stron. Nieszczęścia będą jednak nadchodziły także z tych stron, tylko mniej niż z północy...

— To wszystko? — zapytał Eugeniusz, kiedy się zatrzymałem, by zaczerpnąć powietrza.

— Jeszcze nie.

— Chyba wystarczy. I tak pozbierałeś wszystkie paskudztwa, jakie się dało.

— Horoskop mobilizuje człowieka, bracie, nie pozwala mu sflaczeć. To nie cygańskie wróżby...

— Od dawna się tym interesujesz?

— Od wczoraj. Jak zobaczyłem pewnego elegancika w niepogniecionych spodniach na kanapie z importu — roześmiałem się. — Czy przypomniała ci się może dyp-

lomacja? Bo dyplomaci, nawet tracąc przytomność, pewnie sprawdzają, czy spodnie mają odprasowany kant.

— Rzeczywiście ciężko mi na sercu — powiedział cicho Eugeniusz. — Czyż nie rozumiesz, Mytiu!?

— Nie rozumiem? Ja?... — Opowiedziałem mu wtedy o promiennych szarych oczach. Jemu pierwszemu opowiedziałem, zwierzyłem się.

Dawno już zeszliśmy z Glinianej Góry, przeszliśmy przez śródmieście, koło poczty i historycznego, tragicznego kwietnika, na który Eugeniusz chyba nie zwrócił wcale uwagi, zbliżaliśmy się już do „Klubu Ludzi Pracy", a ja wciąż opowiadałem o zielonych lasach, o marszu czołgów, o swoim locie ze stalowej wieży na miękką ziemię, o cichej leśniczówce, o niebie, które było całe usiane wesołymi, szarymi oczami. Eugeniusz mi nie przerywał. Słuchał uważnie, a kiedy skończyłem swoją opowieść, długo milczał, wreszcie powiedział:

— A może durnie z nas obu? Czy tak właśnie być powinno?

Staliśmy przed „Klubem Ludzi Pracy". Trzeba się było zdecydować.

— Pójdziemy? — zapytałem wskazując na balkon Szlachtyczów.

— Ojciec przekonał mnie w swoim czasie, że dyscyplina powinna brać górę nad uczuciami — powiedział Eugeniusz — że tylko dyscyplina czyni człowieka rzeczywiście wielkim. Nie wierzyłem. I nie mogłem uwierzyć. Uciekłem tutaj.

— I nie popełniłeś błędu. Z początku w twoje uczucie wierzyłem ja, teraz wierz ty w moje. Kupimy mimo wszystko zaporożca i pojedziemy szukać wesołych, szarych oczu. A teraz chodźmy do Szlachtyczów.

I poszliśmy do Szlachtyczów.

Żeby nadać naszym odwiedzinom uroczysty charakter, zawróciliśmy do sklepu i kupiliśmy odpowiednią ilość szampana, rzecz jasna, w granicach finansowych możliwości nas obu.

Wszystko nadaremnie. Bo jeżeli nas w ogóle zauważono, to na szampana nikt nie zwrócił uwagi. Ale mniejsza o to.

Otworzyła nam... ciotka Eugeniusza. Rzecz jasna, szedłem pierwszy i właśnie mnie przypadł w udziale ten zaszczyt, że natknąłem się na ciotkę. Na wszelki wypadek zajrzałem za drzwi, żeby się przekonać, czy nie pomyliłem numeru mieszkania. Nie, nie pomyliłem się. Spojrzałem więc na Eugeniusza, czy nie trzeba będzie, jak to się już raz okazało konieczne, wzywać straży pożarnej. Eugeniuszowi było wszystko jedno. Wzywaj, kogo chcesz, wyczytałem z jego smutnych oczu, i tak nie ma ratunku ani na niebie, ani na ziemi. Ciężko jest walczyć z takim stanem ducha, jeszcze trudniej jest iść naprzód, ale cóż mi pozostało! Naprzód, tylko naprzód! Z milczącym zdecydowaniem odsunąłem ciotkę, utorowałem drogę Eugeniuszowi i niemal wepchnąłem go do pokoju, skąd dolatywała wrzawa wielu zmieszanych głosów.

A ludzi było tam tylu i to takich niespodziewanych gości, że obeszłoby się bez nas. Ale zresztą — jak się mogło obejść? Młodość to nasze jutro, a młodością niezbyt tu zalatywało. Ala i Szlachtycz — oto cała młodzież. A poza tym sama powaga, dostojeństwo, godność, nawet starość. Pewien bardzo utalentowany poeta warknął pewnego razu: „Staryś?... Na szmelc! Czaszka na popielniczkę".

Nie cytuje się jednak obecnie tych jego słów, więc nie będziemy ich cytowali także my z Eugeniuszem.

Przeciwnie, przynieśliśmy szampana w charakterze podarunku. Nikt tego nie zauważył. Na nas też nie zwrócono uwagi. Jeden tylko Czemerys mruknął:

— A, młodzi? Przyszliście?...

Przy długim stole odbywała się wieczerza. Nie ostatnia, raczej nazwijmy ją pierwszą; a odbywała się nie tylko z okazji połączenia się dwóch młodych serc, ile raczej na cześć naszego pierwszego dzisiejszego zwycięstwa w walcowni, zebrali się tu bowiem ludzie z naszej huty i to głównie płci męskiej poza Alą, główną personą, poza ciotką Eugeniusza, niezawodną strażniczką wejścia i wyjścia, i wreszcie moją mamą, którą zobaczyliśmy niebawem. Zobaczyliśmy również niebawem Hryszę Frusina, który włożywszy fartuszek, jak kiedyś u nas towarzysz Tokowy, gotował w kuchni kawę, sam ją podawał i bezwstydnie chwalił..

Ala i Szlachtycz siedzieli pośrodku, co nie wymaga objaśnień i komentarzy i jest samo przez się zrozumiałe. Czemerys z racji swoich ojcowskich przywilejów powinien był dotykać łokciem łokcia jeżeli nie córki, to bodaj zięcia. Wypchnięto go jednak korzystając z ugruntowanego na dobre lekceważenia wszelkich zewnętrznych form i konwenasów. I któż go wypchnął? Nie stary Szlachtycz, który z przesadnie uroczystą miną, kusztykając roznosił wraz z moją mamą napoje i przekąski, i nie szanowny mistrz Czereda, sąsiad i stary znajomy Szlachtyczów, i nie dyrektor zakładów, który siedział gdzieś na szarym końcu, też zepchnięty, że tak powiem, na peryferie przez własną skromność czy już starość, i nie sekretarz egzekutywy Wasyłenko, któremu nie wypadało siedzieć zbyt blisko młodej pary ze względu na swoje partyjne stanowisko, lecz powinien był trzymać się środka, neutralności, życzliwej neutralności; siedział jeszcze przy stole nasz zakładowy poeta, fenomen niecodzienny i trochę dziwny, ale to nie

poeta odsunął Czemerysa od nowożeńców, jako że poetom przystoi skromność i skromni są z powołania, a zresztą zawsze muszą się trzymać trochę z dala, żeby więcej widzieć i nie oberwać tego, czego by woleli nie obrywać, sójek także. Co prawda, jedno miejsce koło Loni Szlachtycza było zarezerwowane dla mojej mamy, bo wątpię, by ciotka Eugeniusza zechciała zasiadać tu, na miejscu matki, kiedy jej ukochany siostrzeniec tak cierpi i taki jest niepocieszony. Ale miejsce koło Ali... Któż je zajmował? Kogo nie wymieniłem w swoim wyliczeniu? Hrysza Frusin, jak się rzekło, gotował w kuchni kawę i jeszcze nawet nie wiedzieliśmy, że tu jest, bo obaj z Eugeniuszem przyszliśmy dopiero co i staliśmy w drzwiach trzymając w objęciach ciemne butelki z owiniętymi sreberkiem szyjkami; dyrektora zakładów, jak już również powiedziałem, zepchnięto na szary koniec, a kiedy władza się starzeje, pojawia się i rozkwita nachalność. Koło Ali rozsiadł się, zadowolony z siebie i całej swojej marności, towarzysz Tokowy! I nikt go stamtąd nie przepędzał, nikt nie śmiał zepchnąć go na dalsze miejsce!

Postawiłem swoje butelki na podłodze i pokazałem Eugeniuszowi na migi, żeby zrobił to samo, wpadłem do kuchni, bo orientowałem się w tym mieszkaniu jak we własnym, wziąłem stołek, przyniosłem do pokoju i z łatwością, odsunąwszy ramieniem Tokowego razem z jego krzesłem, postawiłem swój stołek między Tokowym i Alą.

— Oho — usiłując obrócić wszystko w żart zawołał Tokowy — Myt'ko wbija klin...

Poprawiłem się na swoim stołku, rozsiadłem się na dobre.

— Zaraz przyniesie sobie stołek Eugeniusz, trzeba się będzie jeszcze trochę posunąć, towarzyszu Tokowy — usadowiwszy się w końcu, zapowiedziałem sąsiadowi.

Wasyłenko, który siedział naprzeciw, widząc moje manewry wybuchnął śmiechem i zaniósł się potem jeszcze głośniejszym śmiechem, kiedy między siebie i Tokowego wpakowałem jeszcze Eugeniusza. Potem nalał nam po kieliszku, trącił się z nami i Alą i mrugnąwszy do nas obu zadeklarował:

— „A młodzik chce świat zadziwić i w pocie czoła pracuje..."

Poeta pił wódkę na drugim końcu stołu i wymachiwał dyrektorowi przed nosem jakimiś długimi paskami papieru gazetowego, zadrukowanymi — nie wiem dlaczego — z jednej tylko strony.

— Spróbujcie się dobrać do Szlachtycza — z daleka nastawił swoje krzaczaste brwi na Lonię — przecież to absolutnie nie komunikujący się człowiek.

— Co? — zapytała Ala. — Jaki?

— Nie komunikujący się — powtórzył poeta rozkoszując się słowem, które przyniosło mu na język, rzecz jasna, nie mleko od zakładowej krowy i które rozłożone na cząstki morfologiczne też by nam nic nie objaśniło...

— Podszedłem raz do niego — ciągnął poeta nie zwracając uwagi na wrzawę i na to, że nikt go nie słucha — podszedłem i powiadam: „pozwoli pan przypalić?" A on mi na to: „Nie palę". — „Jestem też niepalący — powiadam — przepraszam". Tak wyglądała nasza rozmowa. Zbierałem jednak długo materiał. Nie ciągnąc ich za język starałem się wniknąć nie tylko w istotę rzeczy, ale wprost w dusze tych chłopaków. I napisałem. Esej ma tytuł dość tradycyjny: „Zwiadowcy przyszłości". Ale takie są wymagania. To duża gazeta, ma swój styl.

— Nie wierzę gazetom — wypalił niespodziewanie Eugeniusz. — Dzisiaj piszą jedno, a jutro coś wręcz przeciwnego...

— Gazety często pomagają — przypomniał mój ojciec.

— Pomagają? — głos Eugeniusza zabrzmiał płaczliwie, przecież nikt i nic nie mogło mu dopomóc. Szturchnąłem go w bok.

— Nie przeszkadzaj ludziom.

— Duża gazeta — powtórzył poeta — ale esej długo tam trzymano. Dzisiaj przysłano mi korektę. I co mi po niej? Teraz, kiedy wszystko należy już do przeszłości? Depeszowałem do redakcji, że wycofuję swój esej. Życie mnie wyprzedziło. To smutne i pocieszające zarazem.

— Podejście państwowe — powiedział dyrektor — przede wszystkim podejście państwowe.

Pochyliłem się do Eugeniusza.

— Kto powie o Tokowym pierwszy — ja czy ty?

Eugeniusz — nawet nie wiem jak i kiedy — wypił już kilka kieliszków wódki i wszystkie morza wydawały mu się teraz nawet nie po kolana, lecz po kostki.

— Co? — wrzasnął przez cały stół do dyrektora. — Podejście państwowe? A Tokowy?

Wasyłenko z tamtej strony stołu patrzył na nas, młodych, roześmianymi oczami. Tokowy w pierwszej chwili poruszył się niespokojnie, ale nadrabiał miną.

— Zawsze działałem w interesach państwa — odchrząknął z powagą. — A jeżeli postępowałem powściągliwie, to — jak wiadomo — człowiek na stanowisku kierowniczym powinien zachowywać ostrożność. Rozumną ostrożność. O czynach sądzimy przecież według ich rezultatów. Ważny jest rezultat ostateczny. Takie jest właśnie podejście państwowe.

Nie wnikając głębiej w znaczenie słów Tokowego dyrektor kiwał twierdząco głową. Eugeniusz brnął po kostki w swoim morzu i odżegnywał się od Tokowego jak od upiora; Wasyłenko śmiał się samymi oczami, nie

zamierzając psuć sobie humoru niepotrzebnymi sprzeczkami przy stole; poeta rozdziawił gębę, zdziwiony widocznie czelnością Tokowego, ale na tym właściwie poprzestał. Tylko mój tata — zauważyłem to — pobladł i sprężył się cały powstrzymując się z trudem, by nie zaatakować Tokowego, i mnie jeszcze świerzbiał język, żeby przygadać do słuchu temu specjaliście od skoków z balkonu, jakkolwiek rozumiałem przy tym, że właśnie dzisiaj mam doskonałą sposobność po temu, żeby zmilczeć, skoro mam w kieszeni klucze, jeżeli nie od wieczności, to bodaj od dnia jutrzejszego. Co mnie obchodzi Tokowy? Ale Szlachtycz... Czyż taki zaabsorbowany swoim szczęściem, że wszystko Tokowemu przebaczył?

— Loniu — powiedziałem cicho i z przejęciem. — Czyż nie dasz mu dzisiaj, żeby mu w pięty poszło?

Lonia miał roześmiane oczy jak Wasyłenko.

— A ty, Alu? — zapytałem. — Też masz dzisiaj takie dobre serce?

— No, przecież dobrze się skończyło — odpowiedziała. — Może właśnie dzięki...

— Dzięki czemu? Popatrzyłem na nią pogardliwie.

— Nie jesteś stworzona do siedzenia. Powinnaś stać i dawać się podziwiać w całej okazałości. Masz wtedy ostrzejszy język — powiedziałem i przedrzeźniając ją powtórzyłem: „Może właśnie dzięki..."

Bo okazuje się, że wszystko bierze dobry obrót tylko dzięki tępocie i haniebnej przeciętności Tokowego? Nie Szlachtycz, lecz Tokowy przyczynił się do naszego pierwszego zwycięstwa nad metalem dzisiaj w walcowni? Żelazna logika. Wieczność odwrócona do góry nogami. Milion Tokowych przeciwko milionowi Szlachtyczów, a dwadzieścia milionów robotników ma się tylko przyglądać jak publiczność na meczu i wykrzykiwać bezmyślnie na cześć zwycięzcy? A jeżeli przypadkiem zwycięży Tokowy? I czyż zwycięstwo — to

wszystko? Zwyciężyć nie znaczy jeszcze wcale przewyższyć.

— A co, panie Tokowy — zwróciłem się do zastępcy naszego kierownika walcowni — co będzie, jeżeli wszyscy poprosimy wuja Wasię, żeby wziął pana ostrożniutko, wyniósł na balkon i opuścił prosto i bezlitośnie? Jak pan na to zareaguje?

Zalatywało w powietrzu awanturą, ale Hrysza Frusin przyniósł kawę, więc zaleciało mimo wszystko kawą.

— Nigdzie więcej nie napiją się państwo takiej kawy — oświadczył z dumą Hrysza — niech się Tokowy przekona, że umiem bodaj kawę gotować, jeżeli nie wierzył w moje zdolności do hutnictwa.

— Uwierzymy, uwierzymy i zaprotokołujemy — dziarsko zawołał Tokowy, wdzięczny Frusinowi, że poratował go. Nie zapomniał jednak o mnie, bo wypiwszy łyk kawy z filiżanki, mrugnął porozumiewawczo w moją stronę: — Na błędach się uczymy, Mytiu, na błędach. Myślisz, że źle wam życzyłem? Trochę was straszyłem, żeby wystawić na próbę. Bo jak człowiek nie jest strachliwy, to nie zejdzie ze swojej drogi. Sprawdzałem, czy mocno się trzymacie...

— Próbowałem również postraszyć cię trochę — odpłaciłem mu pięknym za nadobne.

— Kto posługuje się siłą przeciwko rozumowi — powiedział Wasyłenko nie zwracając się specjalnie do nikogo — ośmieszy się prędzej czy później.

— Z perspektywy wieczności — dorzuciłem.

— Może nawet z perspektywy wieczności.

— Ależ pijcie kawę — zawołał Hrysza przynosząc jeszcze jedną tacę — póki gorąca!

Eugeniusz wciąż się wiercił zniecierpliwiony, bo od dawna już chciał dać upust swojej długo i z trudem hamowanej gadatliwości. Hryszy nawet do głowy

przyjść nie mogło, jak bardzo na rękę była Eugeniuszowi jego kawa i zachęcenie do jej wypicia.

— Ktoś ty — groźnie powiedział Eugeniusz przez stół wskazując Frusina palcem — uczony jesteś czy umiesz tylko chlać kawę? Wszyscy teraz chleją kawę! Moda!

Nie tak łatwo było jednak zbić Hryszę z pantałyku.

— Każdy pije, co lubi — zawołał szczerząc zęby w uśmiechu — a piją, jak wiadomo, nie tylko uczeni, ale nawet gęsi.

Eugeniusz zepchnął mnie z mego stołka, usiadł koło Ali i zapomniawszy od razu o Hryszy zapytał zupełnie wytrzeźwiony, z przejęciem w głosie:

— Myślisz, że dla ciebie porzuciłem dyplomację, tak właśnie myślisz?

— Nic nie myślę — roześmiała się Ala. — No wiesz, Eugeniuszu!

— Porzuciłem dyplomację dlatego, że obaj z Myt'ką jesteśmy filozofami. Prawda, Myt'ko jest marksistą i dialektykiem, a ja pragmatykiem. Sam nie wiem, co to takiego, ale jestem pragmatykiem. Mam zwyczaj wszystko robić własnymi rękoma, nie gadać tylko dużo. Należę do klasy robotniczej. Klasa robotnicza — to fundament. Co mi tam dyplomacja? I co mi tam Tokowy? Gdzie jest Tokowy?

Tokowy skorzystał z tej Eugeniuszowej gadaniny, żeby się zręcznie przenieść na koniec stołu do dyrektora i teraz trajkotał mu coś do ucha bezustannie i do znudzenia (huczał tak samo nieznośny wiatr, przed którym nie sposób się ukryć), dyrektor kręcił głową, ale Tokowy czatował na jego ucho i znowu trajkotał i trajkotał. W oczach dyrektora było nieme błaganie, na migi pokazywał poecie, żeby mu przyszedł z pomocą, ale właśnie dobrał się poecie do skóry mój przyjaciel Eugeniusz, który szukając przy stole Tokowego natrafił spojrzeniem na poetę.

— Proszę bardzo — powiedział złośliwie — poeta! Pisze wiersze o rurach? Po co o rurach pisać? Rury trzeba robić. A wiersze trzeba pisać o Ali, o wesołych, szarych oczach. Nikt z was nie wie o tych oczach, a ja i Myt'ko...

— Bądź cicho, idioto — doradziłem spokojnie przyjacielowi — napij się kawy, co ją ugotował Hrysza, i bądź cicho...

— A dlaczego mam być cicho? Niech mi ten poeta powie, po co pisze wiersze o rurach!

Poeta od razu się zaczerwienił, ściągnął brwi, jak zajadły polemista przesunął się z krzesłem na drugą stronę stołu i znalazł się obok Wasyłenki, a naprzeciw Eugeniusza.

— Po co ten pogardliwy ton... — powiedział. — I nie wypada, i trochę po smarkaczowsku... Młodzież powinna...

— Pewnie, uważa pan, że młodzież powinna myśleć tylko o spółdzielczym mieszkaniu i kiedy ukażą się w sprzedaży fiaty, ile będą kosztować? A ja i Myt'ko nie należymy do takiej młodzieży. Jesteśmy filozofami.

— Dobra, nie przeczę, jesteście filozofami.

— Ja jestem pragmatykiem, a Myt'ko... Chociaż młody, ale już... — Eugeniusz nie był pijany, po prostu udawał kozaka. Bo siedział w dodatku przy Ali.

— A wie pan, jaki zawód wymieniał w kwestionariuszach Lenin? — zapytał poeta. — Pisał: literat. Literatura to najbardziej odpowiedzialny z zawodów. Nikt z członków społeczeństwa nie może na przykład zgłosić zawczasu zapotrzebowania na określony utwór. Weźmy „Cichy Don". Kto mógł przewidzieć zapotrzebowanie na takie właśnie dzieło? Kto je mógł zaplanować? Komu była potrzebna taka powieść? Tylko jej autor, Michał Szołochow, mógł wyczuć zapotrzebowanie na taką właśnie epopeję i tylko on mógł ją napisać.

Czy można kimś zastąpić Szołochowa, jak zastępuje się dyrektorów przedsiębiorstw czy ministrów?...

— Ale rury? — obstawał przy swoim Eugeniusz. — Co do tego mają rury?

— Dobra, pogadajmy o rurach. Znajdują zastosowanie w setkach urządzeń, potrzebują ich zakłady, cała gospodarka narodowa, zarządy centralne, ministerstwa. Tysiące ludzi przed wmontowaniem nowej rury już ją zmierzyło, wiedzą, jaka być powinna, znają wszystkie jej cechy. Wiedzą nawet, jak ją wyprodukować. Wiedzą, lecz nie umieją. Umie zawsze ktoś jeden. Albo kilku. Ludzie ci zamykają łańcuch jako jego ogniwo końcowe. Przypominają trochę literata. Po części. Bo literat jest początkiem i końcem w jednej osobie. A ci ludzie, ludzie uzdolnieni, twórcy jakiegoś nowego wyrobu kończą to, co zapoczątkowali inni. Robią to jednak w sposób twórczy, z natchnieniem. Dlaczegoż więc ja, skoro przyglądam się z bliska twórczości ludzi, nie miałbym spróbować, jeżeli nie opiewać ją, to bodaj opisać?

— Krowa — powiedział niespodzianie Czemerys, który siedział dotychczas w milczeniu i, jak się zdawało, nie przysłuchiwał się nawet rozmowie. — Dali człowiekowi krowę, więc musi odpracować...

Wszyscy się roześmiali, śmiał się także poeta.

— Mam małe dzieci — powiedział ze wzruszeniem w głosie — poeci też miewają małe dzieci...

— A pieśń o naszej hucie? — zapytał Czemerys. Nikt nie zrozumiał o co mu chodzi.

— Pieśń! — nie ustępował walcownik. — Od ilu już lat słuchamy przez radio samej muzyki jakiegoś tam hymnu hutników! Nie może pan ułożyć słów? Długo pan z tym zwleka...

— To nie zależy ode mnie — wzruszył ramionami poeta.

— Zależy — odezwał się na drugim końcu stołu mój tata — od wszystkich zależy. I ludzie na wszystko zwracają uwagę. Nic na świecie nie jest im obojętne.

Wtem weszła moja mama i za nią ciotka Eugeniusza. Niosły torty i inne słodycze, jakby wyczuły, że rozmowa przy stole nabiera posmaku goryczy i trzeba ludziom dać coś słodkiego do zjedzenia. Frusin zdążył z nową porcją kawy, którą gotował w małych rondelkach utyskując, że nie ma w gospodarstwie miedzianego kociołka.

— Narysuj mi go tylko, a zrobię ci nawet miedzianego diabła — obiecał mu Czemerys.

— Byle w godzinach nadliczbowych! — wtrącił skwapliwie Tokowy. — Byle w nadliczbowych!

Tylko Lonia Szlachtycz i Wasyłenko siedzieli nic nie mówiąc i wymieniali same tylko spojrzenia, a oczy im się śmiały, niekiedy wtrącała się do tej milczącej rozmowy Ala, a wreszcie przykusztykał Szlachtycz-ojciec, który dotrzymywał dotąd towarzystwa kobietom w kuchni, usiadł między synem i Matwijem Czeredą, otoczył jednego i drugiego ramionami i roześmiał się:

— Ale rozmówki! Popisuje się nasza młodzież. A nas spychają na szary koniec. Kiedy myśmy byli młodzi, Matwiju, nikt się nie liczył z młodzieżą, a kiedyśmy się zestarzeli, teraz starzy nie cieszą się szczególnym szacunkiem. Pechowe jest to nasze pokolenie.

— Nie powiedziałbym, Wasylu, nie powiedziałbym — nie zgodził się z nim mój ojciec. — Był u nas jeden taki. Zapytasz go, jak mu się żyje, a on odpowiada: „Pracuję". Słowem, pracuję, więc żyję. Tak samo było z każdym z nas. A teraz mamy wolny czas, żeby wszystko przemyśleć. Pewnie, że trzeba mieć na to czas. A twój Lonia milczy dzisiaj. My milczymy i on milczy. A dlaczego?... Mój Myt'ko trzaska tu dziobem,

a Lonia słucha w milczeniu, chociaż nie warto właściwie słuchać gadaniny tych naszych filozofów. Czy mógłbyś nam coś powiedzieć dzisiaj, Loniu, to taki ważny dla ciebie wieczór.

— Nic nie wiem — powiedział Leonid — nic dzisiaj nie wiem. Człowiek czuje się czasem zmęczony ze szczęścia. Tak samo zmęczony i z powodu zmartwienia, i ze szczęścia.

Objął jedną ręką Alę, drugą swego ojca.

— Oto tych dwoje ludzi... no... nie potrafię mówić o sobie... trudno mi... Eugeniusz mówi, że jest pragmatykiem, ja natomiast — zwyczajnym praktykiem... Często mi się tylko przypomina, jak byłem jeszcze mały... bez ojca... Nie było ciebie, tato, tylko złe ludzkie języki. I pustka. Beznadziejna i nieskończona. Pisałem wtedy listy. Do taty, którego nie było. Pisałem: „Wiem, tato, że cię nie ma i nigdy nie będzie, ale co robić? Nie mam więcej do kogo pisać, a pisać trzeba, bo słyszałem, że wszystkie dzieci powinny pisać listy do swoich ojców..." No, stara to historia i nikomu niepotrzebna...

— Przepraszam — zerwał się poeta — przepraszam...

Przez szacunek dla tajemnic jego zawodu wolę jednak urwać w tym miejscu, zwłaszcza że i tak wieczór bardzo się już przeciągnął.

22

Gdyby mnie zapytano o historię, odpowiedziałbym w ten sposób: jest historia pisana, raczej chwytana na gorąco, i pod wielu względami powierzchowna, i jest historia prawdziwa, która czeka z oceną wydarzeń i przyczyn, by dopiero po pewnym czasie wskazać im

odpowiednie miejsce i usunąć wszystko, co zrodziło się z wrzawy, jaką podnoszą ludzie tymczasowi, z ich nieuctwa i pustej gadaniny. Jak każda kobieta historia bywa wstydliwa, ale tym bezwstydniej korzystają z tego ludzie w rodzaju naszego Tokowego.

Zwyciężyliśmy metal, poskromiliśmy niepokorne mechanizmy nadając im nowe właściwości, ale kiedyśmy walczyli w ostatnim, że tak powiem, stadium, towarzysz Tokowy przyczepił się do nas niepostrzeżenie i z bezczelnym natręctwem i podnosił wokół nas wrzawę, tym razem na naszą korzyść, tylko że dla niewtajemniczonych wyglądało to tak, jakby bez Tokowego nie zaczęło się tu nic i na niczym by się skończyło. Mało tego! Krążył dokoła nas, komenderował, oszczędzał nasze siły i powtarzał raz po raz:

— Nie róbcie nic zbędnego!

— A co jest zbędne? — pytałem kpiąco.

— To, co nie dotyczy głównego zadania.

— A co nie dotyczy?

— Chłopcze! — Tokowy podniósł palec. — Chłopcze! Pozostaw to już nam. Zaprotokołowaliśmy i basta!

Cała walcownia przechodziła teraz na sposób walcowania rur, jaki zaproponował Szlachtycz, który pełnił funkcje instruktora, my zaś byliśmy jego pomocnikami. A któż był organizatorem?... Towarzysz Tokowy. Przyjeżdżali ludzie z innych hut. Uczyć się i przejąć doświadczenie. Witał gości i oprowadzał kto? Towarzysz Tokowy. A kto oprowadzał po walcowni uczonych z Instytutu Walcownictwa?... Nie, nie Hrysza Frusin, tylko towarzysz Tokowy. Wypływają wszak na powierzchnię historii męty. Ale co nas to wszystko obchodziło.

Mogliśmy teraz triumfować, gdybyśmy umieli i wiedzieli, jak się to robi. Wystarczało nam jednak całkowicie zwykłe zadowolenie z naszego osiągnięcia

i w tym właśnie duchu oddziaływał na nas Szlachtycz, zawsze skromny i niezwykle uprzejmy Lonia, którego nie przeobraziła nawet wielka przygoda z Alą.

Zapomnieliśmy jednak o Tokowym. Zlekceważyliśmy go po prostu, nie przywiązywaliśmy znaczenia — nikt nie traktował go poważnie od czasu, kiedy się ostatecznie ośmieszył. Sam Tokowy zresztą dawno zapomniał o swoim „zasadniczym stanowisku", nie udawał ani mocy niebieskiej, ani demona-niszczyciela, kontentując się rolą małego diabełka, nie zapominał jednak o dużych korzyściach. Pewnie, mógłbym to przemilczeć, ale prawdziwość tej historii da się stwierdzić tylko przez jej powtarzanie, niestrudzone i nieustanne, ewentualnie z nieistotnymi zmianami; trzeba więc wyłożyć wszystko aż do końca, nie pomijając Tokowego, co jest zresztą przykre.

Obaj z Eugeniuszem nie byliśmy obecni przy tej rozmowie. Nie zależało nam na tym i nie wiedzieliśmy zresztą. Tokowy upatrzył odpowiedni moment, wziął Szlachtycza pod rękę i poprowadził przejściem między walcarkami, jakby mu chciał pokazać, co już zostało zrobione w oddziale, a potem niby to od niechcenia, sennie i z nabożeństwem zarazem powiedział:

— A więc, Leonidzie, trzeba załatwić formalności!

— Formalności? — nie zrozumiał Szlachtycz. — Jakie formalności?

Nie znosił formalności i papierów, zupełnie słusznie widząc w nich ograniczenie niezawisłości człowieka. Pod tym względem wszyscy byliśmy zgodni i rzeczywiście nie czuliśmy się osamotnieni.

— Rzeczywiście nie rozumiesz? — nie uwierzył mu Tokowy. — Takie osiągnięcie! Przecież to cały przewrót! Nie może się obejść bez okrągłej sumy i udekorowania! Koniecznie! Załatw formalności w celu uzyskania Nagrody Leninowskiej!

— Nie widzę potrzeby — najzwyczajniej odpowiedział Szlachtycz — zachowanie to było bardzo do niego podobne. Tokowy w pierwszej chwili nadaremnie szukał słów, żeby jakoś przekonać tego niepojętego uparciucha, kilka razy chwycił ustami powietrze, z wysiłkiem zamrugał oczami, aż wreszcie udało mu się dać wyraz zdziwieniu:

— A dlaczego?

— Zbyt wysokie odznaczenie. A cośmy zrobili?

— Przecież nie bogowie otrzymują nagrody, tylko ludzie. Za to, czego dokonano u nas, należy się nie jedna, a bodaj dziesięć nagród. Trzeba załatwić formalności!

Tokowy wytrwale unikał ścisłości w swoich wypowiedziach. Nie mówił: „Zrobiłeś", „Zrobiliście", „Załatwiajcie formalności". Nie, używał formy nieosobowej: „U nas dokonano", „Trzeba załatwić formalności". Szlachtycz nie zwracał uwagi na te niuanse, oburzyło go jednak samo postawienie sprawy i powiedział do Tokowego:

— Mówisz to tak, jakby chodziło o zapisanie się na listę reflektujących na kupno lodówki. Zdaje mi się, że kiedy ludzie czegoś dokonali i są czegoś warci, to powinien o tym mówić ktoś... ponad nimi czy jak. Masy... Partia... No, nie wiem, jak się to odbywa, ale jestem przekonany, że człowiek nie może sam oceniać swojej pracy. Istnieje przecież społeczeństwo. Bo niby jak? Przychodzę i proszę o nagrodę dla siebie. To samo, co przyjść i zaproponować swoje usługi na stanowisko ministra lub prezesa Akademii Nauk. Śmiechu warte!

— Nie potrzebujesz proponować sam — z ulgą roześmiał się Tokowy. — Huta wszystko załatwi, huta wytypuje.

— Instytut Walcownictwa pracował tak samo.

— Wytypujemy również pracowników instytutu. Niby dlaczego by nie? Naukę szanujemy i wytypujemy wszystkich, których należy wytypować. To praca zespołowa, uczeni też pracują teraz zespołowo. Technika, rzecz jasna, też wymaga zespołowości... Jednostki — to dla kapitalizmu, a u nas...

— Możesz uważać, że nie rozmawialiśmy na ten temat...

— Dziwak! Uchwalono, że nie masz się o nic martwić! Wszystko załatwimy. Nawet nie będziesz o niczym wiedzieć. Kwestionariusze, charakterystyki — wszystko to zrobimy.

— Cześć i chwała temu, co wymyślił kwestionariusz i charakterystykę. Cześć i chwała!

Gdyby Lonia w porę zapoznał nas z treścią tej rozmowy, nie potrafilibyśmy, co prawda, obaj z Eugeniuszem zapobiec ostatniemu wywyższeniu towarzysza Tokowego, lecz bardzo możliwe, że gdzieś w ciemnym kącie spróbowaliśmy porachować mu zęby, żebra i kości, które można policzyć. Szlachtycz pragnął jednak najprawdopodobniej ustrzec nas od tego rodzaju postępków i dlatego nic nam nie powiedział.

A tymczasem gdzieś zastukały maszyny do pisania i ogłupiali biuraliści przedkładali do podpisu charakterystyki, nosili z jednego gabinetu do drugiego kwestionariusze, przy czym tak szeleścili papierami, że szelest ten zagłuszył im całkowicie huk żelaza w walcarkach, podobnie jak huk żelaza zagłuszał nam szelest papierów w bliskich i takich dalekich nam zarazem kancelariach; zdawało się nam, że triumfuje tylko czyn, ale ten czy ów — i to nie bez podstaw po temu! — pokładał nadzieje w cichym papierze, bladym i białym. Komu co odpowiada!...

Zupełnie niespodzianie dla nas ukazały się w gazetach listy wytypowanych do Nagrody Leninowskiej

w zakresie nauki i techniki. Na listach tych figurowały przeważnie całe grupy kandydatów do nagrody (panowała tu zasada zespołowości!) i wśród tych grup i zespołów widniało: „Za opracowanie i wdrożenie całkowicie nowej metody walcownia rur...", co dla zwykłego czytelnika musiało zabrzmieć bardzo zwyczajnie. Potem wyliczone były nazwiska. Na czele — te głośne: prezes komisji państwowej (podnosiło wagę!), dyrektor huty (ze względów partyjnych), dyrektor instytutu naukowego, w którym pracował Frusin (ukłon w stronę nauki), główny inżynier huty (ze względu na stanowisko służbowe) i towarzysz Tokowy (dziw nad dziwy!). Pięć pierwszych nazwisk równoważyły dość blado cztery następne, zamykające listę: Szlachtycz, Frusin i dwaj szeregowi walcownicy, czyli Eugeniusz i ja, Dmytro Czereda, co mogło budzić tylko śmiech! Bo rzeczywiście: obok takich szanowanych i zasłużonych ludzi — jacyś tam niewykwalifikowani, niedokształceni i chyba niewychowani jak należy, skoro pchają się do takiego przyzwoitego towarzystwa. Co też wypisują ci parający się pisaniną tępacy!

W hucie znowu zaczęto na nas spoglądać trochę ironicznie i chyba nie tyle dlatego, żeśmy się wpakowali sami na taką szacowną listę, ile za bezwstydne kokietowanie zwierzchnictwa. Bo co też tam podopisywali! I nikt nie pytał, jak to było z tym dopisywaniem, nie sposób nic nikomu dowieść — mocne jest wydrukowane słowo!

Chyba po raz pierwszy w życiu i ja, i Eugeniusz poczuliśmy, co to takiego całkowita bezradność i bezsilność. Bo nawet kiedy zostałem wyrzucony z czołgu, wiedziałem, że wcześniej czy później, ale grzmotnę mimo wszystko o ziemię, która — twarda czy miękka — przyjmie w swe objęcia swego jakoś pozbieranego syna, żeby przywrócić go życiu tak lub inaczej od-

nowionego, jeżeli nie całkowicie, to w każdym razie bodaj częściowo. Także Eugeniusz owego tragicznego dnia, kiedy dowiedział się o Ali i leżał na kanapie z importu w odprasowanych spodniach, nie tracił nadziei, że otworzą się drzwi i przyjdzie ona, żeby go przynajmniej pocieszyć, i drzwi otwierały się rzeczywiście przez cały dzień, co prawda, nie przed Alą, ale otwierały się. A co teraz?

Powiedział pewien nauczyciel: „Żeby jeść smaczne rzeczy, trzeba walczyć. Żeby myć się pod prysznicem i żeby myśleć, też trzeba walczyć!" To się nazywa nauczyciel! Nie dalibyśmy mu rady tak samo, jak towarzyszowi Tokowemu. Jacy tam z nas zapaśnicy! Należeliśmy do przykładnie skromnych obywateli.

Narobić krzyku, żeby skompromitować Tokowego, czy powiedzmy, głównego inżyniera, który też na to zasługuje, nie moglibyśmy, bo wyglądałoby to, że działają we własnym interesie, nie chcą się z nikim podzielić nagrodą.

Szlachtycz zapatrywał się na wszystko spokojnie i z rozsądkiem.

— Co to takiego nagroda? — powiedział. — Nagroda, zwłaszcza im. Lenina — to najwyższe odznaczenie, o jakim może człowiek marzyć. Szczyt marzeń! Ale jednocześnie nagroda dotyczy minionego już etapu. Po zdobyciu szczytu, zaczynamy schodzić w dół. Powinniśmy jednak dawać codziennie dowody, że jesteśmy ludziom potrzebni. Może dlatego nagrody są dla młodzieży raczej szkodliwe. Nie wiem.

Ja i Eugeniusz też nie wiemy. Odczuwaliśmy jednak niesprawiedliwość jak cios w samo serce. Bo jak tak być może? Niegdyś, po pierwszym dniu czynu społecznego, Lenin pisał, że w dobie socjalizmu ludzie będą pracowali dobrowolnie. Dobrowolna praca powinna być jedną z cech nowego społeczeństwa. I właśnie praco-

waliśmy rzeczywiście dobrowolnie, nikt nas nie poganiał, przeciwnie, przepędzano nas, przeszkadzano, odtrącano. Kto to robił? Nasz Tokowy. A teraz wykazuje dobrą wolę, by otrzymać nagrodę. Mniejsza zresztą o nagrodę, chodzi o to, że Tokowy czepia się nóg, wisi na nas jak stupudowy ciężar i znowu nie pozwoli iść naprzód. Taka jest rola Tokowych w naszym życiu. A wszyscy się dziwią i w milczeniu wzruszają ramionami. A potem rozkładają ręce albo piszą jak mój ojciec pamiętniki dokonując spóźnionych odkryć, już przez to samo tak bardzo pożałowania godnych.

A właściwie to jestem niesprawiedliwy w stosunku do ojca. Bo zastanówmy się tylko, co przypada w udziale wszystkim ojcom i matkom. Troski, zmartwienia, ból. Synowie giną na wojnach, synowie odchodzą i nie wracają, córki są bądź niezbyt ładne, bądź niezbyt szczęśliwe. A lekkomyślność dzieci? Docent Kryżeń jest na przykład przekonany, że cała młodzież jest okropnie lekkomyślna, co wynika ponoć z jej niewyrobionego poglądu na świat. A pogląd na świat powinien być tylko poważny, co równoznaczne jest umiejętności śmiania się tylko po pracy i w wolne od niej dni; poza tym należy poświęcać czas na poważne refleksje światopoglądowe! Widocznie docent Kryżeń tak był zajęty poważnymi rozmyślaniami, że nie zdołał się ożenić do czterdziestki, a całkowity brak poczucia humoru nie pozwolił mu wyczuć, jakie śmieszne było jego zalecanie się do Ali, w dodatku publiczne, na wykładach.

Docent Kryżeń nie ma zresztą nic wspólnego ze sprawą nagrody. Bo w gazetach zaczęło się właśnie omawianie kandydatur do Nagrody im. Lenina. Towarzysz Tokowy chodzi po hali z miną człowieka, o którym będzie jutro mowa w rubryce „Nagroda dla najgodniejszych", po naszym oddziale pałętają się operatorzy kroniki filmowej, przygotowując się do kręcenia

całego filmu dokumentalnego, mistrz „Doczekajmy do poniedziałku" jest w siódmym niebie i bombarduje filmowców tytułami wszystkich filmów, jakie mu się udało kiedyś obejrzeć lub bodaj o nich usłyszeć. Tokowy również krąży wokół krzątających się chłopców w wiatrówkach i grubych wełnianych swetrach. Wie bardzo dobrze, że na ekranie należy zaprezentować „managera produkcji", bez którego nic się w ogóle dziać nie mogło i nadal nic się dziać nie będzie.

Nastaje dzień kręceń. Reżyser uwija się przy swojej aparaturze, zamienia z operatorami i swoimi pomocnikami, niedźwiedziowatymi i apatycznymi, jakieś niezrozumiałe słowa, coś do nich wykrzykuje; wreszcie kamerę skierowano na naszą walcarkę, mnie i Eugeniusza odsunięto trochę na bok, żebyśmy nie przeszkadzali, lecz stanowili tło produkcyjne, masę, załogę, na pierwszy plan wyrywa się mistrz „Doczekajmy do poniedziałku" i wzywa do siebie Szlachtycza z poufałością graniczącą raczej z lekceważeniem.

— Towarzyszu Szlachtycz, stańcie o tutaj... „Myśmy jak dwa brzegi jednej rzeki..."

Szlachtycz nie idzie na wezwanie, więc go niemal wypchnięto na środek. Od razu podskakuje do niego reżyser, chwyta to za jedną rękę, to za drugą, obraca na wszystkie strony, cofa się, przygląda, jak rozstawieni są jego bohaterowie, wreszcie z daleka:

— Towarzyszu inżynierze, powiedzcie coś do mistrza!

— A co powiedzieć? — Szlachtycz uśmiecha się, jakby się przyglądał dziecięcym figlom.

— No, cokolwiek w związku z pracą...

Szlachtycz zacisnął zęby, aż mu wystąpiły guzy na policzkach. Bledszy niż zwykle odwraca się i odchodzi.

— Dokąd? — wrzeszczy reżyser. — Przecież wychodzi pan z kadru!

Szlachtycz nie zatrzymuje się jednak. Daje nam znak i obaj z Eugeniuszem odchodzimy również na bok, żeby nie służyć nawet za tło dla tej komedii. Doprowadziliśmy w ten sposób reżysera do rozpaczy. Tylko po to, żeby mu przyjść z pomocą w tej rozpaczliwej sytuacji, towarzysz Tokowy, który w porę się tu znalazł, zaproponował swoje dobrowolne usługi! Zawsze tylko dobrowolne! Trzeba tu stanąć i coś powiedzieć? Ale owszem. Stanął naprzeciw mistrza „Doczekajmy do poniedziałku" i zaczął od pięknego zdania: „Nasz oddział..." co zabrzmiało jak „mój oddział", „moje przedsiębiorstwo". A w dalszym ciągu zostało powiedziane, że: „Wprowadzamy i wdrażamy... nawet bez okresu przejściowego. Odkryliśmy i od razu wprowadzamy... Dzięki..." Dzięki komu? Jasne, że dzięki towarzyszowi Tokowemu. Zawsze ma na wszystko gotową odpowiedź. Cóż, „manager produkcji", zasłużył na „nagrodę dla najgodniejszych"...

A tuż obok stał prawdziwy manager produkcji i rzeczywiście godny (sam jeden!) najwyższych nagród, stał i przyglądał się drwiąco, jak powstaje filmowe fałszerstwo. No a ja i Eugeniusz, jako że należeliśmy do niezbyt jeszcze dojrzałej kadry i nie posiadaliśmy już całkowicie ustalonego, poważnego poglądu na świat, śmialiśmy się chwytając się za brzuch, umieraliśmy ze śmiechu!

W dwa dni później na zdjęcia przyszli dyrektor huty i sekretarz egzekutywy Wasyłenko.

Wasyłenko był energiczniejszy niż dyrektor, umiał się zdobyć na maksimum energii potrzebnej prawdziwemu człowiekowi, a tym razem postąpił w ogóle bez żadnych ceregieli. Stanął przed kamerą przesłaniając operatorowi cały świat boży, zawołał reżysera i zapytał go spokojnie:

— Co pan tu robi?

— Kręcę — odpowiedział reżyser.

— A co?

— No... najnowsze metody...

— A może gadaninę?

— Nie gadaninę, lecz wypowiedzi. W filmie potrzebne są wypowiedzi.

— No więc, słuchaj pan: wypowiedzi nie potrzebujemy! Ludzie staną przy walcarkach i będą ciągnęli rury — oto cały film.

— Oczywiście. Ale przecież wypowiedzi...

— Praca i czyn — powiedział Wasyłenko — oto nasza wypowiedź. Niech pan sobie zapamięta, że hutnicy wypowiadają się w czynach... A kto miele językiem, ten hutnikiem nie jest. Ani klasą robotniczą... To, co pan nakręcił, może pan wyrzucić... Przepraszam, że się wtrąciłem... ale dyrektor huty w tym wypadku jest tego samego zdania...

Dyrektor powołał się na „podejście państwowe" i na tym skończyła się kariera filmowa towarzysza Tokowego. A my dwaj z Eugeniuszem przystąpiliśmy do wykonywania swoich obowiązków względem państwa i pracowaliśmy z łatwością i nie udaną gorliwością, może nawet z dumą, jakkolwiek nie uświadamialiśmy sobie tego. A potem mieliśmy przygodę, która nie pozostaje w żadnym związku ze wszystkim, co się działo dotąd, i była niezależna od naszej woli, przytrafiła się sama przez się, przypadkowo, a jednocześnie — mówiąc zwyczajnym, bezpretensjonalnym językiem — w ramach prawidłowości. Jesteśmy bowiem bardzo młodzi, daleko nam do powagi docenta Kryżenia, nie mamy pojęcia o zagrażającej nam starości i, o ile się da, staramy się unikać cierpienia, które niekiedy zwala się mimo wszystko na człowieka, jak to było z Eugeniuszem, i uparcie nie ustępuje.

Jednym słowem, wracając z huty spotkaliśmy dwie dziewczyny. Jeżeli chodzi o ścisłość, to szliśmy po jednej stronie ulicy, a dziewczyny po drugiej. Nawet trochę przed nami i dosyć szybko. Zobaczyliśmy je po raz pierwszy. Nie uganiamy się obaj za dziewczętami, ale na wszelki wypadek wciągamy je na listę, czyli że znamy (tak się nam w każdym razie zdaje) wszystkie dziewczęta w naszym mieście, a te ładne — to już z całą pewnością! Tych nie znamy jednak. Nigdyśmy ich nie widzieli i nie spotkali. Nie słyszeliśmy o nich.

Zauważyliśmy je z daleka, nie widząc jeszcze ich twarzy. Już same ich sylwetki budziły zainteresowanie. Czy może strój? Zbyt barwny jak na jesień i trochę niezwykły w naszym mieście teraz, późną jesienią (zresztą, jest u nas ciepła). Widocznie strój ten harmonizował jednak z naszym stanem ducha, bo obaj przyśpieszyliśmy kroku, żeby dopędzić te nieznajome dziewczyny i iść dalej w równoległym do ich marszu kierunku. Nie, tego też nam było mało, więc przeszliśmy od razu na ukos na drugą stronę ulicy, wbrew regulaminowi ruchu ulicznego, jeszcze nigdzie u nas nie przestrzeganemu poza jedną chyba aleją Gagarina.

Jedna z dziewcząt była różowa, a druga niebieska. Innymi słowy, jedna miała na sobie wszystko różowe — świetnie na niej leżący kostium, pantofelki, torebkę w ręku, a druga — wszystko błękitne. Aż oczy rwał ten strój! Kształty ich były bardzo dziewczęce, a wszystkie proporcje bliskie doskonałości. Wystarczy raz spojrzeć na takie dziewczyny, a same nogi poniosą człowieka za nimi — takie już niepoważne są te nogi.

Dopędziliśmy dziewczęta z szybkością jastrzębia spadającego na kurczaka. Ale już u celu musieliśmy uśmierzyć swoją „jastrzębiowatość". Dziewczyny miały śliczne twarzyczki, ale miały także ostro patrzące oczy, patrzące nie z ciekawością, lecz przenikliwie i od-

pychająco. Niczym czerwone światło semafora. Stój i nie ruszaj się!

Różowa lepiej mi się podobała. Miała nieco dłuższą szyję niż ta błękitna i natura obdarzyła ją chyba szczodrzej dziewczęcymi czarami. Wbiłem od razu spojrzenie w różową, ale ta, jakby zdawała się mnie nie dostrzegać i skierowała wzrok na Eugeniusza. Jeżeli ma to oznaczać: „Nie zbliżaj się!" — to jeszcze pół biedy, ale jeżeli znaczy coś innego... Nie spodobało mi się to od razu. Szliśmy na razie w milczeniu, szliśmy rzędem po chodniku w dwóch parach. Obaj z Eugeniuszem nie zdążyliśmy się jeszcze zorientować, czy dziewczęta są przyjezdne, czy zwyczajnie wyrosły na tutejszym gruncie. Szliśmy tak, że ja z błękitną znalazłem się w środku, a różowa i Eugeniusz — po bokach, co nie przeszkadzało różowej strzelać oczyma do Eugeniusza i uparcie omijać wzrokiem moją osobę. Przyjrzeć się bliżej błękitnej nie miałem chęci, więc postanowiłem zdobyć się na większą śmiałość i prześcignąć kolegę, uzyskać pierwszeństwo we współzawodnictwie, które miało się zacząć czy może już się zaczęło.

Zapytałem więc od niechcenia, ale nie bez galanterii:

— Panie pozwolą?

— Co? — zapytała błękitna, gdyż różowa była zajęta Eugeniuszem i nie miała czasu na rozmowę. Co w nim właściwie widzi? A może wie, że jego ojciec jest wiceministrem? Nie, prawdę mówiąc, to niemożliwe. A w porównaniu ze mną Eugeniusz tracił literalnie pod każdym względem! Tracił i... wygrywał zarazem. Aż dziw!

— Prosimy, by nam wolno było towarzyszyć paniom — wytłumaczyłem obu dziewczynom, nie mając zamiaru rozmawiać tylko z błękitną. Z jakiej racji!

— Proszę — powiedziała błękitna — nie wydzierżawiłyśmy chodnika.

Chyba powinniśmy się obaj poczuć dotknięci. W każdym razie warto by jej odpalić jak należy. Już nawet otworzyłem usta, ale pohamowałem się. Niby dlaczego ja? Dlaczego nie odezwie się Eugeniusz? Zerknąłem na niego, mój kolega był jednak, jak mi się wydało, całkowicie pochłonięty odbiorem i deszyfrażem sygnałów radiowych, które nadawały czarne oczy różowej.

— Wracamy z huty — wyjaśniłem, ale obie nie zwróciły uwagi na moje słowa. Dodałem więc żartobliwym tonem, jakby cała nasza rozmowa była dowcipną szermierką słowną wysokiej klasy.

— Czyli że idziemy do domu. A panie?

— Też do domu — powiedziała błękitna.

— A skąd?

— Z pracy.

— Gdzie panie pracują?

— W instytucji.

— W jakiej?

— W radzieckiej.

Moje pytania były popisem dowcipu, ale odpowiedzi brzmiały jeszcze dowcipniej. Odpowiadała błękitna, różowa zaś, ta ładniejsza, milczała i tylko strzelała oczami do Eugeniusza. Zawsze przypada mu w udziale więcej — ma facet szczęście!

Postanowiłem zmienić dyslokację. Pozostawiłem Eugeniusza u boku błękitnej i przeskoczyłem do różowej. Zakotwiczyłem się przy niej, ale wątpię, czy zostałem zauważony! Wciąż obrzucała strzelistymi spojrzeniami Eugeniusza, ja zaś szedłem przy niej z zapartym oddechem i nie śmiałem nawet zerknąć na nią. Żeby nie wykroczyć przeciwko technice bezpieczeństwa. Było bowiem w tej dziewczynie coś, co nazwałbym masą krytyczną: spojrzysz na nią i wybuchniesz, rozpadniesz się na atomy z zachwytu (we wszystkich innych razach,

a tym razem — ze złości na jej niepojęte zainteresowanie Eugeniuszem).

Wtem niespodzianie odezwała się różowa. Może się przelękła, że nie zobaczy więcej Eugeniusza z powodu nieprzystępności i uporu swojej błękitnej koleżanki?

— Czekajcie na nas jutro o tej porze przed Instytutem Pedagogicznym.

A tymczasem daleko od nas i niezależnie od nas dzieje się coś, czego nie przewidzieliśmy — nic w tym zresztą dziwnego, jeżeli weźmiemy pod uwagę fakt, że obaj z Eugeniuszem tak kiepsko znamy się na ludziach. Kiedyśmy byli zajęci kroniką filmową, kiedy biegaliśmy potem po ulicach za nieznajomymi różowo-błękitnymi dziewczynami, dwóch ludzi w podeszłym wieku, którzy nie mieli nic pilnego do roboty, byli bowiem obaj na zasłużonej emeryturze, jak się to pisze w gazetach, wsiadło sobie do samolotu i poleciało, nic nikomu nie mówiąc, do Moskwy. Nie żeby się rozerwać, lecz — po sprawiedliwość.

I oto gabinet, w którym nigdy nie byłem i nie będę, ale który teraz znam i zawsze znać będę, gdyż utrwalił się w naszej rodzinnej pamięci, chociaż — jak by się zdawało — po co w rodzinnych wspomnieniach całe gabinety! Mogę nie tylko wyobrazić sobie i odgadnąć — znam dobrze wszystko w tym gabinecie i wiem, jakie rozbrzmiały tam słowa właśnie w tym momencie, kiedy obaj z Eugeniuszem marnowaliśmy czas na pogaduszki z nieznajomymi dziewczynami. Stół, przy którym odbywają się posiedzenia. Trochę staromodny, jeszcze z suknem pośrodku, dzisiaj już chyba takich stołów się nie produkuje. Ściany wyłożone boazerią. Dębową. Ciężkie, obite skórą krzesła. Obita skórą kanapa. Wszystko retro — dąb, skóra, solidność. Wszystko przeciwstawia się tu tej nowoczesności, jaka panuje za ścianami tego budynku, za jego schodami, windami

i obszernymi salami. Stół nie dzieli siedzących tu ludzi. Trzej niemłodzi mężczyźni siedzą po tej samej stronie stołu, siedzą zsunąwszy krzesła, że niemal dotykają się ramionami, i piją herbatę. Mocną moskiewską herbatę, jaką podaje się w solidnych moskiewskich instytucjach w dowód szacunku dla gości. Dwaj z nich mają Złote Gwiazdy na piersiach, trochę różne: Gwiazdę Bohatera Związku Radzieckiego i Gwiazdę Bohatera Pracy Socjalistycznej. Trzeci Gwiazdy nie ma, ale — jak dowodzą baretki na jego marynarce — odznaczony jest dwoma Orderami Lenina i trzema Orderami Czerwonego Sztandaru Pracy. Nietrudno się domyślić, że siedzi przy stole Szlachtycz-ojciec, były mistrz Matwij Czereda i jako gospodarz Oleksandr Mykołajowicz, który przyjeżdżał do naszej huty na czele komisji państwowej.

Bezszelestnie wchodzi i wychodzi jego pomocnik niosąc to tu, to tam teczki z papierami do podpisu. Głowę ma przechyloną na bok, jakby nasłuchiwał. Wszyscy, co roznoszą takie teczki, mają w ten sposób przechylone głowy. Od czasu do czasu odzywa się cichy brzęczyk selektora, ale Oleksandr Mykołajowicz wyłącza telefon i wstaje tylko wtedy, kiedy na innym stole dzwoni biały telefon z herbem Związku Radzieckiego na tarczy. A potem znowu wraca do gości.

— Wygraliśmy wojnę... taką wojnę — mówi. — Każdy z nas był na swoim miejscu... My z Matwijem nie byliśmy na froncie... Ale czyż nic nas nie kosztowało zwycięstwo? Czyż tak łatwo zasłużyłem na Gwiazdę, a on na Order Lenina?

— Pewnie — odzywa się Szlachtycz.

— Wojna trwa dla mnie dotychczas, prawdę mówiąc — stwierdza z naciskiem Oleksandr Mykołajowicz.

— Nie ulega wątpliwości — znowu odzywa się Szlachtycz, a Matwij Czereda przytakuje:

— Trzeba walczyć, trzeba!

— Społeczeństwo nie jest jednorodne — mówi Oleksandr Mykołajowicz — nie brak w nim, niestety, różnych szkodliwych domieszek jak w metalu. Uczeni marzą o czystym metalu, my — o idealnie czystym społeczeństwie...

— Trzeba walczyć przeciwko konformistom, przeciwko wydrwigroszom i niezdarom — chmurzy się Czereda, kierując powoli rozmowę na pożądany tor.

Oleksandr Mykołajowicz czuje widocznie, do czego zmierzają goście, woli jednak ograniczyć się do ogólnikowych rozważań, więc nie podejmuje podsuwanego wątku, tylko wzdycha:

— Ciężko nam tak samo jak podczas wojny.

— Nie znaczy to jednak, że można zamykać oczy na niesprawiedliwość, tłumacząc się złożonymi i ciężkimi obowiązkami! — jakby przypominając coś, co było kiedyś dawno, i coś zupełnie jeszcze nowego mówi z naciskiem Matwij Czereda.

— Staramy się nie zamykać.

— Nie nasza to rzecz wtrącać się do spraw państwowych — mówi Szlachtycz — przyjechaliśmy z Matwijem w sprawie, która dotyczy... Chodzi właściwie o naszych synów, o Myt'ka Czeredę i o mojego Lonię.

— Wiem... Słyszałem... Szkoda, że nie spotkałem się wówczas z waszymi chłopcami, nie pogadałem. Słyszałem, jak Leonid przemawiał na zebraniu, ale to nie to samo... Trzeba było poświęcić więcej uwagi... Teraz robię sobie wyrzuty, a was chwalę... Za takich synów państwo może wam być tylko wdzięczne...

— Nie o to nam chodzi, Oleksandr — jeszcze bardziej chmurzy się Matwij Czereda — w gazetach zamieszczono listy wytypowanych do Nagrody im. Lenina...

— Są tam wasi chłopcy...

— Właśnie dlatego przyjechaliśmy — wierci się na krześle Szlachtycz. — Żeby ich skreślić z tej listy.

— Skreślić? Jak to?

— Przywieźliśmy ich podania na piśmie...

— Nie rozumiem... Matwiju, co to znaczy?

— Widzisz, Oleksandrze — powiada Czereda — wychowałem syna jak mogłem... Jak potrafiłem... Ale jak przystało robotnikowi. Żeby strzegł naszego honoru... No a nagrody... Bo na przykład podczas wojny też się zdarzało, że ktoś otrzymywał order przez przypadek. Nie przywiązywano wtedy do tego znaczenia. Ale po wojnie ten i ów z tych udekorowanych nie wiadomo za co, korzystał ze swoich tak zwanych zasług, żeby kilkadziesiąt lat nic nie robić i żyć na rachunek swoich dawnych zasług...

— Mniejsza o te wyjątkowe wypadki — przerywa mu Szlachtycz. — Bo jeżeli człowiek jest rzeczywiście zasłużony, czyż ma żyć tylko na rachunek przeszłości? Ja na przykład. Całymi latami naród powinien mi wypłacać coś jakby daninę za moje dawne czyny, nie takie znowu wielkie, jeżeli się zastanowimy...

— Przecież jesteś prócz tego inwalidą — przypomina Czereda.

— Inwalida może też coś robić... A ja — nic nie robię. Upijam się sławą...

— Trochę inaczej to wygląda — wtrąca się do rozmowy Oleksandr Mykołajowicz. — Państwo jest organizmem złożonym, potrzebni mu są bohaterowie współcześni, ale również ci, co reprezentują tradycje przeszłości. Jednowymiarowość nie jest tu pożądana, gdyż uboży państwo, osłabia...

Szlachtycz zrywa się z krzesła i przez chwilę kusztyka po gabinecie, żeby trochę rozprostować okaleczoną nogę.

— Może przesadzam... Może nie wszystko widzę

z okna naszego „Klubu Ludzi Pracy"... Ale czyż to tak trudno zauważyć, jak jedni tworzą co dzień coś pożytecznego w życiu, a inni tylko z tego korzystają i jeszcze w dodatku krzyczą wniebogłosy, jeżeli wydaje się im, że ponoć przypadło im w udziale za mało!

— W zasadzie macie chyba rację... Domyślam się, co was dotknęło... Obrażono prawdziwych ludzi pracy... Rozpatrzmy więc razem całą tę sprawę...

Oleksandr Mykołajowicz naciska guzik dzwonka, zgłasza się jego pomocnik.

— Proszę o teczkę wytypowanych do Nagrody Leninowskiej.

Po chwili na stole leży gruba teczka.

— A więc... No, zacznijmy od tego, że figuruje tu moje nazwisko. Wykreślam je. Złożyłem już podanie. Wpisał je ktoś nie pytając mnie o zgodę. Nie wiem po co. Żeby lista nabrała większej wagi, bo ja wiem...

— Przez wazeliniarstwo — mówi stanowczo Czereda.

— Może. Wszystko jedno. Wykreśliłem swoje nazwisko. Mam po temu prawo. Ale pozostałe trzeba rozpatrzeć...

— Nasi synowie też mają prawo. Proszą, żądają. Więc my...

— Wykreślić nazwiska waszych synów — to przekreślić całą tę listę. Bo któż właściwie pracował?

— Właśnie! zagrzmiał za ich plecami Szlachtycz. — Okazuje się, że jeden coś zrobił, a dziesięciu się pod to podszyło? Cóż to ma znaczyć? Wpisano nawet tych, co przeszkadzali, stawali na przeszkodzie. Mów, Matwiju, wiesz przecież lepiej! Powiedz o Tokowym, o głównym inżynierze!

— Wszystko zostanie rozpatrzone — obiecuje Oleksandr Mykołajowicz — wszystko uważnie przestudiujemy, z całą odpowiedzialnością. Obiecuję wam...

Możecie być pewni... Ludzie naszego pokolenia muszą być solidarni...

A później, po kilku miesiącach — gazety, gazety, gazety... W telewizji przemawia prezes Akademii Nauk... Rozbrzmiewa nazwisko Szlachtycza i po nim nazwiska moje i Eugeniusza, skromne, jak wypada zaznaczyć. Wydorośleliśmy od razu. W ciągu jednego dnia!

Było to jednak później, a tymczasem obaj z Eugeniuszem manifestowaliśmy i na wszelkie sposoby (nie wyłączając niepoważnych) zacieśnialiśmy solidarność naszego, czyli młodego pokolenia.

Nazajutrz po zawarciu znajomości z różowo-błękitnymi dziewczynami biegniemy po pracy na dawną Glinianą Górę, gdzie znajduje się obecnie plac Kosmonautów, a na placu tym wznosi się gmach Instytutu Pedagogicznego, nowy gmach nowego instytutu, niedawno otwartego w naszym mieście, a w instytucie tym są dwa cuda, różowe i błękitne, studentki lub wykładowczynie od razu dwóch (czy czterech — po dwa na każdą) języków obcych, a może nawet docenci jak nasz stary znajomy Kryżeń. Spieszymy na spotkanie z tymi zagadkowymi studentko-wykładowco-docentami zapominając o wszystkim na świecie, ogarnięci chwilowym zamroczeniem, nie czując zmęczenia po zmianie i nie zważając na deszcz, co leje od samego rana, rzeczywiście jesienny, zimny, ulewny, szary deszcz. Przybiegamy na plac Kosmonautów zasapani i przemoczeni, bo i ten deszcz, i spociliśmy się od śpiesznego biegu, plac jest olbrzymi, domy stoją tu daleko jeden od drugiego, nie ma się gdzie schować, nie ma nawet żadnego słupa, żeby go podeprzeć i postać, zaczekać, i smaga wciąż ten sam szary, uprzykrzony, zimny deszcz.

— Może wejdziemy do instytutu — proponuje nieśmiało Eugeniusz.

— Do instytutu? — przedrzeźniam go. — A co ci powiedziano — w instytucie czy przed instytutem? A poza tym: dokąd wejdziesz? Od razu na pięć kondygnacji? A jak sądzisz, ile jest tam sal wykładowych? Sto, dwieście? Wpadniesz od razu do wszystkich dwustu? A może nie ma ich w ogóle w instytucie, tylko są tu w jakimś innym domu?

Eugeniusz wzdycha w milczeniu. Stoimy i czekamy. Trudno sobie wyobrazić, jak będą wyglądały te dwie dziewczyny na deszczu, czy mają tak samo różowy i błękitny deszczowiec, czy będą biec przez plac pod parasolkami — jedna pod różową, druga pod błękitną. Mokniemy na deszczu wytrwale, z całym samozaparciem i zaciętością, gotowi zapłacić za piękność wszystko, co się należy. W końcu z bramy instytutu zaczynają wybiegać pojedynczo, parami i gromadami dziewczęta i chłopcy, trochę stateczniej wychodzą wykładowcy i bardzo już statecznie starsi wiekiem docenci. Podchodzimy bliżej, żeby nie przegapić dziewcząt, staramy się zaglądać pod kaptury i parasolki, mija nas ze sto przedstawicieli wszystkich pokoleń i wszystkich możliwych cenzusów wykształcenia. Wszyscy biegną, śmieją się, wymachują rękoma, piszczą, gdy potoki zimnej wody spływają im za kołnierz, wiercą się i podskakują, ale naszych znajomych wciąż nie ma i nie ma. Ani różowej, ani błękitnej, ani w kostiumach, ani w deszczowcach, ani pod parasolkami, ani bez parasolek.

Znowu jesteśmy sami na placu. Nadal smaga nas jeszcze nielitościwiej zimny deszcz, zmierzcha się już, zapalają się latarnie, świeci się w oknach instytutu. Eugeniusz nie wytrzymał i jeszcze raz ostrożnie proponuje:

— Może wejdziemy, rozejrzymy się tam?

— Ale gdzie? Na którym piętrze na początek? —

znęcam się nad nim. — Kiedy będziemy zaglądali do sal, nasze znajome-nieznajome najspokojniej wyjdą sobie przez tę oto bramę i...

Eugeniusz znowu wzdycha w milczeniu i rozpoczynamy jeszcze jedną zmianę wyczekiwania, na której końcu — rozumiemy to już teraz — niczego się nie doczekamy. Będziemy tu jednak stali, póki nie zgasną wszystkie światła w instytucie i póki za ostatnim człowiekiem nie zatrzaśnie się po raz ostatni już dzisiaj ciężka brama.

Rzecz najdziwniejsza, że w ciągu tego idiotycznego i śmiesznego wyczekiwania zupełnie zapomniałem, dlaczego tu sterczymy. Nie złościłem się ani na dziewczyny, ani na Eugeniusza, ani na samego siebie, dziwny spokój zstąpił na mnie tu, na tym dużym placu, pod zimnym deszczem jesiennym, nawet mnie ogarnęło jakieś ciepło, bo zacząłem powoli myśleć o tamtych wesołych szarych oczach, jakich nie ma nikt; nawet te nieznośne dziewczyny pojęcia nie miały o tym moim głęboko ukrytym skarbie, nie potrafią sobie wyobrazić, z właścicielem jakich bogactw zetknął je przypadek. A ja? Przecież angażując się w tę lekkomyślną przygodę, w której następstwie ośmieszyliśmy się całkowicie jak niegdyś Tokowy z powodu mojej siostrzyczki Zizi, mogłem się zawczasu domyśleć, jak się to skończy. Może chodziło mi nie o siebie, lecz o przyjaciela, chciałem sprawić Eugeniuszowi przyjemność, chciałem, żeby dusza jego rozśpiewała się odświętnie, tak samo jak moja, kiedy pochyliły się nade mną te szare, takie szare... Bo w każdej duszy powinno być zawsze święto, święta powracają i tylko ciężkie dni odchodzą bezpowrotnie, powinny tak odchodzić.

Właśnie tam, stojąc na ciemnym, mokrym od deszczu placu Kosmonautów pomyślałem, że chciałbym żyć zawsze w odświętnym nastroju, w radości ptasiego

śpiewu, w zielonym szumie listowia, w cichym blasku promiennych szarych oczu.

A w żelazie? W naszym rodzonym, co stało się ciałem i duszą naszej egzystencji, mojej i Eugeniusza? Tak, również w żelazie. Z perspektywy wieczności.

WYDAWNICTWO LUBELSKIE • LUBLIN 1979

Wydanie I. Nakład 8 000 + 272 egz. Ark. wyd. 14,8. Ark. druk. 20. Papier druk. m. gł kl. III, 70 g, 82 × 104 cm. Oddano do składania 25 I 1979 r. Druk ukończono w lipcu 1979 r.
Cena zł 40.—

Druk: Rzeszowskie Zakłady Graficzne, Rzeszów, ul. Marchlewskiego 19. Zam 369/79, J-8-78

Cena zł 40,—